

**CLIVE CUSSLER**  
**PAUL KEMPRECOS**

**BIEGUNY ZAGŁADY**

AMBER 2006

Przekład  
MACIEJ PINATRA

Rip by Sebastian Gawin „sig”

**PROLOG**

Prusy Wschodnie, 1945 rok

Mercedes-Benz 770 W150 Grosser Tourenwagen ważył ponad cztery tony i był opancerzony jak czołg. Ale siedmioosobowa limuzyna zdawała się płynąć po warstwie świeżego śniegu, gdy sunęła bez świateł między polami, które lśniły w niebieskawym blasku księżycy.

Kierowca zobaczył ciemny wiejski dom w płytkim zagłębieniu terenu i delikatnie nacisnął hamulec. Auto zwolniło do tempa idącego człowieka i zbliżało się do niskiego budynku z kamieni polnych jak kot podkradający się do myszy.

Kierowca patrzył uważnie przez zamarzniętą przednią szybę. Spojrzenie jego niebieskich oczu miało temperaturę arktycznego lodu. Dom wyglądał na opuszczony, ale człowiek wołał nie ryzykować. Czarną karoserię samochodu pomalowano w pośpiechu na biało. Prymitywnie zakamuflowane auto było praktycznie niewidoczne z samolotów szturmowych, krążących na niebie niczym wściekłe sępy, ale ledwo uciekło radzieckim patrolom, które wyłaniały się ze śniegu jak widma. Pociski karabinowe podziurawiły pancierz w wielu miejscach.

Więc kierowca czekał.

Mężczyzna wyciągnięty na wygodnej tylnej kanapie czterodrzwiowego sedana poczuł, że samochód zwalnia. Obudził się, usiadł prosto i zamrugał powiekami.

- Co się dzieje? - zapytał. Mówił po niemiecku z węgierskim akcentem. Miał zaspany głos.

- Coś jest nie...

Nocną ciszę rozdarła seria z automatu.

Kierowca wdepnął pedał hamulca. Masywny pojazd zatrzymał się z poślizgiem pięćdziesiąt metrów od wiejskiego domu. Kierowca wyłączył silnik, wziął z przedniego siedzenia pistolet parabellum kaliber 9 milimetrów. Z drzwi domu wytoczyła się potężna postać w oliwkowym mundurze i futrzanej czapce Armii Czerwonej.

Żołnierz ścisnął ramię i ryczał jak byk użądłony przez pszczołę.

- Cholerna faszystowska dziwka! - powtarzał. W jego głosie brzmiały wściekłość i ból.

Rosjanin wdarł się do wiejskiego domu zaledwie kilka minut wcześniej. Gospodarze schowali się w szafie pod kocem jak złężnione dzieci. Żołnierz wpakował kulę w męża i spojrzał na żonę. Uciekła do kuchni.

Zarzucił broń na ramię i przywołał kobietę, kiwając palcem.

- Frau, komm.

Uspokajający wstęp do gwałtu.

Prześląknięty wódką mózg nie ostrzegł go, że jest w niebezpieczeństwie. Kobieta nie wybuchnęła płaczem i nie błagała o litość jak inne, które gwałcił i zabijał. Popatrzyła na niego wzrokiem płonącym nienawiścią i zamachnęła się nożem ukrytym za plecami. Celowała w jego twarz. Rosjanin zobaczył błysk stali w blasku księżycy wpadającym przez okna i wyciągnął przed siebie lewą rękę, żeby się zasłonić. Ale ostrze przecięło rękaw i przedramię. Powalił kobietę na podłogę ciosem prawej ręki. Znow sięgnęła po nóż. Żołnierz wpadł w furję i przeciął ją na pół serią z pepeszy.

Stał teraz przed domem i oglądał ranę. Nie była głęboka. Ze skaleczenia ledwo sączyła się krew. Wyjął z kieszeni butelkę z bimbrem. Mocny alkohol złagodził ból

ramienia. Rosjanin rzucił pustą flaszkę w śnieg, otarł usta wierzchem rękawicy i poszedł, żeby dołączyć do swoich towarzyszy. Zamierzał się pochwalić, że został ranny w walce z bandą faszystów.

Po kilku krokach przystanął. Jego czule ucho wyłowiło odgłosy stygnącego silnika samochodowego. Zmrużył oczy i spojrzał na wielką szarawą plamę w mroku. Na szerokiej twarzy rosyjskiego chłopca pojawiła się podejrzliwość. Zdjął z ramienia pepeszę i wycelował w niewyraźny obiekt. Położył palec na spuście.

W tym momencie rozbłyśły cztery reflektory. Rozległ się ryk rzędowego, ośmiocylindrowego silnika dużej mocy. Samochód wystartował, zarzucając tyłem na śniegu. Rosjanin usiłował uciec, ale koniec ciężkiego zderzaka trafił go w nogę i odrzucił na pobocze drogi.

Mercedes stanął, otworzyły się drzwi i wysiadł kierowca. Ruszył przez śnieg w kierunku Rosjanina. Poły czarnego skórzanego płaszcza uderzały cicho o jego uda. Był wysokim, ostrzyżonym na jeża blondynem o pociągłej twarzy z zapadłymi policzkami. Mimo mrozu nie miał na głowie czapki.

Przykucnął obok leżącego.

- Jesteście ranni, towarzyszu? - zapytał po rosyjsku. W jego głosie brzmiało nieszczerze współczucie lekarza.

Żołnierz jęknął. Nie mógł uwierzyć, że ma takiego pecha. Najpierw ta niemiecka suka z nożem, a teraz to.

- Kurwa mać! - zaklął zaślinionymi ustami. - Jasne, że jestem ranny! Wysoki mężczyzna zapalił papierosa i włożył Rosjaninowi między wargi.

- W tym domu ktoś jest?

Żołnierz zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. Podejrzewał, że obcy jest oficerem politycznym. W armii roiło się od nich.

- Dwoje faszystów - odparł. - Mężczyzna i kobieta.

Obcy wszedł do wiejskiego domu. Po chwili wrócił i znów przykucnął obok żołnierza.

- Co się stało?

- Zastrzeliłem Niemca. Ta faszystowska suka rzuciła się na mnie z nożem.

Mężczyzna poklepał Rosjanina po ramieniu.

- Dobra robota. Jesteście tu sami?

Żołnierz warknął jak pies w obronie swojej kości.

- Nie dzielę się moimi łupami ani kobietami.

- Z jakiej jednostki jesteście?

- Z Jedenastej Armii Gwardyjskiej generała Galickiego - odrzekł z dumą żołnierz.

- To wy zaatakowaliście przygraniczny Nemmersdorf? Rosjanin wyszczerzył zęby,

- Rozwaliliśmy faszystów w ich stodołach. Mężczyzn, kobiety i dzieci. Szkoda, że nie słyszeliście, jak te niemieckie świny błagały o litość.

Wysoki mężczyzna skinął głową.

- Dobrze się spisaliście. Mogę was zabrać do waszych towarzyszy. Gdzie oni są?

- Niedaleko. Przygotowują się do następnej ofensywy na zachód. Mężczyzna popatrzył w kierunku odległej linii drzew. Dudnienie czołgów T-34 przypominało daleki grzmot.

- A gdzie są Niemcy?

- Te świny uciekają, żeby ratować życie. - Żołnierz zaciągnął się papierosem. - Niech żyje Matka Rosja.

- Właśnie - przytaknął wysoki mężczyzna. - Niech żyje Matka Rosja. Sięgnął pod płaszcz, wyjął parabellum i przystawił lufę do skroni rannego. - Auf Wiedersehen, towarzyszu.

Padł strzał. Człowiek w skórzanym płaszczu schował dymiący pistolet do kabury i wrócił do samochodu. Kiedy wsiadał za kierownicę, z tylnej kanapy dobiegł ochryply okrzyk:

- Zabił pan tego żołnierza z zimną krwią!

Ciemnowłosy pasażer miał około trzydziestu pięciu lat i urodę amanta filmowego. Zmysłowe usta zdobił cienki wąsik. Ale jego szare oczy płonęły gniewem.

- Po prostu pomogłem kolejnemu Iwanowi poświęcić życie ku chwale Matki Rosji - odrzekł po niemiecku kierowca.

- Rozumiem, że jest wojna - powiedział pasażer napiętym głosem - ale nawet pan musi przyznać, że Rosjanie to też ludzie. Jak my.

- Owszem, profesorze Kovacs, jesteśmy bardzo podobni do siebie. Popelnialiśmy potworne zbrodnie na ich narodzie i teraz się mszczą.

Kierowca opowiedział o przerażającej masakrze w Nemmersdorfie.

- Współczuję tamtym ludziom - odrzekł cicho Kovacs - ale to, że Rosjanie zachowują się jak zwierzęta, nie oznacza, że reszta świata musi się posuwać do barbarzyństwa.

Kierowca westchnął ciężko.

- Front jest za tamtymi wzgórzami. Jeśli chce pan podyskutować o tym ze swoimi rosyjskimi przyjaciółmi, proszę bardzo. Nie będę pana zatrzymywał.

Profesor zamknął się w sobie jak ostryga.

Kierowca spojrział w lusterko wsteczne i zachichotał pod nosem.

- Mądra decyzja - pochwalił, wyjął papierosa i pochylił się nisko, żeby osłonić płomień zapalki. - Pozwoli pan, że wyjaśnię, jaka jest sytuacja. Armia Czerwona przekroczyła granicę i przeniknęła przez niemieckie linie. Prawie wszyscy mieszkańcy tej pięknej okolicy zostawili swoje gospodarstwa i uciekli. Nasi dzielni żołnierze osłaniają odwrót i walczą o własne życie. Rosjanie mają nad nami dziesięciokrotną przewagę w ludziach i sprzęcie. Pędzą w kierunku Berlina i odcinają nam wszystkie lądowe drogi na zachód. Miliony ludzi posuwają się w stronę wybrzeża, bo uciec można tylko przez morze.

- Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece - powiedział profesor.

- Wygląda na to, że Bóg ewakuuje Prusy Wschodnie. Może się pan uważać za szczęściarza - odrzekł wesoło kierowca. Cofnął samochód, wrzucił bieg i ominął ciało Rosjanina. - Jest pan świadkiem tworzenia historii.

\* \* \*

Mercedes ruszył na zachód i wjechał na ziemię niczyją między nacierającymi Rosjanami i wycofującymi się Niemcami. Pędził drogami, mijał opuszczone wsie i gospodarstwa. Zimowy krajobraz sprawiał surrealistyczne wrażenie. Zatrzymali się tylko raz, żeby dolać benzyny z kanistrów w bagażniku i załatwić swoje potrzeby fizjologiczne.

Na śniegu zaczęły się pojawiać koleiny. Niedługo potem samochód dogonił kolumnę uciekinierów. Strategiczny odwrót stał się druzgocącą klęską. Wojskowe

ciężarówki i czołgi brnęły wśród padającego śniegu w posuwającej się wolno rzece żołnierzy i cywilów.

Szczęśliwcy jechali na traktorach lub wozach konnych. Inni szli pieszo, ciągnąc wózki z dobytkiem. Wielu uciekało tylko w jednym ubraniu na grzbiecie.

Mercedes jechał poboczem, opony o głębokim bieżniku wgrzyzały się w śnieg. W końcu wyprzedził czoło kolumny. O świcie zabłocony samochód dowłókł się do Gdyni niczym nosorożec szukający schronienia w zaroślach.

Niemcy okupowali miasto od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Wysiedlili pięćdziesiąt tysięcy Polaków i nazwali ruchliwy port morski Gotenhafen, nawiązując do Gotów. Zamienili go w bazę marynarki wojennej, głównie okrętów podwodnych. Uruchomili tam oddział kilońskiej stoczni, który budował nowe U-Booty. Ich załogi, szkolone na pobliskich wodach, wyruszały na Atlantyk zatapiać alianckie statki i okręty.

Na rozkaz admirała Karla Dönitza w Gdyni zgromadzono flotyllę ewakuacyjną. Składała się z luksusowych niemieckich transatlantyków, frachtowców, kutrów rybackich i prywatnych jachtów. Dönitz chciał uratować swoich podwodniaków i cały personel marynarki wojennej, żeby mogli dalej walczyć. Zamierzano przetransportować na zachód ponad dwa miliony wojskowych i cywilów.

Mercedes torował sobie drogę przez miasto. Od Bałtyku dał lodowaty wiatr i niósł tumany zmrożonych płatków śniegu. Mimo zimna ulice były zatłoczone jak w lecie. Uciekinierzy brnęli przez zasypy w daremnym poszukiwaniu schronienia. Do punktów żywienia stały długie kolejki głodnych ludzi, czekających na kromkę chleba lub miskę gorącej zupy.

Uchodźcy wylewali się z dworca kolejowego i dołączali do tłumów pieszych. Opatulone postacie przypominały dziwne stworzenia śnieżne. Dzieci wieziono na sankach.

Mercedes mógł rozwinąć prędkość do stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, ale wkrótce utknął w korku. Ciężki stalowy zderzak nie zdołał odsunąć ludzi na boki. Sfrustrowany ślimaczym tempem jazdy kierowca zatrzymał samochód. Wsiadł i otworzył tylne drzwi.

- Chodźmy, profesorze - powiedział i potrząsnął swoim pasażerem. - Czas na spacer.

Zostawił mercedesa na środku ulicy i zaczął się przedzierać przez tłum. Trzymał profesora mocno za ramię, krzyczał do ludzi, żeby zrobili mu przejście, i odpychał ich, jeśli nie usuwali się szybko z drogi.

W końcu dotarli do portu. Zebrało się tam ponad sześćdziesiąt tysięcy uciekinierów. Każdy miał nadzieję dostać się na pokład któregoś ze statków, stojących rzędem przy pirsach lub zakotwiczonych przy brzegu.

Kierowca popatrzył na to z ponurym uśmiechem.

- Niech pan się dobrze przyjrzy, profesorze. Wszyscy religioznawcy są w błędzie. Sam pan widzi, że w piekle jest zimno, nie gorąco.

Kovacs nie miał już wątpliwości, że znalazł się w rękach szaleńca. Zanim zdążył odpowiedzieć, kierowca znów pociągnął go za sobą. Omijali zaśnieżone namioty z koców, tabuny wygłodniałych koni, porzuconych przez właścicieli, i sfory bezpańskich psów. Na nabrzeżach roіło się od wozów. Na rzędach noszy leżeli ranni

żołnierze, przywiezieni pociągami sanitarnymi ze wschodu. Każdego trapu pilnowali uzbrojeni wartownicy i zawracali nieupoważnionych pasażerów.

Kierowca precyzyjnie się na początek kolejki. Żołnierz w hełmie uniósł karabin i zagroził mu drogę. Kierowca podsunął mu pod nos dokument napisany gotykiem. Wartownik przeczytał treść, wyprężył się na baczność i wskazał kierunek.

Profesor stał bez ruchu. Obserwował, jak ktoś na pokładzie zakotwiczonego statku rzuca tobolek w tłum na piersie. Rzucił za blisko i tobolek wpadł do wody. W tłumie rozległ się płacz.

- Co się dzieje? - zapytał profesor. Wartownik ledwo zerknął w stronę zamieszania.  
- Na statki są wpuszczani uchodźcy z niemowlętami. Potem rzucają dzieci na dół, żeby mogli wejść następni. Czasami nie trafiają i niemowlaki lądują w wodzie.  
- Przeróżające. - Wzdrygnął się profesor.  
Żołnierz wzruszył ramionami.

- Lepiej niech pan już idzie. Jak tylko przestanie padać śnieg, czerwoni wyślą tu bombowce. Powodzenia. - Uniósł karabin, żeby zatrzymać następną osobę w kolejce.

Magiczny dokument pozwolił Kovacsowi i kierowcy minąć dwóch oficerów SS o wyglądzie twardzieli, którzy szukali mężczyzn zdolnych do służby na froncie. Profesor i jego opiekun dotarli w końcu do trapu promu zatłoczonego rannymi żołnierzami. Kierowca znów pokazał pismo wartownikowi, który kazał im wejść szybko na pokład.

\* \* \*

Kiedy przeładowany prom odpływał od nabrzeża, obserwował go mężczyzna w mundurze korpusu medycznego marynarki wojennej. Pomagał transportować rannych na pokład, a potem przedostał się przez tłum na złomowisko statków.

Wspiął się na wrak kutra rybackiego i zszedł pod pokład. Wyjął z szafki w kuchni radio na korbkę, uruchomił je i wymamrotał kilka zdań po rosyjsku. Wysłuchał odpowiedzi wśród trzasków zakłóceń, schował radio i wrócił na nabrzeże promowe.

\* \* \*

Prom wiozący Kovacs i jego towarzysza podpłynął do statku, który stał w pewnej odległości od nabrzeża, żeby na pokład nie zakradli się zdesperowani uchodźcy. Gdy prom okrążył dziób statku, profesor spojrział w górę. Na szarym kadłubie widniała nazwa Wilhelm Gustloff, namalowana gotyckimi literami.

Opuszczono trap i wniesiono na statek rannych. Potem na pokład wspięli się pozostali pasażerowie promu. Uśmiechali się z ulgą i odmawiali modlitwy dziękczynne. Zaledwie kilka dni rejsu dzieliło ich od niemieckiej ojczyzny.

Nikt z uszczęśliwionych pasażerów nie mógł wiedzieć, że właśnie weszli do pływającego grobowca.

\* \* \*

Kapitan Sasza Marinesko patrzył ze zmarszczonym czołem przez peryskop okrętu podwodnego S-13.

Nic.

Żadnego niemieckiego transportu w polu widzenia. Szare morze było puste jak kieszenie marynarza wracającego z przepustki. Nawet żadnej nędznej łodzi wiosłowej do ostrzelania. Kapitan pomyślał o dwunastu torpedach na pokładzie swojego okrętu i poczuł, że ogarnia go wściekłość.

Dowództwo radzieckiej marynarki wojennej twierdziło, że ofensywa Armii Czerwonej na Gdańsk spowoduje masową ewakuację drogą morską. S-13 był jednym z trzech okrętów podwodnych, które dostały rozkaz, żeby czekać na spodziewany exodus z Kłajpedy, gdzie jeszcze utrzymywali się Niemcy.

Kiedy Marinesko dowiedział się, że to miasto zostało zdobyte, wezwał swoich oficerów. Poinformował ich, że postanowił popłynąć w kierunku Zatoki Gdańskiej, gdzie jest większe prawdopodobieństwo napotkania konwojów ewakuacyjnych.

Nikt się nie sprzeciwił. Oficerowie i załoga dobrze wiedzieli, że od powodzenia tej operacji może zależeć to, czy po powrocie będą witani jako bohaterowie, czy dostaną bilety w jedną stronę na Syberię.

Kilka dni wcześniej kapitan podpadł policji politycznej, NKGB. Opuścił bazę bez pozwolenia. Zabawiał się z dziewczynami, gdy drugiego stycznia przyszedł rozkaz Stalina, żeby flota podwodna wypłynęła na Bałtyk zatapiać konwoje nieprzyjaciela. Ale kapitan balował trzy dni w burdelach i barach w fińskim mieście portowym Turku. Wrócił na okręt dzień po terminie wyjścia S-13 w morze.

Czekali na niego ludzie z NKGB. Stali się jeszcze bardziej podejrzliwi, kiedy powiedział, że nie pamięta szczegółów swojej pijackiej wyprawy. Marinesko był twardym, pewnym siebie podwodniakiem, odznaczonym orderami Lenina i Czerwonego Sztandaru. Wściekł się, gdy oskarżono go o szpiegostwo i dezercję.

Jego dowódca współczuł mu i opóźnił decyzję o postawieniu go przed sądem wojennym. Ukraińska załoga S-13 podpisała petycję o przywrócenie kapitana do służby na okręcie. Dowódca wiedział, że ta demonstracja zwykłej lojalności zostanie uznana za bunt. W nadziei na rozładowanie niebezpiecznej sytuacji wysłał okręt w morze do czasu, aż zapadnie decyzja o procesie.

Marinesko liczył na to, że jeśli zatopi dość niemieckich statków, on i jego ludzie unikną surowej kary.

Nie zawiadomił dowództwa marynarki wojennej o swoim planie, lecz wziął po cichu kurs na Zatokę Gdańską. S-13 oddalał się od wyznaczonej trasy patrolu i zbliżał nieuchronnie do miejsca spotkania z niemieckim liniowcem.

\* \* \*

Friedrich Petersen, siwowłosy kapitan „Gustloff”, spacerował tam i z powrotem po swojej kajucie. Wyglądał tak, jakby miał zaraz eksplodować. Nagle przystanął i rzucił wściekle spojrzenie młodszemu mężczyźnie w nieskazitelnym mundurze sił podwodnych.

- Pozwolę sobie przypomnieć panu, komandorze Zahn, że to ja jestem kapitanem tego statku i odpowiadam za bezpieczeństwo tej jednostki i wszystkich na jej

pokładzie.

Komandor Wilhelm Zahn sięgnął w dół i podrapał za uchem Hassana, dużego owczarka alzackiego.

- A ja pozwolę sobie przypomnieć panu, kapitanie, że od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku „Gustloff” znajduje się pod moim dowództwem jako pływająca baza sił podwodnych. Ja tu jestem starszy stopniem. I zapomina pan o przysiędze, że nie będzie pan dowodził żadnym statkiem.

Petersen podpisał takie zobowiązanie. Było warunkiem jego repatriacji po schwytaniu go przez Brytyjczyków. Czysta formalność, gdyż Brytyjczycy uważali, że i tak jest już za stary do służby w marynarce. Miał sześćdziesiąt siedem lat i wiedział, że jego kariera dobiegła końca, bez względu na wynik wojny. Był teraz kapitanem w stanie spoczynku. Ale pocieszał się tym, że jego rozmówcę też wycofano ze służby liniowej, gdy spartaczył zatopienie brytyjskiego okrętu „Nelson”.

- Nigdy nie wyszedł pan „Gustloffem” z portu, komandorze. Pływająca sala wykładowa i koszary, zakotwiczone w jednym miejscu, to co innego niż statek na pełnym morzu. Darzę najwyższym szacunkiem flotę podwodną, ale nie może pan zaprzeczyć, że tylko ja mam kwalifikacje potrzebne do prowadzenia tego statku.

Petersen dowodził tym liniowcem pasażerskim tylko raz, w czasie pokoju, i w normalnych okolicznościach nigdy nie powierzono by mu steru „Gustloff”. Zahn zjeżył się na myśl, że mógłby mu rozkazywać cywil. Niemieccy podwodniacy uważali się za elitę.

- Ale ja mam tu najwyższy stopień wojskowy - odparł Zahn. - Może pan zauważył, że zamontowaliśmy na pokładzie działka przeciwlotnicze. Ten statek stał się w istocie okrętem wojennym.

Kapitan uśmiechnął się pobłaźliwie.

- To dość dziwny okręt wojenny. Może z kolei pan zauważył, że przewozimy tysiące uchodźców. Transportem morskim zajmuje się marynarka handlowa.

- Pomiął pan tysiąc pięciuset podwodniaków, których trzeba ewakuować, żeby mogli bronić Rzeszy.

- Chętnie spełniłbym pańskie życzenia, gdyby pokazał mi pan pisemne rozkazy. - Petersen doskonale wiedział, że w zamieszaniu towarzyszącym ewakuacji nie wydano żadnych rozkazów.

Zahn poczerwieniał. Jego sprzeciw wykraczał poza osobiste animozje. Bardzo wątpił, czy Petersen potrafi dowodzić statkiem z niedoświadczoną międzynarodową załogą. Chciał rzucić kapitanowi prosto w oczy, że jest skończonym idiotą ale i tym razem zapanował nad sobą. Odwrócił się do oficerów, którzy byli świadkami tej nieprzyjemnej rozmowy.

- To nie będzie rejs Siła przez Radość - powiedział. - Cięży na nas wielka odpowiedzialność. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby podczas tej podróży ułatwić życie uchodźcom. To nasz obowiązek. Oczekuję, że załoga nam pomoże.

Stuknął obcasami, zasalutował Petersenowi i wyszedł z kajuty. Wierny owczarek alzacki podreptał za nim.

\* \* \*

Wartownik na szczycie trapu zerknął na dokument, który wręczył mu wysoki mężczyzna, potem podał pismo oficerowi nadzorującemu załadunek rannych.

Oficer przeczytał uważnie treść.



- Herr Koch wyraża się o panu z dużym uznaniem.

Gauleiter Erich Koch nie zgodził się na ewakuację ludności Prus Wschodnich, ale sam przygotowywał się do ucieczki na statku ze zrabowanym majątkiem.

- Mam nadzieję, że zasługuję na jego szacunek.

Oficer przywołał stewarda i wyjaśnił mu sytuację. Steward poprowadził dwóch mężczyzn przez zatłoczony pokład spacerowy. Zeszli trzy poziomy niżej, gdzie otworzył drzwi kajuty z dwiema kojami i umywalką. Kabina była za mała, żeby wszyscy trzej mogli jednocześnie wejść do środka.

- Nie jest to apartament Führera - powiedział steward - ale i tak macie szczęście. Toaleta jest cztery kajuty dalej.

Wysoki mężczyzna rozejrzał się po kabinie.

- To nam wystarczy. Niech pan zdobędzie dla nas coś do jedzenia. Steward poczerwieniał. Miał już dosyć rozkazów VIP-ów, podróżujących w całkiem dobrych warunkach, podczas gdy zwykli śmiertelnicy musieli cierpieć niewygody. Ale coś w zimnych niebieskich oczach wysokiego mężczyzny ostrzegło go, żeby nie dyskutował. Wrócił po piętnastu minutach z dwiema miskami gorącej zupy jarzynowej i kromkami czerstwego chleba. Dwaj mężczyźni pożerali w milczeniu posiłek. Profesor skończył pierwszy i odstawił miskę na bok. Ze zmęczenia miał szkliste oczy, ale wciąż jasny umysł.

- Co to za statek? - zapytał.

Wysoki mężczyzna wytarł dno miski ostatnim kawałkiem chleba, potem zapalił papierosa.

- Witamy na pokładzie „Wilhelma Gustloff’a”, dumy niemieckiego ruchu Siła przez Radość.

Ruch był narzędziem propagandy. Pokazywał niemieckim robotnikom zalety narodowego socjalizmu. Kovacs zerknął na spartańskie wnętrze kabiny.

- Nie widzę tu wiele siły ani radości.

- Nie szkodzi. Pewnego dnia „Gustloff” znów zabierze szczęśliwych niemieckich ludzi pracy i wiernych członków partii do słonecznej Italii.

- Nie mogę się tego doczekać. Nie powiedział mi pan jeszcze, dokąd płyniemy.

- Daleko poza zasięg Armii Czerwonej. Nie może pan wpaść w ręce Rosjan.

Pańskie dokonania są dla nas zbyt ważne. Rzesza dobrze się panem zaopiekuje.

- Wygląda na to, że Rzesza ma kłopoty z opieką nad własnymi obywatelami.

- Chwilowe trudności. Pańskie dobro jest moim najwyższym priorytetem.

- Nie dbam o moje dobro. - Kovacs od miesiący nie widział swojej żony i synka. Tylko ich rzadkie listy podtrzymywały go na duchu.

- Martwi się pan o rodzinę? - Wysoki mężczyzna utkwiał w nim spojrzenie. - Bez obaw. To wszystko wkrótce się skończy. Niech pan się trochę prześpi. To rozkaz.

Wyciągnął się na koi, złączył dłonie za głową i zamknął oczy. Kovacs wiedział, że jego towarzysz śpi czujnie i budzi go najłżejszy szmer.

Kovacs przyjrzał się jego twarzy. Mężczyzna mógł mieć dwadzieścia kilka lat, choć wyglądał starzej. Przypominał aryjski ideał z plakatów propagandowych.

Kovacs wzdrygnął się na wspomnienie śmierci rosyjskiego żołnierza, zastrzelonego z zimną krwią. Kilka ostatnich dni pamiętał jak przez mgłę. Wysoki mężczyzna zjawił się w laboratorium podczas zamieci śnieżnej. Pokazał dokument upoważniający go do uwolnienia doktora Kovacsa. Przedstawił się jako Karl. Polecił Kovacsowi zabrać swoje rzeczy. Potem była szaleńcza jazda samochodem wśród

zimowego krajobrazu i ucieczki w ostatniej chwili przed rosyjskimi patrolami. A teraz ten statek.

Po jedzeniu Kovacs zrobił się senny. Opadły mu powieki i głęboko zasnął.

Kiedy profesor spał, oddział żandarmerii wojskowej przeczesał statek w poszukiwaniu dezertersów. „Gustloff” dostał pozwolenie na wypłynięcie w morze i na pokład wszedł pilot portowy. Około pierwszej po południu marynarze rzucili cumy. Podpłynęły cztery holowniki i zaczęły odciągać statek od nabrzeża.

Drogę blokowały łodzie, w których były głównie kobiety i dzieci. „Gustloff” zatrzymał się i wziął uciekinierów na pokład. Normalnie zabierał tysiąc czterystu sześćdziesięciu pięciu pasażerów, obsługiwanych przez czterystuosobową załogę. Teraz ten elegancki niegdyś liniowiec przewoził osiem tysięcy ludzi.

Statek skierował się na pełne morze i późnym popołudniem rzucił kotwicę, by spotkać się z innym liniowcem pasażerskim, „Hansa”, i zaczekać na eskortę. „Hansa” miał kłopoty z silnikiem i się nie zjawił. Dowództwo marynarki wojennej obawiało się, że na otwartych wodach „Gustloff” będzie narażony na niebezpieczeństwo, i wydało rozkaz, żeby statek płynął dalej sam.

Liniowiec pokonywał spienione fale Bałtyku, zmagając się z silnym północno-zachodnim wiatrem. W szyby sterowni uderzał grad. Komandor Zahn kipiał z gniewu, gdy patrzył z mostka w dół na dwa tak zwane eskortowce, które przydzielono do ochrony statku.

„Gustloff” był przeznaczony do rejsów w ciepłym klimacie, ale przy odrobinie szczęścia mógł przetrwać sztorm. Dowództwo marynarki wojennej przysłało jako jego eskortę stary kuter torpedowy „Löwe” i zdezelowany trałowiec T 19. Zahn myślał, że sytuacja już nie może być gorsza, gdy nagle trałowiec zameldował przez radio, że ma przeciek i wraca do bazy. Zahn podszedł do kapitana Petersena i innych oficerów zgromadzonych w sterowni.

- W zaistniałej sytuacji proponuję zygzakować z dużą szybkością.

Petersen zrobił drwiącą minę.

- To niemożliwe. „Wilhelm Gustloff” jest oceanicznym dwudziestoczetrotysięcznikiem. Nie możemy się posuwać wężykiem jak pijany marynarz.

- Trzeba więc zwiększyć prędkość do maksymalnej. Żeby uciec okrętom podwodnym, musimy płynąć z szybkością szesnastu węzłów.

- Znam ten statek - odparł Petersen. - Nawet gdyby osłony wałów śrub nie były uszkodzone przez bomby, nie moglibyśmy utrzymywać takiej prędkości.

Zniszczylibyśmy łożyska.

Zahn spojrział przez okna sterowni na stary kuter torpedowy płynący przed nimi.

- W takim razie - powiedział grobowym głosem - niech Bóg ma nas w opiece.

\* \* \*

- Niech pan się obudzi, profesorze. Głos brzmiał ostro, ponaglająco.

Kovacs otworzył oczy i zobaczył nad sobą Karła. Usiadł i potarł policzki, jakby chciał w ten sposób szybciej odzyskać świadomość.

- Co się stało?

- Rozmawiałem z ludźmi. Mój Boże, co za bałagan! Jest tu dwóch kapitanów, którzy bez przerwy się kłócą. Brakuje szalup. Silniki ledwo zapewniają jaką taką szybkość. Idioci w dowództwie marynarki wojennej przysłali jako eskortę stary kuter

torpedowy, który wygląda tak, jakby pochodził z czasów ostatniej wojny. Ci cholerni durnie płyną z włączonymi światłami nawigacyjnymi.

Kovacs zauważył niepokój na twarzy Karla. To było całkiem niepodobne do niego.

- Jak długo spałem? - zapytał.

- Już noc. Jesteśmy na pełnym morzu.

Karl wręczył Kovacsowi granatową kamizelkę ratunkową i włożył na siebie podobną.

- Co zrobimy?

- Niech pan tu zostanie. Sprawdzę, jak wygląda sytuacja z szalupami. - Rzucił Kovacsowi paczkę papierosów. - Proszę się częstować.

- Nie palę.

Karl przystanął w otwartych drzwiach.

- Może czas, żeby pan zaczął. - Powiedziawszy to, zniknął.

Kovacs wyjął z paczki papierosa i zapalił. Rzucił palenie wiele lat temu, kiedy się ożenił. Zakaszłał, gdy dym wypełnił mu płuca. Zakręciło mu się w głowie. Przypomniawszy sobie studenckie czasy.

Skończył papierosa. Pomyślał o zapaleniu drugiego, ale zrezygnował. Nie kapał się od wielu dni i swędziało go całe ciało. Umył twarz i wycierał ręce zużyтым ręcznikiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Profesor Kovacs? - zapytał przytłumiony głos.

- Tak.

Drzwi się otworzyły i profesora aż zatkało. W progu stała najbrzydsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i takie bary, że jej czarne, karakułowe futro zdawało się pękać w szwach. Wydatne usta umalowała jaskrawoczerwoną szminką tak mocno, że wyglądała jak cyrkowy klaun.

- Przepraszam za najście - odezwała się męskim głosem. - Nielatwo jest się dostać na ten statek. Musiałem użyć tego głupiego przebrania i wręczyć kilka łapówek.

- Kim pan jest?

- Nieważne. Chodzi o pana. Doktor Laszlo Kovacs, prawda? Wielki niemiecko-węgierski elektryk. Geniusz.

Kovacs stał się ostrożny.

- Owszem, nazywam się Laszlo Kovacs, ale uważam się za Węgra.

- Doskonale! Jest pan autorem pracy naukowej o elektromagnetyzmie, która poruszyła cały świat naukowy, zgadza się?

Kovacs milczał. Praca opublikowana w mało znanym periodyku naukowym zwróciła na niego uwagę Niemców, którzy porwali go wraz z rodziną.

Uśmiech klauna stał się jeszcze szerszy.

- Mniejsza o to. Widzę, że trafiłem pod właściwy adres. - Mężczyzna sięgnął pod futro i wyjął pistolet. - Proszę mi wybaczyć, doktorze Kovacs, ale niestety muszę pana zabić.

- Zabić? Dlaczego? Nawet pana nie znam.

- Ale ja pana znam. A raczej znają pana moi przełożeni w NKGB. Kiedy tylko nasza waleczna Armia Czerwona przekroczyła granicę, wysłaliśmy po pana oddział specjalny, ale pan już zniknął z laboratorium.

- Rosjanin?

- Tak, oczywiście. Bardzo byśmy chcieli, żeby pracował pan dla nas. Gdyby nam się udało przechwycić pana, zanim wsiadł pan na ten statek, poznałby pan radziecką

gościnność. Ale teraz nie mogę pana stąd zabrać i nie możemy pozwolić, żeby znów wpadł pan w ręce Niemców. Nie, nie, to się nie zdarzy.

Rosjanin przestał się uśmiechać.

Kovacs był zbyt oszołomiony, żeby poczuć strach, gdy lufa pistoletu wycelowała w jego serce.

\* \* \*

Marinesko ledwo mógł uwierzyć w swoje szczęście. Stał na kiosku S-13, obojętny na padający śnieg, lodowaty wiatr i rozbryzgi wody, które ochlapwały mu twarz. Nagle się przejaśniło i zobaczył sylwetkę wielkiego transatlantyka. Statkowi towarzyszyła mniejsza jednostka.

Okręt podwodny płynął na powierzchni wzburzonego morza. Załoga była na stanowiskach bojowych, odkąd na tle lądu pojawiły się światła nawigacyjne statków. Kapitan kazał tak napęlić balasty S-13, żeby okręt miał większe zanurzenie i uniknął wykrycia przez radar.

Uważał, że konwój nie spodziewa się ataku od strony wybrzeża, więc rozkazał sternikowi okrążyć go z tyłu i wziąć kurs równoległy do liniowca i jego eskorty. Dwie godziny później Marinesko skierował swój okręt do celu. Kiedy zbliżył się do lewej burty statku pasażerskiego, wydał rozkaz otwarcia ognia.

Z wyrzutni dziobowych wystartowały jedna po drugiej trzy torpedy i pomknęły w kierunku niezabezpieczonego kadłuba liniowca.

\* \* \*

Drzwi się otworzyły i do kajuty wszedł Karl. Wcześniej stał na zewnątrz i słuchał szmeru męskich głosów. Zaskoczył go widok kobiety odwróconej do niego plecami. Zerknął na Kovacsa, który wciąż trzymał ręcznik, i zobaczył na jego twarzy strach.

Rosjanin poczuł podmuch zimnego powietrza z otwartych drzwi. Wykonał obrót i strzelił bez celowania. Karl był o ułamek sekundy szybszy. Schylił głowę i uderzył go bykiem w tors.

Cios powinien zmiążdżyć klatkę piersiową zabójcy, ale grube futro i sztywny gorset chroniły go jak pancerz. Stracił tylko oddech. Runął na kolę i wyładował na boku. Spadła mu peruka i odsłoniła krótkie, czarne włosy. Oddał następny strzał. Pocisk drasnął prawy bark Karla u podstawy szyi.

Karl rzucił się na Rosjanina i złapał go lewą ręką za gardło. Krew z jego rany opryskała obu. Zabójca uniósł nogę i kopnął. Trafiony w pierś Karl zatoczył się do tyłu, potknął się i upadł na plecy.

Kovacs chwycił miskę po zupie i cisnął nią w twarz zabójcy. Odbiła się od kości policzkowej, nie czyniąc mu krzywdy. Rosjanin się roześmiał.

- Zaraz się tobą zajmę. - Wycelował pistolet w Karla.

Bum!

Rozległa się przytłumiona eksplozja. Pokład przechylił się ostro na sterburtę. Kovacs opadł na kolana. Zabójca nie był przyzwyczajony do damskich butów na wysokich obcasach i stracił równowagę. Przewrócił się na Karla, który złapał go za

rękę i zatopił w niej zęby. Pistolet upadł na pokład.

Bum! Bum!

Statek zadrżał od dwóch następnych potężnych wybuchów. Rosjanin spróbował wstać, ale znów stracił równowagę, gdy statek przechylił się na lewą burtę. Balansował ciałem, kiedy Karl kopnął go w kostkę. Rosjanin wydał okrzyk nie pasujący do kobiety i runął na podłogę. Jego głowa wyślizowała się przy metalowej podstawie koi.

Karl zaparł się o rury pod umywalką i wbił podkuty but w gardło zabójcy, żeby zmiażdżyć mu krtań. Rosjanin zamachał rękami, oczy wyszły mu na wierzch, poczerwieniał na twarzy, potem zsiniał i znieruchomiał.

Karl stanął chwiejnie na nogach.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział. - Statek został storpedowany. Wyciągnął Kovacs z kajuty. Na korytarzu panował chaos. Wokół było pełno przerażonych pasażerów. Ich krzyki odbijały się echem od ścian. Hałas potęgowały dzwonki alarmowe. Włączono oświetlenie awaryjne, ale dym ograniczał widoczność.

Schody blokowali przerażeni ludzie. Niektórzy zatrzymali się na stopniach, gdy zaczęły ich dusić gorące opary.

Tłum starał się przebić przez kaskady wody spływające po schodach. Karl otworzył nie oznakowane stalowe drzwi, wciągnął Kovacs do ciemnego pomieszczenia i zamknął je. Profesor poczuł, jak Karl kieruje jego rękę do szczebla drabinki.

- Niech pan wchodzi - usłyszał rozkaz.

Wspiął się na górę i uderzył głową w pokrywę wjazdu. Karl krzyknął z dołu, żeby ją otworzył i wszedł wyżej. Wdrapali się na szczyt następnej drabinki. Kovacs pchnął drugi wjazd. Zimny wiatr dmuchnął mu śniegiem w twarz. Wydostał się z otworu i pomógł wyjść Karlowi na zewnątrz.

Rozejrzał się ze zdumieniem.

- Gdzie my jesteśmy?

- Na pokładzie szalupowym. Tędy.

Na pochyłym, oblodzonym pokładzie było dziwnie cicho w porównaniu z wrzawą w pomieszczeniach trzeciej klasy. Zobaczyli tu niewielu ludzi, tylko uprzywilejowanych pasażerów, którzy dostali kajuty na pokładzie szalupowym. Część tłoczyła się wokół solidnej łodzi motorowej, zbudowanej do żeglugi po norweskich fiordach. Członkowie załogi odrąbywali młotkami i toporkami lód z żurawików łodziowych.

Kiedy skończyli, rzucili się do szalupy, odpychając na bok kobiety, niektóre w ciąży.

Dzieci i ranni żołnierze nie mieli szans. Karl wyciągnął pistolet i oddał strzał ostrzegawczy w powietrze. Marynarze zawahali się na moment. A potem znów zaczęli się przepychać do łodzi ratunkowej. Karl zastrzelił pierwszego, który wgramolił się do niej. Reszta uciekła.

Karl ulokował w łodzi kobietę z małym dzieckiem. Pomógł wejść profesorowi i sam wszedł do środka. Wpuścił też kilku marynarzy, żeby wyrzucili za burtę trupa i zwodowali szalupę. Odczepiono liny żurawików i uruchomiono silnik.

Mocno obciążona łódź ratunkowa ruszyła wolno przez morze w stronę odległych światłał frachtowca, który płynął w jej kierunku. Karl kazał zatrzymywać szalupę i zabierać ludzi unoszących się w wodzie. Łódź wkrótce zanurzyła się niebezpiecznie. Jeden z marynarzy zaprotestował.

- Nie ma już miejsca! - krzyknął. Karl strzelił mu między oczy.
- Teraz jest - powiedział i kazał innym marynarzom wyrzucić ciało za burtę. Zadowolony, że krótkotrwały bunt został stłumiony, usiadł obok Kovacs. - Wszystko w porządku, profesorze?
- Kovacs spojrzał na niego.
- Tak. Jest pan zaskakującym człowiekiem.
- Staram się. Moi przeciwnicy nie wiedzą czego się spodziewać.
- Nie o tym mówię. Widziałem, jak pan pomagał rannym i kobietom. Trzymał pan tamto dziecko jak własne.
- Pozory często mylą przyjaciela. - Karl sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął dokumenty w wodoszczelnym gumowym opakowaniu. - Niech pan weźmie te papiery. Nie nazywa się pan już Laszlo Kovacs. Teraz jest pan Niemcem mieszkającym na Węgrzech. Pana akcent nie wzbudzi podejrzeń. Chcę, żeby pan zniknął w tłumie. Stał się jednym z uchodźców. Niech pan się kieruje w stronę brytyjskich i amerykańskich linii.
- Kim pan jest?
- Przyjacielem.
- Dlaczego mam panu wierzyć?
- Jak powiedziałem, pozory często mylą. Należę do kręgu ludzi, którzy walczą z nazistami o wiele dłużej niż Rosjanie.
- Do Kręgu z Krzyżowej? - Profesor doznał olśnienia. Słyszał pogłoski o istnieniu tajnego ugrupowania opozycyjnego.
- Karl położył palec na ustach.
- Jesteśmy jeszcze na terytorium wroga - odrzekł przyciszonym głosem.
- Kovacs chwycił go za ramię.
- Może pan zabrać moją rodzinę w bezpieczne miejsce?
- Niestety jest już za późno. Nie ma pan już rodziny.
- A listy?
- Były sfalszowane, żeby nie upadł pan na duchu i nie przerwał pracy.

Zaszokowany Kovacs wpatrzył się w ciemność.

Karl złapał profesora za kłapy.

- Musi pan zapomnieć o swojej pracy - szepnął mu do ucha. - Dla własnego dobra i bezpieczeństwa ludzkości. Nie możemy ryzykować, że wyniki pańskich badań wpadną w niewłaściwe ręce.

Profesor w odrętwieniu skinął głową. Łódź uderzyła w kadłub frachtowca. Opuszczono drabinkę. Karl kazał marynarzom wrócić szalupą po następnych rozbitków.

Kovacs patrzył z pokładu statku na odpływającą łódź ratunkową. Karl pomachał mu na pożegnanie i szalupa zniknęła za zasłoną padającego śniegu.

Kovacs zobaczył w oddali światła liniowca. Transatlantyk miał taki przechyl na lewą burtę, że komin znajdował się równoległe do morza. Ekspłodował kocioł i statek poszedł pod wodę. Zatonął w godzinę po storpedowaniu. Na „Gustloffie” zginęło pięciokrotnie więcej ludzi niż na „Titanicu”.

# 1

## Atlantyk, czasy współczesne

Ci, którzy pierwszy raz widzieli „Southern Belle”, dziwili się, jak można było tak ochrzcić ów wielki statek handlowy. Wbrew pięknej nazwie, która przywodziła na myśl ślicznotkę z Południa trzepoczącą długimi rzęsami, „Belle” była metalowym monstrem bez śladu kobiecej urody.

Należała do nowej generacji solidnych, szybkich statków, budowanych teraz w amerykańskich stoczniach po okresie, kiedy Stany Zjednoczone zostawały w tej dziedzinie z tyłu za innymi krajami. „Southern Belle”, zaprojektowana w San Diego i zbudowana w Biloxi, miała długość dwustu trzynastu metrów - prawie dwóch boisk do futbolu amerykańskiego - i mogła transportować tysiąc pięćset kontenerów.

Masywnym statkiem sterowano z wysokiej nadbudowy na pokładzie rufowym. Miała trzydzieści metrów szerokości i przypominała apartamentowiec. W środku mieściły się kwatery oficerów i załogi, mesy, szpital, gabinety zabiegowe, biura i sale konferencyjne.

Sterownia z rzędami dwudziestosześciorzędowych ekranów dotykowych, ulokowana na najwyższym z sześciu poziomów nadbudowy, wyglądała jak kasyno w Las Vegas. Przestronne centrum operacyjne odzwierciedlało nowe trendy w budowie statków. Wszystkimi funkcjami zintegrowanych systemów zarządzały komputery.

Ale trudno się wyzbyć przyzwyczajęń. Kapitan statku, Pierre „Pete” Beaumont, patrzył na morze przez lornetkę. Nadal bardziej ufał swoim oczom, niż supernowoczesnym elektronicznym gadżetom, które miał do dyspozycji.

Z jego punktu obserwacyjnego na mostku widać było atlantycki sztorm szalejący wokół kontenerowca. Porywisty wiatr wyrzucał do góry fale wysokie jak domy. Woda przelewała się przez dziób i omywała stopy kontenerów przymocowane do pokładu.

W tych ekstremalnych warunkach kapitanowie mniejszych statków gorączkowo szukaliby schronienia, ale Beaumont był tak spokojny, jakby sunął gondolą po kanale

w Wenecji.

Uwielbiał sztormy. Rozkoszował się zmaganiem statku z żywiołem. Kiedy patrzył, jak „Belle” daje imponujący pokaz siły, przedzierając się przez morze, czuł niemal zmysłowe podniecenie.

Beaumont był pierwszym kapitanem tego kontenerowca. Przyglądał się jego budowie i znał każdą śrubkę na tym statku. „Belle” zaprojektowano do regularnych rejsów między Ameryką i Europą. Trasa prowadziła przez jeden z najbardziej nieprzyjaznych oceanów na świecie. Ale Beaumont był pewien, że kontenerowiec wytrzyma obecny sztorm bez żadnego problemu.

Statek transportował teraz kauczuk syntetyczny, tworzywa sztuczne i maszyny. Zabrał ten ładunek z Nowego Orleanu, okrążył Florydę i w połowie atlantyckiego wybrzeża Stanów Zjednoczonych wziął kurs prosto na Rotterdam.

Służba meteorologiczna podała właściwą prognozę pogody dla Atlantyku. Zapowiadano porywisty wiatr, który przerodzi się w sztorm. Żywioł zaatakował kontenerowiec około dwustu mil morskich od lądu. Na kapitanie nie zrobiło to wrażenia, nawet gdy wiatr przybrał na sile. Statek radził sobie łatwo z gorszą pogodą.

Beaumont obserwował ocean, gdy nagle zeszywniał i mocniej przycisnął lornetkę do oczu. Opuścił ją znów uniósł i mruknął pod nosem. Potem odwrócił się do pierwszego oficera.

- Niech pan spojrzy na tamten rejon morza. Mniej więcej na godzinie drugiej. Ciekaw jestem, czy zauważy pan coś niezwykłego.

Pierwszym oficerem był Bobby Joe Butler, młody utalentowany marynarz z Natchez. Nie ukrywał, że chciałby kiedyś dowodzić takim statkiem jak „Belle”. Może nawet tym. Popatrzył przez lornetkę tam, gdzie wskazywał kapitan, jakieś trzydzieści stopni w prawo od dziobu.

Zobaczył tylko szarą wzburzoną wodę, która ciągnęła się aż po zamglony horyzont. Potem, około mili od statku, dostrzegł białą linię piany. Była co najmniej dwa razy wyższa od fal w tle. Kiedy się jej przyglądał, rosła szybko, jakby czerpała energię z morza wokół niej.

- Wygląda na to, że nadciąga naprawdę duża fala - powiedział z przeciągłym akcentem z Missisipi.

- Na ile metrów ocenia pan jej wysokość? Młody oficer zmrużył oczy.

- Inne fale mają około dziesięciu. Ta chyba dwa razy więcej. O kurczę! Widział pan już coś takiego?

- Nie - odrzekł kapitan. - Nigdy.

Beaumont wiedział, że kontenerowiec poradzi sobie z tą falą, jeśli będzie ustawiony dziobem do niej, żeby zmniejszyć powierzchnię uderzenia. Kazał sternikowi zaprogramować automatyczną zmianę kierunku i utrzymanie nowego, prosto na falę. Potem wziął z konsoli mikrofon i włączył wszystkie głośniki na statku.

- Uwaga, załoga. Tu kapitan. Zbliży się do nas ogromna fala. Niech wszyscy ulokują się w bezpiecznych miejscach z dala od luźnych przedmiotów i mocno się trzymają. Uderzenie będzie bardzo silne. Powtarzam. Uderzenie będzie bardzo silne.

Na wszelki wypadek kazał radiooperatorowi nadać sygnał SOS. Zawsze można odwołać alarm.

Zielonobiała fala była około pół mili od statku.

- Niech pan spojrzy - odezwał się Butler. Niebo rozświetlały jasne błyski. -



Błyskawice?

- Być może - odparł kapitan. - Bardziej obchodzi mnie ten cholerny ocean!

Profil fali nie przypominał niczego, co Beaumont dotąd widział. W przeciwieństwie do większości fal, które opadają pochyło od grzbietu w dół, ta była niemal pionowa. Wyglądała jak ruchoma ściana.

Kapitan doznawał dziwnego uczucia rozdwojenia. Obserwował nadciągającą falę z naukowym obiektywizmem, zafascynowany jej wielkością i siłą a zarazem patrzył z bezradnym zdumieniem na jej groźną potęgę.

- Ciągłe rośnie - powiedział z przerażeniem Butler.

Beaumont skinął głową. Oceniał, że fala ma już wysokość ponad dwudziestu siedmiu metrów, niemal trzykrotnie większą niż w chwili, kiedy ją zauważył. Zbladł. Zaczął tracić niezachwianą pewność siebie. Statek wielkości „Belle” nie mógł zawrócić w miejscu i był jeszcze ustawiony pod kątem do nadciągającej fali, gdy uniosła się jak żywe stworzenie.

Kapitan spodziewał się wstrząsu, ale zaskoczył go ogrom doliny fali, która nagle otworzyła się przed nim w oceanie. Mogła wchłonąć cały kontenerowiec.

Spojrzał w głąb otchłani przed sobą i pomyślał, że tak musi wyglądać koniec świata.

„Belle” pochyliła się do przodu, zsunęła w dół i zaryła dziobem w morze. Beaumont wpadł na przegrodę.

Fala runęła na statek z góry i pogrzebała go pod tysiącami ton wody.

Szyby sterowni eksplodowały do środka pod naporem ogromnego ciśnienia. Wydawało się, że na mostek wlewa się cały Atlantyk. Potop miał siłę strumieni tryskających ze stu węży strażackich. Zwalił kapitana i innych z nóg. Wokół fruwały książki, ołówki i poduszki foteli.

Gdy część wody wypłynęła przez okna, kapitan dojrzał z powrotem do konsoli sterowniczej. Wszystkie monitory były ciemne. Nie działał radar, żyrokompassy ani radio. Ale najgorsze, że statek stracił napęd. We wszystkich obwodach nastąpiło zwarcie. Ster był bezużyteczny.

Beaumont podszedł do okna, żeby zobaczyć, co ucierpiało na zewnątrz. Dziób został zmiążdżony, kontenerowiec miał przechył. Pewnie uszkodzone zostało poszycie kadłuba. Morze zmyło z pokładu łódzie ratunkowe. Statek zanurzał się jak pijany hipopotam.

Wydawało się, że wielka fala pobudziła ocean. Przez pokład przelewała się woda. Po awarii silników „Belle” leżała poprzecznie do kierunku ruchu morza i dryfowała w najgorszej z możliwych pozycji.

Kontenerowiec przetrwał atak żywiołu, ale miał odsłoniętą burtę i groziło mu przedziurawienie kadłuba.

Beaumont starał się być optymistą. „Southern Belle” nie zatonię nawet po zalaniu kilku przedziałów. Ktoś musiał usłyszeć SOS. Statek na pewno utrzyma się na wodze do nadejścia pomocy.

Z zamyślenia wyrwał go głos pierwszego oficera.

- Panie kapitanie.

Butler wpatrywał się przez wybite okno w odległy punkt na morzu. Na twarzy

miał wyraz niedowierzania. Beaumont spojrział tam, gdzie pokazywał palcem pierwszy oficer, i zamarł ze strachu.

Niecałe ćwierć mili od statku tworzyła się następna linia piany.

\* \* \*

Pierwszy samolot przyleciał dwie godziny później i zaczął krążyć nad morzem. Wkrótce dołączyły do niego inne. Potem zjawily się statki ratownicze, skierowane z tras żeglugowych. Pływały w odległości trzech mil od siebie i przeczesywały ocean jak grupa ludzi szukających w lesie zaginionego dziecka. Po wielu dniach poszukiwań niczego nie znalazły.

„Southern Belle”, jeden z najnowocześniejszych statków handlowych, jakie dotąd zaprojektowano i zbudowano, po prostu zniknął bez śladu.

## 2

Seattle, stan Waszyngton

Smukły kajak mknął po szafirowej powierzchni zatoki Puget jak strzała wypuszczona z łuku. Barczysty mężczyzna w ciasnym kokpicie zdawał się stanowić jedność z drewnianą łódką. Zanurzał w wodzie wiosło swobodnymi, płynnymi ruchami, koncentrując siłę muskularnych ramion na precyzyjnym utrzymywaniu stałej szybkości.

Na jego opalonej twarzy o wyrazistych rysach lśnił pot. Jasnoniebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu obserwowały rozległą zatokę, zamglone wyspy San Juan i zaśnieżone góry Olympic w oddali. Kurt Austin odetchnął głęboko słonym powietrzem i uśmiechnął się szeroko. Cieszył się, że jest w domu.

Był szefem zespołu specjalnego Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych i stale podróżował do odległych części świata. Ale zakochał się w morzu w pobliżu Seattle, gdzie się urodził. Zatokę Puget znał jak własne pięć palców. Żeglował tutaj niemal od dnia, w którym nauczył się chodzić. Od dziesiątego roku życia startował w wyścigach łodzi. To była jego pasja. Miał ośmiotonowy katamaran, rozwijający szybkość ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, ślizgacz z silnikiem zaburtowym, sześciometrową żaglówkę i skiff, którym lubił pływać wczesnym rankiem po rzece Potomac.

Ostatnio dodał do swojej małej floty zbudowany na zamówienie kajak Guillemot. Kupił go w Seattle. Podobała mu się naturalna drewniana konstrukcja i zgrabny kształt wąskiego kadłuba, wzorowany na czólnach Aleutów. Jak wszystkie jego łodzie, kajak był piękny i szybki.

Austin z taką uwagą chłonał znajome widoki i zapachy, że niemal zapomniał o swoich towarzyszach. Zerknął przez ramię. Kilkadziesiąt metrów za jego kilwaterem płynęła flotylla pięćdziesięciu fiberglasowych kajaków. W każdym siedział rodzic z dzieckiem. Ciężkie, dwukokpitowe łodzie były stabilne i bezpieczne, ale nie mogły się równać z koniem wyścigowym Austina. Kurt zdjął turkusową czapkę baseballową NUMA i pomachał nią wysoko nad swoją przedwcześnie posiwiąłą niemal platynową

czupryną żeby zdopingować wioślarzy.

Austin nie wahał się ani chwili, kiedy jego ojciec, bogaty właściciel międzynarodowej firmy ratownictwa morskiego z siedzibą w Seattle, poprosił go o poprowadzenie dorocznego wyścigu kajakowego, który sponsorował, żeby zebrać pieniądze na cele dobroczynne. Kurt pracował w Austin Marine Salvage sześć lat, potem zwabiono go do mało znanej sekcji CIA, wyspecjalizowanej w zdobywaniu danych wywiadowczych pod wodą. Po zakończeniu zimnej wojny sekcję zlikwidowano i Austina zatrudnił James Sandecker, który kierował NUMA, zanim został wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

Austin zanurzył wiosło w wodzie i skierował kajak w stronę dwóch łodzi, zakotwiczonych około trzydziestu metrów od siebie, niecałe pół kilometra przed nim. Na ich pokładach czekało kierownictwo wyścigu i dziennikarze. Między łodziami wisiał wielki, czerwono-biały, plastikowy transparent z napisem META. Za linią mety stała barka, przycumowana burtą do wyczarterowanego promu. Po wyścigu organizatorzy mieli załadować kajaki na barkę i poczęstować uczestników lunchem na promie. Ojciec Austina obserwował imprezę z białej, piętnastometrowej motorówki „White Lightning”.

Austin przygotowywał się już do finiszu, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Spojrzał w prawo i zobaczył, że w jego kierunku sunie wysoka, zakrzywiona płetwa grzbietowa. Wkrótce dołączyło do niej co najmniej dwadzieścia innych.

W zatoce Puget żyło kilka stad orki, drapieżnych waleni, które żywiły się łososiami. Stały się miejscowymi maskotkami, przyciągając turystów z całego świata. Ludzie przyjeżdżali do Seattle i wyruszali stamtąd oglądać orki z łodzi wycieczkowych lub kajaków. Orki podpływały do nich i popisowały się, wyskakując z wody. Choć przepływały bardzo blisko kajaków, nie stwarzały żadnego zagrożenia.

Kiedy pierwsza płetwa była w odległości około piętnastu metrów, orka stanęła na ogonie. Wynurzyła z wody prawie połowę swojego ośmiometrowego ciała. Austin przestał wiosłować i patrzył na nią. Widział już takie przedstawienia, ale zawsze wyglądały groźnie. Miał przed sobą wielkiego samca o czarno-białym lśniącem ciele, zapewne przewodnika stada, który musiał ważyć co najmniej siedem ton.

Orka opadła z powrotem do wody i znów ruszyła szybko w kierunku Austina. Kurt wiedział z własnego doświadczenia, że w ostatniej chwili znurkuje pod kajak. Ale kiedy była tuż przy nim, znów stanęła dęba i rozwarła szczęki. Wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby dotknąć ostrych zębów. Austin nie wierzył własnym oczom. To tak, jakby ulubiony klaun cyrkowy zamienił się w potwora. Austin wbił wiosło w paszczę stworzenia. Rozległ się głośny trzask drewna pękającego pod naciskiem zębów.

Masywna orka runęła na dziób szesnastokilogramowego kajaka i roztrzaskała go na kawałki. Austin wpadł do zimnej wody. Przez moment zanurzył się z głową, ale wyniosła go na powierzchnię kamizelka ratunkowa. Wypluł wodę i się rozejrzał. Ku jego uldze płetwa oddalała się od niego.

Stado orki było między nim i pobliską wyspą. Zaczął płynąć w przeciwną stronę. Po kilku ruchach zatrzymał się i odwrócił na plecy. Przeszedł go dreszcz, nie tylko z zimna.

Ściagała go falanga płetw. Zrzucił buty wioślarskie i ściągnął niewygodną kamizelkę ratunkową. Wiedział, że to nic nie da. Musiałby mieć na plecach silnik, żeby uciec orkom. Te drapieżne walenie potrafią pływać z szybkością ponad

pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Austin nieraz stawiał czoło wielu przeciwnikom rodzaju ludzkiego, ale to było co innego. Czuł pierwotny strach, jakiego musieli doznawać jego przodkowie z epoki kamiennej: bał się, że zostanie pożarty. Gdy walenie zbliżyły się do niego, usłyszał charakterystyczny dźwięk, który wydawały przy wypuszczaniu powietrza nozdrzami.

Kiedy był już pewien, że za moment w jego ciało zagłębią się ostre zęby, oddechy zagłuszył ryk potężnych silników. Austin zobaczył kadłub łodzi lśniący w słońcu. Czyjeś ręce sięgnęły w dół i chwyciły go za ramiona. Uderzył boleśnie kolanami w twardą, plastikową burtę i wylądował na pokładzie jak złowiona ryba.

Pochylał się nad nim jakiś mężczyzna.

- Wszystko w porządku?

Austin zaczerpnął głęboko powietrza i podziękował nieznanemu samarytaninowi za pomoc.

- Co się stało? - zapytał jego wybawca.

- Zaatakowały mnie orki.

- To niemożliwe - odparł mężczyzna. - Są jak wielkie, przyjazne psy.

- Niech pan to powie im.

Austin wstał. Był na dobrze wyposażonej, dziesięciometrowej motorówce. Mężczyzna, który wyciągnął go z wody, miał ogoloną głowę z wytatuowanym na niej pajakiem. Oczy zasłaniały mu okulary przeciwsłoneczne z niebieskimi, lustrzanymi szklami. Był ubrany w czarne dżinsy i czarną skórzaną kurtkę.

Z pokładu za plecami mężczyzny wyrastała dziwna metalowa konstrukcja w kształcie stożka. Miała wysokość około dwóch metrów. Wychodziły z niej grube kable elektryczne. Austin przyglądał się przez chwilę tajemniczemu urządzeniu, ale bardziej interesowało go to, co się działo w wodzie.

Orki, które ściagały go jak stado głodnych wilków morskich, oddalały się od motorówki i kierowały w stronę innych kajakarzy. Kilka osób widziało, jak Austin wypada za burtę, ale były za daleko, żeby zobaczyć atak orki. Po zniknięciu Kurta uczestnicy wyścigu nie wiedzieli, co dalej robić. Część wolno wiosłowała, ale większość stanęła. Unosili się na wodzie jak gumowe kaczki w wannie.

Orki zbliżały się szybko do zdezorientowanych ludzi. Co gorsza, wokół flotylli kajaków pojawiły się inne stada drapieżnych walenii. Zacieśniały krąg. Wiosłarze nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wielu z nich pływało już po tej zatoce i widziało, że orki są niegroźne.

Austin chwycił koło sterowe motorówki.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział i pchnął przepustnice.

Odpowiedź mężczyzny zagłuszył ryk dwóch silników zaburtowych. Łódź szybko nabrała prędkości. Austin skierował dziób w malejącą lukę między kajakarzami i ruchomymi płetwami grzbietowymi. Miał nadzieję, że hałas motorówki spłoszy orki. Jednak walenie podzieliły się na dwie grupy, chcąc go ominąć, żeby dotrzeć do celu. Wiedział, że orki potrafią porozumiewać się ze sobą, żeby skoordynować atak. Uderzyły we flotyllę kajaków jak torpedy. Taranowały je masywnymi ciałami. Kilka kajaków przewróciło się i pasażerowie wpadli do wody.

Austin zmniejszył szybkość motorówki, kierując ją między głowy dzieci, ich

rodziców i pletwy grzbietowe orek. Do przewróconych kajaków zbliżała się „White Lightning”, ale w panującym chaosie nie mogła pomóc. Austin zobaczył, że jedna z najwyższych pletw sunie w kierunku mężczyzny, który unosił się w wodzie z córeczką w ramionach. Odwrócił się do właściciela motorówki.

- Ma pan na pokładzie kuszę harpunniczą?

Łysy mężczyzna majstrował gorączkowo przy pulpicie sterowniczym, połączonym kablem ze stożkową konstrukcją. Podniósł wzrok i pokręcił przecząco głową.

- Nie będzie potrzebna - powiedział. - Niech pan spojrzy.

Wielka pletwa stanęła. Kołysała się tuż przed ojcem z córeczką. Potem zaczęła się oddalać od zniszczonych kajaków i wioślarzy.

Inne orki poszły w jej ślady. Zawróciły na otwarte wody. Wielki samiec wyskoczył zabawnie wysoko w powietrze. W ciągu kilku minut wszystkie orki zniknęły z zasięgu wzroku.

Mały chłopiec odłączył się od ojca. Musiał mieć źle założoną kamizelkę ratunkową, bo zaczynał tonąć. Austin wspiał się na nadburcie i skoczył do wody. Zanurkował płytko jak zawodnik i popłynął do malucha. Zdążył w ostatniej chwili.

Unosił się na powierzchni i trzymał chłopca w górze. Nie musiał długo czekać. Z „White Lightning” opuszczono tratwy ratunkowe i zaczęto wylawiać kajakarzy. Austin wręczył malucha ratownikom i się odwrócił. Motorówka i jej łysy właściciel zniknęli.

\* \* \*

Kurt Austin senior był lustrzanym odbiciem swojego syna w starszym wieku. Miał trochę obwisłe ramiona, ale wciąż wyglądał tak, jakby mógł rozwalić barkiem ścianę. Gęste, platynowo-srebrzyste włosy strzygł krócej niż syn, który unikał wizyt u fryzjera.

Choć kilka lat temu przekroczył siedemdziesiątkę, dzięki ćwiczeniom i diecie utrzymywał się w dobrej formie. Jego dzień pracy wykończyłby niejednego dwukrotnie młodszego mężczyznę. Był ogorzały od słońca i wiatru, na opalonej twarzy miał sieć drobnych zmarszczek. Niebiesko-zielone oczy starszego Austina potrafiły rzucać groźne błyski, ale podobnie jak syn zwykle patrzył na świat z łagodnym rozbawieniem.

Teraz siedzieli obaj w wygodnych fotelach w luksusowej kabinie „White Lightning” i popijali whisky Jack Daniel’s. Kurt pożyczył od ojca dres. Wody zatoki Puget przypominały wannę wypełnioną kostkami lodu i alkohol przyjemnie rozgrzewał Kurta.

W wystroju kabiny dominowały skóra i mosiądz. Wnętrze zdobiły zdjęcia z meczów polo i wyścigów konnych. Kurt czuł się jak w ekskluzywnym angielskim klubie, gdzie człowiek może umrzeć w swoim wielkim fotelu i nikt tego nie zauważy przez wiele dni. Jego ojciec bynajmniej nie był typem angielskiego dżentelmena i Kurt podejrzewał, że stworzył tę atmosferę, by złagodzić swój wizerunek twardego walczącego zażarcie o czołowe miejsce w branży pełnej konkurentów.

Starszy pan ponownie napełnił szklanki i poczęstował syna kubańskim cygarem Cohiba Lanceros. Kurt grzecznie odmówił. Austin senior zapalił i otoczył się chmurą

dymu.

- Co się dziś stało w czasie wyścigu?

Kurt wciąż miał zamęt w głowie. Zdecydował się jednak wziąć cygaro, i kiedy je zapalał, porządkował myśli. Łyknął whisky i opowiedział, co się wydarzyło.

- To jakiś obłęd! - podsumował jego relację ojciec. - Te walenie nigdy nie zrobiły nikomu krzywdy. Wiesz o tym. Żeglujesz po zatoce od dziecka. Słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim?

- Nie - zaprzeczył Kurt. - Orki najwyraźniej lubią być wśród ludzi, co zawsze mnie zadziwia.

Austin senior zarechotał.

- To żadna zagadka. Są bystre. Wiedzą że jesteśmy takimi samymi krwiożerczymi bestiami jak one.

- Z tą różnicą że one zabijają głównie dla pożywienia.

- Słuszna uwaga - przyznał starszy Austin. Chciał nalać następną kolejkę, ale Kurt odmówił. Wiedział, że lepiej nie próbować dotrzymać ojcu kroku.

- Znasz w Seattle wszystkich. Spotkałeś kiedykolwiek łysego faceta z wytatuowanym pajakiem na głowie? Po trzydziestce. Ubrany w czarną skórę jak Hell's Angel.

- Do tego opisu pasuje tylko Spiderman Barrett.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się komiksami, tato. Ojciec się roześmiał.

- Barrett to geniusz komputerowy. Zrobił na tym majątek. Taki Bill Gates w mniejszej skali. Wart tylko jakieś trzy miliardy dolarów. Ma wielki dom z widokiem na zatokę.

- Współczuję mu. Znasz go osobiście?

- Tylko z widzenia. Był kiedyś stałym bywalcem tutejszych nocnych klubów.

Potem wypadł z obiegu.

- A skąd ten tatuaż?

- Podobno w dzieciństwie był wielkim fanem Spidermana. Ogolił głowę, zrobił sobie tatuaż i z powrotem zapuścił włosy. Kiedy w starszym wieku zacząłłysieć, nie mógł zasłonić pajaka na czaszce, więc znów ogolił głowę. Ma tyle forsy, że mógłby wytatuować całe ciało postaciami z komiksów i nikt nie mrugnąłby okiem.

- Może jest ekscentrykiem, ale uratował mi życie. Chciałbym mu podziękować i przeprosić go za to, że zarekwirowałem jego łódź.

Kurt zamierzał powiedzieć ojcu o dziwnej metalowej konstrukcji na motorówce Barretta, gdy zjawił się załogant i oznajmił, że mają gościa.

Chwilę później do kabiny weszła drobna, ciemnowłosa kobieta w zielonym mundurze Amerykańskiej Agencji Ochrony Ryb i Dzikich Zwierząt. Miała około dwudziestu pięciu lat, ale postarzały ją okulary w czarnej oprawce i poważna mina. Przedstawiła się jako Sheila Rowland i powiedziała, że chciałaby zapytać Kurta o jego spotkanie z waleniami.

Przepraszam za najście - ciągnęła - ale do czasu wyjaśnienia tej sprawy wstrzymaliśmy następne imprezy kajakowe na zatoce Puget. Pokazywanie orek turystom to ważna część miejscowej gospodarki, więc chcemy szybko przeprowadzić dochodzenie. Organizatorzy wycieczek i handlowcy już zaczynają protestować przeciwko zakazowi, ale nie możemy ryzykować.

Kurt poprosił ją, żeby usiadła, i po raz drugi opowiedział o swojej przygodzie. Kobieta pokręciła głową. - To bardzo dziwne. Jeszcze nie słyszałam, żeby orki zrobiły komuś krzywdę.

- A ataki w parkach morskich? - zapytał Kurt.

- Tam są walenie trzymane w niewoli, zmuszane do popisów. Są przemęczone i rozdrażnione, więc czasem zwracają się przeciwko trenerom, Zdarzyło się kilka takich wypadków, że orka żyjąca na wolności chwyciła zębami deskę surfingową, myląc ją z foką. Ale kiedy zorientowała się w pomyłce, wypłuła surfera.

- Może waleniowi, którego spotkałem, nie spodobała się moja twarz? - zażartował Kurt.

Rowland uśmiechnęła się i pomyślała, że jej opalony, niebieskooki rozmówca to jeden z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich dotąd poznała.

- Nie sądzę. Gdyby tak było, już by pan nie miał twarzy. Widziałam orkę, która rzucała dwustukilogramowym lwem morskim jak szmacianą lalką. Sprawdź, czy jest jakieś nagranie wideo dzisiejszego wypadku.

- Wyścig filmowano z tylu kamer, że powinno coś być - odrzekł Kurt. - Jak pani sądzi, co mogło wywołać agresję waleni?

Pokręciła głową.

- Orki mają wyjątkowo czułe zmysły. Jeśli coś wokół nich jest nie tak, mogą zaatakować najbliższy obiekt.

- Jak przepracowane walenie w parkach morskich?

- Być może. Porozmawiam z kilkoma cetologami, żeby poznać ich opinię.

Rowland wstała i podziękowała obu mężczyznom za to, że poświęcili jej czas. Po jej wyjściu Austin senior chciał nalać następną kolejkę, ale Kurt zasłonił dłonią szklanekę.

- Wiem, o co ci chodzi, stary lisie. Zaraz spróbujesz mnie zwerbować na jeden ze swoich statków ratowniczych.

Austin senior nie ukrywał, że chciałby, żeby syn odszedł z NUMA i wrócił do rodzinnej firmy. Decyzja Kurta o pozostaniu w NUMA była drażliwym tematem, ale na przestrzeni lat stała się powodem rodzinnych żartów.

- Robisz się miękki - powiedział ojciec z udawanym niesmakiem. - Musisz przyznać, że praca w NUMA nie jest najbardziej ekscytującym zajęciem.

- Już ci mówiłem, tato, że nie w tym rzecz.

- Tak, wiem. Służysz krajowi. Najgorsze jest to, że odkąd Sandecker został wiceprezydentem, nie mogę go już winić za to, że trzyma cię w Waszyngtonie. Jakie masz plany?

- Zostanę tu jeszcze kilka dni. Muszę zamówić nowy kajak. A ty?

- Dostałem dużą robotę. Trzeba podnieść z dna kuter rybacki, który zatonął w pobliżu Hanes na Alasce. Przyłączysz się? Mógłbyś mi się przydać.

- Dzięki, ale jestem pewien, że poradzisz sobie beze mnie.

- Nigdy nie zaszkodzi spróbować. Dobra, w takim razie stawiam kolację.

\* \* \*

Austin kroił wielki stek w ulubionej restauracji ojca, kiedy poczuł wibracje swojej komórki. Przeprosił i przeszedł do holu. Na wyświetlaczu telefonu zobaczył twarz mężczyzny o ciemnej cerze i gęstych czarnych włosach zaczesanych do tyłu. Joe Zavala należał do zespołu specjalnego NUMA. Został zwerbowany przez Sandeckera zaraz po ukończeniu Wyższej Szkoły Morskiej w Nowym Jorku. Był zdolnym inżynierem i pomysłowym konstruktorem pojazdów podwodnych dla NUMA.

- Cieszę się, że nadal jesteś w jednym kawałku - przywitał Kurta Zavala. - We wszystkich wiadomościach mówią o ataku orki na twoich kajakarzy. Nic ci się nie stało?

- Nie. Można powiedzieć, że miałem tu niezłą przygodę. Zawała się roześmiał.
- A ja prowadzę takie nudne życie. Tylko ty potrafisz dobroczynny wyścig kajakowy zamienić w walkę na śmierć i życie z orkami zabójcami.
- Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, realizowałeś swój plan, żeby mieć randkę z każdą wolną, atrakcyjną kobietą w Waszyngtonie. Nie nazwałbym tego nudnym życiem.

Towarzyski Zawała miał powodzenie u kobiet, które przyciągał jego urok, uwodzicielskie spojrzenie piwnych oczu i Latynoska uroda.

- Przyznam, że może być ciekawie, jeśli na randce z nową dziewczyną spotkam dawną miłość, ale to nic w porównaniu z twoją przygodą. Jak to było?
- Jem właśnie kolację z ojcem, więc opowiem ci po powrocie. Wracam za parę dni.
- Wygląda na to, że będziesz w Waszyngtonie wcześniej. Jutro wieczorem musimy polecieć do Norfolk. Znasz Joego Adlera?
- Nazwisko brzmi znajomo. To ten specjalista od fal morskich ze Scrippsa?
- Jeden z czołowych światowych ekspertów w tej dziedzinie. Mamy mu pomóc w poszukiwaniach „Southern Belle”.
- Pamiętam, że czytałem o „Belle”. To ten wielki kontenerowiec, który zatonął w marcu, tak?
- Zgadza się. Dzwonił do mnie Rudi. To Adler poprosił o ciebie. Najwyraźniej ma jakieś wpływy, bo Rudi się zgodził.

Rudi Gunn był wicedyrektorem NUMA.

- Dziwne. Nie znam Adlera osobiście. Może się pomylił? W NUMA jest wielu fachowców od poszukiwań. Dlaczego ja?
- Rudi powiedział, że nie ma pojęcia. Ale Adler cieszy się międzynarodowym uznaniem, więc Rudi obiecał mu pomóc znaleźć ten statek.
- Ciekawe. „Belle” poszła na dno na wprost naszego środkowo-atlantyckiego wybrzeża. Jak daleko od rejonu poszukiwań pracują Troutowie?

Paul i Gamay Troutowie, również członkowie zespołu specjalnego NUMA, prowadzili teraz badania na Atlantyku.

- Na tyle blisko, że możemy się z nimi spotkać i urządzić imprezę - odrzekł Zawała.
- Już zapakowałem tequilę.
- Zajmij się cateringiem, a ja przez ten czas zmienię rezerwację na samolot i dam ci znać, kiedy przylatuję.
- Spotkamy się na lotnisku. Będzie na nas czekał odrzutowiec do Norfolk.

Przedyskutowali kilka szczegółów i się rozłączyli. Kurt zadumał się nad prośbą Adlera. Potem wrócił do stolika i powiedział ojcu, że rano wyjeżdża. Jeśli Austin senior był niezadowolony, to nie okazał tego po sobie. Podziękował Kurtowi za przyjazd do Seattle na wyścig kajakowy. Obiecali sobie, że znów się spotkają, kiedy będą mieli więcej czasu.

Następnego dnia rano Austin odleciał z Seattle do Waszyngtonu. Gdy samolot skierował się na wschód, Kurt pomyślał o braku reakcji ojca na jego wyjazd. Zastanawiał się, czy Austin senior naprawdę chce, żeby wrócił do rodzinnej firmy. Ojciec przyznałby się w ten sposób, że zamierza odejść na emeryturę. Obaj mieli silną osobowość i sytuacja przypominałaby rejs dwóch kapitanów w łodzi wiosłowej.

W każdym razie ojciec źle rozumiał motyw Kurta, skłaniające go do pracy w NUMA. Nie chodziło tylko o to, że ta wielka agencja oceanograficzna dostarczała mu wielkich emocji. Każde zdarzenie powodujące przyływ adrenaliny oznaczało długie godziny spotkań, sporządzania raportów i dokumentacji. Kurt starał się tego unikać, pozostając w terenie. Syrenim śpiewem, który wciąż wabił go z powrotem, były



niezbadane tajemnice morza.

Takie, jak dziwne spotkanie z drapieżnymi waleniami. Zastanawiało go zachowanie orek. Intrygował go też mężczyzna z tatuażem na głowie. Austin był ciekaw, do czego służy urządzenie elektryczne na łodzi Barretta. Po kilku minutach przestał o tym myśleć, wziął notes i długopis i zaczął szkicować plany nowego kajaka.

### 3

Nowy Jork

Zanim Frank Malloy został wysoko cenionym konsultantem policji, był typowym gliniarzem. Nie znosił żadnych nieporządków. Mundur miał zawsze starannie odprasowany. Szpakowate włosy strzygł „na rekruta”, co pozostało mu z czasów służby w marines. Regularne ćwiczenia utrzymywały jego krępe, muskularne ciało w dobrej kondycji.

W przeciwieństwie do wielu policjantów, którzy uważali, że prowadzenie obserwacji jest nudne, Malloy mógł godzinami siedzieć w samochodzie i przyglądać się czujnie pieszym i pojazdom. Pomagało mu to, że miał mocny pęcherz.

Malloy zaparkował na Broadwayu. Patrzył na szybko idących przechodniów i rozglądających się turystów, gdy od tłumu odłączył się jakiś mężczyzna i skierował prosto do nie oznakowanego radiowozu nowojorskiej policji.

Był wysoki i szczupły. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Nosił jasnobrazowy, letni garnitur ze spodniami pogniecionymi na kolanach i zniszczone buty do biegania New Balance. Miał rude włosy i szpiczastą bródkę. Pod rozpiętym kołnierzykiem jego koszuli zwiślał luźno krawat. Lata pracy w policji nauczyły Malloya błyskawicznej oceny ludzi. Zaszufładował faceta jako reportera.

Mężczyzna nachylił się do okna samochodu i pokazał dowód tożsamości ze zdjęciem.

- Nazywam się Lance Barnes. Jestem dziennikarzem „Timesa”. Pan Frank Malloy?  
Pytanie zepsuło Malloyowi chwilę triumfu. Zmarszczył brwi.

- Zgadza się. Skąd pan wiedział? Reporter wzruszył ramionami.

- To proste. Siedzi pan sam w granatowym fordzie w okolicy, gdzie praktycznie nie da się zaparkować.

- Tracę klasę - odrzekł ponuro Malloy. - Albo wciąż mam wypisane na twarzy, że jestem gliniarzem.

Barnes wyszczerzył zęby.

- Żartowałem. Dowiedziałem się w MACC, że pan tu będzie. MACC było Międzyagencyjnym Centrum Dowodzenia. Odpowiadało za bezpieczeństwo międzynarodowej konferencji ekonomicznej, która odbywała się w Nowym Jorku. Do miasta przyjechali przywódcy polityczni i czołowi biznesmeni z całego świata.

- Ja też żartowałem - zachichotał Malloy. - MACC zawiadomiło mnie, że pan się tu wybiera. - Przyjrzał się twarzy reportera i doszedł do wniosku, że wygląda znajomo. - Spotkaliśmy się już?

- Chyba wlepił mi pan mandat za nieostrożne przechodzenie przez jezdnię.

Malloy się roześmiał. Nigdy nie zapominał twarzy. Wiedział, że skądś zna faceta.

- Czy mogę służyć?

- Robię reportaż o konferencji. Słyszałem, że jest pan czołowym konsultantem w dziedzinie nowoczesnych technik rozpraszania tłumu. Pomyślałem, że poproszę pana o wywiad na temat tego, jak pan planuje poradzić sobie z zapowiadаныmi protestami.

Malloy miał w Arlington w Wirginii własną firmę, która doradzała policji w całym kraju, jak rozpedzać demonstracje. Zasiadał w radach nadzorczych kilku spółek produkujących sprzęt do tłumienia zamieszek. Dzięki znajomościom w świecie polityki i biznesu był dość bogaty. Artykuł w „The New York Times” mógł mu zrobić reklamę i zwiększyć jego dochody.

- Niech pan wskakuje - powiedział i sięgnął do drzwi od strony pasażera. Barnes wsiadł do samochodu i uścisnęli sobie dłonie. Reporter uniósł na czoło okulary przeciwsłoneczne. Miał przenikliwe zielone oczy i brwi w kształcie litery V. Wyjął z kieszeni notes i miniaturowy dyktafon cyfrowy.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że bym to nagrywał. Chcę mieć pewność, że dokładnie pana zacytuję.

- W porządku - odparł Malloy. - Może pan pisać o mnie, co pan chce, tylko niech pan nie przekreśla mojego nazwiska. - Odkąd odszedł z policji i założył własną firmę konsultingową stał się specem od postępowania z reporterami.

- Był pan na konferencji prasowej?

- Oczywiście - przytaknął Barnes. - Co za arsenał! Te urządzenia akustyczne dalekiego zasięgu, zamontowane na Hummerach, robią wrażenie. To prawda, że używano ich w Iraku?

- Są uważane za bardzo skuteczną broń. Wydają przeraźliwe dźwięki, które mogą zagłuszyć najbardziej hałaśliwą demonstrację.

- Gdyby ktoś puścił mi w ucho sto pięćdziesiąt decybeli, przestałbym gadać o pokoju i sprawiedliwości.

- Wykorzystamy te głośniki tylko do porozumiewania się z tłumem.

Przetestowaliśmy je wczoraj. Są słyszalne z odległości co najmniej czterech przecznic.

- To jest coś - przyznał reporter, robiąc notatki. - Anarchiści dostaną wiadomość.

- Moim zdaniem nie będziemy potrzebowali ciężkiej artylerii. Wystarczą patrole na skuterach i zapory.

- Podobno macie też mnóstwo najnowocześniejszych gadżetów.

- To prawda - potwierdził Malloy. - Najbardziej efektywny sposób zapanowania nad psycholami to użycie oprogramowania, nie sprzętu.

- Jak to?

- Przejedźmy się. - Malloy przekreślił kluczyk w stacyjce. Gdy samochód oderwał się od krawężnika, sięgnął do radia. - Tu Nomad. Jadę Broadwayem na północ.

- Nomad? - zapytał Barnes, kiedy Malloy się wyłączył.

- Dużo się ruszam. Mam oko na wszystko. Psychole nie wiedzą gdzie jestem.

Skręcił na wschód, przejechał kawałek Park Avenue, potem wrócił na Broadway.

- Kim są ci „psychole”, jak ich pan nazywa?

- Jeśli chodzi o anarchistów, nigdy nie wiadomo, z kim ani z czym ma się do czynienia. W Seattle mieliśmy stukniętych ekologów i świrniętych obrońców pokoju. Byli też wiccane, feministki i neopoganie, którzy wrzeszczeli o Światowej Organizacji Handlu i Wielkiej Bogini. Większość anarchistów jest przeciwko porządkowi ekonomicznemu na świecie. Nie używają przemocy w stosunku do ludzi, ale niektórzy z nich uważają, że majątek firm powinien należeć do nich. Ich główną bronią jest chaos. Zwykle tworzą autonomiczne kolektywy lub skolięcane

ugrupowania. Unikają wszelkiej hierarchii.

- Skoro nie są zorganizowani, to czego właściwie pan szuka?

- Trudno to wytłumaczyć - odrzekł Malloy. - Mniej więcej tego samego, co wtedy, kiedy pracowałem na ulicach. Psychole podzielił się na małe grupy, na pary lub będą w pojedynkę. Szukam po prostu wzorców zachowania.

- Czytałem o protestach w Seattle. To musiał być koszmar. Malloy gwizdnął cicho.

- Na dowód tego mam jeszcze blizny. Co za bajzel!

- Co poszło źle?

- Celem ataków psycholi była Światowa Organizacja Handlu. Nazywają ją „elitą władzy”. Nadzorowałem tamten rejon, odpowiadałem za kontrolę nad tłumem.

Daliśmy się zaskoczyć. Doszło do tego, że mieliśmy sto tysięcy demonstrantów wkurzonych na światowy system ucisku ekonomicznego, jak to określali. Było płądrowanie sklepów i godzina policyjna. Gliniarze i żołnierze Gwardii Narodowej strzelali gumowymi kulami i granatami z gazem łzawiącym do używających przemocy i protestujących pokojowo. Miasto źle wypadło w oczach świata. Była masa pozwów sądowych. Niektórzy mówili, że policja przesadziła. Inni, że zrobiła za mało. I bądź tu mądry.

- Jak pan powiedział, jeden wielki bajzel. Malloy skinął głową.

- Ale „bitwa o Seattle” była punktem zwrotnym.

- W jakim sensie?

- Demonstranci nauczyli się, że marsz ulicami nie wystarczy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jedyne sposoby to bezpośrednio działanie. Trzeba niszczyć, stwarzać ludziom problemy, burzyć spokój tych, których ma się na celowniku.

- To, co dziś widziałem w mieście, wskazuje, że elita władzy zmadrzała od czasu Seattle.

- Jak najbardziej - zgodził się Malloy. - Kiedy byłem w Filadelfii w czasie konwencji Partii Republikańskiej, anarchiści znów nas ośmieszyli. Rozpętali piekło, a potem uciekali ulicami przed zatuczonymi gliniarzami, którzy nie mogli ich dogonić. Kompletny chaos. Narozrabiali też podczas konferencji Światowej Organizacji Handlu w Miami. Wreszcie zaczęliśmy panować nad sytuacją w czasie Światowego Forum Ekonomicznego tutaj, w 2002 roku. Przed Konwencją Republikanów w 2004 roku opracowaliśmy nową strategię. Sprawdziła się całkiem dobrze.

- Ograniczyliście zakłócenia porządku do minimum, ale były skargi, że pogwałcono prawa obywatelskie.

- To część strategii protestu. Anarchiści są cwani. Zadymy organizuje głównie mała grupa podżegaczy, którzy przemieszczają się z miasta do miasta. Prowokują władze w nadziei, że zareagujemy zbyt brutalnie.

Malloy zjechał na bok i zaparkował w pobliżu grupy z instrumentami muzycznymi.

- Nomad do MACC! - warknął przez radio. - Muzycy z partyzantki miejskiej szykują się do nielegalnego marszu z Union Square do Madison Square Garden.

Barnes przyjrzał się chodnikom po obu stronach ulicy.

- Nie widzę, żeby ktoś maszerował.

- Teraz idą dwójkami. To jest całkowicie legalne. Zaczną się gromadzić za minutę... Nie, już to robią.

Muzycy połączyli się w większe grupy i wyszli na jezdnię, żeby sformować pochód. Ale zanim powstał tłum, z obu stron pojawili się policjanci na rowerach i skuterach i zaczęli dokonywać aresztowań.

Barnes gorączkowo notował.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział. - Wszystko działa jak w zegarku.
- Tak jak powinno. Ten drobny manewr to wynik lat doświadczeń. Mamy teraz konferencję ekonomiczną na mniejszą skalę, ale są setki gości i protestujących, więc mogą być duże kłopoty. Psychole zawsze starają się być krok przed nami.
- Jak pan odróżnia prawdziwych fanatyków od ludzi, którzy po prostu chcą zaprotestować?
- To trudne. Dlatego aresztujemy wszystkich rozrabiaków, a potem robimy selekcję.
- Malloy wyjął dzwoniącą komórkę z uchwytu na tablicy przyrządów i wręczył Barnesowi.
- Niech pan sprawdzi, o co chodzi.
- Reporter przeczytał tekst na wyświetlaczu.
- Ktoś pisze, że oddział palantów na skuterach otoczył muzyków z partyzantki miejskiej. Ostrzega ludzi, żeby unikali tej okolicy. Wzywa telewizję, pomoc medyczną i prawników. Pisze, żeby przeszkodzić gliniarzom w aresztowaniach demonstrantów zgromadzonych w rejonie teatrów. Od kogo to?
- Od psycholi. Nie tylko gliniarze nauczyli się czegoś w Seattle. Anarchiści mają własne centrum medialne w rodzaju MACC. Mówią aktywistom, którzy idą, żeby ominąć gliniarzy. Kiedy likwidujemy jedną operację, zaczynają inną. - Malloy się roześmiał. - Co roku wydajemy miliony na środki bezpieczeństwa, a oni korzystają z techniki, która jest praktycznie za darmo.
- Nie wiedzą że pan może przeczytać tę wiadomość?
- Jasne, że wiedzą. Ale demonstranci są bardziej spontaniczni, więc zawsze bawimy się ze sobą w kotka i myszkę. Ta gra nazywa się „wywiad”. Są szybcy, ale wszystko sprowadza się do liczb. Mamy trzydzieści siedem tysięcy gliniarzy, sterowiec, helikoptery, kamery wideo i dwustu ludzi w hełmach z kamerami, które przekazują obraz do centrum dowodzenia.
- A tamci nie mogą monitorować waszej łączności?
- Wiemy, że to robią. Kluczem jest szybka reakcja. Zna pan powiedzenie, że duży dobry zawodnik zawsze może pokonać w walce małego dobrego zawodnika. Na równym terenie wygrywamy.
- Barnes oddał telefon Malloyowi.
- To do pana.
- Tekst na wyświetlaczu się zmienił.

CZEŚĆ, NOMAD. A MOŻE POWINNIŚMY ZWRACAĆ SIĘ DO PANA FRANK, PANIE MALLOY?

- Co to jest? - zapytał Malloy. Patrzył na komórkę w swojej dłoni, jakby zamieniła się w węża. Spojrzał na Barnesę. - Jak oni to robią, do cholery?
- Reporter wzruszył ramionami i coś zanotował. Malloy usuwał wiadomość, gdy pojawiła się nowa.

CZAS NA ZABAWĘ.

Wyświetlacz zgasł. Malloy chwycił radio, ale nie mógł skontaktować się z MACC. Komórka znów zadzwoniła. Malloy słuchał przez chwilę.

- Zaraz się tym zajmę - odpowiedział i odwrócił się do Barnesę. Był błady. - W MACC padła klimatyzacja. Nie działa łączność. Nikt nie wie, gdzie są nasze oddziały. Na wszystkich skrzyżowaniach w mieście palą się czerwone światła.

Dojeżdżali do Times Square. Z bocznych ulic wlewały się na plac setki demonstrantów, najwyraźniej nie powstrzymywanych przez policję. Plac był zatłoczony jak w sylwestra.

Radiowóz Malloya sunął wolno przez tłum. Kiedy zbliżyli się do starego New York Times Building, wielki ekran wideo przestał pokazywać postać z kreskówek Disneya i pociemniał.

- Niech pan spojrzysz - powiedział Barnes.

Na ekranie wyświetlającym wiadomości ABC przesuwają się duże białe litery.

POZDRAWIAMY WAS, NEOANARCHIŚCI, TOWARZYSZE PODRÓŻY I TURYSŃCI. WYŁĄCZYLIŚMY Z AKCJI ARMIE UCISKU ELITY WŁADZY. OTO MAŁY PRZEDSMĄK PRZYSZŁOŚCI. DZIŚ TO JEST NOWY JORK. POTEM WYŁĄCZYMY ŚWIAT. ZWOŁAJCIE KONFERENCJĘ NA SZCZYCIE, ŻEBY ROZMONTOWAĆ STRUKTURĘ GLOBALIZACJI, ALBO MY JE DLA WAS ROZMONTUJEMY .

MILEGO DNIA!

Ukazała się uśmiechnięta twarz z rogami, a potem jedno słowo:

LUCYFER.

Malloy patrzył przez przednią szybę.

- Kto to jest „Lucyfer”, do cholery?

- Nie wiem - odparł Barnes i sięgnął do klamki drzwi. - Dzięki za przejazd.

Muszę napisać reportaż.

Słowo LUCYFER zniknęło i na wszystkich ekranach wokół placu wyświetliły się dwa inne: FRANK MALLOY. Widniały na Panasonicu, LG, Nasdaq.

Malloy zaklął i wysiadł z samochodu. Przyjrzał się uważnie tłumowi. Barnes rozplątał się wśród tysięcy protestujących. Malloy wymamrotał imię „Lucyfer” i przeszedł go dreszcz. Przypomniawszy sobie, skąd zna twarz reportera. Szpiczasta bródka, rude włosy, zielone oczy, brwi i usta w kształcie litery V skojarzyły mu się podświadomie z wizerunkami szatana, które widział.

Zastanawiał się, czy nie zwariował. Nie miał pojęcia, że te same jaszczurcze oczy patrzą teraz na niego. Barnes stał w wejściu do biurowca i obserwował go. Trzymał przy uchu komórkę i się śmiał.

- Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że pański plan wypalił w stu procentach. W mieście jest totalny bajzel - powiedział Malloy.

- Super - odrzekł głos na drugim końcu linii. - Niech pan posłucha. Musimy pogadać. To ważne.

- Nie teraz. Niech pan mnie odwiedzi w mojej latarni morskiej, żebym mógł panu osobiście podziękować.

Barnes wetknął telefon do kieszeni i spojrzał na Times Square. Młody człowiek rzucił cegłą w szybę wystawową sklepu Disneya. Inni poszli w jego ślady i po kilku minutach chodniki pokryte były potłuczonym szkłem. Ktoś podpalił samochód i pod niebo unosiły się kłęby czarnego dymu. Powietrze wypełniał swąd płonącego plastiku i syntetycznej tkaniny. Ulicą maszerowała orkiestra partyzantki miejskiej i grała melodię z filmu Most na rzece Kwai. Muzykę niemal całkowicie zagłuszały klaksony samochodów. Barnes przyglądał się temu z uśmiechem szczęścia na demonicznej twarzy.

- Chaos - wymamrotał jak mnich mantrę. - Słodki chaos.

Na pokładzie paliły się jasne światła; gdy samochód NUMA, który przywiózł Austina i Zawalę, zatrzymał się na nabrzeżu. Austin wspiął się lekkim krokiem po trapie. Był szczęśliwy, że wraca na morze, i podekscytowany perspektywą rejsu na jednym z najnowszych statków badawczych NUMA, „Peter Throckmorton”. Miał dług wdzięczności u tajemniczego doktora Adlera za zaproszenie go do udziału w ekspedycji poszukiwawczej.

Osiemdziesięcioczworometrowy statek ochrzczono nazwiskiem jednego z pionierów archeologii morskiej. Throckmorton dowiedział, że metody badań archeologicznych można stosować pod wodą, i zapoczątkował całą erę odkryć. Statek zaprojektowano z myślą o wszechstronnym wykorzystaniu. Jego dalekosiężne sensory mogły zbadać podwodne miasto równie łatwo, jak pole otworów hydrotermalnych na dnie oceanu.

Jak większość statków badawczych, „Throckmorton” spełniał rolę pływającej platformy, z której naukowcy mogli opuszczać do morza różne pojazdy podwodne i sondy. Służyły do tego bomby przeładunkowe i żurawie, widoczne na rufie i pokładzie dziobowym, oraz wyciągarki ulokowane przy obu burtach.

Na szczycie trapu czekał na nich jeden z oficerów statku.

- Kapitan Cabral wita na pokładzie „Throckmorta” i życzy przyjemnego rejsu.

Austin znał kapitana Tony’ego Cabrala z poprzednich ekspedycji NUMA i cieszył się, że znów go zobaczy.

- Proszę podziękować kapitanowi i przekazać mu, że z przyjemnością płyniemy pod jego dowództwem.

Po krótkich formalnościach członek załogi zaprowadził Austina i Zawalę do wygodnych kajut. Zostawili bagaże i poszli poszukać Adlera. Marynarz skierował ich do centrum obserwacyjnego.

Przestronne pomieszczenie na głównym pokładzie tonęło w półmroku. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy monitorów, połączonych z „oczami i uszami” zdalnie sterowanych urządzeń sensorowych. Opuszczona do wody sonda przekazywała zbierane informacje do centrum, gdzie je analizowano. Statek stał jeszcze w porcie, więc w pomieszczeniu był tylko jeden człowiek. Siedział przy stole i stukał palcami w klawiaturę komputera.

- Doktor Adler? - zapytał Kurt. Mężczyzna podniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Tak. A panowie są z NUMA, jak się domyślam?

Austin i Zawała przedstawili się i wymienili z Adlerem uściski dłoni.

Naukowiec miał posturę drwala, zmierzwione, srebrzyste włosy, przypominające mech na starym dębie, i zakrzywione wąsy, które wyglądały jak sztuczne. Mówił dudniącym, zrzedliwym głosem, jakby dopiero się obudził, ale po jego szarych, czujnych oczach za okularami w drucianej oprawce widać było, że ma poczucie humoru. Podziękował im za przyjazd i przysunął dwa krzesła.

- Nie macie, panowie, pojęcia, jak się cieszę, że was widzę. Nie byłem pewien, czy Rudi Gunn spełni moją prośbę i przydzieli pana do tej ekspedycji, Kurt. Obecność Joego tutaj to niespodziewana premia za moją wytrzymałość. Kwakry, do których się zaliczamy, zawsze drażą temat, dopóki ludzie nie zwrócą na nich uwagi.

Austin pomyślał, że ktoś taki jak Adler chyba nie musi się obawiać, że pozostanie niezauważony.

- Nie ma sprawy - odrzekł. - Zawsze chętnie wychodzę w morze. Byłem tylko

zaskoczony, że wybrał pan właśnie mnie. Nie znaleźliśmy się wcześniej.

- Wiele o panu słyszałem. A wiem, że NUMA nie lubi się chwalić osiągnięciami waszego zespołu specjalnego.

Powołanie zespołu było pomysłem admirała Sandeckera, który kierował NUMA, zanim na stanowisku dyrektora zastąpił go Dirk Pitt. Sandecker chciał mieć grupę ekspertów do wykonywania pewnych zadań pod wodą bez nadzoru rządu. Ale jednocześnie wykorzystywał najbardziej spektakularne sukcesy zespołu do uzyskiwania większych funduszy od Kongresu.

- Zgadza się. Wolimy umniejszać naszą rolę. Adler wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Trudno umniejszyć takie zasługi, jak odkrycie ciała Kolumba w podwodnej piramidzie Majów czy uratowanie Wschodniego Wybrzeża przed tsunami.

- Czysty przypadek - odparł Austin. - Usuwaliśmy tylko pewną awarię.

Zawała przewrócił oczami.

- Kurtowi chodzi o to, że przy usuwaniu awarii czasami pojawiają się problemy.

- Przyznaję, że zespół specjalny przeprowadza różne nietypowe operacje, ale w NUMA jest wielu techników, którzy znają się na poszukiwaniach i badaniach lepiej niż ja. Dlaczego poprosił pan o mnie?

Adler spoważniał.

- Na oceanie dzieje się coś dziwnego.

- To żadna nowość - powiedział Austin. - Morze jest bardziej tajemnicze niż kosmos. Więcej wiemy o gwiazdach niż o naszej planecie.

- Zgadza się z panem - odrzekł Adler. - Ale przychodzą mi do głowy różne fantastyczne teorie.

- Joe i ja dawno przekonaliśmy się, że między fantazją i rzeczywistością często jest bardzo cienka granica. Chętnie posłuchamy.

- Wolałbym zaczekać, aż znajdziemy „Southern Belle”.

- Nie ma pośpiechu. Niech pan nam opowie o zaginięciu tego statku. O ile sobie przypominam, był na wysokości środkowej części naszego wybrzeża atlantyckiego. Nadał sygnał SOS i meldunek, że ma kłopoty, a potem zniknął bez śladu.

- Tak. W ciągu kilku godzin rozpoczęto intensywne poszukiwania. Nic nie znaleziono, jakby „Belle” pochłonęło morze. Rodziny marynarzy bardzo to przeżywają. Nie wiedzą co się stało z ich bliskimi. Armator chciałby to wyjaśnić, żeby wszystko było zgodne z prawem.

- Statki znikają bez śladu od setek lat - powiedział Austin. - Wciąż się to zdarza, mimo rozwiniętej telekomunikacji o światowym zasięgu.

- Ale „Belle” była praktycznie niezatopialna. Austin uśmiechnął się szeroko.

- Skąd my to znamy? Adler uniósł palec.

- Wiem, o co panu chodzi. To samo mówiono o „Titanicu”. Ale od czasu jego zatonięcia zrobiono wielki krok naprzód w dziedzinie budowy statków. „Belle” była kontenerowcem całkowicie nowego typu. Skonstruowano ją tak, by mogła przetrwać najsilniejszy sztorm. Powiedział pan, że nie pierwszy raz współczesny statek przepadł bez śladu. Oczywiście. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku, podczas sztormu na Atlantyku, zniknął statek handlowy „München”. Podobnie jak „Belle” nadał przez radio sygnał SOS i meldunek, że ma kłopoty. Nikt nie rozumiał, co się mogło stać z taką nowoczesną jednostką. Zaginęło dwudziestu siedmiu członków załogi.

- Nic nie znaleziono? - zapytał Austin.

- Poszukiwania rozpoczęto natychmiast po odebraniu sygnału SOS. Ocean przeczesywało ponad sto statków. Natrafiono na nieliczne szczątki i pustą szalupę. To był cenny trop. Przed katastrofą łódź ratunkowa wisiała na sterburcie, osiemnaście

metrów nad linią wodną. Przymocowane do niej stalowe kołki, na których się trzymała, zostały wygięte w kierunku rufy.

W Zawali odezwał się inżynier. Natychmiast zrozumiał, co oznaczało to uszkodzenie.

- A więc szalupę wyrwała z uchwytów potężna siła, która zadziałała na wysokości co najmniej osiemnastu metrów.

- Sąd morski stwierdził, że przyczyną zatonięcia statku była „wyjątkowa anomalia pogodowa”.

Austin zachichotał.

- Sąd morski najwyraźniej zrobił unik.

- Marynarze, którzy wysłuchali orzeczenia sądu, zgodziliby się z panem. Byli oburzeni. Wiedzieli dobrze, co zatopiło „München”. Załogi statków od dawna opowiadały o dwudziestopięcio- czy dwudziestoośmiometrowych falach, ale naukowcy im nie wierzyli.

- Słyszałem opowieści o monstualnych falach, ale nigdy takich nie spotkałem.

- Niech pan będzie wdzięczny losowi, bo gdyby wyrosła na pańskiej drodze, nie rozmawialibyśmy teraz tutaj.

- Właściwie nie dziwię się, że sąd był tak ostrożny - powiedział Austin.

- Marynarze są znani z tego, że koloryzują

- Mogę to potwierdzić - przytaknął Zawała ze smutnym uśmiechem.

- Od lat słyszę o rusalkach, a nigdzie ich nie ma.

- Sąd morski bez wątpienia chciał uniknąć sensacyjnych wiadomości prasowych o zabójczych falach - odrzekł Adler. - Zgodnie z ówczesną wiedzą naukową istnienie fal opisywanych przez marynarzy było teoretycznie niemożliwe. My, naukowcy, korzystaliśmy wtedy ze zbioru równań matematycznych nazywanego modelem linearnym. Wskazywał, że fale o wysokości dwudziestu ośmiu metrów zdarzają się raz na dziesięć tysięcy lat.

- Więc wygląda na to, że po stracie „München” nie mamy się czego obawiać przez następne sto wieków - uśmiechnął się krzywo Austin.

- Tak uważano do czasu przygody platformy wiertniczej Draupner.

- U wybrzeży Norwegii?

- Słyszał pan o tym?

- Przez sześć lat pracowałem na platformach wiertniczych na Morzu Północnym - odparł Austin.

- Platforma Draupner znajduje się około stu mil morskich od lądu - wyjaśnił Adler Zawali. - Morze Północne jest znane ze złej pogody, ale naprawdę potężny sztorm zdarzył się w Nowy Rok 1985. Platformę atakowały fale o wysokości od dziewięciu do dwunastu metrów. Potem uderzyła fala dwudziestoośmiometrowa. Taką wysokość zmierzyły sensory na platformie. Do tej pory zapiera mi dech, kiedy o tym myślę.

- I model linearny można było wyrzucić do śmieci - domyślił się Zawała.

- Tak. Wielka fala miała ponad dziewięć metrów więcej niż ta, która, według modelu, pojawia się co dziesięć tysięcy lat. Niemiecki naukowiec Julian Wolfram zainstalował radar na tamtej platformie. Przez cztery lata mierzył każdą falę, która w nią uderzała. Zarejestrował dwadzieścia cztery fale przekraczające maksymalne wartości w modelu linearnym.

- Więc opowieści marynarzy wcale nie są takie przesadzone - zauważył Austin. - Może Joe spotka w końcu swoją rusalkę.

- Nie wiem, czy posunąłbym się tak daleko, ale badania Wolframa dowiodły, że legendy miały swoje źródło w faktach. Kiedy zrobił wykres, zauważył, że te nowe fale są bardziej strome i większe od zwykłych fal. Odkrycie Wolframa uderzyło w



przemysł stoczniowy. Korzystając z modelu linearnego, przez lata budowano statki, które mogły wytrzymać najwyżej dwunastometrowe fale. Prognozy pogody opracowywano na podstawie tego samego błędnego założenia.

- Z tego, co pan mówi, wynika, że każdy statek na morzu był bezbronny i mógł pójść na dno po spotkaniu z zabójczą falą - powiedział Zavała.

Adler skinął głową.

- Modernizacja statków kosztowałaby miliardy. Groźba katastrofy ekonomicznej wymusiła dalsze badania. Skoncentrowano uwagę na wodach u wybrzeży Afryki Południowej, gdzie marynarze napotykali wielkie fale. Kiedy naukowcy opracowali mapę katastrof morskich w tamtym rejonie, ustalili, że miały miejsce wzdłuż Prądu Przylądka Igielnego. Wyglądało na to, że wysokie fale powstają głównie wtedy, gdy ciepłe prądy zderzają się z zimnymi. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku zaginęło tam dwadzieścia statków.

- Przemysł stoczniowy musiał odetchnąć z wielką ulgą - zauważył Austin. - Wystarczyło omijać tamten rejon.

- Okazało się, że to nie takie proste. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku „Queen Elizabeth II” napotkała dwudziestoosmiometrową falę na północnym Atlantyku. W 2001 roku fale o takiej wysokości uderzyły w dwa statki turystyczne, „Bremen” i „Caledonian Star”, daleko od tamtego prądu. Oba statki ocalały.

- To by sugerowało, że te fale powstają nie tylko wzdłuż Prądu Przylądka Igielnego - powiedział Austin.

- Zgadza się. Wokół tamtych statków nie było przeciwnych prądów. Podzieliliśmy się tą informacją ze statystykami i doszliśmy do niepokojących wniosków. W ciągu dwudziestu lat na świecie zatono ponad dwieście supertankowców i kontenerowców o długości przekraczającej sto osiemdziesiąt metrów. Wydaje się, że główną rolę w ich zatopieniu odegrały wielkie fale.

- Dość ponura statystyka.

- Przerazająca! Mamy do czynienia z poważnym zagrożeniem dla żeglugi. Trzeba zmienić konstrukcję statków i sprawdzić, czy możliwe jest przewidywanie wysokich fal.

- Ciekawe, czy badania Troutów mają coś wspólnego z tymi falami na sterydach - powiedział Zavała.

- Paul Trout i jego żona, Gamay Morgan-Trout, to nasi koledzy z NUMA - wyjaśnił Adlerowi Austin. - Są na „Benjaminie Franklinie”, statku NOAA. Badają wiry morskie w tym rejonie.

Adler w zamyśleniu poskubał podbródek.

- Intrygująca sugestia. Na pewno warto się temu przyjrzeć. W tej chwili nie wykluczałbym niczego.

- Mówił pan coś o przewidywaniu tych dziwacznych fal - przypomniał Austin.

- Krótco po przygodach „Bremen” i „Caledonian Star” Europejczycy wystrzelili w kosmos satelitę do obserwacji mórz świata. W ciągu trzech tygodni zarejestrował dziesięć fal o takiej samej wysokości jak tamte, które omal nie zatopiły tych dwóch statków.

- Czy udało się ustalić, dlaczego powstają te zabójcze fale?

- Niektórzy z nas korzystają z podstawowego równania mechaniki kwantowej, tak zwanego równania Schrödingera. Sprawa jest nieco skomplikowana, ale chodzi o to, że coś może się pojawiać i znikać bez widocznej przyczyny. Najlepsze określenie dla tego fenomenu to „fale wampiry”. Wysysają energię z innych fal i, voilà, mamy naszego wielkiego potwora. Ale wciąż nie wiemy, co wywołuje to zjawisko.

- Z tego, co pan powiedział, wynika, że każdy statek z kadłubem zbudowanym w oparciu o model linearny może spotkać ten sam los, co „Southern Belle”.
- Ona była lepsza od innych statków. Dużo lepsza.
- Nie rozumiem.
- Konstruktorzy „Southern Belle” korzystali z nowszych danych o gigantycznych falach. „Belle” miała zakrytą dziobówkę, podwójny kadłub i wzmocnione grodzie, żeby zapobiec zalaniu przedziałów.
- Austin patrzył przez chwilę na naukowca.
- To by znaczyło, że ten statek mógł napotkać falę wyższą niż dwadzieścia osiem metrów.
- Adler wskazał monitor komputera. Na ekranie widniały rzędy falowych linii i liczby.
- To były dwie gigantyczne fale. Jedna o wysokości trzydziestu metrów, druga trzydziestu czterech. Mamy ich zdjęcia satelitarne.
- Adler spodziewał się, że ta informacja zrobi wrażenie na jego gościach, że nie będą mogli uwierzyć własnym uszom. Ale oni po prostu słuchali tego z zainteresowaniem. Adler upewnił się, że dobrze zrobił, prosząc Rudiego Gunna o przysługę, kiedy Austin zwrócił się spokojnie do swojego przyjaciela:
- Szkoda, że nie wzięliśmy desek surfingowych.

## 5

### Montana

Stary człowiek zeskoczył z krzeselka wyciągu i krokiem łyżwowym podjechał na nartach do szczytu trasy zjazdowej Black Diamond. Przystanął na krawędzi zbocza i popatrzył kobaltowymi oczami na panoramę gór i nieba. Z wysokości dwóch tysięcy stu metrów widział dolinę Flathead Valley i jezioro Whitefish Lake. Na wschodzie iskrzyły się w słońcu zaśniewone szczyty w Parku Narodowym Glacier. Na północy ciągnęła się kanadyjska część poszarpanych Gór Skalistych.

Nagiego szczytu nie zasnuwała nawet najlżejsza mgiełka. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Mężczyzna czuł, jak słońce przypieka mu twarz, i myślał o tym, co zawdzięcza tym górcom. Nie miał wątpliwości - gdyby nie ta okolica, dawno by zwariował. Po zakończeniu II wojny światowej Europa zaczęła powoli dochodzić do siebie, ale jego umysł przypominał ciemną dżunglę pełną groźnych pomruków. Nieważne, że z jego umiejętności zabijania korzystał ruch oporu; był morderczym robotem. Co gorsza, miał fatalny defekt - ludzkie uczucia. Z czasem rozpadłby się jak doskonale zaprojektowana maszyna z wadliwym mechanizmem.

Opuścił zniszczony wojną kontynent i wylądował w Nowym Jorku. Ruszył na zachód i zatrzymał się tysiące kilometrów od dymiącej europejskiej rzeźni. Zbudował prosty dom z drewnianych bali. Każdą kłodę piłował i ociosywał ręcznymi narzędziami. Ciężka praca i świeże powietrze oczyszczały mroczne zakamarki jego pamięci. Nocne koszmary rzadziej go nawiedzały. Mógł spać bez pistoletu pod poduszką i noża przypasanego do uda.

Z biegiem lat przeistoczył się z bezlitosnej maszyny do zabijania w starzejącego się włóczęgę na nartach. Krótkie blond włosy z czasów jego młodości posiwiały i

opadały teraz na uszy. Zmierzwiłone wąsy pasowały do krzaczastych brwi. Pociągła blada twarz ogorzała od słońca i wiatru.

Zmrużył oczy od blasku śniegu i się uśmiechnął. Nie był człowiekiem wierzącym. Nie miał przekonania do Stwórcy, który powołał do życia taką głupią istotę jak człowiek. Gdyby musiał wybrać sobie religię, zdecydowałby się na druidyzm, bo jego wyznawcy widzieli taki sam sens w oddawaniu czci drzewu dębu, jak bóstwu. Ale jednocześnie uważał każdą wyprawę na szczyt tej góry za duchowe przeżycie.

To będzie ostatni zjazd w tym sezonie. Mimo późnej wiosny śnieg utrzymywał się tu jeszcze, podobnie jak w wyższych partiach gór, ale pojawiały się już brązowe plamy mokrej ziemi. W powietrzu unosił się jej zapach.

Poprawił gogle, odepchnął się kijkami i poszusował zboczem przełęczy North Bowl, by nabrać szybkości przed pierwszym zakrętem. Zawsze zaczynał dzień na tej szybkiej trasie, wijącej się między milczącymi duchami śniegu - fantasmagorycznymi drzewami pokrytymi szronem. Wykonywał bez wysiłku płynne skręty, czego nauczył się jako dziecko w Kitzbühel w Austrii.

Na dole przełęczy pomknął dalej rynną Schmidt's Chute i wyjechał na polanę. Większość ludzi, z wyjątkiem najbardziej zapalonych narciarzy i snowboardzistów, zakończyła już sezon i przygotowywała swoje łodzie i sprzęt wędkarski. Schroeder miał teraz wrażenie, że jest panem gór.

Kiedy jednak wydostał się spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń, zza kępy jodeł wyłonili się dwaj mężczyźni na nartach.

Jechali kilkadziesiąt metrów za nim po obu stronach trasy. Zamiast go wyprzedzić, naśladowali każdy jego ruch, dopóki nie zrównali się z nim. W jego umyśle włączył się dawno uśpiony radar. Za późno. Wzięli go w kleszcze.

Zjechał na bok i stanął. Tamci zatrzymali się w hokejowym stylu wśród fontann śniegu, jeden powyżej niego, drugi poniżej. Ich muskularne ciała niemal rozsadały jednocześnie srebrzyste kombinezony. Twarze mężczyzn zasłaniały lustrzane gogle. Tylko usta były widoczne.

Patrzyli na niego bez słowa. Bawili się w milczące zastraszanie ofiary.

Wyszczerzył w uśmiechu zęby jak krokodyl.

- Dobry - powiedział wesoło z zachodnim akcentem, nad którym pracował przez lata. - Piękny dzień.

- Karl Schroeder, o ile się nie mylę - odezwał się wolno narciarz na górze. Mówił przeciągle, jakby pochodził z Południa.

Nazwisko, którego stary człowiek od dawna nie używał, zabrzmiało dziwnie obco w jego uszach, ale nie przestał się uśmiechać.

- Niestety myli się pan, przyjacielu. Nazywam się Arne Svensen. Narciarz bez pośpiechu wbił kijki w śnieg, ściągnął jedną rękawicę, sięgnął do wnętrza kombinezonu i wyjął walthera PPK.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, Arne. Twoją tożsamość potwierdziły odciski palców.

- Obawiam się, że myli mnie pan z kimś innym. Mężczyzna zachichotał.

- Nie pamiętasz? Staliśmy za tobą w barze.

Stary człowiek przypomniał sobie zdarzenie w Heli Roaring Saloon, knajpy dla narciarzy u podnóża góry. Żłopał piwo, jak tylko Austriak potrafi to robić. Gdy wrócił

z toalety, zobaczył, że jego opróżniony do połowy kufel zniknął. W barze był tłok, więc pomyślał, że jego piwo wziął przez pomyłkę inny klient.

- To wy zabraliście mój kufel? - zapytał. Mężczyzna skinął głową.  
- Obserwowaliśmy cię przez godzinę, ale warto było czekać. Zostawiłeś nam komplet odcisków palców. Od tamtej pory nie spuszczaamy cię z oka.

Z góry trasy dobiegł szum nart. Mężczyzna zerknął w tamtym kierunku.

- Żadnych głupich numerów - ostrzegł i zasłonił pistolet dłonią w rękawicy.

Chwilę później obok nich przemknął narciarz i zniknął w dole.

Schroeder wiedział, że kiedy przeobrazi się z zimnokrwistego wojownika w istotę ludzką, będzie bezbronny. Ale wierzył, że nowa tożsamość izoluje go skutecznie od dawnego życia. Broń wycelowana w jego serce dowodziła, że jest inaczej.

- Czego chcecie? - zapytał zrezygnowanym tonem złapanego uciekiniera.  
- Żebyś się zamknął i robił, co każemy. Podobno byłeś żołnierzem, więc wiesz, co to rozkaz.

- Żołnierzem? - zadrwił drugi mężczyzna. - Widzę tu tylko starucha, który robi w gacie.

Obaj się roześmieli.

To dobrze.

Wiedzieli, że służył w wojsku, ale najwyraźniej nie wiedzieli, że ukończył jedną z najbardziej znanych na świecie szkół zabijania. Dbał o to, żeby nie wyjść z wprawy w walce wręcz i strzelaniu. I choć zbliżał się do osiemdziesiątki, dzięki ciągłym ćwiczeniom fizycznym i uprawianiu sportu na świeżym powietrzu miał kondycję, jakiej mógłby mu pozazdrościć niejeden dwa razy młodszy mężczyzna.

Zachował spokój i nie stracił pewności siebie. Tamci byli na jego terenie, gdzie znał każde drzewo, każdy kamień.

- Byłem żołnierzem dawno temu - odrzekł drżącym głosem. - Teraz jestem tylko starym człowiekiem.

Opuścił głowę i zgarbił się, żeby sprawiać wrażenie przegranego.

- Wiemy o tobie o wiele więcej, niż myślisz - powiedział mężczyzna z pistoletem. - Wiemy, co jesz i gdzie sypiasz. Wiemy, jak mieszkasz i gdzie trzymasz swojego kundla.

Byli w jego domu.

- A raczej, gdzie go trzymałeś - poprawił drugi mężczyzna.

Schroeder spojrzał na niego.

- Zabiliście mojego jamnika? Dlaczego?

- Bo za dużo ujadł. Poczestowaliśmy go ołowiem, żeby się zamknął. Przyjaźnie nastawiona do ludzi suczka Schatsky szczełała, bo pewnie się cieszyła, że przyszli goście.

Schroeder poczuł w ciele chłód. Przypomnił nagle głos swojego wykładowcy, profesora Heinza. Ten psychopata z twarzą cherubina i łagodnymi, niebieskimi oczami dostał nauczycielską synekurę w klasztorze w Wewelsburgu w nagrodę za udział w projektowaniu nazistowskiej maszyny śmierci. „W sprawnych rękach prawie każdy zwykły przedmiot może być zabójczą bronią - mówił profesor. - Twardym końcem tego ciasno zwiniętego rulonu z gazety można złamać nos i wepchnąć odłamki kości do mózgu. To pióro wieczne można wbić w oko i spowodować śmierć.

Tę metalową bransoletę od zegarka można założyć na kostki dłoni i połamać kości twarzy. Ten pasek od spodni to doskonała garota, jeśli nie można szybko wyciągnąć sznurowadeł z butów...” Schroeder zacisnął mocniej ręce na kijkach.

- Zrobię, co każecie - powiedział. - Może się dogadamy.  
- Jasne - uśmiechnął się mężczyzna. - Najpierw zjedziesz wolno do podnóża góry. Za moim przyjacielem, miłośnikiem psów. On też ma broń. Ja będę tuż za tobą. Na końcu trasy zdejmiesz narty, zostawisz je na stojaku i pójdziesz na parking od strony wschodniej.

- Mogę spytać, dokąd mnie zabieracie?  
- My cię nie zabieramy. My cię dostarczamy  
- Jak FedEx albo UPS - wtrącił drugi mężczyzna.  
- To nic osobistego - zakończył jego kolega. - Chodzi o interes. Ruszamy.

Grzecznie i spokojnie.

Wskazał bronią kierunek, potem schował ją z powrotem do wnętrza kombinezonu, żeby nie przeszkadzała mu w jeździe na nartach.

Zaczęli zjeżdżać gęsiego w dół z umiarkowaną szybkością. Schroeder był w środku. Oceniał mężczyznę przed sobą jako agresywnego narciarza, który brak umiejętności nadrabia siłą mięśni. Zerknął za siebie. Mężczyzna z tyłu też nie miał dobrej techniki jazdy. Ale obaj byli młodzi, muskularni i uzbrojeni.

Wyprzedził ich snowboardzista i zniknął w dole.

Licząc na to, że jego eskorta odruchowo zerknie na pędzącego deskarza, Schroeder wykonał swój ruch. Skręcił szerokim łukiem, ale zamiast trawersować, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, twarzą do zbocza.

Mężczyzna z tyłu za późno zobaczył jego manewr. Próbował się zatrzymać. Schroeder wbił w śnieg lewy kijek, chwycił oburącz prawy i dźgnął nim narciarza w odsłoniętą szyję tuż nad golfem.

Mężczyzna był jeszcze w ruchu, gdy stalowy szpic przebił mu gardło poniżej jabłka Adama. Wydał z siebie bulgot, runął na śnieg i zaczął się wic w agonii.

Schroeder zrobił unik jak matador przed bykiem.

Narciarz z przodu obejrzał się przez ramię. Schroeder wyszarpnął z powrotem swoją prowizoryczną włócznię, odepchnął się kijkami i pomknął w dół. Po drodze uderzył mężczyznę łokciem w policzek, tak że zachwiał się on na nogach. Ugiął kolana, schylił głowę i poszusował prostym odcinkiem nartostrady do ostrego zakrętu w prawo.

Drugi narciarz musiał mieć pod kurtką pistolet maszynowy, bo górską ciszę rozdarł terkot serii.

Pociski nieszkodliwie ścięły gałęzie w górze.

Sekundę później Schroeder był poza linią ognia.

Skręcił w wąską trudną trasę dla zaawansowanych, która wiła się zboczem góry w dół. Patrol narciarski zagroził zjazd żółtą taśmą i ustawił znak, że nartostrada jest zamknięta.

Schroeder dał nura pod taśmą. Trasa opadała prawie pionowo. Cienka warstwa śniegu miała brązowy kolor. Tu i tam widniały duże plamy gołej ziemi i odsłonięte kamienie.

Usłyszał za sobą strzały i obok niego wytrysnęły fontanny błota.

Schroeder jechał slalomem między plamami ziemi i kamieniami. Narty wpadły w breję i przyhamowały ostro, ale dzięki powłoce smaru nie straciły poślizgu.

Dotarł do stromego spadku terenu, gdzie leżało jeszcze dużo śniegu. Na prawo usłyszał strzały. Ścigający go mężczyzna zjeżdżał równoległą trasą i strzelał przez rzadki las, który ich rozdzielał. Większość pocisków trafiała w drzewa. Strzelec zobaczył, że ogień jest niecelny, i skręcił w las między dwiema trasami.

Schroeder zorientował się, że napastnik wyjedzie pomiędzy drzew poniżej niego, skąd będzie mógł zasypać trasę gradem pocisków.

Zdążyłby go minąć, ale nadal byłby łatwym celem. Zaczekał i zaatakował z góry, gdy tamten wydostał się na otwartą przestrzeń.

Ścigający go mężczyzna zobaczył go i sięgnął po broń. Schroeder zamachnął się kijkiem jak Kozak szablą i zadał mu cios w twarz. Uderzenie roztrzaskało napastnikowi gogle. Mężczyzna stracił równowagę. Jechał przez chwilę na jednej nartce, potem na drugiej. Broń wypadła mu z ręki. Zatoczył się jak pijany, zamachał ramionami, skręcił z trasy w las i wpadł do dołu o głębokości około pięciu metrów.

Wylądował do góry nogami w śniegu obok pnia wielkiej jodły. Narty zaplątały mu się w gałęzie. Próbował dosięgnąć wiązań, ale nie mógł. Leżał bezradnie i ciężko dyszał. Schroeder zszedł niżej. Schylił się po uzi.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał.

Mężczyzna zdołał unieść na czoło roztrzaskane gogle.

- Dla Acme Security - odrzekł z wysiłkiem.

- Acme? - uśmiechnął się Schroeder.

- To duża firma w Wirginii.

- Wiesz, kim jestem, więc na pewno wiesz, czego ode mnie chcą. Tamten pokręcił głową.

- Co chcieliście ze mną zrobić?

- Dostarczyć cię ludziom u podnóża góry. Miał tam czekać samochód.

- Obserwowaliście mnie od dawna. Wiesz więcej, niż mówisz. Co wam powiedzieli? Nie zabiję cię - uspokoił go Schroeder i rzucił uzi w las.

Mężczyzna zrobił podejrzliwą minę, ale postanowił skorzystać z szansy.

- Chodzi im o dziewczynę, której zdjęcie znaleźliśmy w twoim domu. Uważają że wiesz, gdzie ona jest.

- Czego od niej chcą?

- Nie wiem. Schroeder skinął głową.

- Jeszcze jedno. Kto zabił Schatsky? Mężczyzna spojrział na niego jak na wariata. - Kogo?

- Moją suczkę. Hałaśliwego jamnika.

- Mój kolega.

- Ale ty go nie powstrzymałeś.

- Lubię psy. Naprawdę.

- Wierzę ci - odrzekł Schroeder, cofnął się i zaczął jodełką podchodzić pod górę.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! - krzyknął mężczyzna z paniką w głosie. Schroeder przystanął.

- Powiedziałem tylko, że cię nie zabiję. Nie obiecałem ci, że cię stamtąd wyciągnę. Bez obaw. Na pewno cię znajdą. Jak stopnieje śnieg.

Wiedział, że w nocy temperatura spadnie do zera. Organizm ludzki nie jest przystosowany do funkcjonowania w odwrotnej pozycji i człowiek ten wkrótce się udusi.

Zjechał do miejsca u podnóża góry, skąd miał widok na parking. Wyłowił wzrokiem czarnego SUV-a Yukon z przyciemnionymi szybami. Przy samochodzie stali trzej mężczyźni i patrzyli na zbczce. Był ciekaw, kim są, ale uznał, że teraz nie jest to najważniejsze. Na razie.

Zdjął narty, zostawił je na stojaku i poszedł do szatni. Wziął torbę, wepchnął buty narciarskie do szafki, włożył szybko półbuty i ruszył do swojego pikapa.

Na parkingu się rozejrzał. Nie zauważył niczego podejrzanego. Skierował się szybko do samochodu i wsiadł. Kiedy odjeżdżał, sięgnął pod fotel po pistolet i położył go w zasięgu ręki.

Zastanawiał się, co dalej robić. Powrót do domu byłby niebezpieczny. Wyjechał z miasta w kierunku Parku Narodowego Glaciar. Dwadzieścia minut później zwinął przed małym, zniszczonym budynkiem. Mieściło się tutaj jego biuro turystyczne. Zainwestował przez podstawionych ludzi w kilka firm, między innymi zajmującymi się sprzedażą nieruchomości. Latem wynajmował parę domków, znajdujących się za tym budynkiem.

Zaparkował z tyłu i wszedł do domku, który zarezerwował do własnego użytku. Usunął znad kominka głowę łosia wyjedzoną przez mole i odsłonił sejf. Otworzył go kilkoma obrotami zamka szyfrowego i wyjął kasetkę pancerną. Była w niej gotówka, fałszywe prawa jazdy, paszporty i karty kredytowe. Wepchnął wszystko do kieszeni kurtki.

Poszedł do łazienki, zgolił wąsy i ufarbował włosy na kasztanowo, żeby jego wygląd zgadzał się ze zdjęciem w dowodzie tożsamości. Potem wyciągnął z szafy zapakowaną walizkę. Wszystko zajęło mu niecałe pół godziny. Liczyła się każda minuta. Ten, kto rozszyfrował jego prawdziwą tożsamość, musiał dysponować dużymi środkami. Wytropienie ośrodka turystycznego było tylko kwestią czasu.

Ktoś mógł obserwować port lotniczy w Kalispell. Schroeder postanowił pojechać do Missouli i wypożyczyć samochód. W połowie drogi zatrzymał się przy automacie telefonicznym i zadzwonił na kartę do odległego miasta. Wstrzymał oddech i czekał. Nie wiedział, czy dziewczyna jeszcze go pamięta. Dawno się nie widzieli. Odebrał mężczyzna. Wymienili kilka słów i zawieszony Schroeder odwiesił słuchawkę.

W Montanie nie ma ograniczenia prędkości. Schroeder wyciskał z pikapa pełną moc i zastanawiał się, jakim cudem dzin znów wydostał się z butelki. Był dużo młodszy, kiedy go tam uwięził, i nie wiedział, czy w tym wieku zdoła to powtórzyć.

Pomyślał o dziewczynie. Jej zdjęcie z jego sypialni zrobiono w profesjonalnym studiu fotograficznym. Mogli to wytropić. Uważał, że pliki w jego komputerze są czyste, ale nigdy nie wiadomo. Były jeszcze bilingi telefoniczne. Na starość stał się nieostrożny. Obawiał się, że tamci ją znajdą. To tylko kwestia czasu. Ciekawe, jak ona teraz wygląda. Ostatni raz widział ją na pogrzebie jej dziadka. Zaczął sobie przypominać, jak ją poznał.

Był tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy rok. Mieszkał w swoim drewnianym domu w Montanie. Choć miał mnóstwo pieniędzy w szwajcarskich bankach, utrzymywał się z dorywczej pracy i oprowadzania turystów po Parku Narodowym Glaciar. Jeden z klientów, biznesmen z Detroit, zostawił w swoim domku magazyn

ilustrowany. Schroeder sam sprzątał po gościach i przejrzał czasopismo. Właśnie wtedy dowiedział się, jakie były dalsze losy Laszlo Kovacs po tamtej nocy, gdy zatonął „Wilhelm Gustloff”.

Artykuł opisywał firmę założoną przez doktora Janosa, węgierskiego uchodźcę z czasów II wojny światowej. Jego przedsiębiorstwo wprowadzało na rynek innowacyjne produkty, tworzone na bazie zjawisk elektromagnetycznych. Janos zarabiał miliony. Schroeder się uśmiechnął. Nie zamieszczono zdjęcia wynalazcy, ale aż nadto znać tu było geniusz Kovacs.

Między sezonem narciarskim i turystycznym panował zastój, więc Schroeder pewnego dnia spakował torbę podróżną i wsiadł do pociągu do Detroit. Laboratoria Janosa odnalazł w budynku bez szyldu. Musiał zapytać o nie kilka osób z sąsiedztwa.

Obserwował wejście z zaparkowanego samochodu. Cierpliwość, której się nauczył tropiąc kiedyś ludzi, została w końcu wynagrodzona. Do budynku podjechała limuzyna Cadillac. Ale zamiast zatrzymać się od frontu, skręciła w zaułek z tyłu. Odjechała, zanim zdążył zobaczyć, kto do niej wsiadł. Śledził ją do ekskluzywnej dzielnicy Detroit, Grosse Pointe, gdzie mieszkało wielu menedżerów z branży motoryzacyjnej. Stracił ją z oczu za bramą rezydencji otoczonej murem.

Następnego popołudnia znów czekał przed budynkiem. Zaparkował w miejscu, skąd dobrze widział zaułek. Kiedy pojawiła się limuzyna, wysiadł z samochodu i poszedł w jej kierunku. Kierowca, który trzymał otwarte drzwi Cadillaca, zerknął na Schroedera, ale prawdopodobnie wziął go za włączkę i zignorował.

Z tylnego wyjścia budynku wyłonił się mężczyzna i skierował do limuzyny. Rzucił okiem na Schroedera, zaczął wsiadać, potem spojrzął na niego jeszcze raz. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Ku zaskoczeniu kierowcy limuzyny jego bogaty pracodawca podszedł do włączki i uściskał go serdecznie.

- Tyle lat... - powiedział Kovacs. - Co pan tu robi, na Boga? Schroeder wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pomyślałem, że może będzie pan miał ochotę na przejażdżkę po śniegu.

- Nie z panem za kierownicą - odparł Kovacs z udawanym przerażeniem.

- Dobrze pan wygląda, przyjacielu.

- Pan też. Choć inaczej. W pierwszej chwili nie byłem pewien, ale to ten sam stary Karl.

- Nie powinienem był tu przyjeżdżać - powiedział Schroeder.

- Los chciał, żebyśmy się znów spotkali. Jestem panu winien gorące podziękowania.

- Wystarczy mi to, że się panu dobrze powodzi. Muszę już iść.

- Najpierw musimy porozmawiać - odrzekł Kovacs. - Chodźmy. - Kazał kierowcy zaczekać i ruszył z powrotem do budynku. - Nikogo tu nie ma.

Przeszli przez laboratoria pełne urządzeń elektrycznych, które kojarzyły się Schroederowi z pracownią Frankensteina, i usiedli w luksusowym gabinecie.

- Cieszę się, że odnosi pan sukcesy - powiedział Schroeder.

- Miałem dużo szczęścia. A co u pana?

- Nie narzekam, choć mój dom nie wygląda tak elegancko jak pański.

- Widział pan mój dom? Oczywiście, powinienem był się domyślić. Zalicza pan wszystkie bazy, jak mówią w naszej przybranej ojczyźnie.

- Ma pan rodzinę?

Kovacs spochmurniał, ale po chwili się uśmiechnął.



- Tak, ożeniłem się drugi raz. A pan?  
- Miałem wiele kobiet, ale żyję samotnie.  
- Przykro mi to słyszeć. Chciałbym panu przedstawić moją żonę i syna. Schroeder pokręcił głową. Powiedział, że lepiej nie. Kovacs odrzekł, że go rozumie. Wizyta Schroedera wywołałaby zbyt wiele pytań. Obaj wciąż mieli wrogów na świecie. Rozmawiali jeszcze przez godzinę, w końcu Schroeder zapytał o sprawę, która nie dawała mu spokoju.  
- Przypuszczam, że ukrył pan zapis częstotliwości? Kovacs postukał się w czoło.  
- Jest tutaj. Na zawsze.  
- Wie pan, że Rosjanie próbowali kontynuować pańską pracę. Znaleźli w laboratorium pewne materiały i usiłowali je wykorzystać.  
Kovacs się uśmiechnął.  
- Jestem jak ciotka, która zostawia rodzinie przepis na domowe ciasteczka, ale pomija ważny składnik. Takie eksperymenty donikąd by ich nie zaprowadziły.  
- Próbowali. W naszej przybranej ojczyźnie zaczęto prowadzić podobne badania, kiedy rząd zorientował się, o co chodzi. Potem dano temu spokój.  
- Bez obaw. Nie zapomniałem, co się stało z moją pierwszą rodziną z powodu mojej pracy.  
Schroeder odetchnął z ulgą. Powiedział, że musi iść. Podali sobie ręce i się uściskali. Schroeder zostawił Kovacsowi adres do korespondencji. Obiecali sobie następne spotkanie, ale minęły lata bez kontaktu. Pewnego dnia Schroeder sprawdził swoją skrytkę pocztową i znalazł wiadomość od Węgra.  
Kovacs napisał, że znów potrzebuje jego pomocy.  
Schroeder zadzwonił do niego i usłyszał, że stało się coś strasznego.  
Tym razem pojechał prosto do rezydencji w Grosse Pointe. Drzwi otworzył mu Kovacs. Źle wyglądał. Posiwiął, miał podkrążone oczy i ochrypły głos, jakby płakał. Usiedli w gabinecie i Kovacs powiedział, że kilka lat temu umarła jego żona. Ich syn ożenił się ze wspaniałą kobietą ale przed paroma tygodniami oboje zginęli w wypadku samochodowym.  
Kiedy Schroeder złożył mu kondolencje, Kovacs podziękował i powiedział, że Karl może mu pomóc tylko w jeden sposób. Wydał polecenie przez interkom i po kilku minutach do pokoju weszła niańka ze śliczną malutką blond dziewczynką na rękach.  
Kovacs wziął dziecko.  
- To moja wnuczka - wyjaśnił z dumą. - Ma na imię Karla, po starym przyjacielu, który niedługo, mam nadzieję, zostanie jej ojcem chrzestnym.  
Wręczył dziewczynkę Schroederowi. Karl trzymał ją niezgrabnie w ramionach, wzruszony tą propozycją.  
Karla dorastała. Schroeder czasem ją odwiedzał w Grosse Pointe. Nazywała go wujkiem Karlem. Zachwycał się jej wdziękiem i inteligencją. Kiedyś siedzieli na ganku drewnianego domu Schroedera i patrzyli, jak dziewczynka goni motyle, gdy nagle Kovacs wyjął, że jest nieuleczalnie chory.  
- Niedługo umrę. Moja wnuczka jest dobrze zabezpieczona. Chciałbym jednak, żebyś mi obiecał, że będziesz się nią opiekował, tak jak kiedyś zaopiekowałeś się mną, i czuwał, żeby nie stała się jej krzywda.  
- Oczywiście - odrzekł Schroeder. Nawet mu się nie śniło, że kiedyś będzie musiał spełnić tę obietnicę.

Ostatni raz widział Karłę na pogrzebie jej dziadka. Zaczęła studia w college'u i była zajęta nauką i życiem towarzyskim. Wyrosła na piękną, inteligentną kobietę. Schroeder kontaktował się z nią od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, i śledził z dumą jej karierę. Od ich ostatniego spotkania minęły lata. Zastanawiał się teraz, czy Karla go pozna.

Zacisnął z determinacją zęby.

Wiedział, że za wszelką cenę musi do niej dotrzeć przed tamtymi.

## 6

Intruz sunął przez ciemną wodę wśród pęcherzy powietrza. Ławice ryb rozprasały się przed nim jak liście w podmuchach wiatru. Kiedy półtorametrowa torpeda płynęła przez morze, nadajnik w jej metalowym korpusie wysyłał krótkie, silne impulsy, które odbijały się od dna. Elektroniczne „ucho” odbierało powracające echa, i dane z sonaru holowanego mknęły z kosmiczną prędkością długim, opancerzonym światłowodem. Gruby kabel biegł do statku z turkusowym kadłubem, który zostawiał za sobą na oceanie spieniony kilwatek około dwustu mil morskich od środkowej części atlantyckiego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Kabel kończył się w centrum obserwacyjnym na głównym pokładzie. Austin siedział przed monitorem i analizował obrazy z sonaru zaburtowego. Rewolucyjne urządzenie do eksploracji podwodnych, wynalezione przez nieżyjącego już doktora Harolda Edgertona, umożliwiało szybkie badanie rozległych obszarów dna oceanu.

Czarna, pionowa linia na ekranie pokazywała kurs statku. Szerokie, kolorowe pasy po obu jej stronach oznaczały pola z lewej i prawej burty, które badał sonar. Z prawej strony wyświetlały się dane nawigacyjne i czas.

Austin wpatrywał się czujnie w monitor. Na jego twarz padała bursztynowa poświata. Zajęcie było męczące. Siedział przed ekranem już dwie godziny. Odwrócił wzrok i przecierał oczy, gdy do pomieszczenia weszli Zavala i Adler. Zavala niósł termos z kawą i trzy kubki, które wziął z mesy.

- Przerwa na kawę - oznajmił. Napelnił kubki i rozdał.

Gorąca kawa parzyła Austinowi usta, ale działała na niego pobudzająco.

- Dzięki za kofeinowego kopa - powiedział. - Zaczynałem już źle widzieć.

- Mogę cię zmienić - zgłosił się na ochotnika Zavala.

- Dzięki. Przełączę na razie na autopilota i pokażę wam, co robimy.

Austin ustawił brzęczyk monitora tak, żeby zadźwięczał, kiedy sonar natrafi na obiekt dłuższy niż piętnaście metrów. Trzej mężczyźni zgromadzili się wokół stołu nawigacyjnego.

- Prowadzimy poszukiwania średniego zasięgu, żeby móc badać możliwie jak największy obszar bez zniekształcania wyników - zaczął Austin. - Ocean ma tu głębokość około stu pięćdziesięciu metrów. Wyznaczyliśmy dwunastomilowe kwadraty wzdłuż przypuszczalnego kursu zaginionego statku. - Powiódł palcem wokół jednego z czworokątów, narysowanych flamastrem na przezroczystej powierzchni. - Posuwamy się po równoległych liniach w każdym sektorze, jakbyśmy kosili trawę. Jesteśmy mniej więcej w połowie tego kwadratu. Jeśli nie znajdziemy

„Belle” w tym sektorze, spróbujemy w następnych, zachodzących na siebie kwadratach.

- Nie było jeszcze nic ciekawego? - zapytał Zavała. Austin się skrzywił.

- Żadnych rusalek, jeśli o to ci chodzi. Mnóstwo mułu, tu i tam twarde osady, głazy, uskoki i depresje, ławice ryb i śmiecie. Ani śladu naszego statku; w ogóle żadnego statku.

Adler z frustracją pokręcił głową.

- Kto by pomyślał, że mając te wszystkie elektroniczne gadżety, tak trudno będzie znaleźć kontenerowiec o długości dwóch boisk futbolowych.

- Ocean jest duży, ale jeśli jakiś statek może znaleźć „Belle”, to tylko „Throckmorton” - pocieszył go Austin.

- Kurt ma rację - potwierdził Zavała. - Sprzęt na tym statku może panu pokazać kolor oczu mrówki na głębokości tysiąca sążni.

Adler zachichotał.

- Biologia morska to nie moja dziedzina, ale nie wiedziałem, że te niezwykle stworzenia mają oczy.

- Joe przesadza, ale tylko trochę - odrzekł z uśmiechem Austin. - Możliwości aparatury dostępnej na „Throckmortonie” to mocny argument w rękach tych, którzy przekonują że można badać głębię oceanu, nie mocząc sobie nóg. Zamiast tłoczyć się w ciasnym pojeździe podwodnym, pijemy tutaj kawę, a sonar holowany wykonuje za nas całą robotę.

- A jakie jest pańskie zdanie, Kurt? Austin się zastanowił.

- Nie ma wątpliwości, że ktoś taki jak Joe potrafiłby skonstruować podwodnego robota, który robiłby wszystko, może z wyjątkiem przynoszenia właścicielowi gazety i kapci.

Zavała, zdolny inżynier i mechanik, zaprojektował dla NUMA wiele załogowych i bezzałogowych pojazdów podwodnych, kierując ich budową.

- Zabawne, że o tym wspomniałeś - powiedział Joe - bo właśnie pracuję nad czymś takim. Mój nowy robot będzie robił nawet to, a także przyrządzał cholernie dobrą margaritę.

- Tyle tylko - dodał Austin - że w tym wygodnym pomieszczeniu brakuje tego, dzięki czemu człowiek czuje, że żyje. Przygody.

Adler uśmiechnął się, zadowolony, że podjął właściwą decyzję, zwracając się o pomoc do NUMA. Austin i Zavała z pewnością znali się na badaniach mórz. Równocześnie jednak przypominali mu osiemnastowiecznych awanturników. Bardzo się różnili od małomównych i drażliwych oceanologów, z którymi miewał do czynienia. Uniósł kubek kawy.

- Za przygodę.

- Może już czas, żebyśmy mieli w zespole specjalnym eksperta od fal morskich - powiedział Austin.

Rozległ się natarczywy brzęczyk monitora sonaru. Austin odstawił kawę i podszedł do ekranu. Patrzył przez chwilę na obraz, potem uśmiechnął się szeroko i odwrócił do profesora.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, chciałby pan ocenić uszkodzenia „Southern Belle”, zanim ujawni nam pan swoje teorie?

- Zgadza się - przytaknął Adler. - Mam nadzieję, że dowiem się, dlaczego „Belle” zatonała.

Austin obrócił monitor tak, żeby profesor mógł widzieć sonarowy obraz statku na

dnie oceanu, sto pięćdziesiąt metrów pod nimi.

- Ma pan szansę.

\* \* \*

Morze nie traciło czasu, by objąć w posiadanie „Southern Belle”.

Statek oświetlały mocne reflektory ROV-a, zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego. „Belle” nie była już wspaniałym kontenerowcem, który kiedyś pruł fale oceanu niczym ruchoma wyspa. Niebieski kadłub pokrywała zielonoszara narośl. Nadawała mu wygląd kudłatego psa. W wodorostach gnieździły się mikroorganizmy, przyciągające ławice ryb, szukających pożywienia w zakamarkach wielkiego, stalowego inkubatora morskich form życia.

ROPOS ROV został opuszczony z rufy „Throckmorta” wkrótce po meldunku Austina, że sonar zlokalizował wrak. Pojazd podwodny miał około dwóch metrów długości, metr szerokości i wysokości, i kształt lodówki. Mimo takiego wyglądu wykonywał o wiele więcej zadań niż wcześniejsze konstrukcje. Był ruchomym, wielofunkcyjnym laboratorium oceanologicznym.

ROV-a wyposażono w dwie kamery, dwa manipulatory, narzędzia do pobierania próbek i sonar. Pojazd łączyła ze statkiem światłowodowa „smycz” do przesyłania sygnałów cyfrowych. Kabel ten służył do łączności, przekazu obrazu na żywo i transmisji danych. ROV-a napędzał silnik elektryczny o mocy czterdziestu koni mechanicznych.

Pojazd opadł szybko na głębokość prawie stu pięćdziesięciu metrów, gdzie na dnie oceanu spoczywał w pozycji pionowej zatopiony statek.

Joe Zavala siedział przy konsoli sterowniczej i pilotował joystickiem pudełkowatego podwodnego robota. Był doświadczonym lotnikiem, który przelatał setki godzin helikopterami, małymi odrzutowcami i samolotami turbośmigłowymi. Ale prowadzenie ruchomego obiektu na odległość wymagało wprawnej ręki nastoletniego fanatyka gier wideo.

Zavala patrzył na ekran przed sobą i sterował pojazdem, jakby siedział w środku. Poruszał joystickiem zdecydowanie, ale delikatnie. Wydawał pojazdowi polecenia i kontrolował zmiany prądu morskiego. Przy każdym manewrze musiał uważać, żeby ROV nie zaplątał się w swoją „pępowinę”.

W zatłoczonym centrum obserwacyjnym panował ponury nastrój. Marynarze i naukowcy zebrali się tu, gdy na statku rozeszła się wiadomość o zlokalizowaniu „Southern Belle”. Śledzili w milczeniu obrazy na monitorze jak żałobnicy ceremonię pogrzebu.

Początkowe podniecenie, wywołane odnalezieniem kontenerowca, ustąpiło miejsca poczuciu rzeczywistości. Ludzie morza wiedzą, że twardy pokład pod ich stopami spoczywa na falującym, płynnym podłożu, jakim jest piękny, lecz zdradliwy ocean. Wszyscy na „Throckmortonie” mieli świadomość tego, że zatopiony statek stał się grobowcem swojej załogi. Zdawali sobie sprawę, że może ich spotkać taki sam los. Nie widzieli na ekranie marynarzy, którzy poszli na dno razem z „Southern Belle”, ale wyobrażali sobie ostatnie, przerażające chwile ich życia.

Zavala koncentrował się całkowicie na swoim zadaniu. Opuścił ROV-a do poziomu pokładu i poprowadził od dziobu do rufy. Normalnie musiałyby omijać

pojazdem maszty i anteny, ale pokład „Belle” był równy jak stół bilardowy. Kamera pokazywała poszarpane, metalowe kikuty żurawi i bomów przeładunkowych kontenerowca, połamanych jak zapalki.

Kiedy ROV znalazł się nad częścią rufową, reflektory oświetliły duży prostokątny otwór w pokładzie.

Zavala zawołał coś po hiszpańsku, a potem dodał:

- Nie ma nadbudowy.

Austin pochylił się nad jego ramieniem.

- Spróbuj przeszukać najbliższe otoczenie statku - zasugerował. Zavala przesunął joystick i pojazd wzniósł się wyżej. Zatoczył wokół wraku szeroki krąg, ale nie było ani śladu nadbudowy.

Profesor Adler przyglądał się temu bez słowa. W końcu klepnął Austina lekko w ramię i odprowadził w głąb pomieszczenia, z dala od tłumu przed monitorem.

- Chyba już czas, żebyśmy porozmawiali.

Austin skinął głową wrócił do konsoli sterowniczej i powiedział Joemu, że będzie w sali rekreacyjnej. Część załogi pracowała, reszta oglądała na ekranie „Belle”, więc mieli całą salę dla siebie. Znajdowały się tu skórzane fotele, telewizor i odtwarzacz DVD, stół bilardowy i pingpongowy, gry planszowe i komputer.

Austin i Adler usiedli.

- I co pan sądzi? - zapytał Adler.

- O zatonięciu „Belle”? Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby stwierdzić, dlaczego poszła na dno. Oderwała się nadbudowa.

- Mamy zdjęcia satelitarne fal. Nie ulega wątpliwości, że w statek uderzyła jedna lub kilka zabójczych fal, dużo większych niż te, które dotąd widzieliśmy.

- Wracamy do pańskich teorii. Wcześniej nie chciał pan o nich mówić. Teraz, po odnalezieniu statku, zmienił pan zdanie?

- Obawiam się, że moje teorie są dość niezwykłe. Austin wyciągnął się w fotelu i założył ręce za głowę.

- Nauczyłem się, że jeśli chodzi o ocean, nic nie jest zwykłe.

- Dotąd się wahałem, bo nie chciałem być uznany za szarlatana. Minęły lata, zanim środowisko naukowe przyjęło do wiadomości istnienie gigantycznych fal. Moi koledzy rozerwaliby mnie na strzepy, gdyby wiedzieli, co myślę.

- Nie dopuścimy do tego - zapewnił Austin. - Może mi pan zaufać. Profesor skinął głową.

- Kiedy empiryczne dowody na istnienie tych fal stały się zbyt oczywiste, by je ignorować, Unia Europejska wystrzeliła dwa satelity o wysokiej rozdzielczości obrazu. Program nazwano MaxWave. Celem było sprawdzenie, czy te fale rzeczywiście istnieją i zbadanie, jaki mogą mieć wpływ na projektowanie statków i platform wiertniczych. Satelity Europejskiej Agencji Kosmicznej robiły zdjęcia małych sektorów o wymiarach pięć na dziesięć kilometrów. W ciągu trzech tygodni zarejestrowały ponad dziesięć wielkich fal, mających ponad dwadzieścia pięć metrów wysokości.

Adler usiadł przy komputerze. Wpisał na klawiaturze polecenia i na monitorze pojawił się obraz kuli ziemskiej. Na Atlantyku widniały symbole fal z adnotacjami.

- To dane z Atlasu fal. Każdy symbol wskazuje lokalizację wielkiej fali. Jest podana jej wysokość i data, kiedy powstała. Jak pan widzi, ilość fal wzrosła w ciągu ostatnich trzynastu miesięcy. Ich wielkość też.

Austin przysunął sobie krzesło i usiadł obok profesora. Przyjrzał się symbolom. Fale były rozproszone po świecie, ale część tworzyła kilka skupisk.

- Dostrzega pan coś intrygującego?

- Te cztery kręgi na Atlantyku są w jednakowej odległości od siebie. Obejmują rejon, gdzie teraz jesteśmy. Dwa są na północnym Atlantyku, dwa na południowym. A co z Pacyfikiem?

- Cieszę się, że pan spytał. - Adler zaczął obracać kulę ziemską, dopóki nie ukazał się Pacyfik.

Austin gwizdnął.

- Cztery podobne skupiska. Dziwne. Adler uśmiechnął się lekko.

- Mnie też to zdziwiło. Zrobiłem pomiary i okazało się, że skupiska na obu oceanach są dokładnie równoległe.

- I co pan o tym myśli?

- Że ktoś tak to zaplanował. Te fale są dziełem człowieka albo Boga. Austin się zastanowił.

- Jest trzecia możliwość. Mogą być dziełem człowieka działającego jako Bóg.

Adler zmarszczył krzaczaste brwi.

- To niemożliwe. Austin się uśmiechnął.

- Ludzie nieraz próbowali zapanować nad żywiołami.

- Zapanować nad oceanem to co innego.

- Zgadza się, choć były pewne próby. Tamy przeciwsztormowe budowano setki lat temu.

- Konsultowano ze mną projekt śluzy w Wenecji, więc wiem, o co panu chodzi. Powstrzymanie morza jest teoretycznie stosunkowo proste. Sprawa ogranicza się do odpowiednich konstrukcji. Wywołanie gigantycznych fal byłoby dużo trudniejsze.

- Ale możliwe - powiedział Austin.

- Owszem.

- Zastanawiał się pan nad sposobami? Potężne eksplozje podwodne?

Adler pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne. Należałoby użyć broni jądrowej, co zostałoby wykryte. Ma pan jakieś inne sugestie?

- Nie, ale NUMA na pewno powinna to zbadać. Adler odetchnął z ulgą.

- Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, słysząc pańskie słowa. Bałem się, że zaczynam wariować.

- Joe mówił, że jest ciekaw, czy praca Troutów nie rzuciłaby nieco światła na tę tajemnicę.

- Pamiętam. Wspomniał pan, że dwoje waszych kolegów z NUMA prowadzi badania w tym rejonie.

Austin przytaknął.

- Na południe od nas. Są z grupą naukowców na statku NOAA „Benjamin Franklin”. Badają wpływ wielkich wirów atlantyckich na życie w morzu.

- Jak powiedziałem, niczego nie wykluczam. Z pewnością warto się temu przyjrzeć.

- Możemy z nimi porozmawiać, kiedy wrócimy do portu.

- Po co czekać? - Adler przebiegł palcami po klawiaturze komputera. Na ekranie pojawiła się strona internetowa, a potem satelitarny obraz środkowej części atlantyckiego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. - Ten satelita nad oceanem może pokazać obiekt wielkości sardynki.

- Jestem pod wrażeniem - odrzekł Austin i przysunął się bliżej do monitora.

Adler kliknął myszą komputerową.

- Widzimy teraz temperaturę wody w Atlantyku. Ten falisty, czerwono-brązowy pas to Prąd Zatokowy. Niebieski kolor oznacza zimne obszary oceanu, a te jasnobrązowe, koliste plamy to ciepłe wiry. Zrobię zbliżenie naszego statku.

Znów kliknął myszą i ekran wypełnił jeden z jasnobrązowych wirów. W pobliżu były widoczne kształty dwóch statków.

- Tu jest „Throckmorton”. A to musi być „Franklin”. Ten sprzęt wciąż mnie zadziwia.

Austin pochylił się nad ramieniem Adlera.

- Co to za krąg w południowo-wschodnim kwadrancie? Adler powiększył obraz.

- Oddzielny wir. Ciekawe. Liczby w tych małych kwadratach pokazują poziom wody i szybkość jej ruchu. Poziom w środku wiru opada, a szybkość rośnie. - Adler nie odrywał wzroku od monitora. Wir przybrał kształt niemal idealnego koła i wciąż się powiększał. - O Boże!

- Co się stało? Profesor postukał w ekran.

- Chyba jesteście świadkami narodzin gigantycznego wiru.

## 7

Gamay Morgan-Trout opuściła ostrożnie pojemnik do pobierania próbek wody za lewą burtę „Franklina” i patrzyła, jak dziewięciolitrowy, plastikowy cylinder znika pod spienionymi falami. Gdy opadał na dno oceanu, popuszczając linkę, która łączyła go ze statkiem badawczym.

Kiedy pojemnik wypełnił się wodą i automatycznie zamknął, zaczęła go wciągać z powrotem na pokład przy pomocy męża. Paul Trout wydobył z morza ociekającą wodą cylinder, odczepił od linki i unióś do światła, jakby sprawdzał kolor dobrego wina w kieliszku. W jego piwnych oczach pojawił się błysk.

- To absurd.

- Co?

- Zastanów się, co my robimy. Gamay była zaskoczona.

- Właśnie wyrzuciliśmy za burtę śmieszłą butelkę i wyciągnęliśmy ją pełną wody morskiej.

- Dziękuję. O to mi chodziło. Rozejrzyj się. Ten statek jest wyładowany najnowocześniejszym sprzętem badawczym. Mamy tu specjalistyczne echosondy, sonar stacjonarny i zaburtowy, komputery i oprogramowanie ostatniej generacji. Ale nie różnimy się od starożytnych żeglarzy, którzy sprawdzali głębokość morza ołowianym ciężarkiem posmarowanym woskiem.

Gamay się uśmiechnęła.

- A teraz zbierzemy plankton staromodną siecią rybacką. Ale nie zgadzam się na łódź wiosłową. Co z zodiakiem?

- Gotowy - odrzekł Trout i przyjrzał się morzu okiem doświadczonego marynarza. - Zaczyna wiać. Mogą być duże fale. Będziemy musieli uważać.

Jego wymowa zdradzała, że pochodzi z Nowej Anglii.

Gamay zerknęła na szaroniebieską wodę, gdzie zaczynały się pojawiać białe

grzywy fal.

- Jeśli zaczekamy, możemy nie mieć następnej okazji przez kilka dni.  
- Też tak myślę - powiedział Paul i wręczył jej pojemnik. - Spotkamy się przy żurawiku zodiaca.

Gamay zaniósła próbkę wody do „mokrego” laboratorium, gdzie analiza miała wykazać zawartość pierwiastków i mikroorganizmów w oceanie. Potem poszła do swojej kajuty. Wciągnęła ubranie sztormowe na dżinsy, bluzkę i wełniany sweter, i wepchnęła długie, ciemnorude włosy pod kolorową czapkę baseballową z napisem Przyjaciele Hunleya. Włożyła kamizelkę ratunkową i wyszła na pokład rufowy.

Trout czekał przy żurawikach, na których wisiała sztywno-kadłubowa łódź pneumatyczna długości siedmiu metrów. Jak zwykle był nienagannie ubrany. Pod żółtym sztormiakiem miał dżinsy uszyte na zamówienie, żeby pasowały na jego dwumetrową postać, i kaszmirowy sweter. Przypinany kołnierzyk niebieskiej koszuli zdobiła jedna z jego kolorowych muszek. Ze swobodną elegancją tego stroju kontrastowały znoszone buty robocze, pozostałość z czasów, gdy Paul pracował w Instytucie Oceanograficznym Woods Hole, gdzie obowiązkowe było funkcjonalne obuwie.

Troutowie wsiedli do pontonu i zodiak został opuszczony do morza. Paul uruchomił dieslowski silnik Volvo Penta, Gamay odczepiła cumę. Stanęli obok siebie przy konsoli sterowniczej w pozie woźniców rydwanów z szeroko rozstawionymi nogami i ugiętymi kolanami, żeby amortyzować uderzenia płaskiego dna łodzi o fale.

Ponton pomknął przez morze jak wesoły delfin. Trout wziął kurs na fosforyzującą, pomarańczową boję około ćwierć mili morskiej od statku. Zakotwiczyli ją tam wcześniej, żeby mieć punkt orientacyjny podczas połowu fitoplanktonu.

Otoczenie nie należało do najbardziej gościnnych. Od wschodu nadciągały groźne, ciemne chmury. Linia horyzontu, gdzie szare morze stykało się z szarym niebem, była ledwo widoczna. Szybkość wschodniego wiatru wzrosła o kilka węzłów i zaczęło padać.

Jednak Paul i Gamay mieli na twarzach ten szczególny wyraz szczęścia, jaki mają prawdziwi ludzie morza, kiedy są w swoim naturalnym żywiole. Trout zaczął pływać z ojcem na kutrze rybackim, gdy tylko nauczył się chodzić. Łowił zawodowo ryby w okolicach miasteczka Woods Hole na półwyspie Cape Code, dopóki nie poszedł do college’u.

Gamay nie przeszkadzała ponura pogoda, choć miała nieco inną przeszłość niż Paul. Urodziła się w Racine w Wisconsin i w młodości przez wiele lat żeglowała z ojcem, odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą budowlanym, po nieprzyjaznych czasem wodach Wielkich Jezior.

- Musisz przyznać, że to o wiele lepsza zabawa niż tapetowanie ścian - odezwał się Paul, manewrując pontonem, żeby podejść do boi. Gamay odczytywała wskazania przyrządów pomiarowych.

- To lepsza zabawa niż prawie wszystko, co przychodzi mi do głowy - odrzekła, ignorując rozbryzgi zimnej wody ochlapujące jej twarz. Paul tytnął na nią okiem.

- Cieszę się, że powiedziałaś „prawie”.

Spojrzała na niego z kwaśną miną, która nie pasowała do wyrazu rozbawienia w jej oczach.



- Patrz, co robisz, bo wypadniesz za burtę.

Troutowie nie spodziewali się, że tak szybko wrócą na morze. Po zakończeniu ostatniej operacji zespołu specjalnego zamierzali trochę odpocząć. Trout zauważył kiedyś, że Gamay musiała się nauczyć sposobu relaksu od instruktora musztry francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Była fanatyczką ćwiczeń fizycznych. Już kilka godzin po powrocie do domu zaczęła realizować swój program przygotowań olimpijskich - bieg, chód i jazda na rowerze.

Ale to jej nie wystarczyło. Miała zwyczaj nadawania najwyższego priorytetu temu, co akurat przyszło jej do głowy. Trout wiedział, co go czeka, kiedy po wspólnej całodniowej wycieczce hummerem w plener Wirginii Gamay przyjrzała się tapecie w salonie ich domu w Georgetown, gdzie ciągle coś zmieniali. Kiwał cierpliwie głową, gdy Gamay przedstawiała mu swoją wizję nowego wystroju wnętrza.

Szał zmian trwał tylko jeden dzień. Gamay tapetowała ściany z typowym dla siebie zapalem, kiedy zadzwonił Hank Aubrey, ich kolega z Instytutu Oceanograficznego Scrippsa, i zapytał, czy chcieliby wziąć udział w badaniach wirów atlantyckich z pokładu „Benjamina Franklina”.

Nie musiał im tego powtarzać dwa razy. Praca z Austinem w zespole specjalnym NUMA była dla nich wymarzoną zajęciem. Przeżywali przygody w egzotycznych częściach świata. Ale czasami tęsknili za czysto naukowymi wyprawami z ich studenckich lat.

- Wiry oceaniczne... - powiedział w zadumie Trout, gdy przyjęli zaproszenie. - Czytałem o nich w magazynach oceanograficznych. To wielkie, obracające się wolno spirale zimnej lub ciepłej wody, które czasami mają średnicę setek mil morskich.

Gamay przytaknęła.

- Hank mówił, że wzbudzają duże zainteresowanie. Mogą uniemożliwić wierceń na morzu i wpływać na pogodę. Ale mogą też unosić z dna oceanu mikroorganizmy i poprawiać funkcjonowanie łańcucha pokarmowego. Zbadam, jaki mają wpływ na ilość pożywienia w morzu, rybołówstwo i życie walen. Ty będziesz mógł się zająć geologią.

Paul usłyszał w głosie żony narastające podniecenie.

- Uwielbiam, jak się tak napalasz - powiedział. Gamay zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów.

- My, naukowcy, dostajemy świra, kiedy coś nas kręci.

- A co z tapetowaniem?

- Wynajmiemy kogoś, żeby to dokończył. Paul rzucił pędzel do wiadra.

- Tak jest, kapitanie.

Troutowie pracowali razem z precyzją szwajcarskiego zegarka. Poprzedni dyrektor NUMA, James Sandecker, wiedział o tym, gdy angażował ich do zespołu specjalnego. Oboje kilka lat temu przekroczyli trzydziestkę. Pozornie nie pasowali do siebie.

Paul był poważniejszy niż Gamay. Sprawiał wrażenie stale zamyślonego, zwłaszcza że miał zwyczaj mówić z opuszczoną głową i patrzeć znad okularów. Wydawało się, że sięga głęboko do swojego wnętrza, zanim powie coś ważnego. Jego powagę łagodziło poczucie humoru.

Wysoka, szczupła Gamay, bardziej otwarta i żywiołowa niż jej mąż, poruszała się z wdziękiem modelki, miała promienny uśmiech, odsłaniający przerwę między górnymi przednimi zębami. Nie była zbyt piękna ani seksowna, ale przyciągała

uwagę większości mężczyzn. Troutowie poznali się w Instytucie Oceanograficznym Scrippsa, gdzie Paul robił doktorat z geologii morskiej, a Gamay zmieniała dziedzinę swoich zainteresowań z archeologii podwodnej na biologię morską.

Kilka godzin po telefonie Aubreya Troutowie wchodzili z bagażami na pokład „Benamina Franklina”. Statek miał doskonale wyszkoloną dwudziestoosobową załogę, której towarzyszyło dziesięciu naukowców z różnych uniwersytetów i agencji rządowych. Ich głównym zadaniem były badania hydrograficzne wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Stanów Zjednoczonych i w Zatoce Meksykańskiej.

W czasie typowego rejsu robili tysiące dokładnych pomiarów głębokości, by stworzyć obraz dna oceanu z zaznaczonymi pozycjami wraków i innych przeszkód. Informacje służyły NOAA, Narodowej Agencji Oceanologii i Meteorologii, do aktualizacji map morskich.

Na szczycie trupu powitał Troutów Aubrey. Był drobny, miał ostry nos, tryskał energią i bez przerwy mówił, co upodabniało go do ćwierkającego wróbla. Zaprowadził Paula i Gamay do ich kajuty. Zostawili tam bagaże i poszli do mesy. Usiedli przy stole i Aubrey przyniósł herbatę.

- Wspaniale, że jesteście - powiedział. - Strasznie się cieszę, że mogliście dołączyć do ekspedycji. Ile czasu się nie widzieliśmy? Trzy lata?

- Chyba pięć - odrzekła Gamay.

- To o wiele za długo. Nadrobimy zaległości w czasie tego rejsu. Statek odpływa za kilka godzin. Często myślę o waszej pracy w NUMA. Musi być fascynująca. - W głosie Aubreya zabrzmiała nuta zazdrości. - Moje badania wielkich wirujących mas wody błędą przy waszych przygodach.

- Wcale nie, Hank - zapewniła go Gamay. - Paul i ja dalibyśmy się zabić za możliwość prowadzenia czysto naukowych badań. Czytaliśmy, że twoja praca ma duże znaczenie dla bardzo wielu ludzi.

Aubrey się rozpromienił.

- Chyba macie rację. Jutro jest pierwsza, inauguracyjna sesja naukowa. Co wiecie o wirach oceanicznych?

- Niewiele - przyznała się Gamay. - Głównie to, że są jeszcze słabo zbadanym zjawiskiem.

- Zgadza się - przytaknął Aubrey. - Dlatego ekspedycja jest bardzo ważna. Wziął papierową serwetkę i wyjął z kieszeni długopis. Troutowie widzieli to już wiele razy.

- Zobaczycie zdjęcia satelitarne, ale to wam uzmysłowi, z czym mamy do czynienia. Popłyniemy do miejsca blisko Prądu Zatokowego, około dwustu mil morskich stąd. Ten wir ma średnicę stu mil. Jest zlokalizowany na wschód od New Jersey, na granicy Prądu Zatokowego.

Aubrey narysował na serwetce nieregularny krąg.

- Wygląda jak jajko sadzone - zauważył Trout.

Lubił żartować ze skłonności Aubreya do wyjaśniania problemów naukowych na restauracyjnych serwetkach. Kiedyś nawet zaproponował, żeby skompletować z nich podręcznik.

- Licencja artystyczna - odparł Aubrey. - Da wam pojęcie, czym się zajmujemy. Wiry oceaniczne to w zasadzie gigantyczne, obracające się wolno spirale wodne, czasami o średnicy setek mil morskich. Prawdopodobnie są tworzone przez prądy oceaniczne. Niektóre obracają się w tym samym kierunku co wskazówki zegara, inne w przeciwnym. Mogą przenosić ciepło lub zimno, transportować pożywienie z dna oceanu na powierzchnię, wpływać na pogodę.

- Gdzieś czytałem, że traulery prowadzą połowy na obrzeżach wirów - powiedział Trout.

- Ludzie nie są jedynymi drapieżnikami, które odkryły biologiczne aspekty tych zjawisk. Aubrey dorysował na serwetce kilka rzeczy i uniósł ją do góry.

- Teraz to wygląda jak jajko sadzone atakowane przez wielkie ryby - ocenił Trout.

- Każdy, kto ma oczy, rozpozna, że to walenie. Wiadomo, że żywią się na obrzeżach wirów. Kilka zespołów naukowych próbuje dotrzeć tropem waleni do ich żerowisk.

- Wykorzystać walenie do znalezienia wirów - poprawił Trout.

Aubrey się skrzywił.

- Są lepsze sposoby. Rozszerzalność cieplna powoduje, że woda wewnątrz wirów wypiętrza się, co można zaobserwować z satelitów.

- Dlaczego prądy oceaniczne tworzą wiry? - zapytał Trout.

- To jedna z rzeczy, których chcemy się dowiedzieć w czasie tej ekspedycji.

Liczmy na to, że się uda. Nadajecie się idealnie do udziału w tym projekcie. Gamay będzie mogła nam służyć swoją rozległą wiedzą z dziedziny biologii, a ty, mam nadzieję, stworzysz kilka modeli komputerowych. Jesteś w tym dobry.

- Dzięki za zaproszenie na pokład - odrzekła Gamay. - Postaramy się pomóc.

- Wiem. To wykracza poza czystą teorię naukową. Te wielkie wiry rzeczywiście kształtują pogodę. Obecność wiru oceanicznego u wybrzeży Kalifornii może być przyczyną spadków temperatury i opadów deszczu w Los Angeles. Podobnie jak wir atlantycki przy Prądzie Zatokowym może powodować tworzenie się gęstej mgły.

- Z pogodą niewiele da się zrobić - powiedział Trout.

- To prawda, ale jeśli wiemy, czego się spodziewać, możemy się do tego przystosować. Poznanie wirów oceanicznych może być ważne dla gospodarki narodowej. Bezpieczeństwo żeglugi, dostawy ropy, węgla, stali, samochodów, zboża i komputerów zależą od trafnych prognoz pogody.

- Dlatego NOAA jest tak zainteresowana tym, co robimy - domyślił się Trout.

Aubrey potakująco kiwną głową.

- To mi przypomniało, że muszę porozmawiać z kapitanem o naszym harmonogramie. - Wstał i uściśnął Troutom dłoń. - Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że znów będziemy pracowali razem. Dziś jest wieczorek zapoznawczy. - Podsunął Troutowi serwetkę. - Rano będzie z tego egzamin, mądralo.

Na szczęście dla Paula Aubrey tylko żartował, choć inauguracyjna sesja naukowa była bardzo pouczająca. Do czasu, kiedy „Franklin” podniósł kotwicę, Troutowie dużo się dowiedzieli o wirach oceanicznych. Z pokładu statku badawczego morze w okolicy wiru wyglądało tak samo jak w innych rejonach oceanu, ale zdjęcia satelitarne i modele komputerowe pokazywały, że woda porusza się z szybkością około pięciu kilometrów na godzinę.

Trout zrobił grafikę komputerową dna oceanu w okolicy wiru, Gamay koncentrowała się na biologii. Analiza fitoplanktonu była ważną częścią jej badań, dlatego tak się niecierpliwiła, żeby wypłynąć pontonem w morze.

Kiedy zodiak kołysał się na falach, opuścili za burtę sieć. Miała czworokątną rurową ramę, kształt stożka i trzy metry długości, co umożliwiała pobieranie wielu próbek. Popuścili hol na tyle, żeby sieć unosiła się częściowo na powierzchni. Potem zrobili kilka okrążeń wokół boi. Nie spuszczali z oka statku NOAA o białym kadłubie, żeby znać swoją pozycję. Wyniki połowy były dobre. Zebrali solidną porcję planktonu.

Trout zostawił silnik na biegu jałowym i pomagał Gamay przyciągać sieć do

pontonu, gdy usłyszeli dziwny szum. Oboje jednocześnie podnieśli wzrok. Wymienili zdziwione spojrzenia i popatrzyli na statek. Wszystko wydawało się w porządku. Na pokładzie kręcili się ludzie.

Gamay zauważyła na powierzchni morza migotanie, jakby słońce było jarzeniówką, która zaraz się przepali.

- Spójrz na niebo - powiedziała.

Trout zerknął w górę i opadła mu szczeka. Chmury płynęły pod rozżarzonym sklepieniem, pulsującym jasnymi wybuchami promieniowania. Przyglądał się temu w oszołomieniu, w końcu wygłosił zupełnie nienaukowy komentarz:

- O kurczę!

Hałas, który słyszeli wcześniej, powtórzył się, tym razem głośniejszy. Zdawał się dochodzić z otwartego morza daleko od statku NOAA. Trout starł z oczu mżawkę i wskazał ocean.

- Coś się dzieje na godzinie drugiej, jakieś dwieście metrów od nas. Na morzu ciemniał nieregularny krąg, jakby chmura rzucała tam cień.

- Co to jest? - zapytała Gamay.

- Nie wiem - odrzekł Paul. - Ale rośnie.

Ciemna plama powiększała się i tworzyła krąg wzburzonej wody. Miała trzydzieści metrów średnicy. Potem sześćdziesiąt. Szybko rosła. Na jej obrzeżach pojawiła się biała linia, która wkrótce utworzyła spienioną ścianę. Z głębin wydobyło się zawodzenie, jakby morze jęczało z bólu.

Nagle środek ciemnego kręgu zapadł się i w oceanie powstała wielka dziura. Szybko się powiększała, zbliżała do pontonu.

Trout sięgnął odruchowo do przepustnicy, ale w tym samym momencie niewidzialna siła pociągnęła ich ku czarnej otchłani.

## 8

Wielka jama w morzu była widoczna tylko przez chwilę, dopóki nie zniknęła za rosnącym w górę kręgiem piany. Biały grzbiet wyrzucał z siebie rozbryzgi wody. Powietrze miało mocny słony zapach, jakby zodiak znalazł się nagle w środku wielkiej ławicy ryb.

W kierunku pontonu płynął statek NOAA. Wzdłuż burty zgromadzili się ludzie. Pokazywali coś i machali rękami.

Łódź pneumatyczna już niemal wydostała się z silnego prądu, gdy fala przykryła tępy dziób i wytracili prędkość. Trout zacisnął zęby. Dopchnął przepustnicę do ogranicznika i skręcił w bok. Silnik wszedł na obroty grożące zniszczeniem zaworów. Ponton wystrzelił naprzód, jakby ktoś dał mu kopa. Przebył kilka metrów, kiedy znów pochwyciły go potężne macki prądu, który powstał wokół wielkiego wiru.

Dudnienie wydobywające się z głębi morza zagłuszyło ryk silnika. Powietrze wibrowało jak na koncercie organowym. Z dziury w oceanie unosiła się gęsta, biała mgła. Wrażenie nierzeczywistości potęgowało laserowe widowisko na niebie. Płające światła zmieniły kolor ze srebrzystego na niebieski i purpurowy.

Łódź pędziła coraz ciaśniejszą spiralą i zbliżała się do kręgu piany. Nie było szans na ucieczkę. Zodiak wznosił się na szczyt wzburzonego wodnego grzbietu o wysokości około dwóch metrów. Przechylał się i podskakiwał tak gwałtownie, że Gamay omal nie wypadła za burtę.

Trout puścił koło sterowe i rzucił się na pomoc. Złapał żonę silnymi palcami za sztormiak i wciągnął z powrotem do łodzi. Opadli na kolana i chwycili się liny ratunkowej, przymocowanej do kadłuba.

Zodiak był uwięziony na ruchomym grzbiecie lśniącej, białej wody. Jakby nie wystarczyły ciągle wstrząsy i skręty, obracał się niczym pijana baletnica.

Wciąż sunął wzdłuż szczytu spienionego kręgu. Po jednej stronie rozciągało się morze, po drugiej wirował wielki lej o czarnych bokach, nachylonych pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Łódź zakolysała się niebezpiecznie na szczycie ściany wodnej i zsunęła do wirującego leja. Jednak siła odśrodkowa wewnątrz wiru przewyższała grawitację. Ponton przestał opadać jakieś pięć metrów poniżej lśniącej krawędzi piany i zaczął krążyć jak kulka na kole ruletki.

Miał czterdziestopięciostopniowy przechył, jego płaskie dno było ustawione równoległe do skośnej ściany, lewa burta znajdowała się niżej niż prawa. Dziób celował na wprost, jakby łódź nadal poruszała się o własnych siłach.

Troutowie spojrzeli w głąb wiru. Miał średnicę co najmniej mili morskiej. Lej zwężał się stromo. Dno przesłaniała gęsta, skłębiona mgła, która unosiła się ze wzburzonej wody. Światło przenikające przez mgłę tworzyło tęczę nad wirem, jakby natura starała się w ten sposób złagodzić brutalność pokazu swojej potęgi.

Nie mając stałego punktu odniesienia, Troutowie nie byli w stanie określić, jak szybko porusza się zodiak, ani liczyć okrążeń. Jednak po kilku minutach wydało im się, że krawędź jest wyżej. Stało się jasne, że łódź opada.

Gamay spojrzała w górę na krąg nieba wysoko nad nimi. Zobaczyła coś na krawędzi leja i wskazała to wolną ręką.

Trout otarł mokre oczy.

- O cholera! To „Franklin”.

Statek był na obrzeżu wiru, z rufą wystającą z grzbietu piany. Po chwili zniknął. Kilka sekund później znów się pojawił, by ponownie zniknąć.

Troutowie zapomnieli o własnym nieszczęściu. Ta zabawa w chowanego oznaczała, że „Franklin” dostał się w prądy wokół wiru i jest wciągany do leja.

Trwało zabójcze przeciąganie liny. Statek przesunął się w przód i w tył, unosił i przechylał. Śruby wyłaniały się z wody jak ostrze piły z przecinanego drewna, potem znów w nią zagłębiały. Po kilku minutach „Franklin” z uniesionym dziobem zawisnął na krawędzi wiru.

- Nie daj się! - krzyknął Trout.

Gamay zerknęła na męża, zaskoczona tym niezwykłym wybuchem emocji.

Gładka woda za statkiem kipiała, jakby ktoś włożył do niej grzałkę. Silniki robiły swoje. Śruby wgrzyzały się w skośną ścianę leja. „Franklin” cofnął się w kierunku wiru, zatrzymał, wystrzelił do góry pod kątem, zanurzył się w pianie i oddalił od

krawędzi.

Tym razem zniknął na dobre. Troutowie wiwatowali, ale ich radość szybko zmaćło poczucie osamotnienia i bezradności wobec sił przyrody.

- Masz jakiś pomysł, jak się stąd wydostać? - zawołała Gamay.
- Może wir sam się uspokoi.

Gamay zerknęła w dół. Przez te kilka minut, kiedy obserwowali zmagania statku z żywiołem, łódź opadła co najmniej o następne pięć metrów.

- Wątpię.

Woda straciła atramentowy kolor. Gładka ściana leja przybrała brązową barwę mułu unoszonego z dna. W wielkim kręgu wirowały setki martwych i konających ryb. Przypominały confetti porwane przez wichurę. Wilgotne powietrze pachniało solą, rybami i dennym mułem.

- Spójrz na te szczątki - powiedział Paul. - Unoszą się z dna.

Wir porywał z dołu śmiecie i unosił do góry niczym tornado. Wokół krążyły kawałki drewnianych skrzyń i sklejki, pokrywy włazów, fragmenty wentylatorów, nawet zniszczona szalupa. Wiele przedmiotów tonęło z powrotem i wir miazdzył je z siłą wodospadu Niagara.

Gamay zauważyła, że niektóre kawałki, głównie małe, unoszą się ku krawędzi.

- Może skoczmy do wody? - zaproponowała. - Jeśli nie ważymy zbyt dużo, powinniśmy wypłynąć na górę, jak te rzeczy.
- Nie ma gwarancji, że się wzniesiemy. Jest bardziej prawdopodobne, że wir wessie nas głębiej i zmieli na hamburgery. Pamiętaj o podstawowej zasadzie na morzu: trzymać się swojej łodzi, dopóki tylko można.
- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Opadamy coraz niżej. Gamay miała rację. Ponton zsuwał się w dół wiru.

W górę leja wędrował cylindryczny obiekt. Za nim dwa następne. Były pięć metrów przed zodiakiem, nieco poniżej.

- Co to jest? - zapytał Trout.

Gamay się przyjrzała. Zanim została biologiem morskim, była podwodnym archeologiem. Natychmiast rozpoznała zwężone ceramiczne przedmioty o zielonoszarej barwie.

- To amfory - powiedziała. - Wypływają do góry. Trout zrozumiał, o co jej chodzi.
- Będziemy mieli tylko jedną szansę. Nasz ciężar może zmienić ich dynamikę.
- A mamy jakiś wybór?

Trzy antyczne naczynia do wina były już blisko. Trout przeczołgał się do konsoli sterowniczej i wcisnął przycisk rozrusznika. Silnik zaskoczył. Ponton ruszył naprzód pod dziwnym kątem i Paul musiał kontrować wężykowanie rufy obrotami koła sterowego. Chciał się znaleźć powyżej amfor i zablokować im drogę.

Pierwsze naczynie zaczęło dryfować przed dziobem. Lada chwila mogło być poza ich zasięgiem. Trout pchnął przepustnicę i łódź znalazła się tuż nad amforą.

- Przygotuj się! - krzyknął. Skok musiał być idealnie skoordynowany. - Amfora jest śliska i będzie się obracała. Chwyć ją za uszy i przytrzymaj się nogami.

Gamay skinęła głową i wspięła się na dziób.

- A ty? - zapytała.
- Pojadę następną
- Jak utrzymasz kurs łodzi? - Gamay wiedziała, że skok Paula z niesterowalnego

pontonu będzie jeszcze bardziej ryzykowny.

- Coś wymyślę.

- Nie zostawię cię.

Cholernie uparta kobieta.

- To twoja jedyna szansa. Ktoś musi dokończyć tapetowanie. Proszę cię.

Gamay spojrzała na Paula, pokręciła głową i podpełzła do krańca dziobu.

Przykucnęła i przygotowała się do skoku.

- Stój! - krzyknął Trout. Odwróciła się.

- Zdecyduj się wreszcie, co mamy robić.

Nie zauważyła tego, co on. Szklista powierzchnia boczna wiru nad nimi była wolna od szczątków. Śmiecie porywane z dna trafiały na niewidzialną przeszkodę, która blokowała ich dalszy ruch do góry. Wracali w dół leja tak szybko, jak się wznosiły.

- Zobacz! - zawołał. - Szczątki opadają z powrotem!

Gamay natychmiast się zorientowała, że Paul ma rację. Amfory też już zaczynały opadać. Trout wyciągnął rękę i pomógł jej wrócić do pontonu. Chwycili się liny ratunkowej i patrzyli bezradnie, jak łódź coraz bardziej zagłębia się w otchłań.

## 9

Sferyczna figura na monitorze komputera przypominała Austinowi błonę, cytoplazmę, jądro komórki rakowej. Odwrócił się do Adlera.

- Z czym właściwie mamy tu do czynienia? Naukowiec podrapał się w kudłatą głowę.

- Sam chciałbym wiedzieć. To, co tu widzimy, rośnie z każdą sekundą i wiruje z szybkością trzydziestu węzłów. Nigdy jeszcze nie spotkałem czegoś takiego.

- Ani ja - odrzekł Austin. - Wpadałem już w niebezpieczne prądy wirowe, ale były stosunkowo małe i krótkotrwałe. To wygląda jak wytwór wyobraźni Edgara Allana Poeo albo Jules'a Verne'a.

- Wir w „W Bezdni Malströmu” i „20000 Mil Podmorskiej Żeglugi” to w dużym stopniu fikcja literacka. Poeo i Verne'a zainspirował wir Moskstraumen u wybrzeży norweskich wysp Lofoty. Grecki żeglarz, Pyteasz z Massalii, opowiadał ponad dwa tysiące lat temu, że ten wir wchłania statki i wyrzuca je z powrotem. Szwedzki duchowny, Olaus Magnus, napisał w XVI wieku, że Moskstraumen jest silniejszy niż Charybda, znana z Odysei, ciska statkami o dno morza i wsysa wieloryby.

- To fikcja. A jaka jest rzeczywistość?

- Znacznie mniej przerażająca. Norweski wir został zbadany przez naukowców.

Nawet w przybliżeniu nie jest taki groźny jak w literaturze. Trzy inne sławne wiry, szkocki Corryvreckan, norweski Saltstraumen i japoński Naruto, są jeszcze słabsze. - Adler pokręcił głową. - Wir na pełnym morzu to dziwna sprawa.

- Dlaczego?

- Wiry pojawiają się zwykle w wąskich cieśninach, gdzie woda porusza się z dużą szybkością. Zawirowania pływów i prądów, w połączeniu z ukształtowaniem dna morskiego, mogą powodować znaczne zaburzenia na powierzchni. Obraz na ekranie pokazywał, że odległość między wirami i „Benjaminem Franklinem” maleje.

- Czy to może być groźne dla tamtego statku?

- Wczesniejsze obserwacje naukowe wskazują że nie. Wir Old Sow u wybrzeży Nowego Brunswiku jest w przybliżeniu równie silny, jak Moskstraumen; obraca się z szybkością około dwudziestu ośmiu kilometrów na godzinę. To największy wir na półkuli zachodniej. Turbulencje w jego pobliżu mogą być niebezpieczne tylko dla małych statków. Większym nie zagrażają. Adler urwał. Patrzył zafascynowany na monitor.

- O cholera!

- Co się stało?

- To coś szybko rośnie. W czasie naszej rozmowy powiększyło się niemal dwukrotnie.

Austin zobaczył już wystarczająco dużo.

- Chciałbym pana poprosić o przysługę - powiedział spokojnie. - Proszę pójść do centrum obserwacyjnego i przekazać Joemu, żeby natychmiast wycofał ROV-a i jak najszybciej przyszedł na mostek. To pilne.

Adler jeszcze raz zerknął na ekran i wyszedł. Austin wspiął się do sterowni.

Kapitan „Throckmorta”, Tony Cabral, zbliżał się już do sześćdziesiątki. Opalenizna, wydatny nos, podkreślone czarne wąsy i szeroki uśmiech nadawały mu wygląd życzliwego pirata. Ale teraz miał śmiertelnie poważną minę. Na widok Austina na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Kurt, właśnie chciałem kogoś wysłać, żeby cię poszukał.

- Mamy problem - odrzekł Austin.

- Wiesz, że odebraliśmy SOS?

- Pierwsze słyszę. Co się stało?

- Kilka minut temu sygnał nadał statek NOAA. Najgorsze obawy Austina się potwierdziły. - W jakiej są sytuacji?

Cabral zmarszczył brwi.

- Wiadomość była słabo słyszalna z powodu głośniego hałasu w tle. Nagraliśmy ją. Może ty coś zrozumiesz.

Przesunął włącznik na konsoli radiowej. Sterownię wypełniła kakofonia dźwięków. Nad wrzawą górował ochrypły męski głos:

- SOS! Tu statek NOAA „Ben Franklin”. SOS. Niech ktoś się zgłosi.- W tle odezwał się inny głos, bardziej zniekształcony: - Zwiększyć moc! Więcej mocy, do cholery. .. - Potem ktoś zawołał głosem pełnym grozy: Niech to szlag! Wpadamy!

Rozległa się nagrana odpowiedź Cabrała:

- Tu statek NUMA „Throckmorton”. Jaka jest wasza sytuacja? Odezwijcie się. Jaka jest wasza sytuacja?

Słowa utonęły w takim ryku, jakby monsun wył w jaskini. Potem radio zamilkło. Cisza była gorsza niż hałas.

Austin próbował sobie wyobrazić siebie na mostku „Franklina”. Najwyraźniej panował tam chaos. SOS nadał zapewne kapitan. Albo, co bardziej prawdopodobne, to on żądał od maszynowni większej mocy.

Austin nigdy jeszcze nie słyszał takiego niezemskiego ryku. Zdał sobie sprawę, że zjeżyły mu się włosy na karku. Rozejrzał się po sterowni. Sądząc po minach kapitana i załogi, nie tylko jemu.

- Jaka jest pozycja „Franklina”? - zapytał.

Kapitan Cabral podszedł do żarzącego się na niebiesko monitora radaru.



- To następna dziwna sprawa. Mieliśmy go na radarze osiemnaście mil stąd. Płynął na południowy zachód. Potem zniknął z ekranu.

Austin patrzył przez chwilę na obracający się promień radaru. Ani śladu statku. Same fale.

- Ile potrzeba czasu, żeby tam dotrzeć?

- Około godziny. Ale najpierw musimy wycofać ROV-a.

- Joe już się tym zajął.

Cabral kazał ruszać w drogę i płynąć w kierunku „Franklina” z maksymalną szybkością. Podniesiono kotwicę i wysoki dziób „Throckmorta” zaczął pruć fale. Do sterowni weszli Zavała z Adlerem.

- Profesor Adler powiedział mi o wirze. Jest jakaś wiadomość z „Franklina”? - odezwał się Zavała.

- Nadał przez radio SOS, ale łączność się urwała. I zniknął z radaru.

- O co tu chodzi, Kurt? - zapytał Cabral.

- Oglądaliśmy z profesorem zdjęcia satelitarne i zobaczyliśmy duży wir w pobliżu „Franklina”. Miał milę lub dwie średnicy.

- NOAA bada wiry oceaniczne...

- Ale ten ma prawdopodobnie kilkaset metrów głębokości i wiruje z szybkością ponad trzydziestu węzłów.

- Żartujesz.

- Niestety mówię śmiertelnie poważnie.

Austin poprosił profesora, żeby opisał to, co widzieli. Adler wprowadzał kapitana w szczegóły, gdy przerwał im radiooperator:

- Mamy ich znów na radarze. - A po chwili dodał: - Mam łączność z „Franklinem”.

Cabral wziął mikrofon.

- Tu Cabral, kapitan statku NUMA „Throckmorton”. Odebraliśmy wasz sygnał SOS. Jaka jest wasza obecna sytuacja?

- Tu kapitan „Franklina”. Już wszystko w porządku, ale statek omal nie został wessany do wielkiej dziury w morzu. Jeszcze nie widziałem czegoś takiego.

- Ktoś ucierpiał?

- Jest trochę siniaków i skaleczeń, ale poradzimy sobie z tym. Austin przejął mikrofon.

- Tu Kurt Austin. Na pańskim statku jest dwoje moich przyjaciół, Paul i Gamay Troutowie. Nic im się nie stało?

Zapadła cisza, jakby znów urwała się łączność. Potem kapitan „Franklina” powiedział:

- Przykro mi to mówić, ale popłynęli pontonem po próbki planktonu i wciągnął ich wir. Próbowaliśmy przyjść im z pomocą i właśnie wtedy wpadliśmy w tarapaty.

- Widział ich pan w wirze?

- Mieliśmy pełne ręce roboty, a widoczność była praktycznie zerowa.

- Jak daleko od wiru jesteście teraz?

- Około mili. Boimy się podejść bliżej. Prądy wokół tego draństwa są wciąż dość silne. Co mamy robić?

- Zostańcie jak najbliżej wiru. Płyniemy do was, żeby się temu przyjrzeć.

- Dobra. Powodzenia.

- Dzięki - odrzekł Austin i odwrócił się do Cabrała. - Pete, chciałbym pożyczyć wasz helikopter. Kiedy może być gotowy do startu?

Cabral dobrze znał Kurta. Wiedział, że mimo beztroskiego uśmiechu i swobodnego zachowania ten pewny siebie, barczysty mężczyzna z niemal białymi

włosami, potrafi poradzić sobie ze wszystkim. Cabral był doświadczonym marynarzem, ale obecna sytuacja go przerastała. Postanowił zająć się prowadzeniem statku i zostawić resztę Austinowi.

- Jest zatankowany do pełna i gotowy do lotu. Powiem obsłudze, żeby czekała na ciebie przy maszynie. - Cabral wziął mikrofon interkomu.

Austin zasugerował, żeby statek NUMA utrzymywał dotychczasowy kurs i szybkość. Potem wraz z Zavalą pobiegli na lądowisko helikoptera na głównym pokładzie. Po drodze wpadli do magazynu po kilka rzeczy. Obsługa już rozgrzewała silnik lekkiego śmigłowca McDonnell Douglas. Wspięli się do kabiny i zapięli pasy. Rotory zaczęły młócić powietrze, helikopter uniósł się z pokładu i poleciał nisko nad morzem.

Austin obserwował ocean przez lornetkę. Po kilku minutach dostrzegł anteny, a potem nadbudowę statku NOAA. „Franklin” był blisko wielkiego, ciemnego kręgu wody, przy którym wyglądał jak zabawka. Wydawało się, że wir przestał rosnąć, ale Austin podziwiał odwagę załogi statku.

Zavala zwiększył trochę pułap i trzymał kurs prosto na wir. Kiedy się zbliżyli, powiedział:

- Przypomina kalderę wulkanu.

Austin skinął głową. Widok był podobny głównie z powodu lejowatego kształtu otworu i pary unoszącej się ze środka. Tworzyła mgłę, która przesłaniała dużą część oceanu.

Przez chmurę pary prześwitywała czarna powierzchnia boczna leja, o wiele gładsza niż we wszystkich wulkanach, jakie Austin dotąd widział. Żadne zdjęcie satelitarne nie oddawało grozy tego fenomenu. Wir wyglądał jak ogromna, ropiejąca rana kłuta w morzu.

- Jaką średnicę ma twoim zdaniem ten kocioł? - zapytał Austin. Zavala zmierzył lej wzrokiem.

- Cholernie dużą. Jakichś dwóch mil.

- Też tak myślę - przytaknął Austin. - Sądząc po nachyleniu powierzchni bocznej, sięga dna oceanu. Choć trudno to ocenić zza tej mgły. Możemy podlecieć bliżej?

Zavala skierował helikopter nad wir i zawisł nad nim. Z tego punktu obserwacyjnego lej wyglądał jak ogromny, odwrócony stożek wypełniony parą. Maszyna znajdowała się kilkadziesiąt metrów nad wirem, ale nadal nie widzieli, co jest w głębi.

- Co dalej? - spytał Zavala.

- Jeżeli zejdziemy w dół, możemy się potem nie wydostać.

- Co proponujesz?

- Daję ci prawo wyboru. Sądząc po tym, co się dzieje w tej pralce pod nami, może być już za późno, żeby pomóc Troutom. Może się okazać, że narażasz życie na darmo.

Na ciemnej twarzy Zawali pojawił się szeroki uśmiech.

- Pytałem, co proponujesz?

Austina zaskoczyłaby każda inna reakcja. Nie było mowy, żeby któryś z nich zostawił przyjaciół własnemu losowi. Wskazał kciukiem w dół. Zavala skinął głową i poruszył sterami. Helikopter zaczął się opuszczać w czarną głębię wiru.

## 10

Podczas opadania w otchłań najgorszy był piekielny hałas. Troutowie mogli zamknąć oczy, żeby nie patrzeć w głąb wirującej przepaści, ale nie było sposobu, żeby się uwolnić od ogłuszającego huku.

Każda cząstka ich ciał wibrowała od ciągłych uderzeń fal dźwiękowych. Ryk żywiołu pozbawił ich możliwości rozmowy ze sobą. Porozumiewali się gestami i uściskami rąk.

Woda rozbijała się na dnie leja z odgłosem grzmotu. Hałas potęgował kształt wiru podobny do megafonu. Jeszcze bardziej przerażały ich głośne parsknięcia i pochrząkiwania dochodzące z głębin. Mieli wrażenie, że zodiak jest wciągany do paszczy gigantycznej świni.

Ponton i jego pasażerowie przebyli około dwóch trzecich drogi w dół leja. Średnica stożka malała, szybkość łodzi rosła. W końcu zodiak wirował jak liść sałaty w nurze odpływowej pod zlewem kuchennym.

Im niżej opadał ponton, tym stawało się ciemniej. Mgła unosząca się z dna wiru gęstniała i coraz bardziej przesłaniała słabe światło dzienne w górze. Troutom kręciło się w głowach od ciągłego wirowania. Wilgotnym powietrzem trudno byłoby oddychać nawet bez duszących wyziewów z dołu: odoru soli, ryb i mułu. Wokół cuchnęło jak w bucie rybaka.

Łódź wciąż krążyła w przechyle, z dnem ustawionym równoległe do ściany leja. Gamay i Paul siedzieli tak blisko siebie, jakby byli zrosnięci biodrami. Trzymali się liny ratunkowej i siebie nawzajem. Byli wykończeni jazdą w pozycji półstojącej, półsiedzącej, balansując ze stopami wsuniętymi pod podłogę. Przez szpary w ich sztormiakach dostawała się woda, mieli mokre ubrania i dokuczało im zimno.

Szybkość opadania rosła, było jasne, że męka wkrótce się skończy. Zaledwie minuty dzieliły ich od zanurzenia się w najgęstszej mgłę. Gamay zerknęła w górę, żeby po raz ostatni spojrzeć na przyćmione słońce. To, co zobaczyła, sprawiło, że zamrugnęła powiekami. Nie wierzyła własnym oczom.

Nad zodiakiem wisiał człowiek. Gamay patrzyła na niego pod słońce i nie mogła rozpoznać twarzy, ale jego szerokie bary powiedziały jej wszystko. Kurt Austin!

Kołysał się na linie przymocowanej do helikoptera. Machał ręką i coś krzyczał, ale huk wiru zagłuszał jego słowa, a nawet hałas rotorów.

Gamay szturchnęła Paula łokciem w bok. Zdobył się na ponury uśmiech, potem spojrział tam, gdzie pokazywała palcem, i zobaczył Austina.

Helikopter krążył we wnętrzu wiru w tempie zodiaca. Zawała dawał imponujący pokaz kaskaderskiego pilotażu. Utrzymywał maszynę w przechyle, żeby wirniki nie dotykały ścian wodnego leja. Wystarczyłaby niewielka zmiana kierunku, żeby śmigłowiec runął na ponton wśród fruujących szczątków rotorów.

Akcja ratownicza została zaimprovizowana w pośpiechu. Kiedy helikopter opuszczał się do środka wiru, Austin dostrzegł coś żółtego poniżej połowy głębokości leja. Natychmiast rozpoznał sztormiak Trouta i wskazał go Zawali.

Śmigłowiec gonił krążącego zodiaca jak gliniarz pirata drogowego. Austin szybko

powiązał pasy kilku uprzęży w linę ratunkową. W jednej z paru pętli trzymał stopę, w innej rękę i kołysał się w turbulencji, którą powodował podmuch rotora i ciąg powietrza z wiru.

Trout skinął do Gamay, żeby ruszała pierwsza. Pomachała do Austina, żeby zasygnalizować, że jest gotowa. Helikopter opadł niżej i dolna pętla prowizorycznej drabinki znalazła się niecałe pół metra od jej wyciągniętych rąk.

Austin zszedł w dół w nadziei, że jego ciężar ustabilizuje linę. Ale nadal gwałtownie zmieniała położenie.

Otarła się o palce Gamay i oddaliła od niej. Gamay jeszcze dwukrotnie spróbowała złapać pętlę, ale bez skutku. W końcu wspięła się na burtę pontonu i stanęła na palcach.

Lina ratunkowa znów się zniżyła. Gamay zachwiała się niebezpiecznie, ale tym razem chwyciła dolną pętlę obiema rękami.

Uniosła się w powietrze. Obciążona dwiema osobami, lina stała się bardziej stabilna. Gamay zawisła na jednej ręce, złapała następną pętlę i podciągnęła się wyżej. Lina obracała się i Gamay zakreśliło się w głowie.

Na moment rozluźniła chwyt i spadłaby do wody, ale Austin zauważył, co się dzieje. Sięgnął w dół, zacisnął palce wokół jej nadgarstka i dźwignął ją do góry. Zadarła głowę, zobaczyła nad sobą jego uśmiechniętą twarz i wypowiedziała bezgłośnie słowa podziękowania.

Dolna pętla była wolna. Teraz przyszła kolej na Trouta. Lina opadła kilka centymetrów od jego wyciągniętej ręki. Kiedy chwycił pętlę, turbulencja przesunęła helikopter w kierunku ukośnej ściany wody. Palce Trouta trafiły w próżnię i omal nie stracił równowagi.

Zavala starał się zrównoważyć dodatkowy ciężar po jednej stronie śmigłowca. Poruszył spokojnie sterami i po chwili wrócił na poprzednią pozycję. Trout skoncentrował całą uwagę na dolnej pętli, ocenił odległość, wykorzystując sprężystość burty łodzi pneumatycznej podskoczył i złapał linę. Wisiał na jednej ręce, miotany wiatrem, i nie mógł dosięgnąć wyższej pętli.

Helikopter zaczął się powoli wznosić w przechyle równoległym do ściany bocznej wiru. Dotarli do środkowego punktu leja, gdy zodiak wykonał ostatnie okrążenie i zniknął w kipieli. Śmigłowiec osiągnął poziom powierzchni morza, potem znalazł się powyżej. Zavala zaczął się oddalać od wiru.

Trout nie mógł się podciągnąć do drugiej pętli. Wciąż wisiał na wyciągniętej ręce. Piekły go otarte palce. Obawiał się, że lada moment nie wytrzyma staw łokciowy. Cały czas obracał się na rozkołysanej linie.

Zavala chciał jak najszybciej oddalić się od leja wodnego, ale wiedział, że wzrost prędkości lotu pogorszy sytuację pasażerów.

Śmigłowiec był około sześćdziesięciu metrów od wiru, gdy Troutowi zabrakło siły. Puścił linę i wpadł do morza z potężnym rozbryzgiem wody.

Na szczęście nogi zamortyzowały wstrząs, ale kolana uderzyły go w pierś i stracił oddech. Przez chwilę szedł na dno, potem kamizelka ratunkowa uniosła go z powrotem do góry. Wynurzył się, wypływając słoną wodę. Nie spodziewał się, że może jeszcze bardziej zmarznąć, ale zimno lodowatego Atlantyku natychmiast

przeniknęło go do szpiku kości.

Zavala wyczuł zmianę w obciążeniu helikoptera i domyślił się, że zgubił kogoś z pasażerów. Zatoczył krąg, zawisnął na moment w powietrzu, potem opadł w dół, żeby jego przyjaciel mógł się chwycić drabinki sznurowej. Po raz drugi tego dnia Trout sięgnął do liny. Kiedy jednak jego zeszywniałe, otarte palce znajdowały się tuż koło pętli, poczuł, że porywa go silny prąd. Był dobrym pływakiem, przez całe życie miał do czynienia z morzem, ale im mocniej poruszał rękami i nogami, tym bardziej oddalał się od liny. Zavala starał się za nim nadążyć.

Trout walczył z prądem, ale nie mógł się utrzymać w jednym miejscu na tyle długo, żeby sięgnąć do pętli. Wkrótce znalazł się znów przy krawędzi wiru. Został wchłonięty przez rozbijające się fale i przykryła go piana.

Wyciągał szyję, żeby mieć głowę ponad wodą i móc oddychać. Prąd niósł go wokół krawędzi leja. Wydawało się, że wir chce odzyskać przynajmniej jedną z istot ludzkich, które miały śmiałość uciec z jego objęć.

Austin nie zamierzał rezygnować z ratowania przyjaciela. Wspiął się po linie do helikoptera, rozstawił szeroko nogi, chwycił drabinkę sznurową obiema rękami i wciągnął Gamay na pokład.

CMoknął ją szybko w policzek, potem wyrzucił linę przez otwarte drzwi i opuścił się do dolnej pętli.

Zavala leciał nad Troutem wokół kręgu piany. Znów zszedł na taką wysokość, żeby Paul mógł dosięgnąć liny. Spróbował, ale wymknęła mu się z ręki.

Austin domyślił się, że Paul jest zbyt zmęczony, żeby sobie z tym poradzić. Zobaczył, że Gamay wygląda z niepokojem z helikoptera. Pomachał do niej, wziął głęboki oddech i skoczył do morza.

Wylądował w wodzie blisko Trouta i podpłynął do niego. Paul szczekał zębami z zimna.

- Co... tu... robisz... do... cholery?
- Wyglądało na to, że się dobrze bawisz, więc pomyślałem, że się przyłączę.
- Odbiło ci?!

Austin uśmiechnął się szeroko i zaczął spinać razem ich kamizelki ratunkowe. Zadanie nie było łatwe. Kiedy w końcu mu się udało, spojrzał w górę i zobaczył, że helikopter wisi nad ich głowami.

Dał ręką znak i Zavala rozpoczął kolejną akcję ratowniczą. Po kilku próbach chwycenia uciekającej mu liny Austin stwierdził, że musiałby mieć szybkość grzechotnika, żeby tego dokonać. Zimno pozbawiało go energii i wiedział, że ma małe szanse. Nie od razu zauważył, że dzieje się coś dziwnego.

Poruszali się dużo wolniej wokół wiru. Ściany wielkiego wodnego dołu były teraz mniej strome niż przedtem. Pomyślał, że to tylko złudzenie optyczne, ale po chwili zobaczył, że dno leja podnosi się i wir przybiera kształt niecki.

Rozszalałe fale wokół krawędzi dołu zdawały się uspokajać. Woda opadała do zwykłego poziomu morza.

Dno leja wciąż się podnosiło. Ich szybkość malała, w końcu poruszali się w tempie pieszego człowieka.

Zavala zauważył zmianę konfiguracji wiru i jeszcze raz zszedł nisko nad dwie

postacie w morzu.

Przyptyw adrenaliny dodał Austinowi energii. Sięgnął w górę i jego palce zacisnęły się wokół liny. Gamay trzymała ją i popuszczała tak, żeby miał dużo luzu. Zgrabiłymi rękami przeciągnął linę pod pachami Trouta, potem opasał się nią i zasygnalizował Zavalę, żeby ich unióś.

Kiedy byli nad falami, Austin zobaczył, że zbliża się do nich statek NOAA i „Throckmorton”.

Zerknął w dół. Wir prawie zniknął. Pozostał tylko wielki, ciemny krąg obracającej się wolno wody. Pływały w niej wszystkie szczątki, jakie można sobie wyobrazić w oceanie.

W samym środku kręgu bulgotały pęcherze powietrza, jakby za chwilę miał się tam wynurzyć nurek. Ale były dużo większe niż te, które są wypuszczane z akwalungu. Potem woda wypiętrzyła się i z morza wyłonił się wielki obiekt. Osiadł na falach. Konający wir wypłuł statek.

## 11

Hydroplan LA-250 Renegade doleciał wzdłuż skalistego wybrzeża Maine do Camden, przechylił się w skrajnie nad flotyllą żaglówek, wychodzącą z malowniczego portu, i skierował na wschód nad zatoką Penobscot. Celem jego podróży była wyspa w kształcie gruszki, łatwo rozpoznawalna dzięki czerwono-białej latarni morskiej, pasiastej jak lizak, która wносиła się na wysokim cyplu.

Samolot wylądował na wodzie w pobliżu latarni i podkołował do boi cumowniczej. Dwaj mężczyźni, którzy przylecieli hydroplanem, przesiedli się do skiffa z silnikiem zaburtowym i dopłynęli do drewnianego pomostu, gdzie stała smukła motorówka i piętnastometrowy szkuner. Poszli pomostem do stromych schodów, które prowadziły w górę klifu.

W jasnym słońcu Maine lśniła ogolona głowa Spidera Barretta, ozdobiona kolorowym tatuażem. Barrett wyglądał jak zadymiarze motocyklowi. Nosił czarne dżinsy, czarny T-shirt i okrągłe okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi, niebieskimi szklami. Na jego muskularnych ramionach widniały wytatuowane czaszki, w uchu tkwił złoty kolczyk, w nosie srebrny, na szyi wisiał Żelazny Krzyż na srebrnym łańcuchu.

Wygląd Hell's Angel był mylący. Choć Barrett miał majątek w klasycznych motocyklach Harley-Davidson, ukończył z wyróżnieniem MIT, Instytut Technologiczny Massachusetts, i specjalizował się w mechanice kwantowej.

Pilot, Mickey Doyle, był krępy, nosił T-shirt drużyny Celtics i zapinaną na suwak bluzę New England Patriots. Na gęste, potargane włosy marchewkowego koloru miał naciągniętą czapkę baseballową Red Soksów. W zębach trzymał niedopałek grubego cygara. Pochodził z robotniczej dzielnicy w południowym Bostonie. Był ulicznym cwaniakiem z irlandzkim poczuciem humoru. Rozbrajający uśmiech Doyle'a potrafił oczarować naiwnych, ale nie mógł złagodzić wyrazu brutalności w jego niebieskich oczach.

Z gąszczy krzaków borówki amerykańskiej wyłonił się mężczyzna w mundurze kamuflującym i przekrzywionym czarnym berecie, uzbrojony w karabin automatyczny. Spojrzał wrogo na gości, wskazał im lufą podnóże klifu i ruszył kilka kroków za nimi.

U stóp urwiska otworzył pilotem drzwi, zamaskowane jako skalna ściana. W środku była winda. Wjechali na górę do latarni morskiej.

Kiedy wyszli z latarni, zobaczyli Tristana Margrave'a. Rąbał drewno i układał w stos. Odłożył siekiere, odprawił gestem uzbrojonego mężczyznę, podszedł do gości i uściśnął im dłonie.

- Ani chwili ciszy i spokoju - powiedział z udawanym niezadowoleniem na pociągłej, demonicznej twarzy.

Przerastał obu mężczyzn o głowę. Choć miał stwardniałe dłonie od rąbania drewna, nie był ani robotnikiem, ani reporterem „New York Timesa” o nazwisku Barnes, jak przedstawił się detektywowi Frankowi Malloyowi. Poznał Barretta w MIT, gdzie zdobył stopień naukowy w dziedzinie informatyki. Opracowali wspólnie innowacyjne oprogramowanie, na którym zarobili miliony. Barrett patrzył na wartownika znikającego między drzewami.

- Jak byłem tu ostatnim razem, nie miałeś psa obronnego.

- To facet z agencji ochrony - wyjaśnił Margrave. - Jest ich kilku. Obozują w głębi wyspy. Gant i ja pomyśleliśmy, że warto wynająć kogoś takiego.

- A co Gant chce, to dostaje.

- Wiem, że nie lubisz Jordana, ale jest dla nas bardzo ważny. Potrzebujemy jego fundacji do wynegocjowania porozumień politycznych po zakończeniu naszej operacji.

- Legion Lucyfera już ci nie wystarczy? Margrave zachichotał.

- Mój tak zwany legion zaczął się rozpadać po pierwszej wzmiance o dyscyplinie. Wiesz, jak anarchiści jej nie cierpią. Potrzebuję zawodowców. W dzisiejszych czasach tacy faceci nazywają siebie „konsultantami” i biorą kupę forsy za swoje usługi. Ten gość wykonuje po prostu swoją robotę.

- To znaczy?

- Pilnuje, żeby na wyspie nie pojawili się nieproszeni goście.

- Spodziewasz się takich?

- Nasza operacja jest zbyt ważna, żeby ryzykować. - Margrave wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Lepiej, żeby nikt nie zobaczył tutaj faceta z tatuażem pająka na głowie, bo mógłby zacząć zadawać pytania.

Barrett wzruszył ramionami i zerknął na stos drewna.

- Widzę, że żyjesz według swojej filozofii, ale dużo łatwiej byłoby pociąć te wszystkie kloce piłą łańcuchową. Nie mów, że cię na nianie stać.

- Jestem neoanarchistą, nie neoluddystą. Wierzę w technikę, jeśli służy dobru ludzkości. Poza tym piła łańcuchowa jest zepsuta. - Margrave odwrócił się do pilota hydroplanu. - Jaki mieliście lot z Portland, Mickey?

- Dobry. Przeleciałem nad Camden w nadziei, że widok ładnych żaglówek poprawi humor twojemu współnikowi.

- Dlaczego trzeba mu poprawić humor? - zapytał Margrave. - Niedługo wejdzie do panteonu nauki. Co się dzieje, Spider?

- Mamy problemy.

- Mówiłeś przez telefon. Myślałem, że żartujesz. Barrett uśmiechnął się smutno.

- Tym razem nie.

- Więc chyba musimy się napić. - Margrave ruszył pierwszy kamiennym

chodnikiem do dużego, białego, piętrowego budynku z oszalowanymi ścianami, który przylegał do latarni morskiej.

Kiedy Margrave kupił wyspę trzy lata wcześniej, postanowił zachować dom latarnika w takim stanie, w jakim był wówczas, gdy kwaterowali tu małomówni mężczyźni, obsługujący samotną placówkę. Pozostawił sosnową boazerię, zużyte linoleum na podłodze, ciemnoszary zlew i ręczną pompę w kuchni.

Margrave ścisnął Doyle'a za ramię.

- Mickey, Spider i ja musimy pogadać. W spiżarni jest butelka dżinu Bombay Sapphire. Bądź dobrym kumplem i zrób nam drinki. A sobie weź piwo z lodówki.

Pilot uśmiechnął się i zasalutował energicznie.

- Tak jest, kapitanie.

Dwaj współpracownicy wspięli się po żelaznych, spiralnych schodach na piętro. Kiedyś były tutaj sypialnie latarnika i jego rodziny, zamienione teraz na jeden duży pokój.

Prosty, nowoczesny wystrój wnętrza kontrastował z wyglądem parteru, gdzie niczego nie zmieniono. Po jednej stronie stał czarny tekowy stół z laptopem, po drugiej kanapa i dwa fotele z chromowanej stali i skóry. Za otwartymi oknami w trzech ścianach rozciągał się widok na wyspę z wysokimi sosnami i lśniące wody zatoki. W powietrzu unosił się słony zapach morza.

Margrave wskazał Barrettowi kanapę i usiadł w fotelu. Kilka minut później Doyle przyniósł drinki. Otworzył sobie puszkę budweisera i usadowił się przy stole.

Margrave uniósł szklanekę w toaście.

- Twoje zdrowie, Spider. Jasne światła Nowego Jorku już nigdy nie będą takie jak kiedyś. Szkoda, że nikt nie może poznać twojego geniuszu.

- Geniusz nie ma tu nic do rzeczy. Elektromagnetyzm jest częścią prawie każdej dziedziny naszego życia. Jeśli pomajstrujesz przy polach magnetycznych, możesz bardzo łatwo narobić zamieszania.

Margrave wybuchnął śmiechem.

- Skromność stulecia. Żałuj, że nie widziałeś miny tamtego gliniarza, kiedy jego nazwisko wyświetliło się na całym Times Square i Broadwayu.

- Mogłem tam być, ale było to takie proste, że załatwiłem wszystko z domu. Lokalizator w twoim dyktafonie zrobił swoje. Pytanie tylko, czy nasza demonstracja przybliży nas do celu.

Margrave spochmurniał i pokręcił głową.

- Śledzę wiadomości w mediach. Machina manipulacji pracuje pełną parą. Elity mówią że to był przypadek, iż zakłócenia porządku zbiegły się w czasie ze światową konferencją ekonomiczną. Ci idioci są zaniepokojeni, ale nie potraktowali poważnie naszego ostrzeżenia.

- Pora na następny strzał przed dziób?

Margrave wstał i podszedł do stołu. Wrócił z laptopem, usiadł i wpisał na klawiaturze polecenie. Jedyna ślepa ściana rozjarzyła się i wyświetliła wielką elektroniczną mapę oceanów i kontynentów.

Obraz kuli ziemskiej tworzyły dane z satelitów, radioboi i wielu naziemnych stacji nadawczych na całym świecie. Czarne kształty kontynentów odcinały się wyraźnie na niebieskozielonym tle mórz. Na Atlantyku pulsowały cyfry od jednego do czterech; dwie nad równikiem, dwie poniżej. Taki sam wzorzec widniał na



Pacyfiku.

- Numery oznaczają miejsca, gdzie zrobiliśmy badania dna morskiego. Mój model komputerowy pokazuje, że jeśli skoncentrujemy wszystkie nasze środki w tym rejonie na południowym Atlantyku, osiągniemy pożądaną efekt. Czas ostrzeżeń minął. Elity są albo za głupie, albo zbyt aroganckie. W każdym razie powinniśmy przejść do finału.

- Kiedy?

- Jak tylko wszystko ustawimy. Elity rozumieją tylko jeden język: pieniądze. Musimy ich mocno uderzyć po kieszeni.

Barrett zdjął okulary przeciwsłoneczne i wpatrzył się w przestrzeń, głęboko zamyślony.

- Co jest, Spider?

- Uważam, że powinniśmy odwołać całą sprawę - odrzekł Barrett.

Twarz Margrave'a przeszła zdumiewającą transformację. Rysy brwi i ust w kształcie litery V pogłębiły się. Wyraz diabelskiej wesołości zniknął. Zastąpiła go jawna wrogość.

- Dlaczego?

- To nie są studenckie wygłupy, Tris. Wiesz, co się może stać, jeśli stracimy nad tym kontrolę. Mogą zginąć miliony ludzi. Może dojść do takiej katastrofy ekonomicznej i ekologicznej, że świat się nie pozbiera przez kilkadziesiąt lat.

- Mówiłeś, że potrafisz nad tym zapanować.

- Oszukiwałem samego siebie. To zawsze było ryzykowne. Po tamtej historii ze statkiem handlowym w punkcie numer dwa wróciłem do początku. Przetestowałem w zatoce Puget zminiaturyzowaną wersję sprzętu. Orki dostały świra. Zaatakowały gromadę dzieciaków. Pożarłyby jednego faceta, gdybym go nie wyciągnął z wody.

- Ktoś widział generator?

- Ten facet. Nazywa się Kurt Austin. Czytałem o nim w gazecie. Pracuje w NUMA. Prowadził wtedy wyścig kajakowy, który się rozsypał. Widział urządzenie tylko przez moment. Niemożliwe, żeby się połapał, do czego to służy.

Margrave zrobił ponurą minę.

- Mam nadzieję. Bo inaczej musielibyśmy go wyeliminować.

- Chyba żartujesz? - przeraził się Barrett. Margrave się uśmiechnął.

- Jasne, że żartuję, stary. Widziałem reportaże o ataku orek. Mówisz, że to drapiezniki?

- Nie, mówię, że mój eksperyment zakłócił funkcjonowanie ich zmysłów, bo nie byłem w stanie kontrolować pola elektromagnetycznego.

- I co z tego? - odparł Margrave. - Nikt nie ucierpiał.

- Zapomniałeś, że straciliśmy jeden z naszych statków?

- Ze szkieletową załogą. Zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Dostali dużą forszę za ryzyko.

- A co z „Southern Belle”? Tamci marynarze nie dostali forsy za udział w naszych eksperymentach.

- Stara historia. To był wypadek, przyjacielu.

- Wiem, do cholery. Ale my jesteśmy odpowiedzialni za ich śmierć. Margrave pochylił się w fotelu do przodu. Błyszczały mu oczy.

- Wiesz, dlaczego tak mi zależy na tej sprawie.

- Czujesz się winny. Chcesz odpokutować za to, że twoja rodzina zbiła majątek na niewolnictwie i opium.

Margrave pokręcił głową.

- Moi przodkowie byli detalistami w porównaniu z tym, co jest teraz. Walczymy z koncentracją władzy, jakiej jeszcze nie było w historii świata. Nikt nie jest w stanie rywalizować z międzynarodowymi korporacjami, które przejmują kontrolę nad światem za pomocą Światowej Organizacji Handlu, Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Te niewybrane przez nikogo, niedemokratyczne ciała ignorują prawa obywatelskie i robią co chcą, bez względu na to, jaki to ma wpływ na innych. Chcę odzyskać władzę nad światem dla jego mieszkańców.

- Mówisz jak klasyczny anarchista - powiedział Barrett. - Jestem z tobą ale zabijanie niewinnych ludzi nie wydaje mi się dobrą metodą.

- Naprawdę mi przykro z powodu zatonięcia tamtych statków. Doszło do tragedii, ale nie można było temu zapobiec. Nie jesteśmy krwiożerczy ani szaleni. Jeśli uda nam się osiągnąć cel, katastrofy tamtych statków będą niską ceną za sukces. Jakies ofiary muszą być, żeby było lepiej.

- Cel uświęca środki?

- Jeśli to konieczne.

- Tak mówił Karol Marks.

- Marks był szarlatanem, nawiedzonym teoretykiem.

- Musisz przyznać, że ten projekt też opiera się na dość niekonwencjonalnych teoriach. Marksizm był tylko niedojrzałą ideą, dopóki Lenin nie przeczytał Kapitału i nie zamienił Rosji w raj ludzi pracy.

- To fascynująca dyskusja, ale wróćmy do techniki. Na początku tej sprawy mówiłeś, że potrafisz zapanować nad siłami, które uwolnimy.

- Mówiłem ci też, że bez właściwych częstotliwości system będzie niedoskonały - przypomniał Barrett. - Zrobiłem, co mogłem, ale jest duża różnica między strzałem z karabinu i strzałem ze strzelby, a właśnie jej używamy. Fale i wiry, które wywołaliśmy, były o wiele większe niż to, co pokazywały modele komputerowe. - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Myślę o wycofaniu się z tego, Tris. To, co robimy, jest zbyt niebezpieczne.

- Nie możesz się wycofać. Bez ciebie projekt się zawali.

- Nieprawda. Możesz iść dalej, korzystając z tego, co dotąd zrobiłem. Ale proszę cię jak przyjaciela, żebyś z tego zrezygnował.

Zamiast się wściec, Margrave wybuchnął śmiechem.

- Spider, to ty odkryłeś tezy Kovacsa i zwróciłeś na nie moją uwagę.

- Czasem tego żałuję. Ten człowiek był geniuszem, ale jego teorie są niebezpieczne. Może byłoby lepiej, gdyby zabrał swoją wiedzę do grobu.

- A gdybym ci powiedział, że Kovacs znalazł sposób na zneutralizowanie działania swojego wynalazku, zastanowiłbyś się jeszcze raz nad odejściem?

- Gdybyśmy mieli zabezpieczenie, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale to akademickie rozważania. Kovacs zginął pod koniec II wojny światowej i nie zostawił po sobie niczego takiego.

W oczach Margrave'a pojawił się chytry błysk.

- Założmy, że nie zginął.

- To niemożliwe. Jego laboratorium zajęli Rosjanie. Wzięli go do niewoli albo zabili.

- Gdyby go wzięli do niewoli, kazaliby mu kontynuować pracę i stworzyć superbroń.

- Próbowali - odrzekł Barrett. - Wywołali trzęsienie ziemi w Anchorage i spieprzyli pogodę. Gdyby Rosjanie mieli Kovacsa, poszłoby im lepiej. A więc musiał zginąć w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

- Tak się powszechnie uważa.
- Przestań się głupio uśmiechać. Coś wiesz, tak?
- Owszem - odparł Margrave. - Kovacs opublikował pracę naukową o broni elektromagnetycznej. Porwali go Niemcy, żeby stworzył broń, która uratuje Trzecią Rzeszę. Rosjanie zajęli laboratorium i zabrali niemieckich naukowców do siebie. Ale po zakończeniu zimnej wojny jeden z tych naukowców wyjechał z Rosji. Zlokalizowałem go. Kosztowało mnie to majątek.
- Chcesz powiedzieć, że miał dane, które są nam potrzebne?
- Niestety nie było to aż takie proste. Każdy z pracujących przy tym projekcie znał tylko jego część. Niemcy trzymali rodzinę Kovacsa jako zakładników. Nie ujawniał najważniejszych danych w nadziei, że ją uratuje.
- To ma sens - przyznał Barrett. - Gdyby Niemcy poznali antidotum na jego wynalazek, Kovacs przestałby im być potrzebny.
- Też tak myślę. Nie wiedział, że naziści zlikwidowali jego rodzinę niemal natychmiast i fałszowali listy od jego żony, skłaniające go do współpracy z nimi dla dobra dzieci. Na parę godzin przed zajęciem laboratorium przez Rosjan pojawił się pewien człowiek i zabrał Kovacsa ze sobą. Według naszego naukowca był wysokim blondynem i przyjechał mercedesem.
- Taki rysopis pasuje do połowy Niemców.
- Mieliśmy szczęście. Kilka lat po wyjeździe z Rosji nasz niemiecki informator natrafił na zdjęcie tamtego blondyna w jakiejś publikacji o narciarstwie. W latach sześćdziesiątych facet, który zabrał Kovacsa z laboratorium, wygrał jakieś amatorskie zawody narciarskie. Miał brodę i wyglądał starzej, ale nasz człowiek był pewien, że to on.
- Wytropiłeś go?
- Wysłałem kilku ludzi, żeby zaprosili go na rozmowę. Z tej samej agencji ochrony, która pilnuje wyspy.
- Co to za agencja? Słynne stowarzyszenie zawodowych zabójców Murder Incorporated?
- Margrave się uśmiechnął.
- Gant ich zaproponował. Przyznaję, że to twardziele. Potrzebowaliśmy profesjonalistów, którzy nie będą się wahać łamać prawa.
- Mam nadzieję, że usługi tych „łamaczy prawa” są warte twoich pieniędzy.
- Jeszcze nie. Zmarnowali swoją wielką szansę na pogawędkę z kontaktem Kovacsa. Zorientował się, że go szukają i zniknął.
- Nawet jeśli go znajdziesz, nie ma pewności, że coś wie o tajemnicach Kovacsa.
- Doszedłem do tego samego wniosku i wróciłem do Kovacsa. Stworzyłem program do poszukiwań wszystkiego, co kiedykolwiek o nim napisano lub powiedziano. Przyjąłem założenie, że gdyby żył, prowadziłby dalej swoje badania.
- Imponujący akt wiary. Jego praca pozbawiła go rodziny.
- Byłby ostrożny, ale miałyby trudności z zatarciem śladów po sobie. Mój program sprawdził wszystkie powojenne publikacje naukowe. Wyszukał kilka artykułów o komercyjnym zastosowaniu pól elektromagnetycznych.
- Barrett pochylił się do przodu w fotelu.
- Zamieniam się w słuch.
- Jednym z pionierów w tej dziedzinie była pewna firma w Detroit, którą założył Viktor Janos, imigrant z Europy.
- To nazwisko przywodzi na myśl Janusa, rzymskie bóstwo o dwóch twarzach zwróconych w przeciwne strony, w przyszłość i w przeszłość. Ciekawe.
- Też tak pomyślałem. Podobieństwa do pracy Kovacsa były zbyt wyraźne, żeby

mogły być przypadkowe. To tak, jakby Van Gogh naśladował Cezanne'a. Mógłby opanować impresjonistyczne operowanie światłem, ale nie potrafiłby się powstrzymać od śmiałego używania podstawowych kolorów.

- Co wiesz o Janosie?

- Niewiele. Za pieniądze można sobie kupić anonimowość. Podobno był Rumunem.

- Rumuński to jeden z sześciu języków, którymi płynnie mówił Kovacs. Co jeszcze?

- Miał laboratoria w Detroit i mieszkał w Grosse Pointe. Zawsze uciekał na widok obiektywu, ale nie mógł ukryć faktu, że jest hojnym filantropem. O jego żonie wspomniano w lokalnej kronice towarzyskiej. Była wzmianka o narodzinach ich syna, który potem zginął ze swoją żoną w wypadku samochodowym.

- A więc dosłownie dochodzimy do martwego punktu?

- Tak myślałem. Ale Janos miał wnuczkę. Poszedłem tym tropem i to był strzał w dziesiątkę. Napisała pracę dyplomową o mamutach.

- Co to ma wspólnego z Kovacsem?

- Słuchaj dalej. Ona twierdzi, że mamuty wyginęły z powodu takiej katastrofy, jaką chcemy spowodować, tylko jeszcze większej. A teraz najciekawsze. Jej zdaniem w dzisiejszych czasach nauka byłaby w stanie temu zapobiec.

- Antidotum? - parsknął Barrett. - Żartujesz.

Margrave wziął ze stołu teczkę z dokumentami i rzucił Barrettowi na kolana.

- Myślę, że jak to przeczytasz, zmienisz zdanie o projekcie.

- A co z tą wnuczką?

- Jest paleontologiem i pracuje na Uniwersytecie Stanu Alaski. Gant i ja postanowiliśmy wysłać tam kogoś, żeby z nią porozmawiał.

- Może wstrzyma realizację projektu do chwili, aż sprawdzimy, co ona wie?

- Zaczekam, ale chcę mieć wszystko ustawione, żebyśmy byli gotowi - odrzekł Margrave i odwrócił się do Doyle'a, który słuchał dyskusji w milczeniu. - Co myślisz o tym wszystkim?

- Ja? To dla mnie za mądre. Jestem tylko pilotem. Płynę z prądem. Margrave mrugnął do Barretta.

- Spider i ja będziemy przez chwilę zajęci.

- Rozumiem. Wezmę sobie jeszcze jedno piwo i się przejdę.

Po wyjściu Doyle'a dwaj współpracownicy usiedli przy komputerze. Kiedy się upewnili, że wszystko idzie zgodnie z planem, umówili się na następne spotkanie. Doyle przechadzał się po pomoście.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zmienił zdanie i nie wycofał się z tej sprawy - powiedział Margrave do Barretta. - Przyjaźnimy się od dawna.

- To wykracza poza przyjaźń - odparł Barrett.

Uścisnęli sobie dłonie. Kilka minut później hydroplan mknął po zatoce, by unieść się w powietrze. Margrave obserwował maszynę, dopóki nie stała się plamką na niebie. Potem wrócił do latarni morskiej. Przez chwilę stał przy oknie na pierwszym piętrze z uśmiechem na swojej dziwnej twarzy. Barrett był geniuszem, ale jednocześnie niewiarygodnym naiwniakiem, gdy chodziło o politykę.

Wbrew swemu zapewnieniu, Margrave nie zamierzał opóźnić realizacji projektu. Jeśli kiedykolwiek cel uświęcał środki, to właśnie teraz.

## 12

Barrett pokręcił głową. -Nie do wiary! Siedział w hydroplanie na miejscu pasażera i studiował dokumenty, które dostał od Margrave'a. Doyle spojrział na niego.

- Tris dał ci coś ciekawego?
- Ciekawego? To fantastyczne!

Barrett podniósł wzrok znad papierów i zerknął przez szybę. Wcześniej nie zwracał uwagi na to, co jest na zewnątrz, i spodziewał się widoku tego samego skalistego wybrzeża, wzdłuż którego lecieli do latarni morskiej. Ale nie zobaczył zatoki Maine. Wszędzie, aż po horyzont, rozciągał się gęsty, sosnowy las.

- Hej, Mickey, wypiełeś o jedno piwo za dużo? - zapytał, - Gdzie jest woda? Nie lecieliśmy tędy. Zgubiliśmy się.

Doyle wyszczerzył zęby, jakby został przyłapany na robieniu jakiegoś kawału.

- To malownicza trasa. Chciałem ci pokazać, gdzie poluję na jelenie. Lot potrwa tylko kilka minut dłużej. Wygląda na to, że dostałeś od Trisa interesujący materiał.

- Zgadza się - przytaknął Barrett. - To trudny temat i autorka generalizuje. Jest różnica między naturalnie występującym zjawiskiem a tym, co zamierzamy zrobić. Ale pisze z dużą znajomością rzeczy o tak zwanym antidotum. Tak, jakby osobiście rozmawiała z Kovacsem.

- To dobrze. Domyślam się, że będziesz dalej brał udział w projekcie? Barrett pokręcił głową.

- Nie. Ten materiał nie zmieni mojej decyzji. Nawet jeśli porozmawiamy z tą kobietą nie będziemy mieli pewności, co ona rzeczywiście wie, a co jest tylko teorią. Trzeba przerwać to szaleństwo. Katastrofie można zapobiec tylko w jeden sposób: ujawnić to wszystko.

- To znaczy?

- Mam kumpla w redakcji naukowej „Seattle Times”. Zadzwońię do niego, jak tylko wylądujemy, i opowiem mu całą historię.

Doyle pokręcił energicznie głową.

- Nie możesz opowiadać ludziom o tej sprawie. Naprawdę chcesz to zrobić? Możesz się wpakować w cholerne kłopoty.

- Zaryzykuję.

- Zniszczysz projekt i Trisa. Jest twoim współnikiem.

- Dużo o tym myślałem. Na dłuższą metę tak będzie dla niego lepiej.

- No, nie wiem.

- Ale ja wiem. Jeszcze mi podziękuje za to, że udaremniłem ten szaleńczy plan.

- Zaczekaj z tym. Powiedział, że się wstrzyma do czasu, aż ktoś pogada z wnuczką Kovacsa.

Barrett się uśmiechnął.

- Współpracuję z Trisem od dawna. Powiedział tak tylko po to, żeby mnie uspokoić. Świat musi się dowiedzieć, co kombinujemy. I niestety ja to ujawnię.

- O cholera!

- Co się stało, Mickey?

- Jak długo się znamy, Spider?

- Od czasu moich studiów w MIT. Prowadziłeś bar samoobsługowy. Chyba nie zapomniałeś?

- Nie. Tylko ty jeden z tych wszystkich cwanych chłopaczków z college'u nie traktowałeś mnie z góry. Byłeś moim kumplem.

- Odwdzięczałeś mi się. Znałeś w Cambridge bary, gdzie przychodziły najlepsze dziewczyny.

Doyle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nadal znam.

- Dobrze się urządziłeś, Mickey. Nie każdy może być pilotem.

- W porównaniu z szefem jestem nikim.

- Mówisz o Trisie? To jest gość! Ja zawsze byłem cieniem. Jestem jak architekt, który projektuje jeden dom. On jest jak developer, który sprzedaje ich tysiące. Dzięki jego wizji obaj zarobiliśmy miliony.

- Wierzysz w to wszystko, co mówi o anarchii?

- Częściowo. Na świecie brakuje równowagi i chciałbym potrząsnąć elitami, ale bardziej interesowało mnie wyzwanie naukowe. Teraz zrobił się problem i muszę wyprostować sprawy.

- Mówię ci po przyjacielsku, że to zły pomysł.

- Doceniam twoją przyjaźń, ale nie mam innego wyjścia. Przykro mi. Doyle milczał przez chwilę, potem odrzekł ze smutkiem:

- Mnie też.

Barrett uznał rozmowę za zakończoną i wrócił do lektury dokumentów. Od czasu do czasu zerkał przez szybę kabiny. Lecieli nad gęstym lasem, gdy Doyle nagle nastawił ucha.

- O kurczę! A to co?

Barrett przerwał czytanie i podniósł wzrok.

- Słyszę tylko silnik.

- Coś nie gra - odparł Doyle ze zmarszczonym czołem. Hydroplan opadł trochę w dół. - Tracimy moc, cholera! Trzymaj się! Będę musiał wylądować.

- Wylądować? - przeraził się Barrett. Wyciągnął szyję i popatrzył na gęsty las w dole. - Gdzie?

- Znałem tę okolicę dość dobrze, ale ostatni raz polowałem tutaj jakiś czas temu. Niedaleko stąd powinno być jezioro.

Samolot znów stracił wysokość.

- Coś widzę - powiedział Barrett i wskazał błysk odbitego słońca.

Doyle skierował samolot w kierunku plamy niebieskiej wody. Hydroplan szybko schodził w dół pod stromym kątem. Wydawało się, że spadnie na wysokie sosny. W ostatniej chwili Doyle poderwał maszynę, musnął wierzchołki drzew i wylądował na jeziorze.

Samolot dopłynął rozpędem do brzegu i zatrzymał się na wąskiej plaży. Doyle wybuchnął śmiechem.

- To była jazda! Nic ci się nie stało?

- Dupe mam tam, gdzie głowa, ale poza tym wszystko w porządku. Doyle popatrzył na las dookoła.

- Wylądować było łatwo. Trudniej będzie się stąd wydostać. Barrett wskazał radio.

- Nie powinniśmy wezwać pomocy?

- Za chwilę. Chcę sprawdzić, czy są jakieś uszkodzenia. - Doyle wyszedł na pływak i zeskoczył na plażę. Schylił się kilka razy, żeby zajrzeć pod kadłub. - Hej, Spider, spójrz na to.

Barrett wysiadł z samolotu.

- Na co?  
- Tu, pod kadłubem. Niesamowite.  
Barrett przykląkł, wciąż trzymając dokumenty.

- Nic nie widzę.  
- Zobaczysz - odparł Doyle i wyciągnął spod kurtki pistolet.  
Barrett pochylał się niżej i skórzana aktówka wysunęła mu się z ręki. Gruby plik dokumentów wylądował na ziemi. Część papierów natychmiast porwał wiatr i rozrzucił po polanie.

Barrett poderwał się i zaczął zbierać kartki. Udało mu się odzyskać wszystkie, zanim pofrunęły do lasu. Włożył je do aktówki i przycisnął ją mocno do piersi. Uśmiechnięty triumfalnie zawrócił do samolotu.

Wtedy zobaczył broń w ręku Doyle'a.

- Co jest, Mickey?  
- Żegnaj, Spider.

Barrett zorientował się po tonie głosu Doyle'a, że jego przyjaciel nie żartuje. Przestał się uśmiechać.

- Dlaczego?  
- Nie mogę pozwolić, żebyś zaprzepścił projekt.  
- Posłuchaj, Mickey. Tris i ja możemy się dogadać.  
- To nie ma nic wspólnego z Trisem.  
- Nie rozumiem.  
- Wypiję za ciebie piwo, kiedy następnym razem będę w Cambridge - odrzekł Doyle.

Pistolet kaliber 25 wypalił dwa razy.

Pierwszy pocisk utknął w skórzanej aktówce. Barrett poczuł uderzenie w pierś. Drugi pocisk drasnął go w głowę. Odezwał się instynkt przetrwania. Barrett rzucił aktówkę, odwrócił się i pobiegł do lasu. Doyle strzelił jeszcze parę razy, ale pociski trafiły nieszkodliwie w pień drzewa. Zaklął i ruszył w pościg.

Barrett ignorował niskie gałęzie, które smagały go w twarz, i wrzoście czepiające się jego dzinsów. Zaskoczenie i konsternacja ustąpiły miejsca przerażeniu. Po głowie i szyi spływała mu krew. Kiedy przedzierał się przez las, zobaczył na wprost srebrzyste lśnienie. O cholera! Zorientował się, że zatoczył krąg z powrotem w kierunku jeziora, ale nie miał już odwrotu.

Wypadł spomiędzy drzew na piaszczystą plażę sto metrów od samolotu. Słyszał, jak Doyle przedziera się przez gąszcz tuż za nim. Bez namysłu rzucił się do wody, wziął głęboki oddech i zanurkował. Był dobrym pływakiem i oddalił się kilka metrów od brzegu, zanim Doyle dobiegł do krawędzi wody.

Doyle przystanął na plaży i wycelował starannie w fale rozchodzące się w miejscu, gdzie zniknął Barrett. Podziurawił wodę pociskami, zmienił spokojnie magazynek i wystrzelał całą amunicję.

Tam, gdzie zanurkował Barrett, woda nabrała czerwonej barwy. Doyle postanowił odczekać pięć minut, żeby sprawdzić, czy Barrett nie wstrzymuje oddechu, ale usłyszał czyjeś wołanie zza kępy wysokich trzciny na lewo od siebie.

Zerknął na rosnącą plamę na powierzchni jeziora i wetknął pistolet za pasek. Ruszył szybko przez las i wrócił na polanę. Podniósł papiery, które upuścił Barrett, i

włożył je do aktówki. Zauważył w niej dziurę po pocisku i zaklął. Tak to jest, jak się używa pukawki zamiast solidnej broni. Kilka minut później leciał hydroplanem nad wierzchołkami drzew.

Kiedy zobaczył, że jego komórka ma zasięg, wybrał numer.

- No i...? - zapytał męski głos na drugim końcu linii.
- Załatwione - odrzekł Doyle. - Próbowałem go przekonać, żeby siedział cicho, ale się uparł, że wszystko ujawni.
- Szkoda. To był geniusz. Miałeś jakieś problemy?
- Żadnych - skłamał Doyle.
- Dobra robota - pochwalił głos. - Chcę cię zobaczyć jutro.

Doyle obiecał, że przyjedzie. Kiedy się wyłączył, pomyślał z irlandzkim sentymentem o starym przyjacielu, którego musiał zabić. Ale wychował się w dzielnicy, gdzie przyjaźń czasem kończyła się nocnym pogrzebem po nieudanej transakcji narkotykowej albo głupiej uwadze. Nie pierwszy raz pozbył się kumpla. Biznes to biznes. Niestety. Zaczął myśleć o czekającym go bogactwie i władzy.

Byłby mniej wyluzowany, gdyby wiedział, co się dzieje na jeziorze. Zza kępy trzciny wypłynęła łódka. Dwaj wędkarze łowiący na muchę usłyszeli strzały z jego broni. Myśleli, że ktoś poluje, i chcieli go ostrzec, że w pobliżu są ludzie. Jednym z pasażerów łódki był bostoński prawnik, a drugim lekarz.

Kiedy wyłonili się zza trzciny, prawnik wskazał wodę.

- Co to jest?
  - Wygląda jak melon z pajakiem na wierzchu - odrzekł lekarz.
- Powiosłowali w tamtą stronę. Kiedy podpłynęli, melon zniknął. Pojawiły się oczy, nos i otwarte usta. Spider Barrett spojrział w górę na zaskoczonych mężczyzn.
- Pomóście mi - poprosił błagalnie.

## 13

Rosyjski lodołamacz klasy Jamal nosił nazwę „Kotielnyj”. Miał wyporność dwudziestu trzech tysięcy ton i potężne silniki o mocy siedemdziesięciu pięciu tysięcy koni mechanicznych. Mógł rozbijać pokrywę lodową o grubości ponad dwóch metrów. Jego ostry dziób ciężko topniejący wiosenny lód jak gorący nóż przecina sorbet. Karla Janos stała na pokładzie dziobowym i patrzyła na zamgloną wyspę, która była celem jej podróży. Wzdrygnęła się.

Mimowolny dreszcz, który wstrząsnął jej smukłym ciałem, nie miał nic wspólnego z zimnem na Morzu Wschodniosyberyjskim. Karla była przyzwyczajona do mrozu po dwóch zimach spędzonych na Uniwersytecie Stanu Alaska w Fairbanks, gdzie temperatura regularnie spadała do czterdziestu stopni poniżej zera. Zbyt dobrze знаła okolice koła podbiegunowego, by się ludzić, że Wyspa Kości Słoniowej przywita ją ciepłem, co sugerowała jej nazwa, ale była zupełnie nieprzygotowana na takie ciemności w tym odludnym miejscu.

Jako naukowiec Karla wiedziała, że jej reakcja jest zbyt emocjonalna, jednak wyspa zrobiła na niej odpychające wrażenie. Najbardziej rzucał się w oczy wygasły wulkan z plamami śniegu wokół ściętego szczytu. Zachmurzone niebo pozbawiało



światło słoneczne wszelkiej barwy, morze i ląd spowijała przygnębiająca szarość. Kiedy statek zbliżył się do wyspy, Karla zauważyła, że niskie, faliste wzgórza i tundrę wokół wulkanu przecina sieć głębokich, krętych wąwozów, co w słabym świetle wyglądało tak, jakby wyspa kulila się z bólu. - Przepraszam, panno Janos. Za piętnaście minut rzucamy kotwicę. Karla odwróciła się i zobaczyła dowódcę lodołamacza. Kapitan Iwanow był mocno zbudowanym mężczyzną po sześćdziesiątce. Jego szeroką, ogorzałą twarz okalała siwa broda.

Dobroduszny kapitan od wielu lat pływał po zimnych wodach wokół tego archipelagu. Karla bardzo się zaprzyjaźniła z Iwanowem, odkąd weszła na pokład lodołamacza w jego macierzystym porcie na Wyspie Wrangla. Lubiła pogawędki z kapitanem przy kolacji. Rozmawiali na wiele tematów. Iwanow imponował jej znajomością historii, biologii i meteorologii. Jego wiedza wykraczała poza zakres potrzebny do dowodzenia dużym statkiem na nieprzyjaznych wodach. Rumienił się, gdy nazywała go człowiekiem renesansu.

Karla przypominała kapitanowi jego córkę, tancerkę w balecie teatru Bolszoi. Była wysoka, szczupła i długonoga. Poruszała się z wdziękiem i swobodą osoby, która ma zaufanie do swojego ciała. Długie blond włosy wiązała ciasno z tyłu głowy jak tancerka. Odziedziczyła najlepsze cechy swoich węgierskich i słowiańskich przodków: szerokie czoło, wydatne kości policzkowe, zmysłowe usta, jasną cerę i szare oczy, których migdałowy kształt zdradzał azjatyckie pochodzenie jej rodu. Karla uczyła się tańca, ale krótko. Wolała lekkoatletykę. Była w reprezentacji Uniwersytetu Stanu Michigan, gdzie uzyskała stopień naukowy w dziedzinie paleontologii. Specjalizowała się w kręgowcach.

- Dziękuję, kapitanie Iwanow - odrzekła. - Jestem już spakowana. Zaraz wezmę moje rzeczy z kajuty.

- Nie ma pośpiechu. - Iwanow przyjrzał się jej łagodnymi, niebieskimi oczami. - Wydaje się pani rozkojarzona. Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję, nic mi nie jest. Patrzyłam na wyspę i... Wygląda dość groźnie. To oczywiście wina mojej wyobraźni.

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Niezupełnie. Pływam po tych wodach od lat. Wyspa Kości Słoniowej za każdym razem wydaje się inna. Zna pani jej historię?

- Wiem tylko tyle, że odkrył ją jakiś handlarz futrami.

- Zgadza się. Założył osadę nad rzeką. Zabił kilku konkurentów w walce o futra, więc nie można było ochrzcić wyspy nazwiskiem mordercy.

- Słyszałam o tym. Nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby takie odludne i ponure miejsce ochrzczono moim nazwiskiem. Poza tym „Wyspa Kości Słoniowej” brzmi bardziej poetycko. No i znajdowano tu kości mamutów. - Karla zamilkła. - Powiedział pan, że wyspa się zmienia. W jakim sensie?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Czasami, kiedy mijam ją w ciemności, widzę ruchome światła w pobliżu dawnej osady traperów nad rzeką. Nazywają to miejsce Miastem Kości Słoniowej.

- To obóz naukowców, gdzie będę mieszkała.

- Prawdopodobnie widuję płonące złoża gazu.

- Gazu? Mówił pan, że te światła są ruchome.

- Jest pani bardzo spostrzegawcza - odrzekł kapitan. - Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć.

- Nic się nie stało. Zaintrygował mnie pan.

Karla była taka sama jak jego córka. Inteligentna. Uparta. Odważna.

- Wrócimy tu po panią za dwa tygodnie - powiedział. - Powodzenia w badaniach.  
- Dziękuję. Jestem optymistką. Mam nadzieję, że znajdę na wyspie coś na poparcie mojej teorii o przyczynie wyginięcia mamutów.

Kapitan się uśmiechnął.

- Jeśli pani koledy na wyspie odniosą sukces, może będziemy oglądali mamuty w moskiewskim zoo.

Karla westchnęła ciężko.

- Chyba tego nie dożyjemy. Nawet gdyby ekspedycja znalazła DNA mamuta w zachowanych szczątkach i udałoby się tym sztucznie zapłodnić indyjskiego słonia, wyhodowanie stworzenia o cechach mamuta potrwałoby pewnie ponad pięćdziesiąt lat.

- Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie - odparł kapitan. - Uważam, że manipulowanie naturą nie jest mądre. Przypomina to, co żeglarze mówią o gwizdaniu na łodzi. Można wywołać wiatr.

- Zgadza się z tym i dlatego zajmuję się tylko badaniami.

- Jeszcze raz życzę powodzenia. A teraz przepraszam, muszę się zająć statkiem.

Karla podziękowała kapitanowi za gościnność. Uścisnęli sobie dłonie. Poczuli się samotni, kiedy odszedł, ale skoncentrowała się na myśli o czekającej ją pracy. Zerknęła na wyspę i poszła do swojej kajuty. Wzięła bagaże i wróciła na pokład, żeby poczekać na transport na ląd.

Statek zatoczył szeroki łuk blisko brzegu, by zrobić wyłom w lodzie. Karla władowała swoje rzeczy do szalupy, potem sama wsiadła. Łódź opuszczono na wodę. Dwaj towarzyszący Karli marynarze odcumowali szalupę i popłynęli w kierunku lądu, omijając kry wielkości samochodów. Kiedy zbliżyli się do wyspy, Karla zobaczyła tam postać machającą ręką.

Kilka minut później łódź przybiła do brzegu tuż przy ujściu rzeki do zatoki. Karla wysiadła na żwirową plażę. Kobieta w średnim wieku, która czekała na szalupę, podeszła do Karli i nieoczekiwanie ją uściskała.

- Maria Arbatow - przedstawiła się po angielsku z rosyjskim akcentem. - Cieszę się, że mogę cię poznać, Karlo. Słyszałam wiele dobrego o twojej pracy. Nie mogę uwierzyć, że taka młoda osoba tyle zdołała.

Maria miała srebrzyste włosy upięte w kok, zaróżowione policzki i szeroki uśmiech, który zdawał się ogrzewać arktyczne powietrze.

- Ja też się cieszę, że mogę cię poznać, Mario. Dzięki za serdeczne powitanie.

Maria dopilnowała wyładunku zapasów dostarczonych łodzią. Kartony ustawiono starannie w stos, żeby zabrać je później. Maria powiedziała, że nic im tu nie grozi. Karla podziękowała załodze szalupy. Potem wraz z Marią wspięły się na łagodne wzniesienie i poszły wzdłuż brzegu rzeki. Na ścieżce widniały liczne ślady butów, co wskazywało, że od dawna jest to główna droga na plażę. Pod stopami kobiet chrzęściła wieczna zmarzlina.

- Jaką miałaś podróż? - zapytała Maria.

- Wspaniałą. Kapitan Iwanow to uroczy człowiek. „Kotielnyj” stale zabiera grupy turystów w rejsy wokół wysp, więc moja kajuta okazała się całkiem wygodna.

- Kapitan Iwanow dla nas też był bardzo uprzejmy. Przywiózł tutaj ekspedycję. Mam nadzieję, że nie przyzwyczaiłaś się za bardzo do wygod. Zrobiliśmy, co mogliśmy, ale nasze kwatery są dużo bardziej prymitywne niż te na statku.

- Przeżyję. Jak idą badania?  
- Jak to mówicie wy, Amerykanie: chcesz usłyszeć najpierw dobrą czy złą wiadomość?

Karla zerknęła na Marię z ukosa.

- Wybór zostawiam tobie.  
- Więc najpierw dobra wiadomość. Zrobiliśmy kilka wypraw i zebraliśmy dużo obiecujących szczątków.  
- To rzeczywiście dobra wiadomość. A jaka jest zła?  
- Przyjechałaś w środku nowej wojny rosyjsko-japońskiej.  
- Nie wiedziałam, że płynę do strefy wojennej. Co się stało?  
- Wiesz, że to jest międzynarodowa ekspedycja?  
- Tak. Rosyjsko-japońska. Chodzi o to, żeby dzielić się odkryciami.  
- Jako naukowiec dobrze wiesz, że ważne jest nie to, co odkryjesz, lecz to, jak duże uznanie dzięki temu zdobędziesz.  
- Uznanie to pozycja, kariera i, w rezultacie, pieniądze.  
- Zgadza się. Tutaj stawką są bardzo duże pieniądze, więc tym bardziej ważne jest, kto zdobędzie uznanie dzięki naszym odkryciom.

Były niecały kilometr od plaży i wspinały się na niskie wzgórze, gdy Maria oznajmiła:

- Jesteśmy prawie na miejscu. Witamy w Mieście Kości Słoniowej.

Doszły do kilku budynków stłoczonych blisko rzeki. Największy miał wielkość garażu na jeden samochód. Otaczały go trzykrotnie mniejsze, bez okien. Dachy były z blachy falistej. Z boku stały dwa duże namioty. Karla podeszła do najbliższego budynku i przesunęła dłonią po szorstkiej, szarej ścianie.

- Jest zrobiona prawie z samych kości i siekaczy mamutów - powiedziała z podziwem.

- Mieszkańcy wyspy wykorzystywali materiał, którego było tutaj najwięcej - wyjaśniła Maria. - Skamieniałości wiązali czymś w rodzaju betonu domowego wyrobu. Ta konstrukcja jest całkiem mocna i spełnia swoje podstawowe zadanie: chroni przed zimnym wiatrem.

Z boku budynku otworzyły się zniszczone, drewniane drzwi, i wyłonił się z nich potężny mężczyzna z krzaczastymi brwiami. Odepchnął Marię ramieniem, przytulił Karłę jak stęskniony wujek i ucałował w oba policzki.

- Siergiej Arbatow - przestawił się, pokazując w uśmiechu złoty ząb. - Jestem szefem tej ekspedycji. Jak to miło, że będzie z nami pracowała taka piękna istota.

Karla zauważyła, że Maria spochmurniała. Wiedziała, że choć ekspedycją kieruje Siergiej, jego żona ma wyższy stopień naukowy. Karla musiała stale walczyć z męskim środowiskiem naukowym i nie spodobało jej się to, że Siergiej traktuje ją protekcyjnie i ignoruje żonę. Ominęła Arbatowa i objęła Marię.

- A mnie miło będzie pracować z kimś, kto ma takie osiągnięcia naukowe - powiedziała.

Ponura mina Marii zniknęła. Rozpromieniła się. Groźne spojrzenie Arbatowa wskazywało, że czuje się mocno urażony. Nie wiadomo, co by się dalej stało, gdyby z budynku nie wyszli dwaj mężczyźni. Karla bez wahania podeszła i skłoniła się lekko przed starszym z nich.

- Doktorze Sato, nazywam się Karla Janos. Cieszę się, że mam okazję pana poznać. Wiele słyszałam o Ośrodku Naukowo-Technicznym w Gifu i uniwersytecie Kinki. - Odwróciła się do młodszego mężczyzny. - Doktor Ito, jak się domyślam, z Wydziału

Weterynarii uniwersytetu w Kagoshimie w południowej Japonii?

Dwaj mężczyźni wyszczerzyli zęby w uśmiechu i niemal jednocześnie skłonili głowy.

- Mamy nadzieję, że miała pani dobrą podróż - powiedział doktor Sato. - Jesteśmy bardzo zadowoleni, że mogła się pani przyłączyć do naszej ekspedycji.

- Dziękuję za zgodę na mój pobyt tutaj. Wiem, że są panowie zajęci własną pracą.

Karla pogawędziła chwilę z Japończykami o wspólnych znajomych ze środowiska naukowego. Potem podeszła Maria i wzięła ją za ramię.

- Pokażę ci swoją kwaterę. - Zaprowadziła Karłę do jednego z mniejszych budynków. Weszły do mrocznego wnętrza, gdzie pachniało stęchlizną. - Ten dom postawili kiedyś handlarze futrami. Obóz powiększyli poszukiwacze kości słoniowej. Jest tu wygodniej, niż się wydaje. W dwóch dużych namiotach mamy kuchnię i jadalnię. Mały na uboczu to łazienka dla wszystkich. Wieje tam, więc będziesz musiała nauczyć się szybko myć. Nie ma prysznica. Musi ci wystarczyć mokra gąbka. Mamy generator prądotwórczy, ale używamy go oszczędnie, bo brakuje paliwa.

- Na pewno będą zadowolona - odrzekła Karla, choć zastanawiała się przez moment, czy kogoś z handlarzy futrami nie zamordowano w jej obecnej kwaterze. Rozłożyła na podłodze karimatę i śpiwór.

- Moje gratulacje. Nasi japońscy przyjaciele byli gotowi jeść ci z ręki, kiedy wymieniałaś nazwy ich placówek naukowych.

- To było łatwe. Kiedy dostałam ich nazwiska, poszukałam w Internecie. Znalazłam ich zdjęcia i przeczytałam o nich. Ale na Sergieja chyba nie działa mój urok.

Maria wybuchnęła śmiechem.

- Mój mąż to dobry człowiek. Inaczej dawno bym go rzuciła. Ale czasami trudno z nim wytrzymać, zwłaszcza gdy chodzi o kobiety. I ma przesadne wyobrażenie o sobie.

- O was obojgu też czytałam. Sergiej nie ma na koncie nawet połowy twoich osiągnięć naukowych.

- Ale ma znajomości wśród polityków. To się liczy. Będzie cię szanował, jeśli mu się postawisz, ale jeśli nie masz nic przeciwko schlebaniu mu, będzie ci jadł z ręki. Tak naprawdę brakuje mu pewności siebie i ja robię to cały czas.

- Dzięki za radę. Będę dla niego miła. Jaki mamy harmonogram?

- W tej chwili nic jeszcze nie zostało postanowione.

- Nie rozumiem. - Karla zobaczyła w oczach Marii błysk rozbawienia. - Czegoś mi nie powiedziałaś?

- Tak. Dobra wiadomość jest taka, że znaleźliśmy coś wspaniałego. Zła jest taka, że pozostali zdecydują czy pokazać ci to odkrycie od razu, czy poczekać, aż cię lepiej poznają.

Prowokacyjna uwaga wzbudziła ciekawość Karli, ale odrzekła:

- Cokolwiek zdecydujecie, dostosuję się do tego. Będę zajęta własną pracą. Maria skinęła głową i zabrała Karłę z powrotem przed duży budynek, gdzie zgromadzili się inni naukowcy.

- Przyjechała pani na wyspę w bardzo niefortunnym, a może szczęśliwym momencie - Arbatow zwrócił się do Karli surowym tonem. - To zależy od pani.

- Nie rozumiem.

- Urządziliśmy głosowanie - wyjaśnił. - Postanowiliśmy przyjąć panią do kręgu wtajemniczonych. Ale musi pani przysiąc, że nie zdradzi pani nikomu, co pani widziała, teraz ani później, bez zgody członków tej ekspedycji.

- Doceniam to - odrzekła Karla. - Ale nadal nic nie rozumiem. - Zerknęła na Marię

w poszukiwaniu pomocy.

Arbatow wskazał dużą, drewnianą szopę. Po obu stronach solidnych drzwi stali Japończycy. Wyglądali jak posągi przed azjatycką świątynią. Na znak Rosjanina Sato otworzył drzwi i wykonał szeroki, zapraszający gest.

Wszyscy się uśmiechali. Karla zastanawiała się przez moment, czy nie trafiła do domu wariatów, którzy postradali zmysły z powodu izolacji w Arktyce. Weszła ostrożnie do środka. Powietrze było dużo mniej stęchłe niż w jej kwaterze, wyczuła zwierzęcy odór jak w oborze. Wydzielała go bryła brązoworudego futra na stole oświetlonym reflektorami zasilanymi z generatora. Karla zrobiła następny krok naprzód i zaczęła rozróżniać szczegóły.

Wydawało się, że stworzenie śpi. Niemal spodziewała się, że zaraz otworzy oczy, poruszy ogonem albo krótkim tułowiem.

Miała przed sobą zwierzę, które wyglądało jak żywy okaz sprzed dwudziestu tysięcy lat - najlepiej zachowanego młodego mamuta, jakiego dotąd widziała.

## 14

Jordan Gant przypominał Chimere, mitycznego wielopostaciowego greckiego potwora.

Był zdyscyplinowany jak mnich i sprawiał wrażenie ascety, ale czarny garnitur na zamówienie i golf w tym samym kolorze, które podkreślały bladość jego cery i srebrzystość siwizny, kosztowały więcej niż wielu ludzi zarabia przez tydzień. Jego waszyngtońskie biuro na Massachusetts Avenue wyglądało spartańsko w porównaniu z luksusowymi siedzibami innych potężnych fundacji w okolicy, ale Gant miał pałacową, wiejską rezydencję w Wirginii, stadninę koni i garaż pełen szybkich samochodów. Zrobił majątek na międzynarodowych inwestycjach, ale stał na czele organizacji, której celem było zniszczenie takich korporacji jak te, dzięki którym stał się bogaty.

Gant miał małe uszy przylegające do głowy, co nadawało mu wygląd opływowej, ozdobnej figurki na masce samochodu. Rysy jego twarzy nie zdradzały żadnych cech charakteru. Gdy był odprężony, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Opanował do perfekcji umiejętność uśmiechania się jak polityk i robił to tak, jakby wciskał włącznik elektryczny. Potrafił udawać szczere zainteresowanie w czasie najbardziej nudnej rozmowy i, niczym antyczny aktor, wkładać maskę współczucia lub radości. Czasami wydawał się bardziej iluzją niż człowiekiem.

Gant przywdział najbardziej sympatyczną minę, gdy siedział w swym biurze i rozmawiał z Irvingiem Sackerem, mężczyzną w średnim wieku z obwisłymi policzkami i przerzedzonymi, czarnymi włosami. Sacker i trzej inni przedstawiciele wpływowej waszyngtońskiej firmy prawniczej nosili tradycyjne garnitury, byli starannie ostrzyżeni i mieli wypielęgnowane paznokcie. Wyglądali jak seryjne produkty Wyższej Szkoły Prawniczej w Georgetown. Choć różnili się fizycznie, wszyscy mieli czujne miny polujących drapieżników.

- Widzę, że przyniósł pan papiery i dyskietki, tak jak prosiłem - powiedział Gant. Sacker wręczył mu neseser.

- Normalnie zostawilibyśmy sobie w biurze kopie, ale skoro zapłacił pan tyle za dyskrecję, usunęliśmy z naszych komputerów wszystkie pliki i wyczyściliśmy kartoteki. Wszystko jest tutaj. Tak, jakbyśmy w ogóle nie prowadzili pańskiej sprawy.

- W imieniu Global Interests Network chciałbym panom podziękować za trud i zachowanie tego całego projektu w tajemnicy.

- Wykonywaliśmy po prostu naszą pracę - odrzekł Sacker. - To było ciekawe wyzwanie. Stworzyliśmy dla pana na papierze megakorporację, która mogłaby kontrolować wszystkie możliwe środki łączności elektronicznej na świecie. Sieci telefonii komórkowej. Satelity. Całą telekomunikację.

- Muszą panowie przyznać, że tak to działa w tej branży. Ciągłe ktoś kogoś kupuje lub z kimś się łączy.

- Te firmy są jak stoiska z lemoniadą w porównaniu z tym, co dla pana przygotowaliśmy.

- Więc zrobiliście dokładnie to, o co prosiłem. Sacker uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie mam nadzieję, że zatrudni nas pan, gdyby doszło do procesów przed sądem antymonopolowym.

Gant zachichotał.

- Będziecie mieli pierwszeństwo.

- Mógłbym o coś zapytać, panie Gant?

- Proszę bardzo. Śmiało.

- W pewnych, wysoce nieprawdopodobnych okolicznościach te umowy i kontrakty umożliwiłyby komuś przejęcie kontroli nad głównymi światowymi systemami telekomunikacyjnymi. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale pańska fundacja jest przeciwnikiem globalnej wymiany handlowej, gospodarki rynkowej i kapitalizmu, które nazywa pan formami ucisku.

- Owszem. GIN jest prodemokratyczna i bezpartyjna. Zgadza się z tym, że wolny handel może być korzystny dla krajów rozwijających się i promocji pokoju. Ale walczymy z obecnym modelem wolnego handlu. Niepokoi nas to, że interesy firm są ważniejsze niż standardy bezpieczeństwa, a regulacje w dziedzinie ochrony środowiska są uważane za bariery dla wolnego handlu. Jesteśmy przeciwni koncentracji władzy w rękach kilku międzynarodowych korporacji. Protestujemy przeciwko inwestycjom wbrew lokalnemu prawu. Uważamy, że Bank Światowy, Światowa Organizacja Handlu i Międzynarodowy Fundusz Walutowy zastępują lokalne rządy. - Gant wziął czerwono-biało-niebieski folder i wręczył Sackerowi.

- Wszystko o projekcie „Wolność” może pan przeczytać w tej broszurce.

- Czytałem to - odrzekł Sacker - i częściowo zgadzam się z panem.

- Popatrzyl na plakaty na ścianie, przedstawiające Światową Organizację Handlu jako gigantyczną ośmiornicę. - Dlaczego pańska fundacja wydała tyle pieniędzy na stworzenie czegoś, z czym walczyacie?

- To proste. Uważamy, że taka megakorporacja, jaką stworzyliście na papierze, stanie się w niedalekiej przyszłości rzeczywistością. Jeśli chce się pokonać wroga, trzeba go poznać. Jesteśmy przede wszystkim zespołem ekspertów. Plan przygotowany przez panów umożliwi nam znalezienie słabych i mocnych stron globalnej sieci telekomunikacyjnej.

- Bardzo sprytnie. Zdaje się, że GIN już radzi sobie całkiem dobrze w tej branży. Ilekroć włączę telewizor, widzę któregoś z pańskich specjalistów, omawiającego ten temat.

- Dziękuję. Mamy spore sukcesy w docieraniu do opinii publicznej, ale mówi pan o wpływach, nie o władzy.

Sacker zerknął na zegarek i podniósł się z fotela. Gant uściskał prawnikom dłonie

i odprowadził ich do drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję. Będziemy w kontakcie.

Kiedy goście wyszli, Gant podszedł do telefonu, wcisnął przycisk interkomu i powiedział kilka słów. Boczne drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł Mickey Doyle.

- Cześć, Mickey - przywitał go Gant. - Słyszałeś? Doyle przytaknął.

- Sacker to cwaniak. Czegoś się domyśla. Tylko nie wie, czego.

- Moje wyjaśnienia chyba mu wystarczyły, ale nie jestem pewien, czy do końca mi uwierzył. Nieważne. Rozmawiałeś z Margrave'em od czasu sprawy z Barrettem?

- Dziś rano. Mówił, że dzwonił do Spidera, ale go nie zastał. Powiedziałem mu, że jak wysadziłem Barretta na lotnisku w Portland, postanowił gdzieś wyjechać na kilka dni, żeby wszystko przemyśleć.

- Dobra robota. - Gant otworzył szufladę biurka i wyjął skórzaną aktówkę. Doyle obawiał się pytań o dziurę po pocisku, więc wyrzucił starą teczkę i włożył papiery do nowej. - Przeczytałem materiał Karli Janos. Ona na pewno coś wie.

- Spider też tak uważał. Co mam z nią zrobić?

- Ktoś już się nią zajął. Kiedy zadzwoniłeś do mnie z wyspy z wiadomością o antidotum, które mogłoby zneutralizować to, co zrobimy, postanowiłem działać szybko. Nasi ochroniarze wytropili tę kobietę na Uniwersytecie Stanu Alaska w Fairbanks. Niestety minęli się z nią. Wyjechała prowadzić badania naukowe na Syberii.

- Na Syberii?! Jezu! Szkoda, że nie na Księżycu.

- Bez obaw. Ci, co płacą rachunki tutaj, w fundacji, mają rozległe znajomości. Często robią interesy w Rosji i skontaktowali mnie z pewnym dżentelmenem w Moskwie. Zawiadomił swoich ludzi na Syberii. Zlokalizowali pannę Janos na odludnej wyspie. Porwą ją i przetrzymają dopóki nie dotrze tam grupa, która ją przesłucha. Jest już w drodze.

- Myślisz, że ona wie coś, co może zniszczyć projekt?

- To bez znaczenia - odparł Gant. - Chcemy się po prostu dowiedzieć, czy komuś coś mówiła. Potem się jej pozbędziemy. Możemy mieć inny problem. Z Kurtem Austinem, tym facetem z NUMA, o którym wspominał Barrett. Nie podoba mi się to, że widział cewkę.

- Będę go miał na oku.

- Dobra. Przeczytałem jego życiorys. Ma imponującą przeszłość. Lepiej, żeby nie narobił nam kłopotów. Jeśli uznamy, że jest dla nas groźny, wyeliminujemy go. Na razie trzymaj się blisko Margrave'a i natychmiast melduj, jeśli będzie coś ważnego. Chcemy, żeby doprowadził ten projekt do końca własnymi środkami.

- Z wielką przyjemnością.

Gant był mistrzem w ukrywaniu własnych emocji, ale miał talent do odczytywania cudzych. Doyle wyglądał jak buldog czekający na stek.

- Nie lubisz go, co?

- Trisa? Nie. Zawsze traktuje mnie jak śmiecia. Myśli, że jestem jego małpką. Kaze mi podawać kawę albo drinki, a w nagrodę daje mi piwo. Prawie mnie nie widzi.

- Dlatego jesteś taki cenny dla projektu „Wolność”. Dostaniesz taką nagrodę, o jakiej ci się nawet nie śniło. Jeśli to cię na razie pocieszy, Margrave, mimo całej swojej błyskotliwej inteligencji, nie ma pojęcia, co się dzieje pod jego nosem. Nie wie, że firma ochroniarska, która dla niego pracuje, to prywatna armia tych samych „elit”, jak je nazywa, które chce upokorzyć. Myśli, że jego mały projekt pomoże osiągnąć cel jego przyjaciółom neoanarchistom. Nie zdaje sobie sprawy, że to, co robi, zniszczy jego i tych niedomytych idiotów i umocni władzę ludzi, których chce pokonać.

- Co chcesz zrobić z tamtym staruchem w Montanie? Gant zachichotał.  
- Moje filozoficzne wywody muszą cię nudzić.  
- Wcale nie. Po prostu potrzebuję jakichś wskazówek.  
- Wątpię, żebyś znów chciał się szarpać z tym starym niedźwiedziem grizzly po tym, jak załatwił twoich dwóch ludzi.  
- Był sprytny, a oni głupi.  
- Nie lubię niedokończonych spraw, ale on już nie jest ważny. Mamy informację o dziewczynie, więc przestał nam być potrzebny. Jeszcze jedno. Pozbądź się tych prawników, którzy tu byli. Upozoruj wypadek. Może jakaś eksplozja w ich biurze?  
Doyle wstał z fotela.

- Zaraz się tym zajmę.

Po wyjściu Doyle'a Gant podszedł do okna i popatrzył na Massachusetts Avenue. Durnie w tym mieście myślą że żyją w najpotężniejszym kraju na świecie. Nigdy nie rozumieli, że siła militarna jest ograniczona. Organizacja elit, do której należał, wiedziała, że do osiągnięcia celów politycznych nie wystarczy broń. Konieczna jest ścisła inwigilacja, całkowita kontrola nad telekomunikacją. Ten plan miał być wkrótce zrealizowany.

## 15

Austin opierał się o burtę „Throckmorta” i patrzył przez lornetkę na statek, który nagle wyłonił się z głębi morza. Był przechylony i tak głęboko zanurzony, że metrowe fale przelewały się przez pokład. Ale jakimś cudem utrzymywał się uparcie na powierzchni, jakby nie chciał wrócić do podwodnego grobu.

Austin był ekspertem w dziedzinie ratownictwa morskiego. Podnosił już z dna obiekty wszystkich kształtów i wielkości, od bomb atomowych do okrętów podwodnych. Wiedział, że ten statek unosi się na wodzie wbrew prawom fizyki.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że na morzu zdarzają się dziwne rzeczy. Nie był przesądny, ale lata żeglugi po oceanach świata nauczyły go, że niedające się wyjaśnić zjawiska to codzienność. Nie różnił się od wielu innych marynarzy, którzy przypisywali statkom ludzkie cechy. Ten frachtowiec wydawał się zdecydowany opowiedzieć swoją historię. Austin zamierzał jej wysłuchać.

- Dlaczego on nie tonie? - odezwał się Zavała.

- Nie wiem, co go utrzymuje na powierzchni i dlaczego się wynurzył - odrzekł Austin. - Może tkwił w dennym mule albo był obciążony ładunkiem. Wir uwolnił go od ciężaru i wypłynął do góry jak kawałek drewna.

- Zauważył sceptyczną minę Zawali i powiedział: - No dobra, nie mam bladego pojęcia, dlaczego unosi się na wodzie i nie idzie na dno. Chcesz mu się przyjrzeć bliżej?

Podobnie jak Austin, Zavała był owinięty jednym z koców, które dała im załoga, kiedy weszli na pokład po uratowaniu Troutów.

- Miałem nadzieję, że usiądziemy przy butelce Reposady, ale mogę zaraz z powrotem wskoczyć do helikoptera, tylko się przebiorę w suche rzeczy - odpowiedział.

Austin zapomniał, że ma przemoczone ubranie po kąpieli w oceanie.



- Myślałem o pontonie, żebyśmy mogli wejść na pokład i się rozejrzeć - odparł.  
- Zawsze chętnie pływam łodzią. Poza tym im starsza jest tequila, tym lepiej smakuje.

Austin zaproponował, żeby spotkali się przy pontonie. Poszedł do swojej kajuty i przebrał się w suche ubranie. Potem wstąpił do izby chorych, żeby sprawdzić, jak się czują Troutowie. Spali. Pielęgniarka powiedziała, że byli wykończeni, ale po kilku godzinach snu wrócą do formy.

Po wyjściu z izby chorych Austin spotkał Adlera. Profesor chciał jak najszybciej wypytać Troutów o ich przygodę w wirze. Był zawiedziony, że nie może się z nimi zobaczyć. Austin zasugerował, żeby porozmawiał z rannymi członkami załogi „Benjamina Franklina”, których przetransportowano na „Throckmorta”. „Franklin” stał na kotwicy blisko statku NUMA.

Austin spotkał się z Zavalą przy bomie do wodowania pontonu i po kilku minutach płynęli w kierunku tajemniczego statku. Austin zatoczył łodzią szeroki krąg wokół frachtowca, a Zavała zrobił zdjęcia. Na powierzchni morza unosiły się martwe ryby i różne szczątki. Austin zmierzył wzrokiem frachtowiec i porównał go ze statkami NOAA i NUMA.

- Wygląda na dość nowy - powiedział. - Oceniam, że ma jakieś sto metrów długości.

- Wygląda jak ja po nocy na mieście - odparł Zavała. - Jest dość szeroki. Zbudowano go do transportu dużej ilości ładunku. Ale nie widzę bomów przeładunkowych. Musiał je urwać wir.

- Na kadłubie nie ma nazwy ani numeru rejestracyjnego - zauważył Austin.

- Może to piracki statek.

Sugestia Zawali nie była taka dziwna, jak mogłoby się wydawać. Współczesne piractwo to duży problem na morzach świata. Podobnie jak ich poprzednicy w dawnych czasach, piraci porywają statki i używają ich do ataków na inne.

- Być może - odrzekł bez przekonania Austin. Frachtowiec był w całkiem dobrym stanie, biorąc pod uwagę to, że leżał na dnie oceanu. - Sądząc po wyglądzie, zatonał bardzo niedawno. Nie widzę dużo rdzy, choć mógł ją usunąć piasek. - Zmniejszył szybkość pontonu do ślimaczego tempa. - Obejrzelśmy już wszystko, co mogliśmy zobaczyć z poziomu morza. Wchodzimy na pokład?

- Zgodnie z protokołem, powinniśmy poczekać na zaproszenie od kapitana - odpowiedział Zavała.

- Owszem, w normalnych okolicznościach - przytaknął Austin. - Ale najwyraźniej jest zajęty. Chyba widzę flagę koktajlową.

- To masz lepszy wzrok ode mnie. Ja widzę tylko kadłub wraka, który wygląda tak, jakby miał się przewrócić, jeśli na pokładzie usiądzie mewa.

- W takim razie lepiej fruwać w powietrzu.

Zavała skontaktował się przez radio z „Throckmortem” i poprosił, żeby na wszelki wypadek byli w pogotowiu. Austin podpłynął pontonem do niższej burty przechylonego statku. Zaczekał, aż nadejdzie fala, potem zwiększył obroty silnika. Zodiak wspiął się na jej grzbiet i morze uniosło go na frachtowiec. Zavała szybko przywiązał łódź do metalowego kikuta sterczącego z pokładu. Pochylili się do przodu jak dekarze na spadzistym dachu, i na wpół weszli, na wpół wpełzli pod górę. Szeroki skośny pokład był pusty, tylko w śródkręciu wystawał pogięty metal.

Dotarli do miejsca, gdzie cztery stalowe belki, przyśrubowane do pokładu, tworzyły czworobok wokół prostokątnego otworu o powierzchni około trzydziestu pięciu metrów kwadratowych. Zajrzeli do środka ciemnego szybu i usłyszeli

uderzenia fal o metal.

- Ten szyb sięga aż do dna - zauważył Zavala, - Ciekawe, do czego służył?  
- Chyba coś tędy opuszczali i podnosili. Na tej prostokątnej ramie mógł stać jakiś dźwig.

Stalowe belki zasłaniała częściowo płatanina grubych kabli elektrycznych, które wyglądały jak czarne spaghetti. Austin przyglądał się temu uważnie. Zatrzymał wzrok na stożku z metalowej siatki o długości około ośmiu metrów. Konstrukcja leżała na boku wśród lin mocujących i przewodów, które znikwały w głębi otworu w pokładzie.

Widok stożka coś mu przypomniał. Wysokie płetwy grzbietowe tnące wodę. Łysego mężczyznę z dziwnym tatuażem na głowie, manipulującego przy czarnej skrzynce i zapewniającego go, że wszystko będzie w porządku. Orki przerywające atak tak nagle, jak go rozpoczęły.

- Spider Barrett - powiedział bez namysłu Austin. Zavala spojrzał na niego.  
- Kto?  
- Ten facet wciągnął mnie na swoją łódź w zatoce Puget, kiedy orki dostały świra. Miał na pokładzie zminiaturyzowaną wersję tego metalowego stożka.

- Do czego?  
- Ty jesteś w zespole ekspertem technicznym. Domyśl się. Zavala podrapał się w głowę.

- Wszystkie kable prowadzą do tego dużego stożka. Podejrzewam, że stał nad tą dziurą na jakiejś ramie. Może opuszczali go tędy do wody. Ale nie przychodzi mi na myśl żadne praktyczne zastosowanie takiego urządzenia na statku. Po włączeniu zasilania zadziałałoby pewnie jak wielka świeca zapłonowa. Austin nie zastanawiał się długo.

- Więc podnieśmy maskę i zobaczymy, co jest w środku. Zavala uśmiechnął się krzywo.

- Kto przy zdrowych zmysłach oparłby się propozycji, żeby wpełznąć do wnętrza statku, który może przewrócić jedno kichnięcie?

- Myślałem, że obawiasz się mewy.

- A jeśli przyleci kichająca mewa?

- Spójrz na to w ten sposób. Wolałbyś siedzieć za biurkiem w NUMA czy być tutaj, gdzie jest taki wspaniały widok na ocean?

- Wolałbym siedzieć za kierownicą mojej corvetty i mieć widok na piękną blondynkę.

- Uznaję to za zgodę - powiedział Austin. - Chyba wiem, jak się tam dostać.

Mimo tych żarcików obaj doskonale zdawali sobie sprawę, czym może grozić zejście pod pokład. Jednak Zavala wierzył w instynkt Austina i bez wahania wszedłby za nim do piekła. Austin podszedł do wjazdu o powierzchni około metra kwadratowego, który wypatrzył wcześniej swoim bystrym wzrokiem.

Odrygłował pokrywę, zaparł się nogami o pokład i pociągnął. Właz uderzył z metalicznym dźwiękiem o zawiasy. Z dołu buchnął taki odór, że musieli się cofnąć. Austin odpiął od pasa latarkę halogenową i oświetlił otwór. W jasnym blasku ukazały się szczeble metalowej drabinki.

Zdjęli kamizelki ratunkowe. Przeszkadzałyby im tylko, a i tak się do niczego nie przydadzą jeśli statek się przewróci, kiedy będą pod pokładem. Austin pierwszy zaczął schodzić po drabince. Z powodu przechyłu frachtowca była ustawiona pod ostrym kątem. Po pięciu metrach poczuł pod stopami twardą, ukośną powierzchnię. Musiał się trzymać drabinki, żeby nie stracić równowagi.

Zavala był tuż za nim. Rozejrzał się.

- Tu jest jak w parku rozrywki.
- Więc się rozerwijmy - odrzekł Austin.

Oparł się o dolną ścianę i ruszył wąskim korytarzem. Po około piętnastu metrach natrafili na schody prowadzące w dół. Perspektywa zejścia niżej w głąb statku nie była zachęcająca, zwłaszcza że przechył pokładu zwiększył się nagle o kilka stopni. Wiedzieli, że jeśli frachtowiec się przewróci, zginą. Nie zdążą wrócić na górę. Austin był jednak zdecydowany poznać tajemnice statku.

- Sądysz, że to twój szczęśliwy dzień? - zapytał. Jego głos odbił się echem od ścian korytarza.

Zavala się uśmiechnął.

- Wygraliśmy walkę z gigantycznym wirem. Założę się, że szczęście nas nie opuści.

Zeszli pokład niżej. Wyglądał identycznie jak pierwszy. Korytarz doprowadził ich do drzwi. Nie były zaryglowane. Otworzyli je. Kiedy przestąpili próg, wyczuli węchem zmianę otoczenia. W powietrzu nie unosił się zapach soli, który wypełniał korytarz, lecz elektryczności, jak w kabinie radiowej.

Austin poświecił wokół lampą. Stali na galerii z widokiem na wielką ładownię. W pomieszczeniu były cztery masywne, cylindryczne obiekty usytuowane w rzędzie.

- Wygląda jak elektrownia wodna wewnątrz tamy Hoovera - powiedział Austin.
- Ta wystarczyłaby do oświetlenia małego miasta.
- Albo do zasilania wielkiej świecy zapłonowej - odrzekł Austin, myśląc o zniszczonej cewce na pokładzie. Skierował światło w górę. Z sufitu zwisały grube kable. Biegły do generatorów.

Coś zaskrzypiało.

Pokład pod ich stopami przechylił się jeszcze bardziej.

- Chyba właśnie wylądowała mewa, której się obawiałeś - powiedział Austin.
- Zavala zerknął w górę.

- Miejmy nadzieję, że nie jest przeziębiona.

Austin był odważny, ale nie głupi. Wycofali się z ładowni, wspięli po schodach, wrócili korytarzem do włazu i wyszli na zewnątrz. Po klaustrofobicznej ciemności wewnątrz statku z przyjemnością oddychali świeżym powietrzem. Frachtowiec miał coraz większy przechył. Austin nie zaspokoił jeszcze ciekawości. Nie zauważył ani śladu nadbudowy, ale gdzieś musiała być sterownia. Kiedy Zavala połączył się z „Throckmortonem”, żeby zameldować, jaka jest sytuacja, Austin ruszył skośnym pokładem w kierunku rufy.

Napotkał jeszcze kilka włazów. Musiałby wybierać na chybił trafił i mieć dużo szczęścia, żeby otworzyć właściwy. Potem znalazł to, czego szukał. W pobliżu włazu na środku pokładu rufowego znajdowały się okrągłe izolatory. Przypuszczał, że mogły być na nich umieszczone anteny radiowe, które zniszczył wir. Otworzył właz, przywołał gestem Zavalę i zszedł po drabince na dół.

Pokład niżej zobaczył to samo, co w poprzednim miejscu. Ale tutaj korytarz miał tylko około trzech metrów długości i kończył się drzwiami. Otworzyli je i weszli do środka.

- Chyba właśnie znaleźliśmy załogę - powiedział Zavala.

W sterowni było sześć ciał w stanie rozkładu. Leżały na stosie w dolnej części

przechylnego pomieszczenia. Austin nie chciał naruszać grobowca marynarzy, ale wiedział, że trzeba się dowiedzieć jak najwięcej o tym statku. Mając Zavalę tuż za sobą wszedł głębiej i spojrział na wielką konsolę sterowniczą. Roilo się na niej od wskaźników i włączników. Była dużo bardziej skomplikowana niż wszystkie, jakie dotąd widział. Domyślił się, że z tej niewielkiej kabiny obsługiwano prądnice w ładowni. Oglądał uważnie przyrządy kontrolne, gdy nagle statek zaskrzypiał, a potem zatrzeszczał.

- Kurt! - krzyknął Zavala.

Austin wiedział, że jeśli zostaną tu sekundę dłużej, podzielą los martwej załogi.

- Chyba już tu skończyliśmy.

Przebiegli korytarz, wspięli się szybko po drabinie i wydostali się na słońce.

Austin próbował liczyć w myślach sekundy, które upłynęły od chwili, kiedy usłyszeli hałas, ale w pośpiechu stracił rachubę. Nie było już czasu na wsiadanie do łodzi, uruchamianie silnika i odbijanie od statku. Zostawili kamizelki ratunkowe, dotarli do zanurzonej burty i skoczyli do wody.

Wynurzyli się i popłynęli przed siebie najszybciej, jak mogli, żeby nie wessał ich wir, który wytworzy tonący frachtowiec. Kiedy oddalili się od statku, zatrzymali się i obejrzel.

Jedną burtę już całkowicie przykrywała woda. Frachtowiec miał niebezpieczny przechył; pokład był ustawiony niemal prostopadle do powierzchni oceanu. Kichająca mewa Zavali chyba rzeczywiście wylądowała, bo statek nagle się przewrócił. Unosił się przez kilka minut na morzu i wyglądał jak lśniaca, mokra skorupa gigantycznego żółwia. Woda zalała ładownię i frachtowiec zanurzył się głębiej. Pozostał widoczny tylko mały fragment kadłuba. Potem on też zniknął w gejzerach spienionej wody.

Morze zabrało z powrotem swoją własność.

## 16

Miło mi pana poznać, profesorze Kurtz - powiedział Harold Mumford, profesor zooarcheologii. - Może być herbata Earl Grey?

- To moja ulubiona - odrzekł mężczyzna siedzący w gabinecie Mumforda w kampusie Uniwersytetu Stanu Alaska w Fairbanks. Miał pociągłą twarz, wydatną szczękę, jasnoniebieskie oczy i siwiejące kasztanowe włosy.

Mumford napełnił dwie filiżanki i podał jedną swojemu gościowi.

- Odbył pan długą podróż. Z Berlina do Fairbanks jest kawałek drogi.

- Owszem, Niemcy są daleko stąd, doktorze Mumford. Ale zawsze chciałem zobaczyć Alaskę. To pogranicze cywilizacji.

- Szybko się zmienia - powiedział Mumford, tęgi mężczyzna w średnim wieku o twarzy przyjaznego morsa. - W naszym mieście jest już nawet centrum handlowe WalMart. Ale bez trudu znajdzie pan tutaj dzikie okolice pełne niedźwiedzi grizzly i łosi. Mam nadzieję, że wybierze się pan do Parku Narodowego Denali?

- O tak. Mam to w planie. Bardzo mnie podnieca ta perspektywa.

- To całodniowa wycieczka, ale warto poświęcić na nią czas. Przykro mi, że nie zastał pan Karli Janos. Jak wspominałem przez telefon, wyjechała kilka dni temu w

teren.

- Zdecydowałem się tu przyjechać w ostatniej chwili - odrzekł Schroeder. - Niespodziewanie okazało się, że mam trochę wolnego czasu, więc postanowiłem wpaść na tutejszy uniwersytet. To miło z pańskiej strony, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas.

- Nie ma o czym mówić. Nie dziwię się, że chciał pan poznać Karłę. To błyskotliwa, piękna młoda kobieta. Pracuje na terenie wykopalisk Gerstle River Quarry sto kilometrów stąd. Znaleźliśmy tam rzeźbione siekacze mamuta. To było niezwykle ekscytujące odkrycie. Praca naukowa Karli o wykorzystywaniu mamutów przez myśliwych to jedno z najlepszych opracowań na ten temat, jakie czytałem. Wiem, że chętnie poznałaby kogoś, kto ma takie osiągnięcia naukowe jak pan.

Listy uwierzytelniające Schroedera pochodziły z punktu poligraficznego Kinko w Anchorage. Z wizytówek, które kazał sobie wydrukować, wynikało, że nazywa się Herman Kurtz i jest profesorem antropologii na Uniwersytecie Berlińskim. Nazwisko zapożyczył od enigmatycznego bohatera powieści Conrada Jądro ciemności.

Przez cały okres jego mrocznej kariery nie przestawała go zadziwiać siła oddziaływania słów na papierze, kiedy towarzyszy im pewność siebie.

Najtrudniejsze było udawanie austriackiego akcentu po latach mówienia zachodnioamerykańskim angielskim.

- Znam to opracowanie - skłamał Schroeder. - Faktycznie, robi duże wrażenie. Czytałem też artykuł przedstawiający jej teorię na temat wymarcia mamutów.

- To typowe dla Karli. Kiedy doszła do wniosku, że człowiek miał minimalny wpływ na ich wyginięcie, wysunęła tezę, że przyczyną był jakiś kataklizm. Wyobraża pan sobie, jakie to wywołało kontrowersje?

- Tak, to raczej niecodzienna teoria, ale podoba mi się odwaga panny Janos. Czy jej wyjazd w teren ma coś wspólnego z przedstawioną przez nią tezą?

- Jak najbardziej. Karla ma nadzieję znaleźć dowody na poparcie swojej teorii na odludnej syberyjskiej wyspie.

- Syberia jest daleko stąd. Jak można się tam dostać?

- Karla polecała na Wyspę Wrangla, gdzie wsiadła na lodołamacz, który zabrał ją na Wyspy Nowosyberyjskie. Ten sam statek przyplynie po nią za dwa tygodnie. Kilka dni później Karla wróci do Fairbanks. Będzie pan jeszcze na Alasce?

- Niestety nie. Ale bardzo jej zazdroszczę tej przygody. Gdybym mógł, rzuciłbym natychmiast wszystko i poszedł w jej ślady.

Mumford wyciągnął się w fotelu, założył ręce za głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Wyspa Kości Słoniowej to chyba nowe Cancun.

- Słucham? - zapytał Schroeder.

- Karla pracuje na Wyspie Kości Słoniowej. Wczoraj był u mnie facet z Discovery Channel. Przybył ze swoją ekipą na Alaskę, żeby zrobić reportaż o Mount McKinley. Chyba słyszał o pracy Karli. Wydawał się bardzo zainteresowany, kiedy wspomniałem o Wyspie Kości Słoniowej. Powiedział, że się tam wybiorą. Dla kogoś z grubym portfelem nic nie jest przeszkodą.

- Jak się nazywa? - spytał Schroeder. - Może go znam. Dużo podróżuję.

- Hunter - odrzekł Mumford. - Scott Hunter. Wielki, muskularny facet. Schroeder się uśmiechnął. Facet kiepsko się maskował, skoro wybrał sobie fałszywe nazwisko oznaczające myśliwego.

- Nie przypominam sobie. Oczywiście uprzedził go pan, że trudno jest się dostać na Wyspę Kości Słoniowej?

- Wysłałem go na lotnisko, żeby porozmawiał z Joe Harperem. To pilot, który latał

kiedyś nad trudno dostępnymi terenami, a teraz prowadzi firmę lotniczą PoleStar Air. Wożą do Rosji turystów poszukujących przygód.

Schroeder szybko dopił parzącą herbatę. Podziękował Mumfordowi za gościnność i pojechał swoim wypożyczonym samochodem na lotnisko w Fairbanks. Port lotniczy, usytuowany w pobliżu koła podbiegunowego, był dogodnym miejscem tankowania dla dużych samolotów transportowych, kursujących między Dalekim Wschodem i Ameryką. Kiedy Schroeder parkował samochód, zobaczył startującego boeinga 747. Lotnisko było stosunkowo małe i musiał tylko raz zapytać o drogę, żeby znaleźć biuro PoleStar Air.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do niego uprzejmie i poinformowała, że pan Harper będzie wolny, jak tylko skończy rozmawiać przez telefon. Harper zjawił się po kilku minutach. Wyglądał tak, jakby wybrano go do roli polarnego pilota na castingu. Był szczupły, miał czujne spojrzenie, zaciśnięte usta, starannie przystrzyżoną brodę i potargane włosy, opadające na uszy. Nosił świeżo wyprasowaną koszulę, wpuszczoną w wytarte dżinsy. Najwyraźniej nie przestawił się jeszcze z latania na organizowanie wycieczek. Sprawiał wrażenie zawodowca, ale w oczach miał cień niepokoju. Nachylił się do ucha recepcjonistki i szepnął coś o rachunku za paliwo. Potem zaprosił Schroedera do swojego gabinetu.

W pokoju ledwo mieściło się biurko z komputerem. Całą pozostałą przestrzeń zajmowały sterty dokumentów.

Harper zdawał sobie sprawę z nieporządku.

- Przepraszam za bałagan. PoleStar to na razie firma rodzinna i większość papierkowej roboty odwalam sam. Właściwie prawie wszystko robię tylko z pomocą żony w recepcji.

- Rozumiem, że lata pan od dawna - powiedział Schroeder. Harper się rozpromienił.

- Sprowadziłem się tu w osiemdziesiątym czwartym roku. Miałem Cessnę, latałem nią przez lata. Potem dorobiłem się kilku maszyn. Sprzedałem je i kupiłem ten mały odrzutowiec pasażerski, stojący na płycie. Niebieski, cały w gwiazdy. Bogaci klienci lubią latać szybko i komfortowo.

- Jak idzie interes?

- Firma radzi sobie całkiem dobrze. Czego nie mogę powiedzieć o sobie. - Harper wziął plik papierów i rzucił z powrotem na biurko. - Będę w tym zagrzebany, dopóki nie rozwiniemy się na tyle, żeby kogoś zatrudnić. Ale to mój problem. Czym mogę służyć?

- Rozmawiałem niedawno z doktorem Mumfordem z uniwersytetu. Powiedział mi, że zabiera pan na Syberię ekipę telewizyjną.

- A tak. Discovery. Lecą na Wyspę Wrangla. Wsiądą tam na kuter rybacki.

Schroeder wręczył Harperowi jedną ze swoich świeżo wydrukowanych wizytówek.

- Chciałbym się dostać na Wyspy Nowosyberyjskie. Czy mógłbym się zabrać z nimi?

- Ja nie miałbym nic przeciwko temu. Zmieściłby się pan. Musiałby pan tylko zapłacić za podróż. Niestety zarezerwowali wszystkie miejsca. Na kutrze też.

Schroeder się zastanowił.

- Może zdołałbym przekonać pańskich klientów, żeby mnie wzięli ze sobą.

- Niech pan spróbuje. Mieszkają w hotelu Westmark.

- Kiedy jest odlot? Harper spojrzał na zegarek.

- Za dwie godziny i dwadzieścia jeden minut.

- Porozmawiam z nimi.

Schroeder dostał wskazówki, jak trafić do hotelu. Zapytał w recepcji o ekipę Discovery Channel. Recepcjonista powiedział, że kilka minut temu widział, jak szli do baru. Schroeder podziękował i udał się tam. Bar był w połowie pusty, przeważały samotne osoby i pary. Jedyne grono siedziało przy stoliku w rogu. Cztery mężczyźni rozmawiali pochyleni nad blatem.

Schroeder kupił w holu gazetę, usiadł w pobliżu i zamówił wodę mineralną z cytryną. Dwaj mężczyźni zerknęli w jego kierunku i wrócili do rozmowy. Pomyślał, że zaletą starości jest niewidzialność. Młodszy ludzie po prostu przestają cię zauważać.

Postanowił sprawdzić swoje podejrzenia. Zobaczył, że jeden z mężczyzn idzie do toalety. Zaczekał, aż tamten będzie wracał, wstał i celowo zderzył się z nim. Przepraszył bardzo uprzejmie, ale mężczyźni zakłuli i zmiażdżyli go wzrokiem.

Schroeder przekonał się w ten sposób, że jego nowy wygląd - brak brody i inny kolor włosów - zdaje egzamin. Stwierdził również, że członek ekipy telewizyjnej nosi broń w kaburze pod pachą. Zdecydował się posunąć dalej.

Po powrocie z toalety podszedł do stolika grupy.

- Cześć, panowie - zagadnął z zachodnim akcentem. - Podobno jesteście z Discovery Channel. Szukam pana Huntera.

Wielki mężczyźni, który sprawiał wrażenie szefa, przyjrzał mu się zmrużonymi oczami.

- To ja. Skąd pan zna moje nazwisko?

- Cały hotel o was mówi. Rzadko mamy tu takich gości - odrzekł Schroeder, wywołując szerokie uśmiechy na twarzach mężczyzn przy stoliku. - Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi się podobał wasz program o Hetytach sprzed kilku miesięcy.

Wielki mężczyźni zrobił taką minę, jakby nie zrozumiał, o czym jest mowa.

- Dzięki - odparł, mierząc Schroedera wzrokiem. - Pan wybaczy, ale mamy coś do omówienia.

Schroeder przeprosił, że zajął im czas, i wrócił do swojego stolika. Usłyszał, że się śmieją. Wspomniał o Hetytach, żeby ich sprawdzić. Stale oglądał Discovery Channel. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie było takiego programu. Ci ludzie podszywali się pod ekipę telewizyjną.

Kończył wodę mineralną i zastanawiał się nad następnym krokiem. Postanowił działać bardziej stanowczo. Poszedł do samochodu i wyjął spod siedzenia pistolet z tłumikiem.

Odetchnął z ulgą, gdy po powrocie do hotelu zobaczył, że mężczyźni są jeszcze w barze. Wrócił w samą porę. Zapłacili rachunek i wstali od stolika. Poszedł za nimi do windy. Wjechali razem na górę. Po drodze cały czas coś gadał, zachowując się jak stary dureń. Znosił drwiące spojrzenia i uśmiešky. Wysiadł na trzecim piętrze, jak oni, i wymamrotał coś o zbiegu okoliczności. Podreptał korytarzem, udając zdezorientowanego, jakby zapomniał, gdzie mieszka. Zapamiętał numery ich pokoi.

Odczekał minutę i podszedł do pierwszych drzwi. Schował pistolet za plecami, spojrzął w prawo i w lewo, żeby sprawdzić, czy jest sam na korytarzu, i zapukał. Otworzył mężczyźni, z którym zderzył się w barze. Na widok Schroedera zrobił groźną minę. Zdjął już marynarkę i miał pod pachą kaburę z pistoletem, tak jak

Schroeder podejrzewał.

- O co znów chodzi?  
- Chyba zgubiłem klucz od pokoju. Mógłbym od pana zadzwonić?  
- Jestem zajęty. - Mężczyzna położył rękę na kaburze. - Niech pan spróbuje gdzie indziej.

Zaczął zamykać drzwi. Schroeder szybko wyjął broń zza pleców i strzelił mu między oczy. Mężczyzna zwałił się na podłogę z wyrazem całkowitego zaskoczenia na twarzy. Schroeder zerknął w lewo i w prawo, dał krok nad ciałem i wciągnął je głębiej do pokoju.

W następnych pokojach powtórzył to samo z drobnymi różnicami, ale z podobnym skutkiem. W jednym przypadku za szybko nacisnął spust i musiał strzelić drugi raz. W innym usłyszał, że otwierają się drzwi windy, gdy wciągał ciało do pokoju. Ale zabił czterech ludzi w ciągu niecałych pięciu minut. Sprawnie jak za dawnych czasów.

Nie miał wyrzutów sumienia, kiedy likwidował ich z zimną krwią. Byli zwykłymi bandytami. Nie różnili się od wielu innych, których spotykał. Kiedyś nawet współpracował z takimi. Co gorsza, kiepsko wypadli. Zespół najwyraźniej zmontowano w pośpiechu. Nie byli pierwszymi ludźmi, których zabił. I prawdopodobnie nie ostatnimi.

Na każdych drzwiach zostawił wywieszkę Nie przeszkadzać. Kilka minut później pojechał swoim wypożyczonym samochodem z powrotem na lotnisko. Harper siedział jeszcze w biurze, zagrzebany w papierach.

- Rozmawiałem z ekipą telewizyjną - powiedział Schroeder. - Zmienili plany. Postanowili wybrać się na wyspę Kodiak, żeby zrobić reportaż o niedźwiedziach.  
- Niech to szlag! Dlaczego mnie nie uprzedzili?  
- Może pan do nich zadzwonić i zapytać. Ale już wyjeżdżali, kiedy do nich telefonowałem.

Harper chwycił słuchawkę telefonu i zadzwonił do hotelu. Poprosił o połączenie go z pokojami ekipy telewizyjnej. Nikt się nie zgłosił. Cisnął słuchawkę na widełki i przetarł oczy. Wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać.

- To koniec - powiedział. - Liczyłem na to, że pieniędzmi od nich zapłacę miesięczną ratę za samolot. Jestem załatwiony.  
- Nie ma pan zakontraktowanych innych czarterów?  
- To nie takie łatwe. Potrzeba wielu dni, czasem tygodni, żeby podpisać umowę.  
- Więc można wynająć pański samolot i kuter?  
- Jasne. Zna pan kogoś, kto byłby tym zainteresowany?  
- Owszem. - Schroeder sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął gruby plik banknotów i rzucił na stertę papierów. - To za lot w tamtą stronę i kuter. Drugie tyle zapłacę panu za powrót. Tylko jeden warunek. Będzie pan w pogotowiu przez kilka dni, żeby mnie odebrać.

Harper wziął pieniądze i sprawdził nominały. Same studolarówki.

- Mógłbym za to kupić nowy samolot. - Zmarszczył brwi. - Mam nadzieję, że to nie jest nic nielegalnego?  
- Nie. Zabierze pan tylko mnie. Żadnego ładunku.  
- Ma pan jakieś dokumenty?  
- Paszport i wiza są ważne. - Powinny być, za takie pieniądze, jakie kosztowały. W drodze na Alaskę zatrzymał się w Seattle i czekał niecierpliwie, aż jego znajomy fałszerz przygotuje mu komplet papierów dla profesora Kurtza.



Harper wyciągnął rękę.

- Umowa stoi.
- W porządku. Kiedy możemy wystartować?
- W każdej chwili. Jak tylko będzie pan gotowy.
- Jestem.

Samolot uniósł się w powietrze godzinę później. Schroeder był jedynym pasażerem. Siedział rozparty w fotelu, rozkoszował się samotnością i popijał szkocką dostarczoną przez Harpera, który pilotował maszynę. Kiedy Fairbanks zniknęło w oddali i odrzutowiec skierował się na zachód, Schroeder odetchnął głęboko. Zdawał sobie sprawę, że jest starym człowiekiem, który próbuje wykonać robotę przeznaczoną dla kogoś młodszego. Poprosił, żeby mu nie przeszkadzano przez jakiś czas. Był zmęczony i potrzebował trochę snu.

Czekające go zadanie wymagało jasności umysłu. Uwolnił się od wszystkich emocji i zamknął oczy.

## 17

Statek NOAA „Benjamin Franklin” włókł się jak marynarz po bójce w barze. Przeciąganie liny z wirem nadwerżyło silniki i trzeba było je oszczędzać, żeby nie odmówiły posłuszeństwa. „Throckmorton” płynął kilkaset metrów z tyłu na wypadek, gdyby trzeba było mu pomóc.

Kiedy oba statki płynęły wolno w kierunku Norfolk, z zachodu nadleciał turkusowy helikopter z literami NUMA na kadłubie. Zawisnął nad „Benjaminem Franklinem” jak koliber i wylądował na pokładzie. Z maszyny wysiadła czteroosobowa ekipa medyczna.

Skierowano ją do izby chorych. Obrażenia odniesione przez marynarzy w chwili, gdy statek omal nie zsunął się pionowo w głąb wiru, nie zagrażały ich życiu. Kapitan wezwał ekipę medyczną żeby pomogła sanitariuszowi „Franklina”, który nie dawał sobie rady z taką ilością skaleczeń i stłuczeń.

Helikopter został zatankowany i przeniesiono do niego dwóch członków załogi z połamanymi rękami. Austin podziękował kapitanowi za gościnność. Potem on, Zavała, Troutowie i profesor Adler wsiedli do śmigłowca. Kilka minut później byli w powietrzu.

Po niecałych dwóch godzinach lotu helikopter wylądował w Narodowym Porcie Lotniczym. Poszkodowanych zabrali karetki pogotowia. Troutowie złapali taksówkę do Georgetown, gdzie mieszkali, i wzięli ze sobą Adlera. Zavała odwiózł Austina do jego domu nad rzeką Potomac w Fairfax w Wirginii, półtora kilometra od kwatery głównej Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley. Wszyscy umówili się na spotkanie następnego dnia o ósmej rano.

Austin mieszkał w przerobionej wiktoriańskiej przystani z widokiem na rzekę. Kupił ją kiedy pracował w CIA. Budowla z wieżyczką i mansardowym dachem była częścią starej posiadłości. Poprzedni właściciele bardzo ją zaniedbali. Gnieździło się w niej mnóstwo myszy, dopóki Austin nie przerobił wnętrza i nie odnowił elewacji, przywracając jej dawną świetność. Pod częścią mieszkalną trzymał swój wyścigowy

skiff i motorowy ślizgacz.

Zostawił torbę w holu i wszedł do przestronnego salonu. Jego dom łączył stary styl z nowym. Autentyczne kolonialne meble z ciemnego drewna kontrastowały z białymi ścianami, na których wisiały oryginały współczesnych obrazów, prace prymitywistów i mapy morskie. W szafach z książkami, sięgających od podłogi do sufitu, były oprawione w skórę powieści Conrada i Melville'a oraz sfatygowane tomy dzieł wielkich filozofów, które Austin lubił studiować. W szklanych gablotach leżały niektóre z rzadkich pistoletów pojedynkowych z jego kolekcji. Duży zbiór nagrań muzycznych, zwłaszcza jazzu nowoczesnego, odzwierciedlał energię i umiejętność improwizacji Austina.

Sprawdził, czy na automatycznej sekretarce są jakieś wiadomości. Były, ale mogły poczekać. Włączył stereo i pokój wypełniły dźwięki pianina Oscara Petersona. Austin zrobił sobie drinka z najlepszej tequili aniejo, odsunął szklane drzwi i wyszedł na taras ze szklanką, w której przyjemnie pobrzękiwały kawałki lodu. Słuchał cichego szmeru rzeki i oddychał zamglonym powietrzem o woni kwiatów, która tak się różniła od słonego zapachu oceanu, gdzie spędzał wiele swoich dni roboczych.

Po kilku minutach wrócił do pokoju, wziął z półki książkę o antycznych filozofach greckich i otworzył na opisie jaskini w Państwie Platona. Uwięzieni tam ludzie widzą tylko cienie marionetek na ścianie i słyszą lalkarzy poruszających się za ich plecami. Na podstawie tych skąpych wskazówek muszą określić, co jest iluzją a co rzeczywistością. Podobnie jak oni, Austin sortował w głowie dziwne zdarzenia ostatnich kilku dni i próbował uporządkować chaos w swoim umyśle. Wciąż wracał do jedynej rzeczy, jakiej mógł się uchwycić: do tajemniczego statku.

Podszedł do biurka i włączył laptop. Korzystając z informacji na stronie internetowej doktora Adlera, wyświetlił zdjęcie satelitarne rejonu gigantycznej fali. Teraz panował tam spokój. Obejrzał wstecz zdjęcia archiwalne, aż do daty zatonięcia „Southern Belle”. W dniu zaginięcia statku były wyraźnie widoczne dwie gigantyczne fale, które przeraziły Adlera. Sam kontenerowiec, przedstawiony jako mały punkt, zniknął w przeciągu minuty.

Austin zrobił oddalenie, żeby widzieć większy obszar oceanu, i zobaczył coś, czego wcześniej nie zauważył. W pobliżu rejonu katastrofy znajdowały się cztery inne statki, w jednakowej odległości od siebie: jeden na północy, drugi na wschodzie, trzeci na południu, czwarty na zachodzie. Austin patrzył na to przez chwilę, potem cofnął się o kilka dni. Statków jeszcze tam nie było. Wyświetlił zdjęcie oceanu krótko po zatonięciu „Belle”. Zobaczył tylko trzy statki. Sprawdził dzień po katastrofie kontenerowca. Ocean był pusty.

Austin próbował oddzielić rzeczywistość od złudzenia, podobnie jak więźniowie w jaskini Platona, ale miał nad nimi przewagę. Mógł poprosić o pomoc. Wziął gruby spis telefonów NUMA, znalazł właściwy numer i zadzwonił.

- Cześć, Alan - powiedział. - Mówi Kurt Austin. Właśnie wróciłem z rejsu. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie, Kurt. Miło cię słyszeć. W czym mogę ci pomóc?

- Moglibyśmy się spotkać u mnie w domu jutro rano około ósmej? To ważna sprawa.

- Jasne. - Nastąpiła chwila ciszy. - Wiesz, czym się zajmuję?

Alan Hibbet był jednym z wielu bezimiennych naukowców NUMA, którzy harowali anonimowo, zadowoleni z tego, że prowadzą ważne badanie bez wielkiego rozgłosu. Kilka miesięcy wcześniej Austin słyszał referat Hibbeta na sympozjum

NUMA poświęconym telekomunikacji na morzu i monitorowaniu środowiska naturalnego. Zaimponowała mu rozległa wiedza naukowca.

- Wiem bardzo dobrze, czym się zajmujesz. Jesteś specjalistą od zastosowań elektromagnetyzmu, ekspertem od anten. Projektujesz elektroniczne oczy i uszy NUMA, używane do badania głębin i utrzymywania łączności między zespołami, które prowadzą operacje daleko od siebie. Czytałem twoją pracę naukową o wpływie wielkości płaszczyzny terenu na parametry promieniowania, emitowanego przez anteny o zmniejszonej powierzchni.

- Naprawdę? To mi pochlebia. Jestem w NUMA szaraczkiem. Nie to, co tropiciele tajemnic z zespołu specjalnego. - Austin i jego zespół byli w NUMA owiani legendą i Hibbeta zaskoczyła prośba o pomoc.

Austin się roześmiał. Od ratowania Troutów bolały go jeszcze mięśnie ramion i był śmiertelnie zmęczony.

- Ostatnio jest więcej tajemnic niż tropów. Naprawdę jest nam potrzebna twoja wiedza.

- Z przyjemnością pomogę, jeśli tylko będę mógł - odrzekł Hibbet. Austin wytłumaczył Hibbetowi, jak trafić do przystani, i powiedział, że oczekuje go rano. Zrobił kilka notatek, żeby nie zapomnieć tego, co mu przyszło do głowy. Potem przygotował cały dzbanek kenijskiej kawy, ustawił ekspres na automatyczny tryb pracy i poszedł na górę do sypialni w wieżycy. Rozebrał się, wsunął do chłodnej pościeli i szybko zasnął. Wydawało się, że upłynęły zaledwie minuty, gdy obudziło go jasne, poranne słońce za oknem.

Wziął prysznic, ogolił się, włożył T-shirt i szorty. Zrobił sobie jajecznicę na szynce i zjadł na tarasie. Ledwo skończył zmywać, zapukał Zawała. Kilka minut później zjawili się Troutowie z profesorem Adlerem. W tym samym momencie przyjechał Al Hibbet. Wysoki, szczupły naukowiec z siwymi włosami był strasznie nieśmiały i miał bladą cerę, gdyż większość czasu spędzał w laboratorium z dala od ludzi i słońca.

Austin wręczył każdemu kubek kawy i zaprosił gości do okrągłego tekowego stołu na tarasie. Mógł zorganizować spotkanie w swoim biurze w szklanym, zielonym wieżowcu w Arlington, gdzie mieściło się centrum operacyjne NUMA. Ale miał za mało faktów, żeby udzielać odpowiedzi czy wyjaśnień komukolwiek spoza kręgu najbliższych współpracowników. Przyniósł sobie krzesło i spojrzał tęsknie na lśniąca w słońcu rzekę, gdzie zwykle spędzał poranek na wiosłowaniu. Potem popatrzył na zebranych i podziękował im za przyjście. Czuł się jak Van Helsing na naradzie wojennej przed walką z Drakulą i kusiło go, żeby zapytać, czy ktoś przyniósł czosnek.

Zamiast tego przeszedł od razu do rzeczy.

- Na Atlantyku i Pacyfiku dzieje się coś bardzo dziwnego - zaczął. - Zaburzenia na morzu zatopiły jeden statek, możliwe, że nawet dwa, i omal nie posłały na dno innego. Napędziły też stracha niektórym obecnym przy tym stole, łącznie z panem - zwrócił się do Adlera. - Niech pan będzie tak uprzejmy i opisz zjawisko, którego byliśmy świadkami, a także przedstawi nam swoje teorie.

- Z przyjemnością - odrzekł Adler.

Opowiedział o zaginięciu „niezatapialnego” kontenerowca „Southern Belle” i poszukiwaniach zaginionego statku. Opisał zdjęcia satelitarne, potwierdzające istnienie gigantycznych fal w pobliżu „Belle”. W końcu, z nieco mniejszą pewnością siebie, stwierdził, że jego zdaniem te zaburzenia mogły nie powstać z przyczyn naturalnych. Kiedy to wyjaśniał, patrzył na twarze zebranych, jakby szukając oznak

sceptycyzmu.

- Normalnie moglibyśmy uznać tę dziwną aktywność oceanu za kaprysy Neptuna, gdyby nie kilka rzeczy - ciągnął. - Zdjęcia satelitarne sugerują że w innych rejonach oceanu też zdarzają się podobne zaburzenia i jest w tym niezwykła symetria. - Wyświetlił na laptopie Austina zdjęcia satelitarne rejonów koncentracji zabójczych fal.

Austin poprosił Troutów, żeby opisali swoje przeżycia w wirze. Znów zapadła cisza, gdy Gamay i Paul opowiadali na zmianę o tym, jak zostali wciągnięci do wodnego leja i uratowani w ostatniej chwili.

- Mówicie, że pojawieniu się wiru towarzyszyły błyskawice? - upewnił się Hibbet. Gamay i Paul przytaknęli.

- Aha - odrzekł krótko Hibbet.

Zavala opowiedział o wejściu na pokład statku, który wyłonił się z morza. Hibbeta bardzo zainteresował opis generatorów i zniszczonego urządzenia elektrycznego na frachtowcu.

- Szkoda, że tego nie widziałem - powiedział.

- Mogę ci to pokazać - odparł Zavala. Po chwili wyświetlił na ekranie komputera zdjęcia cyfrowe tajemniczego statku.

Austin zapytał Hibbeta, czy coś z tego rozumie. Naukowiec NUMA patrzył na monitor ze zmarszczonym czołem. Poprosił o pokazanie mu wszystkiego jeszcze raz.

- Jest całkiem oczywiste, że duża ilość energii elektrycznej trafiała do jednego punktu. - Wskazał stożkową konstrukcję. - Ale to urządzenie jest w takim stanie, że trudno powiedzieć, do czego służyło.

- Joe żartował, że to gigantyczna świeca zapłonowa - odrzekł Austin. Hibbet podrapał się w głowę.

- Raczej nie. Bardziej transformator Tesli. Wiele obwodów jest niewidocznych. Gdzie jest teraz ten statek?

- Ponownie zatonał - powiedział Zavala.

Austin nie spodziewał się takiej reakcji Hibbeta. Naukowiec zatarł ręce. W jego szarych oczach błyszczało podniecenie.

- To lepsze niż codzienna zabawa z antenami. - Jeszcze raz obejrzał zdjęcia w komputerze i popatrzył na siedzących wokół stołu. - Czy ktoś tu wie, czym się zajmował Nikola Tesla?

- Tylko ja czytam regularnie „Popular Science” - pochwalił się Zavala. - Tesla pierwszy uzyskał prąd zmienny.

Hibbet skinął głową.

- Był amerykańskim inżynierem elektrykiem chorwackiego pochodzenia. Odkrył, że można obracać polem magnetycznym, jeśli ustawi się dwie cewki pod właściwym kątem i zasili prądem zmiennym.

- Czy mógłby pan to przetłumaczyć na angielski? - zapytał uprzejmie Adler.

Hibbet się roześmiał.

- Przedstawię to w kontekście historycznym. Tesla przyjechał do Stanów Zjednoczonych i pracował z Thomasem Edisonem. Stali się rywalami. Edison bronił prądu stałego. Trwała ostra walka. Tesla zdobył przewagę, gdy dostał zamówienie na zaprojektowanie generatorów prądu zmiennego dla elektrowni wodnej w Niagara Falls. Sprzedał patenty swojego silnika indukcyjnego George'owi Westinghouse'owi, którego system zasilania był podstawą tego, co używamy dzisiaj. Edison musiał się

zadowolili żarówką i fonografem.

- O ile sobie przypominam, Tesla opatentował cały szereg dziwnych wynalazków - powiedział Zawała.

- Zgadza się. Był ekscentrycznym geniuszem. Skonstruował bezzałogowy samolot o napędzie elektrycznym, który mógł latać z szybkością prawie dwudziestu dziewięciu tysięcy kilometrów na godzinę i być wykorzystywany jako broń. Wynalazł tak zwany „teleczynnik”, inaczej „promień śmierci”, który mógł stopić silniki samolotowe z odległości czterystu kilometrów. Dużo pracy poświęcił bezprzewodowej transmisji elektryczności. Fascynowała go możliwość koncentracji energii elektrycznej i wzmacniania efektów jej działania. Twierdził nawet, że udało mu się wywołać trzęsienie ziemi ze swojego laboratorium.

- Może po prostu wyprzedzał swoją epokę i stworzył pierwowzory pocisków balistycznych i laserów - zauważył Austin.

- Miał dobre pomysły. Ale ich realizacja nigdy nie spełniała oczekiwań. W ostatnich latach stał się postacią kultową. Wyznawcy teorii spiskowej podejrzewają, że niektóre rządy, łącznie z naszym, eksperymentują z niszczyielskimi wynalazkami Tesli.

- A ty co o tym myślisz? - zapytał Austin.

- Że się mylą. Tesla skupiał na sobie wiele uwagi, bo był znaną postacią. Moim zdaniem dużo większy potencjał destrukcyjny miał wynalazek Laszlo Kovacsa. On też był błyskotliwym inżynierem elektrykiem. Pochodził z Budapesztu, gdzie Tesla pracował pod koniec XIX wieku, zainteresował się jego osiągnięciami w latach trzydziestych XX wieku i skoncentrował na emisji fal elektromagnetycznych bardzo niskiej częstotliwości. Obawiał się, że zostaną wykorzystane jako broń. Twierdził, że mogą powodować zaburzenia w atmosferze, pogarszać pogodę, wywoływać trzęsienia ziemi i szereg innych niepożądanych zjawisk. Podniósł osiągnięcia Tesli na wyższy poziom.

- W jakim sensie?

- Kovacs opracował zbiór częstotliwości, za pomocą których można podobno koncentrować rezonans elektromagnetyczny i wzmacniać go przez oddziaływanie na materię wokół niego. Nazwano to tezami Kovacsa. Opublikował swoje wnioski w periodyku naukowym, ale odmówił ujawnienia całego zbioru częstotliwości, żeby uniemożliwić zbudowanie urządzenia, które opisał. Inni naukowcy podeszli sceptycznie do jego twierdzeń z braku dowodów na ich poparcie.

- Całe szczęście, że nikt mu nie uwierzył - odezwał się profesor Adler. - Świat ma dość kłopotów z kontrolowaniem już istniejących rodzajów broni.

- Niektórzy mu uwierzyli. Nazistów bardzo interesowały idee mistycyzmu, okultyzmu i różne inne pseudonauki. Historie o ich archeologach szukających świętego Graala są prawdziwe. Niemcy porwali Kovacsa i jego rodzinę. Po wojnie wyszło na jaw, że zmusili go do pracy w tajnym laboratorium, żeby stworzył dla nich superbroń, która zapewni im zwycięstwo.

- Przegrali wojnę - powiedział Austin. - Najwyraźniej nie tylko Tesla miał problem z wiarygodnością. Kovacs też.

Hibbet pokręcił głową.

- To trochę bardziej skomplikowane, Kurt. Dokumenty znalezione po wojnie sugerowały, że był o krok od skonstruowania broni elektromagnetycznej. Na szczęście nigdy do tego nie doszło.

- Dlaczego?

- Laboratorium w Prusach Wschodnich, gdzie podobno pracował, zajęła Armia Czerwona. Ale on już zniknął. Po wojnie Rosjanie prowadzili badania w oparciu o jego tezy. Nasi wojskowi wiedzieli o tym i dużo by dali za to, żeby móc z nim

porozmawiać. Zdawali sobie sprawę, jakie znaczenie ma promieniowanie elektromagnetyczne. Jakiś czas temu w Los Alamos odbyła się duża konferencja poświęcona konstruowaniu broni na podstawie jego teorii.

- Tam, gdzie realizowano „Program Manhattan”? - zapytał Austin. - Odpowiednie miejsce.

- Jak najbardziej. Manipulowanie promieniowaniem elektromagnetycznym może mieć groźniejsze skutki niż eksplozja jądrowa. Wojskowi potraktowali tezy Kovacsa bardzo poważnie. Broń wysyłająca impulsy elektromagnetyczne była testowana podczas pierwszej wojny w Zatoce. Niektórzy twierdzą, że eksperymenty prowadzone przez nas i przez Rosjan powodowały trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów i anomalie pogodowe. Dlatego zainteresowały mnie te błyski jasnego światła na niebie.

- Są takie ważne? - spytał Austin.

- Wielu naocznych świadków rosyjskich i amerykańskich eksperymentów widziało „zorzę polarną”, czyli wielkie rozbłyski światła, wywołane emisją fal elektromagnetycznych - odrzekł Hibbet.

- Powiedz nam coś więcej o tych eksperymentach - poprosił Austin.

- Jest wiele kontrowersji wokół projektu nazywanego HAARP. To program badań i regulacji procesów zachodzących w jonosferze, realizowany w naszym kraju. Pomysł polega na wysyłaniu w przestrzeń skupionej wiązki fal elektromagnetycznych. Chodzi o usprawnienie telekomunikacji w skali światowej. Niektórzy podejrzewają że to głównie projekt wojskowy, który służy wielu celom, od udoskonalenia systemu obronnego Gwiezdne Wojny do kontroli umysłów. Nie wiem, w co wierzyć, ale projekt ma korzenie w tezach Kovacsa.

- Wspomniałeś o transformatorze Tesli - przypomniał Austin. - Co miałeś na myśli?

- Prosty transformator wielkiej częstotliwości, zbudowany z dwóch cewek. Impulsy energii są przesyłane z jednej do drugiej, co powoduje wyładowania elektryczne podobne do błyskawic. Widziałeś to na pewno w scenach filmowych, pokazujących pracownie szalonych naukowców.

Gamay słuchała uważnie tej rozmowy. Pochyliła się do przodu.

- Mówiliśmy o emisji tych fal na ziemi lub do atmosfery. A co by się stało, gdyby je wysłano na dno oceanu? - zapytała.

Hibbet rozłożył szeroko ręce.

- Nie mam pojęcia. Geologia morska to nie moja specjalność.

- Ale moja - wtrącił się Paul Trout. - Pozwól, że cię o coś spytam, Al. Czy silne fale elektromagnetyczne mogłyby przeniknąć głęboko do skorupy ziemskiej?

- Oczywiście.

- Więc mogłyby spowodować jakieś anomalie, podobnie jak program HAARP wywołuje zaburzenia w atmosferze.

- Jakie anomalie? - zapytał Adler.

- Możliwe, że wiry.

- Czy mogłoby to wywołać zaburzenia w morzu? - spytał Austin. Hibbet poskubał podbródek.

- Ruch wirowy ciekłej warstwy pod skorupą ziemską wytwarza pole magnetyczne wokół Ziemi. Każde zakłócenie tego pola może być przyczyną różnego rodzaju zaburzeń.

Profesor Adler uderzył pięścią w stół.

- Wiedziałem, że mam rację! Ktoś manipuluje moim oceanem.

- Uważam, że trzeba wrócić do tej gigantycznej świecy zapłonowej Joego czy też do transformatora Ala. Jednak gdyby nawet to urządzenie wytwarzało ogromną moc,

byłoby zbyt małe w porównaniu z masą Ziemi - powiedział Trout.

Zapadła chwila ciszy. Przerwał ją Austin. - A jeśli było więcej takich urządzeń?

Przesunął laptop na środek stołu i obrócił wolno, tak żeby każdy mógł zobaczyć punkty wokół rejonu zaburzeń na morzu. Trout natychmiast zrozumiał.

- Cztery statki, z których każdy koncentruje swoją moc na małym obszarze. To by mogło działać.

Austin skinął głową.

- Pokażę wam jeszcze coś ciekawego. - Wyświetlił zdjęcie zrobione krótko po zatonięciu „Belle”. - Podejrzewam, że jeden z tych statków padł ofiarą zaburzeń na morzu, które sam spowodował.

Wokół stołu rozległy się pomruki potakiwania.

- To może wyjaśniać kwestię „jak” - powiedział Zavala. - Ale nadal nie rozumiem „dlaczego”?

- Zanim odpowiemy sobie na to pytanie, może powinniśmy się skoncentrować na kwestii „kto” - odrzekł Austin. - To nie jest robienie fał w wannie. Jacyś nieznani ludzie zadali sobie wiele trudu i ponieśli wielkie koszty, żeby namieszać w oceanie. Chcąc osiągnąć jakiś niewiadomy cel, spowodowali śmierć załóg dwóch statków, o których wiemy, i straty materialne liczone w milionach dolarów. - Popatrzył na siedzących przy stole. - Czy wszyscy są gotowi zabrać się do pracy? Hibbet wstał.

- Mam nadzieję, że idziesz dolać sobie kawy? - zwrócił się do niego Austin.

Hibbet wyglądał na zakłopotanego.

- Nie, właściwie to... zamierzałem pojechać do mojego biura w NUMA. Chyba macie wszystko, czego potrzebujecie.

- Joe, powiedz Alowi o naszej zasadzie „Hotel California”.

- Bardzo chętnie. To jest tak, jak w tej starej piosence, Al. Kiedy zostajesz zwerbowany do zespołu specjalnego, możesz się wymeldować, ale nie wyjechać.

- Jest nam potrzebna twoja znajomość elektromagnetyzmu - powiedział Austin. - Bardzo byś nam pomógł, gdybyś mógł określić, czy z technicznego punktu widzenia te spekulacje mają sens. Gdzie możemy się dowiedzieć więcej o tezach Kovacsa?

- Najlepiej u źródła. Badania w naszym kraju prowadzono w Los Alamos. Jest tam nawet Towarzystwo Kovacsa. Przechowuje jego prace naukowe i dokumenty.

Kontaktuję się z nimi od czasu do czasu, kiedy mam jakieś pytania.

Austin odwrócił się do Adlera.

- Mógłby pan wspólnie z Alem napisać opracowanie naukowe? Joe, stworzenie floty pływających elektrowni to duże przedsięwzięcie. Te prądnice wyprodukowała prawdopodobnie jakaś firma komercyjna.

- Spróbuję ustalić ich pochodzenie - odrzekł Zavala.

- Możemy być w Nowym Meksyku dziś po południu i wrócić jutro - odezwała się Gamay.

Austin skinął głową.

- Dowiedzcie się, jak daleko zaszły te eksperymenty i czy nadal trwają. Przeanalizujemy to, co kiedykolwiek napisano o Kovacsu. Może znajdziemy coś, co będzie warte naszego wysiłku.

Podziękował wszystkim za przyjazd i zaproponował, żeby spotkali się następnego dnia o tej samej porze. Kiedy Austin przechodził obok szafy z książkami, jego wzrok zatrzymał się na monografii o Platonie.

Cienie i echa. Echa i cienie.

Zastanawiał się, czy Platon rozwiązałby tę nową zagadkę.

## 18

Karla leżała w śpiworze i słuchała zawodzenia wiatru wokół starej kwatery łowców futer. Myślała o swojej reakcji na widok młodego mamuta. Była zaskoczona? To za mało powiedziane. Poczula się jak rażona piorunem. W końcu doszła do siebie i zaczęła patrzeć na stworzenie okiem naukowca.

Oceniła, że zwierzę na stole ma mniej więcej sto piętnaście centymetrów długości i metr wysokości. Ważyło zapewne około dziewięćdziesięciu kilogramów. Miało wszystkie charakterystyczne cechy, jakie artyści z epoki kamiennej przedstawiali na rysunkach naskalnych w jaskiniach, łącznie z wydłużoną do góry głową zwieńczoną na szczycie kępą włosów, i szerokim kłębem.

Siekacze zaczynały się zakrzywiać, co sugerowało, że stworzenie jest samcem. U dorosłego osobnika mogły mieć nawet pięć metrów długości. Uszy były małe, trąba gruba i krótka w porównaniu z tułowiem. Nawet u dorosłego mamuta byłaby krótsza niż u współczesnego słonia. Ciało pokrywał kasztanowy włos. Sądząc po wielkości, stworzenie mogło mieć siedem do ośmiu miesięcy.

Karla pomyślała, że to może być najlepiej zachowany okaz *Mammuthus primigenius*, jaki kiedykolwiek znaleziono. Większość mamucich szczątków składała się z kawałków mięsa i kości. Tutaj było całe zwierzę i w dużo lepszym stanie niż zwłoki odkryte w Fairbanks Creek, rosyjskie okazy Dima i Żarkow czy najślawniejsza, szybko zamrożona Bieriezowka, której mięso jeszcze nadawało się do jedzenia. W żołądku stworzenia były jaskry, które zjadło krótko przed śmiercią.

Karla odwróciła się do innych naukowców.

- To cudowne. Gdzie go znaleźliście?
- Babar leżał na brzegu starego koryta rzeki - odpowiedziała Maria.
- Babar?
- Musieliśmy jakoś nazwać to biedne maleństwo - wyjaśniła Maria. - Czytałam kiedyś książkę o Babarze, królu słoni.

Karla się uśmiechnęła.

- Uważam, że to piękne imię. Gratuluję wam wszystkim. To chyba odkrycie naukowe stulecia.

- Dziękuję - odrzekła Maria. - Niestety jest pewnym problemem.
- O co chodzi?
- Czas na kolację - wtrącił się Arbatow. - Porozmawiamy o tym przy stole.

Sądząc po wielkości jego brzucha, rzadko nie jadał kolacji. Poszli do dużego namiotu. Składany stół był przykryty ceratowym obrusem w kwiaty. Łagodny, żółty blask lamp i ciepło grzejników gazowych tworzyły przytulną atmosferę, mimo że tkanina namiotu łopotała na zimnym morskim wietrze.

Zaczęli od barszczu ukraińskiego, potem zjedli gulasz wołowy, a na deser pączki. Pili herbatę i mocną wódkę na rozgrzewkę. Trudno było uwierzyć, że są na odludnej arktycznej wyspie. Po spróbowaniu kuchni Marii Karla pomyślała, że Siergiej ma wielki brzuch może nie tylko z własnej winy.



Połknęła ostatniego pączka.

- Jestem zaskoczona, że potrafisz przyrządzać takie przysmaki w tych prymitywnych warunkach.

- Nie ma powodu, żeby głodować lub żywić się zliofilizowanym jedzeniem, które tak lubią Amerykanie - odparła Maria. - Dopóki mam ogień, garnek i odpowiednie składniki, mogę robić takie potrawy jak najlepsza moskiewska restauracja.

Karla uniosła swój kieliszek wódki.

- Chcę wam jeszcze raz pogratulować odkrycia. Musicie być bardzo zadowoleni.

- Dziękujemy - odrzekł doktor Sato. - Jak wspomnieliśmy wcześniej, jest z tym pewien problem. - Zerknął na Arbatowa.

Rosjanin skinął głową.

- Wie pani, jaki jest cel tej ekspedycji?

- Znalezienie szczątków mamuta, które będzie można wykorzystać do klonowania.

- Tak jest - potwierdził Arbatow. - Projekt powstał w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy międzynarodowa ekspedycja odkryła obiecujące szczątki w bryle zamrożonej gliny.

- To był mamut Żarkow - powiedziała Karla. Szczątki ochrzczone nazwiskiem syberyjskiej rodziny, do której należał teren, gdzie je wykopano.

- Zgadza się. Stworzeniem bardzo interesowali się genetycy z wielu instytutów badawczych na całym świecie. Twierdzili, że gdyby udało się uzyskać DNA z miękkiej tkanki, można byłoby sklonować mamuta.

- O ile pamiętam, w glinie zachowały się same kości.

- Z braku miękkiej tkanki nie doszło do prób klonowania, ale zainteresowanie nie minęło - ciągnął Arbatow. - Eksperymenty trwały. Zespół japońskich i chińskich naukowców sklonował dwie słonice, używając komórek skóry martwego embriona samicy, który trzymano w zamrożeniu w temperaturze rosyjskiej wiecznej zmarzliny. Od tamtej pory różne ekspedycje szukają na Syberii odpowiednich szczątków. Moja żona i ja pracujemy dla syberyjskiego parku narodowego, gdzie planują zapłodnić indyjską słonicę, żeby potomstwo miało mamucie cechy, i powtórzyć to z młodymi osobnikami. Mają nadzieję wyhodować w ciągu pięćdziesięciu lat stworzenie, które w osiemdziesięciu ośmiu procentach będzie mamutem.

- To wspólne przedsięwzięcie z Japończykami - dodał doktor Sato. - Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku próbek DNA szukają na Syberii studenci uniwersytetu Kinki i eksperci od weterynarii z Kagoshimy, gdzie pracuje doktor Ito. Ocenia się, że pod syberyjską wieczną zmarzliną spoczywają szczątki dziesięciu milionów mamutów, więc przyjechaliśmy tu w nadziei, że znajdziemy to, czego potrzebujemy.

- Jak dokonano by klonowania? - zapytała Karla.

- To byłoby wyjątkowo skomplikowane. Każdy krok musiałby się idealnie udać - odrzekł Ito, ekspert od weterynarii. - Pobralibyśmy z miękkiej tkanki kompletny łańcuch DNA, usunęli komórkę jajową słonicy i napromieniowali ją żeby zniszczyć jej DNA. Zastąpilibyśmy go DNA mamuta i wprowadzili do organizmu samicy słonia. Okres ciąży słonicy trwa normalnie dwadzieścia dwa miesiące, ale nie mamy pojęcia, jak byłoby w wypadku tego stworzenia. Nie wiemy też, jak należałoby się opiekować narodzoną hybrydą.

- Wszystko to stwarza ogromne trudności - zauważyła Karla.

- Najtrudniej było znaleźć miękką tkankę - odrzekła Maria.

- Idealnie byłoby znaleźć samicę mamuta w ciąży - powiedziała Maria.

- Ale może to wystarczy.

- Tak więc to młode stworzenie w szopie jest prawdziwym skarbem - podsumowała

Karla.

Czwórka naukowców wymieniła spojrzenia.

- Mamy spór kompetencyjny - wyjaśnił doktor Sato. - Jak dwoje rodziców walczących o prawo do opieki nad dzieckiem.

- Nie potrzebujecie całego stworzenia. Powinna wystarczyć próbka DNA.

- Owszem - przyznał Sato. - Ale wie pani, jaka jest rywalizacja w środowisku naukowym. Kto przywiezie do domu ten okaz, będzie miał otwartą drogę do dalszej kariery i pieniędzy.

- Kto go znalazł?

Arbatow wzruszył ramionami.

- Sato i Ito, ale my rościmy sobie prawo do niego, bo pomogliśmy przetransportować go do szopy i jest na rosyjskiej ziemi.

- Nie ma umowy regulującej tę sprawę?

- Jest, ale nikt nie przypuszczał, że kiedykolwiek znajdziemy okaz w tak doskonałym stanie - odrzekła Maria.

- Maria pomogła nam zapanować nad emocjami - powiedział Arbatow. - Długo dyskutowaliśmy, czy w ogóle mamy pani to ujawnić. Uznaliśmy, że ukrywanie tego byłoby nieuczciwe. Ale wciąż nie wiemy, co dalej robić.

- To rzeczywiście macie problem - przyznała Karla. Cała czwórka zaczęła potakująco kiwać głowami.

- Ale można go rozwiązać - dodała Karla i głowy znieruchomiły.

- Tylko niech nam pani nie mówi, żebyśmy zabawili się w Salomona i przecięli dziecko na pół - uprzedził Arbatow.

- Nie mam takiego zamiaru. Wyjście wydaje się oczywiste. Trzeba znaleźć drugi okaz. W tej samej okolicy może ich być więcej. Pomogę wam. Przystudiowałam dokładnie topografię Wyspy Kości Słoniowej od epoki Plejstocenu, kiedy na tutejszych stepach roiło się od tych stworzeń. Myślę, że potrafię wskazać wam rejony, gdzie z powodu warunków naturalnych żyły największe skupiska mamutów.

- W naszym kraju wolimy kompromis niż konfrontację - odezwał się doktor Sato. - Proponuję poszukać drugiego okazu. Jeśli go nie znajdziemy do powrotu statku, przedstawimy naszym szanownym sponsorom sytuację i niech walczą ze sobą w sądzie.

Maria dyplomatycznie zdała się na męża.

- Siergiej? Co o tym myślisz jako kierownik ekspedycji?

- Myślę, że pomysł panny Janos jest do przyjęcia.

- Coś za coś - zastrzegła Karla. - Może będziecie mogli również mnie pomóc.

- Przepraszamy - powiedział doktor Sato. - Byliśmy tak zaprzątnięci własnymi sprawami, że zapomnieliśmy o uprzejmości. Co właściwie ma pani nadzieję tu znaleźć?

- Rozwiązanie zagadki wyginięcia mamutów.

- W Plejstocenie? - zapytała Maria. Karla przytaknęła.

- Wyobraźcie sobie tę wyspę dwadzieścia tysięcy lat temu. Na zewnątrz naszego namiotu było zielono od roślinności. Ziemia drżała i dudniła pod nogami ogromnych stad mamutów. Te stworzenia miały ponad cztery metry wysokości, były największe spośród wszystkich słoń. Przemierzały wielkimi stadami świat już ponad trzy miliony lat temu. Żyły w Ameryce Północnej, od Karoliny Północnej po Alaskę, prawie w całej Rosji i Europie, nawet w Wielkiej Brytanii i Irlandii. Ale osiem tysięcy lat przed naszą erą prawie zupełnie zniknęły. Mamuty wymarły wraz z setkami innych gatunków. Teraz naukowcy tacy jak my znajdują zamrożone kości, które ich intrygują.

- Ta zagłada to jedna z największych tajemnic w historii świata - powiedziała Maria. - Mamuty, mastodonty, tygrysy szablostozębne zniknęły z powierzchni ziemi dziesięć do dwunastu tysięcy lat temu, wraz z prawie dwustoma innymi gatunkami wielkich ssaków. W skali globalnej wyginęły miliony zwierząt. Co masz nadzieję tu znaleźć?

- Nie jestem pewna - odrzekła Karla. - Jak wiecie, są trzy teorie wymarcia tych stworzeń. Jedna mówi, że wybili je całkowicie myśliwi z Clovis.

- Główny problem z tą teorią jest taki - wtrącił się Arbatow - że nie wyjaśnia, co się stało w innych częściach świata.

- Nie ma również dowodów w postaci skamieniałości na poparcie tej tezy, więc przechodzimy do drugiej teorii, że światową populację ssaków wyniszczył zabójczy wirus.

- Uważa pani, że to najbardziej prawdopodobne? - zapytał doktor Sato.

- Tak i nie. Wróć do tego. Trzecia teoria mówi o zasadniczych zmianach klimatycznych. Pod koniec tamtego okresu warunki pogodowe nagle się zmieniły. Ale w tej teorii jest wielka luka. Stworzenia na wielu wyspach przetrwały. Wymarłyby, gdyby zagłada miała związek z klimatem.

- Więc jeśli do ich wyginiecia nie doprowadziły ani polowania, ani wirus, ani zmiany klimatyczne, to co? - spytał Siergiej.

- W dyskusji na ten temat zawsze były dwie szkoły myślenia. Katastrofizm, który mówi, że zagładę spowodowało jedno zdarzenie, lub seria zdarzeń, i uniformizm, który utrzymuje, że wymieranie pewnych gatunków trwało długi czas, z szeregu powodów.

- A pani jest katastrofistką czy uniformistką? - zapytał Arbatow.

- Ani jedną, ani drugą. Żadne fakty nie pasują do pojedynczej teorii. Uważam, że do zagłady doprowadził jakiś kataklizm albo seria kataklizmów - tsunami, erupcje wulkanów, którym towarzyszyły chmury zabójczych gazów - co zmieniało cykl wegetacji.

- W tej teorii też jest luka - zauważył Arbatow. - Dowody sugerują że zagłada trwała setki lub tysiące lat.

- Moja teoria uwzględnia odkrycie szczątków bardzo wielu mamutów we wspólnej mogile i wyjaśnia, dlaczego część tych stworzeń żyła jeszcze długo potem. Dowody wskazują że wiele zginęło gwałtowną śmiercią. Ale wiemy też, że kilka gatunków mamutów żyło w czasach, gdy Egipcjanie budowali piramidy. Kataklizm przetrzebił stada mamutów do tego stopnia, że reszty mogli dokonać myśliwi lub jakaś choroba. Wyginiecie pewnych gatunków pociągnęło za sobą wymarcie innych. Drapieżniki polujące na mamuty i inne zwierzęta straciły źródło pożywienia.

- W tym, co pani mówi, jest sens. Ale twierdzi pani, że ten światowy kataklizm zdarzył się nagle. W jednej chwili mamuty spokojnie przeżuwały trawę, w następnej były na drodze do zagłady. Czy to nie naciągane?

- Wcale nie. Ale pierwsza przyznałabym, że teoria inwersji biegunów ziemskich jest kontrowersyjna.

- Inwersji biegunów?

- Ich odwrócenia.

- Nikt z nas nie jest geologiem - powiedział Arbatow. - Proszę nam to wyjaśnić.

- Bardzo chętnie. Są dwa rodzaje inwersji biegunów. Odwrócenie biegunów magnetycznych miałyby szereg nieprzyjemnych skutków, ale przeżylibyśmy to. Inwersja biegunów geologicznych oznaczałaby przemieszczenie skorupy Ziemi w stosunku do jej ciekłego jądra. A to mogłoby spowodować taki kataklizm jak ten, który, moim zdaniem, unicestwił mamuty.

Arbatowa to nie przekonało.

- Opiera pani swoją teorię wymarcia gatunku na abstrakcyjnym przedstawieniu biegunów ziemskich? Musi pani przyznać, że to nieprawdopodobne, żeby mogło się zdarzyć coś takiego.

- Wręcz przeciwnie. To się nie tylko mogło zdarzyć, ale również może się powtarzać.

Arbatow zabrał Karli kieliszek.

- Chyba pani za dużo wypila.

- Chętnie dałabym panu do przeczytania moją pracę naukową w której przedstawiam tę teorię. Wiele by panu wyjaśniła. Zwłaszcza wyliczenia pokazujące, jak zakłócenia w polu elektromagnetycznym Ziemi mogą wywołać inwersję biegunów.

Wokół stołu rozgorzała dyskusja między zwolennikami i przeciwnikami jej teorii. Karla nie była tym zaskoczona. Maria przerwała zażarty spór.

- Przepraszam za naszą nieuprzejmość wobec gościa - powiedziała, przesywając męża wzrokiem. - Jakie masz plany na jutro, Karla?

Po zneutralizowaniu Arbatowa dyskusja skończyła się tak szybko, jak się zaczęła.

- Może ktoś mógłby mi pokazać, gdzie znaleźliście Babara – odrzekła Karla.

Usłyszała, że nie będzie z tym problemu. Wszyscy pomogli Marii sprzątnąć ze stołu. Wkrótce potem Karla leżała w swoim śpiworze. Stary budynek okazał się zadziwiająco szczelny i ciepły. Było jej całkiem wygodnie. Myślała o mamucie i z podniecenia nie mogła zasnąć.

Przypomniała sobie wiersz, który dziadek recytował jej na dobranoc, kiedy z nim mieszkała po śmierci rodziców.

Ledwo skończyła pierwszą linijkę, zapadła w sen.

## 19

Troutowie przylecieli do Albuquerque późnym popołudniem i pojechali do Santa Fe, gdzie przenocowali. Następnego dnia wczesnym rankiem wsiedli do wypożyczonego samochodu i wyruszyli do Los Alamos, położonego na wyżynie Pajarito.

Na czterdziestokilometrowej trasie Trout zauważył dziwną zmianę w nastroju żony. Gawędziła o scenerii, żałowała, że nie mają czasu zatrzymać się w indiańskiej wiosce, i nagle zamilkła.

- Dam dolara, żeby dowiedzieć się, o czym myślisz - powiedział. - Oczywiście z poprawką na inflację.

- Patrzyłam na ten spokojny krajobraz i myślałam o „Programie Manhattan” i strasznych siłach, które wyzwolił.

- Ktoś na pewno by to zrobił. Ciesz się, że byliśmy pierwsi.

- Wiem, ale mimo wszystko to przygnębiające, że wciąż nie umiemy kontrolować dżina, którego wypuściliśmy z butelki.

- Głowa do góry. Energia jądrowa może się okazać niczym w porównaniu z tymi wirami i falami.

Gamay spojrzała na męża z kwaśną miną.

- Dzięki, że mnie pocieszyłeś.

Los Alamos bardzo się zmieniło od czasu, gdy Robert Oppenheimer i zespół jego geniuszów wymyślili, jak zamknąć moc atomu w metalowym cylindrze ze statecznikami. Teraz jest ruchliwym południowo-zachodnim miastem z centrami handlowymi, szkołami, parkami, orkiestrą symfoniczną i teatrem, ale nigdy nie potrafiło - lub nie chciało - uciec od swojej mrocznej przeszłości. Choć ośrodek Los Alamos National Laboratory jest dziś zaangażowany w kilku pokojowych projektów naukowych, wciąż unosi się tutaj duch „Programu Manhattan”.

Budynki, gdzie prowadzi się badania nad bronią jądrową są nadal niedostępne dla publiczności, co wskazuje, że miasto wciąż służy interesom wojny nuklearnej. Turyści odwiedzający muzeum przy ośrodku mogą dotknąć replik pierwszych bomb atomowych, „Fat Man” i „Little Boy”, zobaczyć różne typy głowic bojowych i podejść do naturalnej wielkości posągów Roberta Oppenheimera i generała Grovesa, dwóch gwiazd supertajnego sojuszu wojskowo-naukowego, który stworzył bomby zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki.

Troutowie wstąpili do biblioteki przy ośrodku i porozmawiali z asystentką naukową z którą skontaktowali się wcześniej. Przygotowała dla nich materiały informacyjne o Laszlo Kovacsu, ale większość dotyczyła jego biografii i nie zawierała nic ponadto, co już o nim wiedzieli. Podobnie jak Tesla Kovacs stał się postacią kultową, wyjaśniła asystentka, a jego teorie to bardziej science fiction niż nauka.

- Może dowiemy się więcej w Towarzystwie Kovacsa - powiedziała Gamay.

Asystentka popatrzyła na Troutów jakoś dziwnie, a potem wybuchnęła śmiechem.

- O co chodzi? - zapytała Gamay. Asystentka się zaczerwieniła.

- Przepraszam, ale... Sami państwo zobaczą. Wciąż się śmiała, gdy odprowadzała ich do drzwi.

W Towarzystwie Kovacsa telefon odebrał niejaki Ed Frobisher. Sądząc po głosie, był impulsywnym typem. Kiedy do niego zadzwonili, zaproponował spotkanie w sklepie Czarna Dziura, gdzie miał robić zakupy.

Sklep znajdował się na krańcu miasta, obok budowli w kształcie litery A z szyldem: Instytut Pokojowy Omega, Pierwszy Kościół Wysokiej Technologii. Kościół i Czarna Dziura należały do miejscowego faceta o nazwisku Ed Grothus, który kupował od ośrodka badawczego nadwyżki nagromadzone od czasów „Programu Manhattan”. Nazywał je „odpadami nuklearnymi” i reklamował swój towar szalonym naukowcom, artystom i kolekcjonerom.

Podwórze wokół sklepu zaśmiecały puste korpusy bomb, wieżyczki strzelnicze, meble biurowe i sprzęt elektroniczny. Na rzędach półek w magazynie leżały stosy starych liczników Geigera, oscyloskopów i obwodów drukowanych. Troutowie zapytali kasjera, czy zna Frobishera. Zaprowadził ich między półki, gdzie jakiś mężczyzna grzebał w panelach sterowniczych i mówił sam do siebie.

- Spójrzcie na to - powiedział Frobisher, kiedy się przedstawili. - Ta płyta drukowana pewnie kosztowała w latach pięćdziesiątych miesięczną pensję przeciętnego podatnika. A teraz to szmelc. Ma wartość tylko dla garstki takich technicznych świrów jak ja.

Był potężnie zbudowany, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, beczkowatą klatkę piersiową i brzuch wiszący nad szerokim wojskowym pasem. Nosił żółtą flanelową koszulę, która kłułaby w oczy nawet bez czerwonych szelek

przytrzymujących z trudem jego spodnie. Ich nogawki znikwały w rybackich gumiakach do kolan, choć dzień był suchy jak na pustyni. Frobisher miał gęste, zupełnie białe włosy ostrzyżone z grzywką która zwisała nad prostokątnymi okularami w rogowej oprawce.

Zapłacił za płytę, wyszedł pierwszy ze sklepu i skierował się do zakurzonego, poobijanego chryslera K. Powiedział Troutom, żeby zwracali się do niego „Froby” i pojechali za nim do jego domu, gdzie miało swoją siedzibę Towarzystwo Kovacsa. Kiedy byli już za miastem, Gamay spojrzała na Paula siedzącego za kierownicą.

- Czy nasz nowy przyjaciel Froby nie przypomina ci kogoś? Trout skinął głową.
- Wysokiego, hałaśliwego Kapitana Kangaroo. Gamay westchnęła.
- Kurt będzie nam coś winien za tę wyprawę. Wolałabym chyba, żeby wessał mnie wir.

Droga pięła się w górę i wiła między wzgórzami nad miastem. Było coraz mniej domów, które stały coraz dalej od siebie. Sedan skręcił na zwirowy podjazd, podskakując na zużytych amortyzatorach jak piłka, i zaparkował przed ceglany budynkiem wielkości domku dla lalek. Na podwórzu walał się elektroniczny szmelc. Widok przypominał Czarną Dziurę.

Kiedy szli ścieżką między stosami rdzewiejących korpusów rakiet i obudów urządzeń elektronicznych, Froby powiedział:

- Ośrodek badawczy co miesiąc organizuje aukcję swojego sprzętu. Chyba nie muszę wam mówić, że jestem na każdej wyprzedaży.

Gamay uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Łatwo się domyślić.

Weszli do domu. W porównaniu ze złomowiskiem na zewnątrz w środku panował zaskakujący porządek. Frobisher wprowadził ich do małego salonu z meblami biurowymi z chromowanej stali i skóry. Pod ścianą stało metalowe biurko i dwie metalowe szafki na akta.

- Wszystko w tym domu pochodzi z ośrodka badawczego - pochwalił się Frobisher. Zauważył, że Trout patrzy na znak ostrzegający przed promieniowaniem, zawieszony na ścianie, uśmiechnął się. - Bez obaw. To tylko zasłania dziurę w murze. Jako prezes Towarzystwa Laszlo Kovacsa chciałbym was powitać w naszej światowej centrali. Przedstawiam naszego założyciela. - Wskazał stare zdjęcie na ścianie obok znaku ostrzegawczego. Na fotografii był przystojny mężczyzna po czterdziestce. Miał ciemne włosy i bystre oczy.

- Ilu członków ma towarzystwo? - zapytała Gamay.

- Jednego. Stoi przed wami. Jak widać, to bardzo ekskluzywna organizacja.

Gamay uśmiechnęła się słodko.

- Zauważyłam.

Paul dał jej wzrokiem do zrozumienia, że dłużej tu nie wytrzyma. Przyjrzała się półkom z książkami. Sięgały od podłogi do sufitu i zajmowały dużą część powierzchni ścian. Jej kobiece oko dostrzegło szczegóły, który umknął Paulowi: sądząc po tytułach, książki były techniczne, bardzo fachowe. Jeśli Froby rozumiał choć cokolwiek z tego, musiał być bardzo inteligentnym człowiekiem.

- Siadajcie - powiedział Frobisher. Usadowił się na obrotowym krześle za biurkiem i odwrócił twarzą do gości.

Paul usiadł obok Gamay. Uznał, że najlepszym sposobem na zakończenie rozmowy będzie jej rozpoczęcie.

- Dzięki, że znalazł pan dla nas czas - powiedział jako wstęp do pożegnania. Froby się rozpromienił.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Szczerze mówiąc, Towarzystwo Kovacsa nie wzbudza ostatnio wielkiego zainteresowania. Wasza wizyta to duża sprawa. Skąd jesteście?

- Z Waszyngtonu - odrzekł Trout. Dziecięce, niebieskie oczy Frobishera rozbliły.

- To tym bardziej duża sprawa! Musicie się wpisać do mojej księgi gości. Dlaczego zainteresował was Laszlo Kovacs?

- Oboje jesteście naukowcami z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - wyjaśniła Gamay. - Nasz kolega z NUMA opowiedział nam o pracy Kovacsa i wspomniął, że w Los Alamos można znaleźć najbardziej kompletne materiały na ten temat. W bibliotece przy ośrodku badawczym jest jednak bardzo mało o Kovacsu.

- Uważają go tam za szarlatana - odparł z niesmakiem Frobisher.

- Takie odnieśliśmy wrażenie - przyznała Gamay.

- Pozwólcie, że opowiem wam o towarzystwie. Pracowałem w ośrodku badawczym jako fizyk. Grywałem w karty z grupą moich kolegów naukowców, i niezmiennie pojawiał się temat Nikoli Tesli. Niektórzy z nas twierdzili, że Kovacs znalazł się w cieniu dobrze znanego Tesli i zasługiwał na większe uznanie za swoje odkrycia. Nazwaliśmy naszą grupę pokerową „Towarzystwem Kovacsa”.

Trout uśmiechnął się i pomyślał, że tylko tracą czas.

- Nazwaliście tak grupę pokerową?

- Tak. Zastanawialiśmy się nad nazwą Pokerowe Głąby, ale niektórzy koledzy byli żonaci i uważali, że grupa dyskusyjna to dobra przykrywka, przynajmniej będą mieli spokój w domu.

- Więc nigdy nie dyskutowaliście o tezach Kovacsa? - zapytała Gamay.

- Oczywiście, że tak. Byliśmy kiepskimi pokerzystami, ale dobrymi naukowcami. - Frobisher sięgnął do półki na biurku, wziął dwie broszury i wręczył Troutom. - Wydaliśmy przedruk artykułu, w którym Kovacs omawiał swoje rewolucyjne teorie. To podsumowanie tutejszej konferencji sprzed około dwudziestu lat, poświęconej jego pracy. Głównie go krytykowano. Te materiały są w sprzedaży po cztery dolary dziewięćdziesiąt pięć centów za sztukę. Mamy też jego biografię, jeśli chcecie. Cena jest trochę wyższa, żeby pokryła koszty druku.

Paul i Gamay przejrzyli uważnie jedną broszurę. Była napisana po węgiersku. Roilo się tam od długich, niezrozumiałych równań matematycznych. Trout posłał żonie szeroki uśmiech oznaczający „wystarczy” i pochylił się do przodu, żeby wstać i ruszyć do drzwi. Gamay wyczuła niecierpliwość męża i dotknęła jego ramienia.

- Widzę na półkach bardzo fachowe książki techniczne. Pracował pan w ośrodku jako fizyk, więc chętnie poznałibyśmy pańską opinię. Musi pan wiedzieć, że wokół Kovacsa i jego teorii jest wiele kontrowersji. Był tylko błyskotliwym szarlatanem, czy naprawdę coś odkrył?

- Oczywiście, że odkrył.

- Ale nigdy nie udowodnił tego eksperymentalnie i odmówił opublikowania szczegółów swoich wniosków.

- Bo wiedział, że te informacje są zbyt niebezpieczne.

Gamay się uśmiechnęła.

- Pan wybacz, ale to brzmi jak pretekst do ukrycia porażki.

- Wcale nie. To była troska o ludzkość.

Paul zorientował się, że Gamay ma plan, i postanowił podjąć grę.

- Jeśli martwił się o ludzkość, to dlaczego pracował dla nazistów? - zapytał.

- Musiał. Zagrozili, że zabiją jego rodzinę.  
- Rozumiem, że tak się stało - powiedziała Gamay. - Straszna tragedia. Stracił żonę i dziecko z powodu tego... - Wskazała na broszurę. - Nieudowodnionej teorii o zabójczych falach elektromagnetycznych bardzo niskiej częstotliwości.

Blade policzki Frobishera poczerwieniały.

- Sprytnie mnie podpuściliście. Kim naprawdę jesteście? Gamay zerknęła na Paula. Skinął głową.

- Jesteśmy z zespołu specjalnego NUMA - odrzekła. - Chce pan zobaczyć jakiś dokument tożsamości?

- Wierzę wam na słowo. Ale co ludzie z największej światowej organizacji oceanograficznej robią w Los Alamos, z dala od Atlantyku i Pacyfiku?

- Uważamy, że w Nowym Meksyku może być klucz do rozwiązania zagadki pewnych niezwykle zaburzeń na morzach.

Frobisher zmarszczył brwi.

- Jakich zaburzeń?

- Wirów i gigantycznych fal, zdolnych zatapiać statki.

- Przepraszam, ale nie wiem, o czym pani mówi.

- Jeden z naukowców NUMA, z którym rozmawialiśmy, zasugerował nam, że te zaburzenia mogły być wywołane zakłóceniami pola elektromagnetycznego Ziemi. Wspomniał o tezach Kovacsa.

- Ciekawe...

Troutowie opowiedzieli mu o zjawiskach na oceanach, o podejrzeniach, że mogły być dziełem człowieka.

- Boże - jęknął Frobisher - a więc jednak doszło do tego.

- Co ma pan na myśli? - zapytał Paul.

- Natknęliście się na coś, czego nawet nie potraficie sobie wyobrazić.

- To nam się często zdarza - odrzekł Paul. - Na tym właśnie polega praca NUMA.

Frobisher popatrzył na Paula i Gamay. Ich spokojne miny sprowadziły go z powrotem na ziemię. Wziął się w garść. Poszedł do kuchni, przyniósł trzy butelki zimnego piwa i poczęstował gości.

Gamay uśmiechnęła się czarująco.

- Powiedzieliśmy panu, kim jesteśmy. Teraz kolej na pana.

- W porządku. - Frobisher wlał w siebie pół butelki piwa. - Pozwólcie, że zacznę od przypomnienia historii. Chyba każdy wie o liście Einsteina do prezydenta Roosevelta.

Trout kiwnął głową.

- Napisał, że uzyskanie kontroli nad reakcją łańcuchową umożliwia stworzenie bomby atomowej. Zasugerował, żeby Stany Zjednoczone skonstruowały taką broń, zanim zrobią to Niemcy.

- Zgadza się. Prezydent powołał komisję do zbadania tej sprawy i w rezultacie rozpoczęto prace w Los Alamos. Mało kto wie, że pod koniec wojny Einstein napisał drugi list, którego nigdy nie opublikowano. Ostrzegwał w nim przed niebezpieczeństwami wojny elektromagnetycznej z wykorzystaniem tezy Kovacsa. W przeciwieństwie do Kovacsa, uważanego przez niektórych za szarlatana, Einstein miał autorytet. Wtedy prezydentem był już Truman. Powołał komisję do przeanalizowania sugestii Einsteina i w efekcie zaczęto realizować projekt podobny do „Programu Manhattan”.

- Słyszeliśmy, że Rosjanie prowadzili takie same badania – powiedziała Gamay.

- Owszem. Do połowy lat sześćdziesiątych szliśmy z nimi łeb w łeb.



- Jak daleko to zaprowadziło?

- Daleko. Oni koncentrowali się bardziej na lądzie niż na przestrzeni powietrznej i wywołali kilka trzęsień ziemi. Po dużym wstrząsie na Alasce zemściliśmy się. Wywołaliśmy w Rosji powódzie i susze. Ale to wszystko były drobiazgi.

- Nie nazwałabym tak powodzi i trzęsień ziemi - powiedziała Gamay.

- To była dopiero rozgrzewka. Naukowcy z obu krajów odkryli niemal jednocześnie, że eksperymenty mogą spowodować duże zmiany w polu elektromagnetycznym Ziemi. Na odludnej wyspie na Morzu Beringa odbyło się ściśle tajne spotkanie rosyjsko-amerykańskie z udziałem naukowców i polityków. Przedstawicielom obu stron pokazano dowody na to, że dalsze eksperymenty z wykorzystaniem też Kovacsa będą miały poważne skutki.

- Skąd pan to wszystko wie, skoro była to taka tajemnica? - zapytała Gamay.

- To proste. Brałem udział w tym spotkaniu. Uzgodniliśmy, że kończymy te badania i wracamy do mniejszego zła, czyli broni jądrowej.

Gamay uniosła brwi.

- Trudno uwierzyć, że jest coś gorszego niż zagłada nuklearna.

- Jest. - Frobisher pochylił się na krześle do przodu i zniżył głos, jakby się obawiał, że w pokoju jest podsłuch. - Zachowanie tego w tajemnicy uznano za tak ważne, że w obu krajach zorganizowano specjalny aparat bezpieczeństwa. Każdego, kto za bardzo interesował się Kovacsem i jego tezami, zniechęcano lub - w razie konieczności - eliminowano.

- Więc Towarzystwo Kovacsa nie powstało jako przykrywka dla gry w pokera? - spytał Trout.

Frobisher się uśmiechnął.

- Ta historyjka zwykle odstrasza większość ludzi. Nie, Towarzystwo Kovacsa stworzono tutaj jako część tego układu. Rozumowano w ten sposób, że to będzie pierwsza zaporą dla zainteresowanych jego pracą. Gdybyście przyjechali tutaj kilka lat temu i zadawali zbyt dociekliwe pytania, zadzwoniłbym w pewne miejsce i zniknęlibyście bez śladu. Macie szczęście, że już rozwiązano tę jednostkę.

- Co się stało? - zapytał Trout.

- Cięcia budżetowe - odparł drwiąco Frobisher. - Zbiorowa amnezja. Osoby, które podpisały porozumienie, umarły i zabrały tajemnicę do grobu. Nie został nikt, kto mógłby walczyć o budżet, więc go obcięto. Z czasem Kovacs odszedł w przeszłość. Podobnie jak Nikola Tesla stał się postacią kultową dla wyznawców teorii spiskowej, tylko mniej znaną. Przyjeżdżają tu głównie świry, takie jak pewien facet z tatuażem pająka na łysej czaszce. Bardziej poważnych zniechęca mój numer z Frobym.

- Dobrze to panu wychodzi - przyznała Gamay.

- Dzięki. Sam zaczynam w to wierzyć. Jestem samotnym strażnikiem, który odpędza zbyt wścibskich.

- Mówił pan o globalnych skutkach manipulowania elektromagnetyzmem - przypomniał Trout.

Frobisher przytaknął.

- Wszystkich przeraziło niebezpieczeństwo przestawienia biegunów ziemskich.

- Czy jest to możliwe? - zapytała Gamay.

- Owszem. Wyjaśnię to. Pole elektromagnetyczne Ziemi powstaje w efekcie obrotu jej skorupy wokół tej części jądra, która jest w stanie stałym. Naukowcy z uniwersytetu w Lipsku zbudowali model Ziemi, przedstawiający ją jako gigantyczną prądnicę. Metale ciężkie i ciekła magma to stojan. Metale lekkie w skorupie ziemskiej to uzwojenie wirnika. Istnienie biegunów magnetycznych to rezultat działania wirów w głębi ciekłego jądra. Bieguny mają tendencję do przemieszczania się. Nawigatorzy

muszą przez cały czas brać to pod uwagę. Gdyby siła jednego bieguna osłabła, mogłoby dojść do odwrócenia biegunów magnetycznych północy i południa.

- Jakie byłyby tego skutki? - zapytała Gamay.

- Fatalne. Sieci wysokiego napięcia, satelity i kompasy stałyby się bezużyteczne. W warstwie ozonowej mogłyby powstać dziury, co spowodowałoby oparzenia promieniami słonecznymi i długotrwałe problemy zdrowotne. Zorza polarna byłaby widoczna daleko na południu. Ptaki wędrowne i zwierzęta straciłyby orientację.

- To rzeczywiście byłyby fatalne - przyznała Gamay.

- Owszem, ale byłyby to niczym w porównaniu ze skutkami odwrócenia biegunów geologicznych.

Trout, geolog morski, wiedział dokładnie, o co chodzi Frobisherowi.

- Mówi pan o rzeczywistym przemieszczeniu skorupy ziemskiej w stosunku do jądra wewnętrznego, nie o zmianach w polu elektromagnetycznym Ziemi?

- Tak jest. O przesunięciu części kuli ziemskiej w stanie stałym względem części w stanie ciekłym. Są dowody, że to się już zdarzało z przyczyn naturalnych, na przykład z powodu przelotu komety.

- Jestem geologiem morskim - powiedział Trout. - Wiem, jaki może być wpływ komet. Ale trudno jest mi sobie wyobrazić tak duże zmiany wywołane działalnością człowieka.

- Dlatego praca Kovacsa była taka ważna.

- W jakim sensie?

Frobisher wstał, przespacerował się kilka razy tam i z powrotem po małym pokoju, żeby zebrać myśli, potem przystanął i wykonał palcem wskazującym ruch obrotowy.

- Elektromagnetyzm rządzi całym wszechświatem. Ziemia jest naładowana jak wielki elektromagnes. Jak mówiliśmy przed chwilą, zmiany w polu magnetycznym mogłyby spowodować przemieszczenie biegunów. Ale byłby jeszcze jeden skutek, na którym skoncentrował się Kovacs w swoich badaniach. Oscylacja materii i energii.

Trout ze zrozumieniem skinął głową.

- Ma pan na myśli to, że zmiany w polu elektromagnetycznym planety mogłyby spowodować zmiany na powierzchni Ziemi.

- Wyjaśniałoby to zaburzenia w oceanach - zauważyła Gamay. Frobisher strzelił palcami i skinął głową.

- Jakie byłyby skutki przesunięcia skorupy ziemskiej? - zapytała Gamay. Frobisher spoważniał.

- Reakcją na to byłyby działanie sił bezwładności. Woda w morzach i jeziorach zostałaby gwałtownie skierowana w inną stronę. Uderzyłaby w brzegi i spowodowała wielkie powodzie. Przestałyby działać wszystkie urządzenia elektryczne. Mielibyśmy huragany i tornada o niespotykanej sile. Popękałaby skorupa ziemska, co wywołałoby potężne trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów. Nastąpiłyby bardzo znaczne, długotrwałe zmiany klimatyczne. Przez pole magnetyczne Ziemi przenikałoby promieniowanie słoneczne i miliony ludzi zmarłoby na chorobę popromienną.

- To już byłaby katastrofa na ogromną skalę - powiedziała Gamay.

- Nie - odrzekł Frobisher niemal szeptem. - To byłby koniec wszelkiego życia na Ziemi. Koniec świata.

Pojechali z powrotem do Albuquerque, żeby złapać samolot do domu. Tym razem milczał Paul.

- Dam dolara za to, żeby poznać twoje myśli - odezwała się Gamay. - Oczywiście z poprawką na inflację.

Trout ocknął się z transu.

- Myślałem o Roswell w Nowym Meksyku, gdzie podobno rozbiło się UFO.
- Może wybierzemy się tam kiedy indziej. Po rozmowie z naszym przyjacielem Frobym jeszcze kręci mi się w głowie od teorii spiskowych.
- Jak go oceniasz?
- Jest albo zabawnie ekscentryczny, albo przerażająco normalny.
- Też tak uważam i właśnie dlatego myślałem o Roswell. Niektórzy entuzjaści UFO twierdzą że po tym zdarzeniu prezydent powołał komisję, złożoną z naukowców i wysokich urzędników państwowych, do rozpatrzenia i utajnienia tej sprawy. Ten zespół nazywał się MJ12.
- Myślisz, że są jakieś podobieństwa do tego, o czym się dziś dowiedzieliśmy?
- Być może, ale istnieje jeden sposób, żeby zweryfikować słowa Froby'ego.
- Jaki?

Na konsoli między siedzeniami leżała broszura, którą dał im Frobisher. Powiedział, że to jedyne opublikowane przez Kovacs'a matematyczne uzasadnienie jego kontrowersyjnych teorii. Na pozostałych stronach roilo się od równań.

- Laszlo Kovacs nie mógł sprawdzić swoich twierdzeń. My możemy - rzekł Paul.

## 20

Austin stał na tarasie i patrzył na lśniącą wstęgę rzeki za jego domem. Poranna mgła ustąpiła. Potomac wydzielał zapach mułu wysuszonego przez słońce i polnych kwiatów. Austin wyobrażał sobie czasami, że ta rzeka ma własną Lorelei, pięknooką odmianę germańskiej syreny, której śpiew wiódł ku śmierci wioślarzy na Renie.

Nie mogąc się oprzeć jej wołaniu, wyciągnął spod domu swój sześciometrowy wyścigowy skiff i opuścił po pochylni do wody. Wsiadł do środka, włożył stopy w jarzma na podnóżkach, kilka razy przesunął wózek tam i z powrotem, żeby rozruszać mięśnie brzucha, i ustawił dulki.

Odepchnął się, wypłynął na rzekę, zanurzył w wodzie prawie trzymetrowe kompozytowe wiosła, pochylił się do przodu i pociągnął je do siebie. Skiff pomknął naprzód. Austin zwiększał tempo wiosłowania, dopóki wyświetlacz automatycznego trenera Stroke Coach nie pokazał, że wykonuje dwadzieścia osiem ruchów na minutę jak zwykle.

Wiosłowanie było jego codziennym rytuałem i główną formą ćwiczeń fizycznych. Austin kładł większy nacisk na technikę niż na siłę. Współpraca umysłu z ciałem, konieczna do szybkiego poruszania się lekką łódką, pozwalała mu odgradzić się od świata zewnętrznego, maksymalnie się skoncentrować.

Kiedy mijał okazałe stare rezydencje, próbował znaleźć sens w ostatnich wydarzeniach. Krążyły mu w głowie jak wir, który omal nie wessał Troutów. Jedno wydawało się bezsporne. Ktoś potrafił manipulować oceanami. Ale w jakim celu to robił? Co chciał osiągnąć, wywołując zabójcze fale i potężne wiry, zdolne wchłaniać całe statki? Kto miał tak wielką niemal boską siłę?

Austin dostrzegł kątem oka ruch, który przerwał mu rozmyślenia. Zrównał się z nim jakiś skiff. Austin wyhamował i się zatrzymał. Tamten wioślarz zrobił to samo. Różnił się od umięśnionych, krótko ostrzyżonych typów, których Kurt często

spotykał rankiem na rzece. Miał na głowie jasnobrązową czapkę baseballową i długie rastafariańskie dredy. Nosił okulary przeciwsłoneczne z niebieskimi szklami.

- Dzień dobry - powiedział Austin.

Mężczyzna zdjął okulary i czapkę z przyklejonymi dredami.

- Cholera, ale w tym gorąco! - się uśmiechnął. - Brał pan ostatnio udział w jakimś wyścigu kajakowym?

W słońcu lśniła jego łysa, spocona czaszka z dziwnym tatuażem. Austin oparł się na wiosłach.

- Cześć, Spider.

- Zna mnie pan? Austin skinął głową.

- Ale na moment zmylił mnie ten wygląd Boba Marleya. Barrett wzruszył ramionami.

- Nie miałem czasu, żeby wymyślić coś lepszego. Kupiłem to od faceta w kiosku z pamiątkami obok wypożyczalni łodzi. Był jeszcze Elvis.

- Dobry wybór - pochwalił Austin. - Nie widzę cię śpiewającego Hound Dog. Ale po co to przebranie?

Barrett wskazał bandaż wokół głowy.

- Ktoś próbuje mnie zabić.

- Dlaczego?

- To długa historia, Kurt.

Austin postanowił strzelić w ciemno.

- Czy to ma coś wspólnego z emisją fal elektromagnetycznych bardzo niskiej częstotliwości?

Trafił w dziesiątkę. Świadczyła o tym zaskoczona mina Barretta.

- Skąd o tym wiesz?

- Właściwie tylko tyle wiem.

Barrett spojrzał zmrużonymi oczami na lśniąca rzekę. - Ładnie tutaj.

- Owszem, ale nie jesteś tu po to, żeby podziwiać pejzaż.

- Masz rację. Zjawiłem się tutaj, bo potrzebuję przyjaciela. Austin zatoczył ręką szeroki łuk.

- Jesteś tu na przyjaznych wodach. Gdyby nie ty i twoja motorówka, byłbym karmą dla orzek. Chodźmy do mnie i pogadajmy o tym.

- To nie jest dobry pomysł - odparł Barrett i zerknął ukradkiem przez ramię. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął czarne pudełko wielkości paczki papierosów. - To nam powie, czy w pobliżu jest monitoring elektroniczny. Dobra, na razie jest czysto, ale wolę nie ryzykować. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy powiosłowali?

- Niedaleko stąd jest miejsce, gdzie możemy przybić do brzegu - odrzekł Austin. - Płyn za mną.

Po około dwustu metrach wciągnęli łodzie na niski brzeg. Jakaś dobra dusza ustawiła w cieniu drzew ławkę dla wodniaków. Austin poczęstował Barretta wodą z butelki.

- Dzięki - powiedział Spider po wypiciu kilku łyków. - Nie jestem w formie.

- Płynąłem szybko, kiedy mnie dogoniłeś.

- W MIT byłem w drużynie wiosłarskiej. Trenowałem codziennie na rzece Charles. Dawne czasy. - Barrett uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Co studiowałeś w MIT?

- Mechanikę kwantową. Zrobiłem specjalizację z informatyki.

- Nie domyśliłbym się tego po twoim wyglądzie harlejewca. Barrett się roześmiał.

- To na pokaz. Zawsze byłem maniakiem komputerowym. Pochodzę z Kalifornii. Moi starzy wykładali na uniwersytecie. Poszedłem do Cal-tech, żeby studiować informatykę, potem do MIT, żeby zrobić dyplom. Tam poznałem Trisa Margrave'a. Połączyliśmy siły i stworzyliśmy oprogramowanie Bargrave. Zarobiliśmy na tym miliony dolarów. Mieliśmy wszystko, korzystaliśmy z życia, dopóki Tris nie związał się z Lucyferem.

- Z Lucyferem?

- „Lucyfer” to była gazeta anarchistów, wydawana w Kansas w XIX wieku. A teraz tak się nazwa mała grupa neoanarchistów, z którą związał się Tris. Chcą obalić „elity”, jak to nazywają niewybieranych przez nikogo ludzi, którzy mają w rękach większość światowego bogactwa i władzy.

- A co ty w tym robisz?

- Jestem członkiem Lucyfera. A raczej byłem. Austin popatrzył na tatuaż na głowie Barretta.

- Nie sprawiasz na mnie wrażenia konwencjonalnego faceta, Spider, ale czy ty i twój wspólnik nie macie dużej części tego światowego bogactwa?

- Oczywiście. Dlatego właśnie podjęliśmy walkę. Tris mówi, że to ludzie bogaci i wykształceni, którzy mieli najwięcej do stracenia, rozpoczęli wojnę o niepodległość Ameryki. Takim facetom jak Hancock, Waszyngton i Jefferson dobrze się powodziło.

- Jaką rolę odgrywa Margrave w Lucyferze?

- Tris mówi o sobie, że jest siłą napędową Lucyfera. Anarchiści nie lubią mieć przywódcy. To luźno zorganizowana grupa około stu osób o podobnych poglądach. Jednocześnie należą do kilku bardziej aktywnych ugrupowań neoanarchistycznych. Kilkudziesięciu najbardziej agresywnych facetów tworzy tak zwany „Legion Lucyfera”. Ja zajmowałem się bardziej techniczną niż polityczną stroną projektu.

- Co tak nakręca Margrave'a?

- Jest błyskotliwy i bezwzględny. Czuje się winny, bo jego rodzina zrobiła majątek na niewolnictwie i przemyśle rumu. Ale uważam, że ma obsesję na punkcie władzy. Wtajemniczył mnie w plan Lucyfera.

- To znaczy?

- Mieliśmy uderzyć w imperium elit, żeby uległy naszym żądaniom i zrezygnowały z części władzy.

- Trudna sprawa - zauważył Austin.

- Ty mi to mówisz? Kilka tygodni temu daliśmy im w Nowym Jorku przedsmak tego, co się stanie. Wyłączyliśmy na krótko prąd w mieście podczas dużej konferencji ekonomicznej. Mieliśmy nadzieję, że to ich zmusi do ustępstw. Ale nic z tego nie wyszło.

Austin uniósł brwi.

- Tamto zaciemnienie to była wasza robota? Barrett przytaknął.

- Próbką, żeby im pokazać, że moglibyśmy wywołać chaos. Nasz plan długofalowy to spowodowanie zakłóceń w funkcjonowaniu światowej telekomunikacji i ekonomii.

- Jak chcieliście to zrobić?

- Wykorzystać pewne odkrycia naukowe do czasowego zdezorganizowania telekomunikacji i transportu, żeby powstał ogólny bałagan ekonomiczny.

- Tezy Kovacsa.

Barrett popatrzył na Austina zaskoczony.

- Odrobiłeś pracę domową. Co wiesz o tych tezach?

- Niewiele. Tylko tyle, że Kovacs był geniuszem, odkrył, jak można zakłócić naturalny porządek rzeczy przy użyciu fal elektromagnetycznych bardzo niskiej częstotliwości. Obawiał się, że w niewłaściwych rękach jego odkrycie może posłużyć

do wywoływania zmian klimatu, trzęsień ziemi i innych szkodliwych zjawisk. Z tego, co mi powiedziałeś o twoich kumplach z Lucyfera, wynika, że miał rację.

Barrett skrzywił się na wzmiankę o „kumplach”, ale skinął głową.

- To fakt.

- Jak daleko to zaszło?

- Próbowaliśmy spowodować odwrócenie biegunów ziemskich.

- Przetawienie bieguna północnego i południowego?

- Biegunów magnetycznych. Chcieliśmy wyłączyć z akcji satelity telekomunikacyjne. Namieszać w łączności i przestraszyć elity. Nic wielkiego.

Rysy Austina stwardniały.

- Od kiedy zabójcze fale, wiry wchłaniające statki i zatonięcie kontenerowca z całą załogą to nic wielkiego?

Barrett się skulił. Austin zaniepokoił się, że jego ostra uwaga może zakończyć rozmowę. Ale Barrett po chwili skinął głową.

- Oczywiście masz rację. Nie myśleliśmy o skutkach, tylko o środkach. - A jakie były te środki?

- Zbudowaliśmy cztery statki. Każdy miał na pokładzie urządzenie skonstruowane na podstawie tez Kovacsa. Skierowaliśmy strumień energii ukośnie na podatne miejsce w dnie oceanu. Moc każdego urządzenia wystarczyłaby do oświetlenia małego miasta, choć była niewielka w stosunku do ogromnej masy Ziemi. Ale Kovacs twierdził, że przy właściwej częstotliwości fal siłą emisji spotęguje sama materia, przez którą mają przeniknąć. Podobnie jak tuba trąby wzmacnia dźwięk powietrza wdmuchiwanego do niej przez zaciśnięte wargi.

- Widziałem gigantyczny wir, który wytworzyliście. To nie przypominało dmuchania przez zaciśnięte wargi.

- Wir?

Austin opowiedział w skrócie o przygodzie, która mogła mieć tragiczne skutki. Barrett gwizdnął.

- Wiedziałem tylko o gigantycznych falach, które wytworzyliśmy w czasie jednego z naszych testów morskich. Zatopiły kontenerowiec i jeden z naszych statków.

- Czasami morze oddaje to, co zabrało. Wir wyrzucił wasz statek na powierzchnię. Udało mi się wejść na pokład, zanim z powrotem zatonął.

Barrett wyglądał na oszołomionego. - Co jest, Spider? Ocknął się.

- Nie wzięliśmy pod uwagę tego, że powodując zakłócenia w polu elektromagnetycznym Ziemi, możemy wywołać takie gwałtowne zaburzenia w oceanie. Z twoich słów wynika, że te zaburzenia trwały nadal po wycofaniu naszych statków z tamtego rejonu. Najwyraźniej ruch magmy pod skorupą ziemską nie ustał mimo przerwania stymulacji. To tak, jak rozchodzenie się fal na stawie, kiedy rzucisz do wody kamień. Na tym polega niebezpieczeństwo korzystania z tez Kovacsa. Tego się obawiał. Przebieg całego procesu jest nieprzewidywalny.

- Co robiłeś w zatoce Puget tamtego dnia, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz?

- Po zatonięciu „Southern Belle” wróciłem do początku. Testowałem zminiaturyzowaną wersję generatora.

- Dlatego orki oszalały? Barrett przytaknął.

- Co się właściwie stało?

- Fale rozchodziły się po całej okolicy. Zrobiliśmy obliczenia, ale nawet przy nanosekundowym błędzie eksperyment może się wymknąć spod kontroli.

- Więc Kovacs się mylił? Barrett rozłożył ręce.

- Opublikował ogólną teorię jako ostrzeżenie dla świata, ale zataił informacje, co

zrobić, żeby działało to prawidłowo. To jest tak jak z bombą atomową. Jej plany możesz znaleźć w Internecie. Możesz nawet kupić materiały do jej budowy. Ale jeśli nie wiesz dokładnie, jak ona działa, nic nie zrobisz. Wyjdzie ci co najwyżej brudna, radioaktywna bomba. Tu mamy to samo; elektromagnetyczny odpowiednik brudnej bomby.

- Zatonięcie waszego statku pewnie zastopowało projekt - powiedział Austin.
- Tylko opóźniło. Mieliśmy rezerwowy statek. Płynie teraz do miejsca głównego uderzenia.
- Gdzie to będzie?
- Tris mi nie powiedział. Przewidywaliśmy kilka ewentualnych lokalizacji.
- Jak się wdałeś w to szaleństwo?
- To ja zwróciłem uwagę Trisa na tezy Kovacsa. Myślałem, że mogą się przydać dla naszej firmy, ale on postanowił je wykorzystać dla sprawy anarchistów. Poprosił mnie, żebym skonstruował urządzenie, które spowoduje chwilowe odwrócenie biegunów magnetycznych. Uznałem to za wyzwanie techniczne. Wziąłem za podstawę tezy Kovacsa i wypełniałem luki.
- Opowiedz mi o zamachu na twoje życie. Barrett dotknął ostrożnie boku głowy.
- Byłem u Trisa na jego wyspie w Maine. Próbował mnie zabić pilot prywatnego samolotu Trisa, Mickey Doyle. Udał, że ma problem z silnikiem i wylądował na jeziorze. Pocisk z jego pistoletu drasnął mnie w głowę. Mocno krwawiłem. Pomogli mi dwaj wędkarze z Bostonu. Jeden z nich był lekarzem. Podałem mu fałszywe nazwisko i zmyłem się przy pierwszej okazji. Stąd to przebranie. Jeśli ktoś się dowie, że przeżyłem, będzie po mnie.
- Doyle działał na rozkaz Margrave'a?
- Wątpię. Tris zrobił się dziwny. Stał się megalomanem. Wynajął sobie prywatną armię ochroniarzy. Kiedy jednak powiedziałem mu, że z powodu zatonięcia „Southern Belle” i tej historii z orkami wycofuję się z projektu, obiecał wstrzymać całą sprawę, dopóki nie zapoznam się z nowym materiałem, który zdobył. Zanim Mickey do mnie strzelił, zapytałem go, czy stoi za tym Tris. Odpowiedział, że pracuje dla kogoś innego. Wątpię, żeby kłamał.
- Więc kto chce się ciebie pozbyć?
- Mickey starał się mnie przekonać, że nie powinienem ujawniać publicznie całej sprawy. Kiedy mu się nie udało, próbował mnie zabić. Ten, dla kogo on pracuje, chce doprowadzić projekt do końca.
- Czy twoja śmierć nie przeszkodziłaby w realizacji projektu? Barrett uśmiechnął się smutno.
- Już nie. Ustawiłem wszystko tak, że Tris może pokierować statkami i wykorzystać moc ich urządzeń przy minimalnej liczbie personelu.
- Komu jeszcze zależy, żeby ten plan się powiódł?
- Znam tylko jedną taką osobę. Jordana Ganta. Jest szefem Global Interests Network. W skrócie GIN. To fundacja z siedzibą w Waszyngtonie, która występuje przeciwko temu samemu, co Lucyfer. Nadużywaniu władzy przez korporacje. Polityce celnej niekorzystnej dla środowiska naturalnego. Rozbudowie potęgi militarnej krajów rozwijających się. Tris mówi, że fundacja Ganta jest jak Sinn Fein, polityczne skrzydło Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Mają czyste ręce, a IRA jest tajną organizacją, która używa siły.
- Więc zagrożenie dla projektu Trisa byłoby jednocześnie zagrożeniem dla programu Ganta.
- Taki jest logiczny wniosek.
- Jaką przeszłość ma Gant?
- Był menedżerem w świecie biznesu. Pracował dla tych samych ludzi, z którymi

my walczyliśmy, dopóki nie doznał olśnienia. Potrafi gładko mówić. Ma dużo osobistego uroku. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł zaplanować i zlecić zabójstwo, ale nigdy nie wiadomo.

- Warto sprawdzić ten trop. Mówiłeś, że Margrave dał ci jakiś nowy materiał w nadziei, że zmienisz zdanie.

- Powiedział, że Kovacs znalazł sposób na przerwanie procesu odwracania biegunów. Odparłem, że nie wycofałbym się, gdyby istniała jakaś gwarancja bezpieczeństwa.

- Gdzie mógłby zacząć szukać czegoś takiego?

- Są dowody, że Kovacs przeżył wojnę, przyjechał do Stanów i ożenił się tu drugi raz. Myślę, że jego wnuczka zna antidotum na inwersję biegunów. Nazywa się Karla Janos.

- Gant to wie?

- Jeśli Doyle pracuje dla niego, to tak. Austin zastanowił się nad tym.

- Panna Janos może być na celowniku. Powinniśmy ją ostrzec. Wiesz, gdzie ona mieszka?

- Na Alasce. Pracuje na uniwersytecie stanowym w Fairbanks. Ale Tris powiedział, że wyjechała na Syberię. Może tam marznie, ale chyba jest bezpieczna.

- Z twoich słów wynika, że Margrave i Gant mają długie ręce.

- To fakt. Co proponujesz?

- Trzeba ją znaleźć. Dla ciebie będzie najbezpieczniej, jeśli pozostaniesz „martwy”. Masz gdzie mieszkać? Możesz się zamelinować w jakimś miejscu, którego Margrave i Gant nie znają?

- Mam na moim harleyu śpiwór, a w kieszeni pełno forsy, więc nie muszę używać kart kredytowych, które łatwo wytropić. Połączenia z mojej komórki przechodzą przez kilka odległych stacji bazowych, więc praktycznie sianie do namierzenia. - Barrett znów wyjął z kieszeni małe, czarne pudełko. - Zrobiłem ten gadżet dla zabawy. Gdybym chciał, mógłbym przekierować telefon nawet na Księżyc.

- Proponuję, żebyś stale był w ruchu. Zadzwoni do mnie jutro o tej porze. Do tego czasu coś wymyślę.

Uścisnęli sobie ręce i wrócili do swoich łódek. Austin pomachał Barrettowi na pożegnanie i skręcił do domu. Barrett powiosłował do wypożyczalni łodzi niecały kilometr dalej. Austin wciągnął skiff na stojak. Kiedy wchodził do salonu, miał już gotowy plan.

## 21

Dziesięć tysięcy lat po zniknięciu z powierzchni ziemi ostatniego mamuta jego kości i siekacze zapewniły rozkwit międzynarodowego handlu. Centrum tego handlu stanowił Jakuck na wschodzie Syberii, około sześciu godzin lotu z Moskwy.

To stare miasto, założone w XVII wieku przez Kozaków, było długo uważane za ostatni przyczółek cywilizacji. Zyskało później złą sławę jako jedna z wysp archipelagu Gułag, gdzie wrogowie państwa radzieckiego wykonywali niewolniczą pracę w kopalniach złota i diamentów. Od XIX wieku miasto jest stolicą światowego handlu kością słoniową.

Jednym z jej głównych dystrybutorów jest Spółdzielnia Obrotu Kością Słoniową z siedzibą w ciemnym, zakurczonym magazynie. Budynek otaczają zniszczone bloki



mieszkalne z epoki Chruszczowa. Za betonowymi ścianami i stalowymi drzwiami leżą tony mamuciej kości słoniowej warte miliony dolarów. Czekają na transport do Chin i Birmy, gdzie powstają z nich rzeźbione ozdoby, przeznaczone na kwitnący azjatycki rynek turystyczny. Biały skarb jest zapakowany w skrzynie, które wypełniają półki ciągnące się od jednego krańca hali do drugiego.

W magazynie stali trzech mężczyźni: Władimir Bułgarin, właściciel tego interesu, i jego dwaj pomocnicy, którzy trzymali za końce wielki siekacz mamuta.

- Piękny - zachwycił się Bułgarin. - Ile waży?  
- Sto kilo - stęknął jeden z pomocników. - Strasznie ciężki.  
- Wspaniały - powiedział Bułgarin. Kilogram kości słoniowej pierwszego gatunku kosztował sto dolarów.

Przejsiemiem między półkami przybiegł trzeci pomocnik.

- Przyjechał pański wspólnik - poinformował.

Bułgarin skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. Poleciał pomocnikom włożyć ząb mamuta do skrzyni z trocinami i odstawić na bok. Zamiast wysłać siekacz jako surowiec, mógł zlecić wyrzeźbienie z niego małych mamutów lub kolczyków i zarobić więcej.

Wraciał do swojego pokoju biurowego z ponurą miną na mięsistej twarzy. Jego tak zwany wspólnik był „inkasentem” mafii. Przyjeżdżał raz w miesiącu z Moskwy, żeby pobrać procent od dochodu i postraszyć Bułgarina, że połamie mu nogi, jeśli będzie się ościagał.

Łatwo było przewidzieć, że rosyjska mafia znajdzie sposób na wejście w ten bardzo opłacalny interes. Handel mamucimi siekaczami kwitł dzięki międzynarodowemu zakazowi sprzedaży kości słoniowej z Afryki, gdzie myśliwi zdziesiątkowali stada słoni. W Jakucku handlowano mamucimi kośćmi od setek lat. Syberyjska wieczna zmarzlina była ogromnym źródłem tego surowca. Oceniano, że są pod nią szczątki dziesięciu milionów mamutów.

Zmiany polityczne też spowodowały rozkwit tego interesu. Moskwa nadal kontrolowała obrót diamentami i złotem, ale miejscowi mieszkańcy handlowali z Chińczykami od dwóch tysięcy lat i lepiej niż ktokolwiek inny wiedzieli, jak zarobić na kościach dawno wymarłych olbrzymów. Kość słoniową należało najpierw poddać obróbce, żeby można ją było legalnie wyeksportować, ale niektórzy dystrybutorzy, tacy jak Bułgarin, ignorowali przepisy i wysyłali ją w stanie surowym prosto do kupców.

Kiedy wycofała się Moskwa, wkroczyła mafia. Rok temu w spółdzielni złożyła niezapowiedzianą wizytę grupa najbardziej przerażających ludzi, jakich Bułgarin dotąd spotkał. Mężczyźni nosili czarne golfy i czarne skórzane kurtki. Oznajmili, że będą wspólnikami w tym interesie. Bułgarin był drobnym złodziejem i obracał się wśród najgroźniejszych elementów rosyjskiego świata przestępczego. Kiedy ci twardziele powiedzieli, że on i jego rodzina potrzebują ochrony, wiedział dokładnie, o co im chodzi. Zgodził się na współpracę. Ludzie z Moskwy zostawili przy drzwiach dwóch typów z pistoletami maszynowymi, żeby pilnowali ich inwestycji.

Bułgarina zaintrygował i zirytował termin wizyty inkasenta. Jego wspólnik zjawiał się regularnie jak w zegarku w czwarty czwartek każdego miesiąca. Tymczasem dziś była druga środa. Mimo niezadowolenia, Bułgarin uśmiechnął się szeroko, gdy wszedł do swojego ciasnego, zagraconego biura, gdzie spodziewał się zobaczyć Karpowa, stałego przedstawiciela ludzi z Moskwy. Ale mężczyzna w

czarnym garniturze i golfie był młodszy, i w przeciwieństwie do Karpowa miał minę lodowatą jak zimowa noc w Jakucku.

Zmiażdżył Bułgarina wzrokiem.

- Nie lubię czekać. Bułgarin nadal się uśmiechał.
- Bardzo przepraszam. Byłem w drugim końcu magazynu. Karpow jest chory?
- Karpow tylko inkasuje pieniądze. Mamy do zrobienia duży interes. Niech pan się skontaktuje z ludźmi na Wyspie Kości Słoniowej.
- To nie będzie łatwe.
- Bez gadania.

Kilka dni wcześniej Bułgarin dostał z Moskwy telefon. Usłyszał, że ma zebrać grupę swoich łowców kości słoniowej i wysłać ich na wyspę, żeby znaleźli tam zespół naukowców, zatrzymali kobietę o nazwisku Karla Janos i przekazali ją Amerykanom z Alaski.

- Mogę spróbować - odrzekł Bułgarin. - Ale pogoda...
- Niech pan im każe zabrać dziewczynę z wyspy.
- A co z Amerykanami?
- Nie mogą przyjechać. Chcieli nam zapłacić masę forsy za tę robotę, więc ta dziewczyna musi być coś warta. Pogadamy z nią, zorientujemy się, co wie, i zatrzymamy ją dla okupu.

Bułgarin wzruszył ramionami. To było typowe dla moskiewskiej mafii. Każdego wykołować. Brutalnie i bez skrupów.

- A co z innymi naukowcami?
- Niech pan powie swoim ludziom, że nie mogą zostawić żadnych świadków.

Bułgarin poczuł na plecach zimny dreszcz. Nie był aniołem. Jako młody przemytnik skreślił kilka karków. Kością słoniową handlowali bandyci. Kiedy w ten interes weszła mafia, zwerbowała najgorsze szumowiny. Niektórzy z konkurentów Bułgarina zniknęli bez śladu.

Bułgarin nie był głupi. Wiedział, że on też jest świadkiem i będzie do odstrasza. Postanowił wykonać polecenie gościa, ale już myślał o tym, jak zwinąć interes i wynieść się z Jakucka. Miał sucho w ustach. Skinął głową i otworzył szafkę z supernowoczesną radiostacją.

W ciągu kilku minut nawiązał łączność z łowcami kości słoniowej. Na wypadek podsłuchu używał skomplikowanego szyfru. Wywołał szefa grupy, Griszę, brutalnego potomka tubylców. Przekazał mu instrukcje. Grisza poprosił tylko o powtórzenie, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiał. Nie miał żadnych pytań.

Bułgarin odłożył mikrofon.

- Załatwione - powiedział. Człowiek mafii skinął głową.
- Wrócę tu jutro, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.

Po jego wyjściu Bułgarin otarł pot z czoła. Sam nie wiedział, co jest gorsze: mieć do czynienia z bandytami z Moskwy, czy z tymi, którzy dla niego pracują. Ale wiedział, że jego dni w Jakucku są policzone. Będzie bezpieczny, dopóki nie ściągną kogoś na jego miejsce. Trzeba zacząć realizować dawno ułożony plan. Miał miliony dolarów na szwajcarskich kontach bankowych.

W Genewie byłoby całkiem przyjemnie. A może w Paryżu lub w Londynie. Handel klejnotami to też dobry interes.

Wszystko będzie lepsze od syberyjskiej zimy.

Uśmiechnął się. Być może mafia robi mu wielką przysługę.

## 22

Pietrow wychodził ze swojego biura w moskiewskim budynku rządowym, gdy sekretarka powiedziała mu, że jest do niego telefon. Był w kiepskim nastroju. Nie mógł się wykręcić od przyjęcia dla dyplomatów w ambasadzie Norwegii. Co to za kraj, na litość boską! Do jedzenia tylko ryby wędzone. Postanowił się upić i tak zachowywać, żeby więcej go nie zaprosili.

- Odbierz - warknął. Kiedy był za progiem, się odwrócił. - Kto dzwoni?  
- Jakiś Amerykanin - odrzekła sekretarka. - Mówi, że nazywa się John Doe.  
Pietrow stanął jak wryty.

- Jesteś pewna?

Minął zdumioną sekretarkę, wszedł z powrotem do swojego gabinetu, chwycił słuchawkę telefonu i przyłożył do ucha.

- Pietrow przy aparacie.

- Cześć, Iwan. Pamiętam czasy, kiedy sam odbierałeś telefon - powiedział głos na drugim końcu linii.

- A ja pamiętam czasy, kiedy jeszcze nazywałeś się Kurt Austin - odparł Pietrow. Opryskliwy ton nie pasował do błysku rozbawienia w jego oczach.

- Punkt dla ciebie, stary. Wciąż ten sam dawny aparatczyk KGB o ciętym języku. Co u ciebie słychać, Iwan?

- Wszystko w porządku. Ile czasu minęło od sprawy Razowa?

- Kilka lat. Powiedziałeś, żebym zadzwonił, jeśli będę czegoś potrzebował.

Austin i Pietrow udaremнили razem plan Michaiła Razowa, rosyjskiego demagoga, który chciał skierować tsunami ku wschodniemu wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, wykorzystując do tego podmorskie złoża metanu.

- Masz szczęście, że mnie złapałeś. Właśnie wychodziłem na ekscytujące przyjęcie w ambasadzie norweskiej. W czym mogę ci pomóc?

- Zawała i ja musimy się jak najszybciej dostać na Wyspy Nowosyberyjskie.

Pietrow zachichotał.

- Na Syberię? Stalin nie żyje, Austin. Już nie wysyłają ludzi do łagrów. - Rozejrzał się wokół siebie. - Ci, co podpadają przełożonym, dostają awanse, tytuły i wielkie, paskudnie urządzone gabinety, gdzie śmiertelnie się nudzą.

- Więc znów byłeś niegrzecznym chłopcem, Iwan.

- Niech ci wystarczy to, że nie warto podpadać przełożonym.

- Kiedy następnym razem będę rozmawiał z Putinem, wstawię się za tobą.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś to sobie darował. To właśnie prezydentowi podpadłem. Zdemaskowałem jego bliskiego przyjaciela. Defraudował pieniądze koncernu naftowego, który rząd przejął po aresztowaniu właściciela. To normalne kremlowskie zagrywki. Straciłem stanowisko w wywiadzie. Mam wielu przyjaciół na wysokich stołkach i nie można było mnie oficjalnie ukarać, więc trafiłem do złotej klatki. Dlaczego akurat Syberia, jeśli wolno spytać?

- Teraz nie mogę zdradzić szczegółów. Mogę ci tylko powiedzieć, że to bardzo pilne.

Pietrow się uśmiechnął.

- A co u ciebie nie jest pilne? Kiedy chcesz lecieć?

Austin zadzwonił do Pietrowa po próbie zlokalizowania Karli Janos na Uniwersytecie Stanu Alaski. Od dziekana wydziału, z którym rozmawiał, dowiedział się, że Karla jest z ekspedycją naukową na Wyspach Nowosyberyjskich. Zorientował się, że musi działać szybko, gdy dziekan wspomniał, że w tym tygodniu już trzecia osoba pyta go o ekspedycję na Wyspie Kości Słoniowej.

- Natychmiast - odpowiedział Austin Pietrowowi.

- Widzę, że naprawdę ci się spieszy. Zadzwonię do ambasady w Waszyngtonie i każę dostarczyć ci papiery przez kuriera. Ale nic za darmo. Chcę postawić ci drinka, żebyśmy mogli pogadać o starych czasach.

- Umowa stoi.

- Będziesz tam potrzebował wsparcia?

Austin się zastanowił. Wiedział z doświadczenia, że wsparcie oznacza u Pietrowa drużynę uzbrojonych po zęby twardzieli z sił specjalnych, którzy rwą się do walki.

- Może później. Ta sytuacja może wymagać na początku chirurgicznej precyzji.

- W takim razie będę trzymał w pogotowiu mój zespół medyczny na wypadek, gdybyś potrzebował chirurga. Może nawet przyłączę się do nich.

- Nie żartowałeś, że się nudzisz - powiedział Austin.

- To już nie to, co kiedyś - odrzekł Pietrow z nostalgią w głosie.

- Powspominamy dawne czasy przy drinkach - uciął Austin. - Przepraszam, ale muszę wykonać kilka telefonów. Zadzwonię i podam ci szczegóły podróży.

Pietrow odrzekł, że rozumie, i powiedział Austinowi, żeby był z nim w kontakcie. Wyłączył się i kazał sekretarce odwołać samochód, który miał go zawieźć do ambasady Norwegii. Potem zadzwonił do rosyjskiej ambasady w Waszyngtonie. Nikt tam nie wiedział o jego „zesłaniu”, więc udało mu się załatwić dla Austina i Zawali wjazd do Rosji w charakterze naukowców NUMA. Kiedy dostał zapewnienie, że papiery będą dostarczone w ciągu godziny, odchylił się na krześle do tyłu, zapalił jedno ze swoich ulubionych cienkich cygar hawańskich i wrócił myślami do spotkań z zuchwałym, odważnym Amerykaninem z NUMA.

Pietrow był po czterdziestce, miał wysokie czoło i wydatne kości policzkowe. Byłby przystojny, gdyby nie duża blizna szpecząca jego prawy policzek. Zawdzięczał ją Austinowi, ale nie żywił do niego urazy. On i Austin starli się kilkakrotnie ze sobą, kiedy w czasach zimnej wojny pracowali w specjalistycznych sekcjach wywiadu morskiego swoich krajów. Zrobiło się gorąco, gdy ich drogi skrzyżowały się podczas próby przechwycenia przez Rosjan amerykańskiego szpiegowskiego okrętu podwodnego”, który osiadł na dnie morza.

Austin uratował jego załogę i ostrzegł Pietrowa, że umieścił na okręcie ładunek wybuchowy z zapalnikiem czasowym. Wściekły, że Amerykanin okazał się lepszy, Pietrow zanurkował w swojej mini łodzi podwodnej, i nastąpiła eksplozja. Nie winił Austina za to, że ucierpiał. Potraktował swój wypadek jako przestrożę, żeby w działaniu nie kierować się emocjami. Później, kiedy rozpracowywali wspólnie Razowa, tworzyli doskonały duet. Pietrow zadumał się nad tym. Jeśli Austin myśli, że wyłączy go z zabawy w jego własnym kraju, to grubo się myli. Podniósł słuchawkę telefonu, żeby nadać sprawie bieg.

Austin zadzwonił do Zawali.

- Właśnie wychodziłem z domu - powiedział Zawała. - Zobaczymy się w NUMA.

- Zmiana planów - odparł Austin. - Lecimy na Syberię. Zawała zareagował na to bez

entuzjazmu.

- Na Syberię? Jestem meksykańskim Amerykaninem. Tacy jak ja źle znoszą zimno.  
- Pamiętaj tylko, żeby zapakować kurtkę na futrze, i nic ci się nie stanie - odrzekł Austin. - Biorę moją „rusznicę” - dodał. Zawała nazywał tak rewolwer bowen dużego kalibru. - Ty też możesz wziąć jakieś zabezpieczenie.

Umówili się na lotnisku. Potem Austin poszedł poszukać ubrania odpowiedniego do arktycznych warunków.

\* \* \*

Tysiące kilometrów dalej Schroeder siedział w ciasnej kajucie i po raz ostatni przed zejściem na ląd patrzył na mapę topograficzną wyspy.

Dawno się przekonał, że trzeba znać teren, na którym zamierza się działać, bez względu na to, czy chodzi o setki kilometrów kwadratowych otwartej przestrzeni, czy o kilka ulic w mieście.

Przestudiował mapę wiele razy i czuł, że zna wyspę tak, jakby już tam kiedyś był. Miała około piętnastu kilometrów szerokości i trzydzieści długości. Morze żłobiło wieczną zmarzlinę i wybrzeże wyglądało jak wyszczerbiona krawędź glinianego garnka. Na wschodnim brzegu, przy ujściu rzeki, półkolista zatoka nadawała się do tego, by wykorzystać ją jako port.

Falistą tundrę przecinały kręte koryta rzek. Część z nich wyschła, inne nadal płynęły. Ze zmarzliny wyrastał dawno wygasły wulkan, który przypominał wielki czarny cyrak.

Schroeder odłożył mapę na bok i przejrzał zniszczony rosyjski przewodnik turystyczny. Kupił go w księgarni z używanymi książkami, kiedy załatwiał sobie transport na wyspę. Stwierdził z zadowoleniem, że nie zapomniał rosyjskiego. Wyspę Kości Słoniowej odkryli pod koniec XVIII wieku rosyjscy handlarze futrami. Znaleźli wielkie sterty mamucich kości i siekaczy, co dało wyspie nazwę. Kości były wszędzie. Leżały, tworząc zamrażnięte stopy.

Handel futrami zakończył się w ten sposób, że zajmujący się tym ludzie mordowali konkurentów. A potem zaczęli napływać łowcy kości słoniowej, poszukiwanej przez rzemieślników w Chinach i innych częściach świata. Rosyjski rząd zwietrzył dobry interes i przyznawał koncesje przedsiębiorcom. Jeden z nich wynajął agenta o nazwisku Sannikow, który zbadał wszystkie arktyczne wyspy.

Wyspa Kości Słoniowej była najbogatszym źródłem tego surowca, ale z powodu odległego położenia pozostała stosunkowo mało wyeksploatowana, gdyż wybierano bardziej dostępne miejsca na południu. W przewodniku napisano, że kilku odważnych łowców kości słoniowej założyło przy ujściu rzeki osadę i nazwało ją Miastem Kości Słoniowej, ale większość wyspy nie była zasiedlona, ponieważ ludzie kierowali się w bardziej gościnne rejony.

Pukanie do drzwi kajuty przerwało Schroederowi lekturę. W progu stał puciołowaty kapitan, pół Rosjanin, pół Eskimos.

- Ma pan transport na brzeg - powiedział.

Schroeder chwycił swój bagaż i zszedł po drabince z traulera do łodzi. Marynarz wiosłował, a Schroeder odsuwał długim oszczepem rybackim kawały kry unoszące się w nieruchomej zimnej wodzie. Po kilku minutach dno szalupy zazgrzytało o żwir

na plaży. Schroeder rzucił bagaż na brzeg, wysiadł z łodzi i pomógł ją odepchnąć.

Patrzył, jak szalupa znika we mgle. Choć statek rybacki stał tylko kilkaset metrów od lądu, był ledwo widoczny. Umówili się, że trawler zaczeka dwadzieścia cztery godziny na jego sygnał z brzegu, żeby go zabrać. Schroeder miał nadzieję, że będzie z nim Karla. A jeśli jego ostrzeżenie nie wystarczy, żeby nakłonić ją do opuszczenia wyspy? Pomyślał, że zajmie się tym później. Najpierw musi ją znaleźć. Chyba nie jest za późno. Jak na swój wiek był w dobrej formie, ale nie mógł ignorować faktu, że zbliża się do osiemdziesiątki. Bolały go mięśnie i stawy i utykał na jedną nogę.

Usłyszał warkot silnika trawlera. Statek odpływał. Kapitan najwyraźniej uznał, że lepiej się zadowolić połową zapłaty, niż czekać na powrót Schroedera i resztę pieniędzy. Schroeder wzruszył ramionami. Od początku nie ufał kapitanowi. Teraz już nie było odwrotu.

Przyjrzał się wyspie na tyle, na ile mógł. Plaża wznosiła się stopniowo i przechodziła w niski brzeg. Wyglądało na to, że wejście na górę będzie łatwe. Schroeder zarzucił na ramię bagaż, ruszył przed siebie i zobaczył na piasku ślady butów. Domyślił się, że to główna droga do Miasta Kości Słoniowej.

Szedł wzdłuż rzeki około dziesięciu minut i zaśmiał się na widok żałośnie wyglądających budynków, które tworzyły obozowisko nazywane miastem. Wielkie kolorowe namioty obok starych budowli świadczyły o tym, że znalazł bazę naukowców.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył z zaskoczeniem, że budynki nie są z kamienia, jak mu się wydawało, lecz z tysięcy dużych kości. Zajrzał do dwóch kwater i zobaczył śpiwory. Z niewiadomych przyczyn trzeci budynek był zaryglowany. Schroeder sprawdził, co jest w namiotach. W jednym odkrył kuchnię i jadalnię. Okrążył obóz i zawołał kilka razy, ale nikt nie odpowiedział. Odwrócił się w kierunku wulkanu i zbadał wzrokiem wyspę, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Nie był tym zaskoczony. W labiryncie wąwozów mogłaby się ukryć cała armia.

Wrócił na brzeg rzeki i przyjrzał się śladom butów, prowadzącym w głąb lądu. Wprawnym okiem dostrzegł pięć różnych odcisków stóp. Mniejsze i płytsze wyglądały na kobiece. Poczł przyływ energii, perspektywa spotkania z córką chrzestną dodała mu sił. Przyspieszył kroku. Po jakimś czasie jego radość zamieniła się w niepokój.

Odciski stóp zniknęły wśród śladów ciężkich butów. Ktoś ścigał Karłę i jej grupę.

## 23

Ze szczytu wzgórza, na który się wspięła, Karla zobaczyła, że Wyspa Kości Słoniowej nie jest arktyczną pustynią jak wcześniej przypuszczała. Tundra była bezdrzewna, ale gęsto porośnięta karłowatymi krzewami, trawami, mchami i turzycami. Mleczce, jaskry i babki tworzyły plamy o żywych kolorach. W porannym słońcu lśniły odległe jeziora i rzeki. W górze krążyły hałaśliwe ptaki.

Karla wyobraziła sobie ten dziki krajobraz jako zielone pastwisko, step pełen wielkich stad mamutów, bizonów, nosorożców i leniwców, do których podkradają się drapieżniki, takie jak tygrysy szablastozębne. Niemal czuła zwierzęcy odór i drżenie

ziemi.

Z jakiegoś powodu - jakby pod wpływem złych czarów - mamuty i inne stworzenia wyginęły. Ich zagłada zawsze intrygowała Karłę. Podobnie jak wiele innych dzieci fascynowały ją dinozaury i wielkie ssaki, które zastąpiły je w roli władców Ziemi.

Ponieważ dziadek był dla niej autorytetem, zapytała go, dlaczego te wspaniałe zwierzęta wymarły. Słuchała z szeroko otwartymi oczami jego opowieści o tym, jak zmieniał się świat. Chciała wiedzieć, czy to się może powtórzyć. Dziadek powiedział jej, że tak, i nie mogła potem zasnąć. Kilka dni później, widząc jej strach, nauczył ją wierszyka, który miał z powrotem odwrócić świat stojący do góry nogami. Teraz próbowała go sobie przypomnieć, gdy usłyszała, że ktoś woła jej imię.

Maria Arbatow machała do Karli rękami. Ekspedycja była gotowa do dalszego marszu. Karla ruszyła z powrotem, żeby dołączyć do innych. Nadszedł czas, by wrócić do czekającego ją zadania. Wiedziała, że to nie będzie łatwe. Odkrycie zwłok małego mamuta było zdumiewającym uśmiechem losu. Ale na Wyspie Kości Słoniowej roilo się od szczątków tych stworzeń. Gdyby nie udało jej się znaleźć tutaj tego, czego szuka, powinna na zawsze zrezygnować z wypraw w teren i zająć się katalogowaniem okazów muzealnych.

Po obfitym śniadaniu grupa wcześniej wyruszyła z obozu. Ito i Sato pierwsi byli gotowi do drogi. Mieli na sobie identyczne ciepłe ubrania, od butów do czapek. Siergiej zrzedził bardziej niż zwykle i nawet uroczy uśmiech Marii nie zdołał poprawić mu humoru, więc po prostu go zignorowała.

Włożyli na ramiona plecaki i ruszyli wzdłuż rzeki w głąb łądu. Szli przez tundrę w dobrym tempie. Do czasu pierwszego postoju przy wzgórzu pokonali kilka ładnych kilometrów.

Karla podniosła swój plecak, żeby iść dalej.

- Jak przetransportowaliście znaleziony okaz do obozu? - zapytała. - Musiał być ciężki.

Ito się uśmiechnął i wskazał plecaki, które nieśli on i Sato.

- Mamy tratwy pneumatyczne. Spławiliśmy mamuta rzeką aż do bazy. Kiedy Karla pogratulowała im pomysłowości, skłonił się uprzejmie z uśmiechem.

Siergiej ruszył pierwszy, kobiety za nim, Japończycy zamykali tyły. Kierowali się w głąb wyspy i oddalali od rzeki. Tundrę zastąpiły faliste wzgórza i doliny. Dotarli do wzniesień u podnóża wulkanu. Czarny, ścięty stożek górował nad nimi jak ołtarz ku czci Wulkanu, rzymskiego bóstwa ognia.

Minęli kilka małych jezior i okrążyli kępy wełnianki, otaczające bagniste tereny, zamieszkałe przez wędrowne ptaki. Temperatura wzrosła do zera, ale wiała chłodna bryza od Morza Arktycznego. Karla była zadowolona, że ma na sobie ciepłą kurtkę.

Zimny wiatr przestał im dokuczać, gdy zeszli do wąwozu o szerokości około dziesięciu metrów. Z obu stron wyrastały sześciometrowe ściany. Środkiem płynął wąski strumień o głębokości kilkudziesięciu centymetrów. Po obu stronach potoku było mnóstwo miejsca do marszu. Szli krętym parowem przez dwie godziny. Wygląd jego brzegów zaczął się zmieniać. Wkrótce stało się jasne, że to stare cmentarzysko. Rzeka, płynąca kiedyś wąwozem, wyłobliła sobie drogę w warstwach kości. Wystawały teraz z piasku.

Karla przystanąła i podniosła gołę bizona. Pasował idealnie do stawu innej kości, którą znalazła kawałek dalej. Pozostali naukowcy ledwo na to zerknęli. Musiała rzucić kości i pobiec, żeby dogonić grupę.

Zirytowała ją ich obojętność, ale wkrótce zrozumiała, z czego to wynika. Kiedy wyszli z zakrętu, zobaczyła, że niskie klify są zbudowane niemal z samych kości, spojonych wieczną zmarzliną. Szybko rozpoznała skamieniałe żebra i kości udowe tarpanów i reniferów oraz wielkie kości i siekacze mamutów. Cmentarzysko ciągnęło się na odcinku co najmniej dwustu metrów.

Siergiej oznajmił uroczyście, że dotarli do celu. Rzucił plecak na ziemię obok czarnych śladów ogniska.

- To nasze miejsce postoju.

Inni też zostawili swoje bagaże i ruszyli dalej wąwozem tylko ze sprzętem fotograficznym i ręcznymi narzędziami. Karla myślała podczas marszu o małym mamucie w obozie. Nie mogła się doczekać badania jego tkanki, chrząstki i kości. Mogliby zrobić datowanie metodą węglową, żeby ustalić, kiedy żył i umarł. W siekaczach znajdują się linie przyrostu, podobnie jak słoje w pniu drzewa. Dostarczyłyby informacji o przemianie materii, różnicach między porami roku i wzorcach migracyjnych. Zawartość żołądka powiedziałaby dużo o świecie roślinnym sprzed tysiący lat.

Po dziesięciu minutach doszli do płytkiego wydrążenia w ścianie wąwozu.

- Właśnie tutaj znaleźliśmy nasze maleństwo - powiedział Siergiej. Jama miała kilkadziesiąt centymetrów średnicy i około metra głębokości.

- Jak je wydobyliście z wiecznej zmarzliny? - zapytała Karla.

- Nie mieliśmy niestety węża z ciepłą wodą żeby ją rozmrozić - odrzekła Maria. - Musieliśmy użyć młotka i dłuta.

- Więc okaz był częściowo odsłonięty? Maria przytaknęła.

- Usunęliśmy trochę zmarzliny wokół zwłok i potem je wyciągnęliśmy. - Wyjaśniła, że zrobili prowizoryczne sianie z mamucich siekaczy i zaciągnęli zamrożony okaz nad rzekę. Kiedy spłynął do obozu, umieścili go w szopie, gdzie temperatura nawet w dzień utrzymywała się poniżej zera.

Karla obejrzała dziurę.

- Jest tu coś dziwnego.

Pozostali naukowcy stłoczyli się wokół niej.

- Nic nie widzę - powiedział Siergiej.

- Głębiej w zmarzlinie są kości. Mają na pewno tysiące lat. - Karla sięgnęła do jamy, zdrapała trochę zgniłej roślinności i pokazała kolegom. - To nie jest zbyt stare. Wasz mały słoń trafił do tej nory niedawno.

- Może za słabo znam angielski, ale chyba nie rozumiem - odezwał się uprzejmie Sato.

- Właśnie, ja też nie - zawtórował mu Siergiej, nawet nie próbując ukryć zniecierpliwienia. - Mówi pani, że ten mamut nie jest częścią tego otoczenia?

- Nie wiem, ale to dziwne, że jego mięso nie gnije.

Siergiej skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na innych z szerokim uśmiechem triumfu. Maria skinęła głową.

- Już rozumiem. Dziwię się, że wcześniej nie wzięliśmy tego pod uwagę. Ten wąwóz od czasu do czasu zalewa woda. Możliwe, że wypłukała nasz okaz z innego miejsca. Przyplłynął tutaj, utknął w dziurze i ponownie zamarł.



Siergiej zorientował się, że traci przewagę w rozmowie.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby oglądać dziury - warknął i ruszył pierwszy naprzód. Zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów dalej przed rozwidleniem wąwozu. - Pójdzie pani z Marią w lewo. My zbadamy prawą odnogę.

- Już tam byliśmy - zaprotestowała Maria.

- Nie szkodzi. Może znajdziesz więcej swoich pływających mamutów. Marii zabłyśły oczy.

Sato nie dopuścił do wybuchu.

- Lepiej upewnijmy się, czy wszyscy ustawiliśmy radia na ten sam kanał.

Sprawdzili swoje walkie-talkie i stan naładowania baterii. Potem podzielili się na dwie grupki. Trzej mężczyźni poszli w jedną stronę, dwie kobiety w drugą.

- Co dziś ugryzło Siergieja? - zapytała Karla.

- W nocy pokłóciliśmy się o twoją teorię. Uważa, że jest całkowicie błędna. Nie wierzy ci, bo jesteś kobietą. Mój mąż to straszny męski szowinista.

- Może po prostu potrzebuje trochę czasu, żeby ochłonać.

- Ten stary cap będzie dziś spał z górą lodową. Może to go ostudzi.

Ich głośny śmiech odbił się echem od ścian wąwozu. Po kilku minutach marszu Karla zrozumiała, dlaczego Maria tak się wściekła, że ma tędy iść. Było tu bardzo mało kości. Maria potwierdziła, że ekspedycja zbadała już częściowo drugą odnogę wąwozu i natrafiła tam na znacznie więcej szczątków.

Kiedy przyglądały się uważnie ścianom parowu, odezwało się radio Marii i usłyszały głos Ito.

- Maria i Karla. Proszę natychmiast wrócić do punktu, w którym się rozdzieliliśmy.

Kilka minut później były z powrotem przy rozwidleniu wąwozu. Ito czekał na nie. Wyjaśnił, że chce im coś pokazać, i poprowadził je do miejsca, gdzie stali Siergiej i Sato. Część brzegu wyglądała tak, jakby ktoś wysadził ją w powietrze dynamitem.

- Ktoś tu czegoś szukał - stwierdził Siergiej.

- Kto to mógł zrobić? - zapytał Sato.

- Czy na wyspie jest ktoś poza nami? - spytała Karla.

- Uważaliśmy, że nie - odrzekł Ito. - Kilka dni temu wydawało mi się w nocy, że widzę światło, ale mogłem się mylić.

- Wychodzi na to, że masz dobry wzrok - powiedział Sato. - Nie jesteśmy tu sami.

- Łowcy kości słoniowej - domyślił się Siergiej. Podniósł z ziemi odłamek kości leżący wśród setek innych. - Nie miałem pojęcia, że znają to miejsce. To nie służy nauce. Wygląda tak, jakby ktoś używał młotka i dłuta.

- Mamy młot pneumatyczny.

To zdanie wypowiedział potężnie zbudowany mężczyzna, który stał na szczycie urwiska i patrzył na nich z góry. Okrągła twarz, lekko skośne oczy i wydatne kości policzkowe wskazywały, że jest potomkiem Mongołów. Miał cienkie, obwisłe wąsy i wąskie wargi wykrzywione w uśmiechu. Karla uczyła się w Fairbanks rosyjskiego i rozumiała sens tego, co powiedział. Karabin w jego rękach przemawiał do wyobraźni bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Mongoł gwizdnął i w wąwozie pojawili się czterej inni, podobnie uzbrojeni mężczyźni, po dwóch z każdej strony naukowców. Byli nieogoleni i mieli groźne spojrzenia.

Siergiej wykazał się niespodziewaną odwagą. Wskazał rozrzucone szczątki zwierzęce.

- Wy to zrobiliście? Mongoł wzruszył ramionami.  
- Kim jesteście? - zapytał Siergiej.  
Tamten zignorował pytanie i spojrzał ponad nim.

- Szukamy kobiety, Karli Janos.  
Karłę zaskoczył dźwięk jej nazwiska w ustach obcego. Siergiej odruchowo zerknął na nią, ale natychmiast się zreflektował.

- Nie ma tu nikogo takiego.  
Mongoł wydał krótki rozkaz. Mężczyzna stojący najbliżej Karli złapał ją brutalnie za ramię brudnymi palcami i odciągnął od innych.

Opierała się. Ścisnął ją tak, że zostały siniaki. Uśmiechnął się na widok jej grymasu bólu i przysunął twarz do jej twarzy. Omal nie wymiotowała od odoru jego brudnego ciała i cuchnącego oddechu.

Zerknęła przez ramię. Jej towarzyszy prowadzono inną odnogą wąwozu. Mongoł zniknął. Rozległ się krzyk Marii i męskie głosy.

Huknęły strzały, odbiły się echem od ścian parowu. Karla spróbowała pobiec z powrotem, ale mężczyzna chwycił ją za włosy i szarpnął do siebie. Najpierw poczuła potworny ból, potem wściekłość. Obróciła się i sięgnęła rozczapierzonymi palcami do jego oczu. Odchylił głowę do tyłu i jej paznokcie musnęły nieszkodliwie jego policzek.

Zdzielił ją wierzchem dłoni w twarz. Cios oszołomił Karłę. Nie broniła się, gdy mężczyzna podciął jej nogi kopniakiem za kolana i popchnął ją. Upadła na plecy, uderzyła głową w ziemię i w oczach zawirowały jej gwiazdy. Odzyskała ostrość widzenia i zobaczyła, że mężczyzna patrzy na nią z rozbawieniem, a potem z pożądaniem w świńskich oczkach.

Postanowił się trochę zabawić ze swoją piękną ofiarą. Położył broń w bezpiecznej odległości i zaczął rozpinać rozporek. Karla spróbowała się odczołgać poza jego zasięg. Roześmiał się i nadepnął jej na szyję. Waliła pięściami w jego but i usiłowała się uwolnić. Ledwo mogła oddychać.

Nagle mężczyzna zakaszłał, a szeroki uśmiech na jego twarzy zamienił się w wyraz przerażenia. Z kącika ust pociekła mu strużka krwi. Obrócił się wolno i jego but zsunął się z szyi Karli. Zobaczyła, że między łopatkami mężczyzny tkwi rękojeść noża myśliwskiego. Nogi ugięły się pod nim i runął na ziemię.

Karla przetoczyła się w bok, żeby jej nie przygniotło upadające ciało. Ale ulga trwała krótko. Nadchodził drugi mężczyzna.

Był wysoki i utykał na jedną nogę. Miał za plecami słońce i jego twarz tonęła w cieniu. Karla chciała wstać, ale jeszcze kręciło jej się w głowie od upadku.

Mężczyzna wołał jej imię. Nie słyszała tego głosu od wielu lat.

Zemdlała.

Kiedy odzyskała przytomność, mężczyzna pochylał się nad nią, podtrzymywał jej głowę i obmywał jej opuchnięte wargi wodą z manierki. Poznała pociągłą twarz i jasnoniebieskie oczy przepelnione troską. Uśmiechnęła się mimo bólu warg.

- Wujek Karl? - zapytała jakby we śnie.

Schroeder podłożył jej pod głowę swoją czapkę z lisiego filtra. Potem podszedł do trupa, wyciągnął mu z pleców nóż i wytarł ostrze o jego kurtkę. Podniósł karabin

zabitego i zawiesił sobie na ramieniu. Zabrał z powrotem swoją czapkę i wziął Karłę na ręce jak strażak zaczadziłą ofiarę pożaru.

W wąwozie rozległy się głosy.

Schroeder poczuł w nodze przeszywający ból, ale zignorował to. Ruszył z Karłą na rękach w przeciwnym kierunku i zdążył zniknąć za zakrętem, zanim Mongoł i jego banda zobaczyli swojego towarzysza. Natychmiast zorientowali się, że jest martwy. Zaczęli się skradać w półprzysiadzie pod ścianą wąwozu z bronią gotową do strzału.

Schroeder uciekał, by ratować życie. Swoje i Karli.

## 24

Niecałe dziesięć godzin po starcie z Waszyngtonu turkusowy odrzutowiec NUMA zszedł w dół nad Alaską i wylądował na lotnisku w Nome. Austin i Zawała przesiedli się do dwusilnikowego samolotu śmigłowego linii lotniczej Bering Air i w ciągu godziny odlecieli do Prowidienii po rosyjskiej stronie Cieśniny Beringa.

Lot nad cieśniną trwał niecałe dwie godziny. Lotnisko w Prowidienii znajdowało się nad malowniczą zatoką, otoczoną szarymi górami o ostrych szczytach. W czasie II wojny światowej lądowały tu maszyny wysyłane ze Stanów Zjednoczonych do Europy w ramach udzielanej pomocy, ale tamte dni chwały dawno minęły. Teraz stało tutaj tylko kilka samolotów czarterowych i helikopterów wojskowych. Maszyna Bering Air podkołowała do budynku administracyjnego, połączonego z wieżą kontrolną. Zniszczona, piętrowa konstrukcja z aluminiowej blachy falistej wyglądała tak, jakby pochodziła z epoki Piotra Wielkiego.

Austin i Zawała byli jedynymi pasażerami, toteż spodziewali się, że szybko przejdą przez kontrolę celną i paszportową. Ale młoda, atrakcyjna urzędniczka imigracyjna zdawała się czytać każde słowo w paszporcie Austina. Potem poprosiła o dokument Zawali. Położyła paszporty i wizeny obok siebie.

- Razem? - zapytała, wodząc wzrokiem od jednej twarzy do drugiej.

Austin przytaknął. Kobieta zmarszczyła brwi, potem przywołała gestem uzbrojonego wartownika, który stał w pobliżu.

- Za mną - warknęła jak instruktor musztry, wzięła ich dokumenty i ruszyła do drzwi po drugiej stronie holu. Wartownik zamykał tyły.

- Myślałem, że masz przyjaciół na wysokich stołkach - odezwał się Zawała.

- Pewnie po prostu chcą nam wręczyć klucz do miasta - odrzekł Austin.

- Raczej zrobić zastrzyk - powiedział Zawała. - Przeczytaj napis nad drzwiami.

Austin zerknął na białą tablicę ze słowem Kwarantanna, wypisanym czerwonymi literami po rosyjsku i angielsku. Weszli do małego, szarego pokoju, gdzie stały tylko trzy metalowe krzesła i stół. Wartownik zajął pozycję przy drzwiach.

Urzędniczka rzuciła dokumenty na stół.

- Rozbierać się.

Austin drzemał w samolocie kilka godzin, ale nadal był senny i myślał, że źle zrozumiał. Kobieta powtórzyła rozkaz.

- Tak szybko? - uśmiechnął się wymuszenie Austin. - Ledwo się znamy.

- Słyszałem, że Rosjanki są przyjaźnie nastawione, ale nie wiedziałem, że aż tak - dodał Zavala.

- Rozbierać się, bo was zmusimy - powiedziała kobieta i zerknęła znacząco na uzbrojonego wartownika.

- Bardzo chętnie - odrzekł Austin. - Ale w naszym kraju panie mają pierwszeństwo. Ku jego zdumieniu kobieta się uśmiechnęła.

- Mówiono mi, że jest pan trudnym przypadkiem, panie Austin. Austin zaczął coś podejrzewać. Przechylił głowę na bok.

- Ciekawe, kto mógł to pani powiedzieć?

Ledwo skończył zdanie, otworzyły się drzwi. Wartownik odsunął się na bok i do pokoju wszedł Pietrow. Na przystojnej twarzy miał szeroki uśmiech, który wyglądał koślawo z powodu krzywej blizny na policzku.

- Witamy na Syberii - powiedział. - Miło mi, że podoba się wam nasza gościnność.

- Iwan - jęknął Austin. - Powiniennem być się domyślić.

Pietrow trzymał butelkę wódki i trzy kieliszki. Postawił je na stole. Podeszedł do Austina, objął go, a potem zgniótł Zavale w niedźwiedzim uścisku.

- Widzę, że już poznaliście Dmitrija i Weronikę. To dwoje z moich najbardziej zaufanych agentów.

- Joe i ja nie spodziewaliśmy się takiego gorącego powitania w takim zimnym miejscu jak Syberia - odparł Austin.

Pietrow podziękował swoim ludziom i odprawił ich. Przysunął sobie krzesło i poprosił gości, żeby usiedli. Odkręcił butelkę, napenił kieliszki i podał im. Potem uniósł swój.

- Za dawnych wrogów.

Stuknęli się i wypili. Wódka smakowała jak płynny ogień, ale była lepsza na rozbudzenie niż czysta kofeina. Kiedy Pietrow chciał nalać drugą kolejkę, Austin zakrył dłonią swój kieliszek.

- Zaczekajmy z tym. Mamy do załatwienia poważne sprawy.

- Cieszę się, że słyszę „my” - powiedział Pietrow. - Po naszej rozmowie telefonicznej poczułem się odsunięty. - Nalał sobie kieliszek. - Dlaczego musieliście wskoczyć do samolotu i przelecieć pół świata do tego rajcu?

- To długa historia - odrzekł Austin ze zmęczeniem, którego przyczyną były nie tylko godziny spędzone w powietrzu. - Zaczyna się i kończy na genialnym węgierskim naukowcu o nazwisku Kovacs.

Opowiedział wszystko po kolei, od ucieczki Kovacsa z Prus Wschodnich do wydarzeń z niedawnej przeszłości: gigantycznych fal, wiru i spotkania z Barrettem.

Pietrow słuchał w milczeniu. Kiedy Austin skończył, Rosjanin odsunął swój pełny kieliszek.

- To fantastyczna historia. Naprawdę wierzycie, że ci ludzie mogą odwrócić bieguny?

- Wiesz teraz to samo, co my. Jakie jest twoje zdanie? Pietrow zastanawiał się przez chwilę.

- Słyszeliście może o rosyjskim programie „Dzięcioł”? Chodziło o manipulowanie klimatem w celach wojskowych za pomocą promieniowania elektromagnetycznego. Wasz kraj też prowadził takie eksperymenty.

- Na ile to się udało?

- W pewnym okresie w obu krajach występowały niezwykle zjawiska pogodowe, od silnych wiatrów i ulewnych deszczy do susz. Były nawet trzęsienia ziemi. Podobno z

końcem zimnej wojny zaprzestano tych eksperymentów.

- Interesujące. To by się zgadzało z tym, co wiemy. Zawała uśmiechnął się lekko.
- Czy to się na pewno skończyło?
- Co masz na myśli?
- Wyglądaliście ostatnio przez okno?

Pietrow rozejrzył się po pokoju bez okien. Dopiero po chwili zrozumiał, że Zawała mówił w przenośni. Zachichotał.

- Mam skłonność do przyjmowania wszystkiego dosłownie. To rosyjska cecha. Doskonale zdaję sobie sprawę, co się dzieje na świecie z klimatem.

Austin skinął głową.

- Uwaga Joego była słuszna. Nie mam przed sobą statystyk, ale empiryczne dowody wydają się dość mocne. Tsunami. Powodzie. Huragany. Tornada. Trzęsienia ziemi. To wszystko zdarza się coraz częściej. Może to czkawka po tamtych eksperymentach.

- Ale z twoich słów wynika, że te zabawy falami elektromagnetycznymi wywołują zaburzenia w oceanie.

- Ktokolwiek za tym stoi, robi to z jakiegoś konkretnego powodu, w określonym celu.

- Ale nie wiesz, w jakim?

- To ty pracowałeś w KGB. Ja jestem zwykłym inżynierem morskim. Pietrow dotknął blizny.

- Raczej bardzo niezwykłym, przyjacielu, ale masz rację co do mojego spiskowego sposobu myślenia. Przypomniało mi się, co wiele lat temu powiedział jeden z waszych wysokich urzędników państwowych, Zbigniew Brzeziński. Przewidywał, że powstanie klasa elit, używająca nowoczesnej technologii do wywierania wpływu na ludzkie zachowania, że będzie inwigilowała i kontrolowała społeczeństwo. Będzie wykorzystywała kryzysy społeczne i media do osiągania swoich celów za pomocą tajnej broni, łącznie z modyfikowaniem klimatu. Czy ten Margrave i Gant pasują do takiej roli?

- Nie wiem. Ale raczej nie. Margrave to bogaty neoanarchista, a Gant jest szefem fundacji, która walczy z korporacjami międzynarodowymi.

- Może jednak jesteś zwykłym inżynierem. Gdybyś należał do klasy elit, spiskującej przeciwko światu, chwaliłbyś się tym?

- Rozumiem, o co ci chodzi. Przekonywałbym ludzi, że jestem przeciwnikiem elit.

Pietrow klasnął w dłoń.

- Nie macie pojęcia, jaki jestem zadowolony, że obecny spisek przeciwko światu jest dziełem Amerykanów, a nie szalonego rosyjskiego nacjonalisty z pretensjami do godności cara.

- Miło mi, że to cię cieszy, ale powinniśmy przejść do rzeczy.

- Jestem do waszej dyspozycji. Założę się, że macie jakiś plan, bo inaczej nie byłoby was tutaj.

- Ponieważ nie wiemy na pewno, „kto” i „dlaczego”, musimy się trzymać kwestii „co”. To odwrócenie biegunów. Trzeba temu zapobiec.

- Zgadza się z tym. Powiedz mi coś więcej o antidotum, o którym wspomniałeś.

- Joe jest ekspertem technicznym w naszym zespole. Wyjaśni ci to lepiej niż ja.

- Postaram się - odrzekł Zawała. - O ile dobrze rozumiem, pomysł jest taki, żeby skierować fale elektromagnetyczne w głąb skorupy ziemskiej i wytworzyć drgania w jądrze wewnętrznym, co spowoduje odwrócenie biegunów. Można to porównać do emisji fal dźwiękowych. Jeśli mieszkasz w hotelu i nie chcesz słyszeć głośniejszych dźwięków z sąsiedniego pokoju, możesz włączyć wentylator i emitowane przez niego fale akustyczne zneutralizują hałas. Gdybyś chciał się uwolnić od wyższych tonów,

na przykład suszarki do włosów, potrzebowałbyś innego zakresu częstotliwości. To się nazywa biały szum albo biały szmer. Możesz go odbierać jako coś w rodzaju szelestu liści. Podobnie jest z tym antidotum. Ale nie zadziała, dopóki nie będziesz znał właściwych częstotliwości.

- I myślicie, że zna je ta kobieta, Karla Janos?

- Dowody wydają się wskazywać na nią - odparł Austin. - Pomijając skutki w skali globalnej, ta niewinna młoda kobieta może stracić życie.

Ponura mina Pietrowa nie zmieniła się, ale w jego oczach zabłysło rozbawienie.

- To jeden z wielu powodów, dla których cię lubię, Austin. Jesteś uosobieniem rycerskości. Kawalerem w lśniącej zbroi.

- Dzięki za komplement, ale mamy mało czasu, Pietrow.

- Wiem. Jakies pytania?

- Jedno - zgłosił się Zavalá. - Jaki jest numer telefonu Weroniki?

- Sam ją zapytaj - doradził Pietrow.

Wypił kieliszek wódki, zakręcił butelkę i wetknął pod pachę. Potem wyszedł pierwszy z pokoju. Przed budynkiem czekał na nich samochód z kierowcą.

Austin wskazał dwie wielkie torby podróżne.

- Mamy specjalny bagaż. Uważajcie na to.

- Wszystko będzie dobrze.

Wsiedli do samochodu, który zawiózł ich do portu sąsiadującego z lotniskiem. Na końcu szerokiego nabrzeża stał przycumowany statek. Przy trapie czekało kilku mężczyzn.

Austin wysiadł z samochodu i zapytał, co znaczą słowa wymalowane cyrylicą na białym kadłubie.

- Arctic Tours. To firma turystyczna, która za nieprzyzwoicie wysokie sumy zabiera bogatych Amerykanów w rejsy do zapomnianych przez Boga miejsc. Wycarterowałem ten statek na kilka dni. Gdyby ktoś pytał, płyniemy z drużyną skautów na łono natury.

Kiedy Pietrow wprowadził obu gości po trapie, Austin zauważył z zadowoleniem, że ich bagaż jakimś cudem jest już na pokładzie. Mieli ze sobą tylko worki marynarskie i dwie torby, na które Austin kazał uważać.

Pietrow zaprowadził ich do głównej kabiny. Austinowi wystarczył jeden rzut oka, żeby się zorientować, że nie są na statku turystycznym. Większość umeblowania usunięto. Pozostał tylko stół na środku i wyściełane ławy dookoła. Dmitrij i Weronika siedzieli w towarzystwie czterech mężczyzn w strojach kamuflujących. Czyścili imponujący arsenał broni automatycznej.

- Widzę, że twoi skauci przygotowują się do zdobycia odznak strzeleckich. Co o tym myślisz, Joe?

- Bardziej interesują mnie skautki - odrzekł Zavalá. Podeszedł do młodej Rosjanki i wdał się z nią w rozmowę.

Austin spojrzał pytająco na Pietrowa.

- Pamiętam, mówiłeś, że trzeba to załatwić po cichu - powiedział Pietrow. - Całkowicie się z tym zgadzam. Ci ludzie są tutaj tylko na wszelki wypadek. Jest ich zaledwie sześćoro. To żadna armia.

- Mają większą siłę ognia niż obie walczące strony w bitwie pod Gettysburgiem - zauważył Austin.

- Mogą się nam przydać - odparł Pietrow. - Chodźmy do mnie, zapoznam cię z

sytuacją.

Zabrał Austina do wygodnej kajuty i wziął z koi dużą kopertę. Wyjął z niej zdjęcia i wręczył swojemu gościowi. Austin przysunął je do światła wpadającego przez bulaj. Przedstawiła kilka widoków długiej, szarawej wyspy z górą pośrodku.

- Wyspa Kości Słoniowej?

- Te zdjęcia satelitarne są z ostatnich kilku dni. - Pietrow wyciągnął z kieszeni małe szkło powiększające i wskazał zatokę na południowym brzegu wyspy. - To naturalny, głębokowodny port. Zawija tam lodołamacz, który zaopatruje ekspedycję. Dwa dni temu wysadził na ląd Karłę Janos. Dołączyła do grupy naukowców.

- Czym się zajmują?

- Science fiction. Jacyś stuknięci Rosjanie i Japończycy mają nadzieję znaleźć DNA mamuta, żeby go sklonować. Tutaj, po drugiej stronie wyspy, gdzie nastąpiła erozja wiecznej zmarzliny, są zatoczki.

Austin zobaczył w jednej z nich podłużny kształt.

- Statek?

- Ktokolwiek nim przyplłynął, nie chciał być widziany, bo inaczej zawiązałby do portu od południa. Myślę, że to zabójcy.

- Jak szybko możemy tam dotrzeć?

- Za dziesięć godzin. Nasz statek rozwija szybkość czterdziestu węzłów, ale to duża odległość i może nam przeszkodzić kra.

- Nie mamy tyle czasu.

- Wiem. Dlatego ułożyłem plan rezerwowy - Pietrow zerknął na zegarek. - Za czterdzieści pięć minut wylądować tu hydroplan z kontynentu. Po zatankowaniu paliwa zabierze ciebie i Zavalę do miejsca spotkania z lodołamaczem „Kotielnyj”, między Wyspą Wrangla i lodem polarnym. To około trzech godzin lotu. Lodołamacz dostarczy was na Wyspę Kości Słoniowej.

- A co z tobą i twoimi przyjaciółmi?

- Wyruszymy jednocześnie z wami. Jeśli dopisze nam szczęście, dołączymy do was jutro.

Austin uściśnął rękę Pietrowowi.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Iwan.

- To ja powinienem ci podziękować. Jeszcze wczoraj gniłem w moim moskiewskim biurze, a dziś pędzę ratować dziewczynę w niebezpieczeństwie.

- Mogę mieć problem z wyciągnięciem stąd Zawali - powiedział Austin.

Jego obawy okazały się bezpodstawne. Kiedy wrócił do głównej kabiny, Zavalę gawędził z jednym z ludzi Pietrowa na temat broni. Weronika i Dmitrij siedzieli sami z boku i prowadzili ożywioną rozmowę.

- Przepraszam, że ci przerywam tak dobrze zapowiadający się romans - odezwał się Austin.

- Nie ma sprawy. Pietrow zapomniał mnie uprzedzić, że Weronika i Dmitrij są małżeństwem. Dokąd się wybieramy?

Austin przedstawił Zawali plan Pietrowa i zeszli na nabrzeże, by poczekać tam na hydroplan. Przyleciał piętnaście minut wcześniej i podplłynął do pompy paliwowej na końcu pirsu. Podczas tankowania Austin dopilnował załadunku ich bagażu, potem on i Zavalę weszli na pokład samolotu. Kilka minut później hydroplan pomknął przez zatokę, wzbil się stromo w powietrze nad poszarpanymi szczytami szarych gór i skierował się na północ w nieznaną.

Karla zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Zobaczyła tylko ciemność, ale wyłączone na jakiś czas zmysły znów zaczęły funkcjonować. W ustach miała miedziany smak krwi. Plecy bolały ją tak, jakby leżała na gwoździach. Usłyszała obok siebie szelest. Przypomniała sobie napastnika o żółtych zębach. Wciąż półprzytomna uniosła ramiona i zaczęła na oślep zadawać ciosy w obronie przed niewidocznym przeciwnikiem.

- Nie! - krzyknęła ze strachu i w odruchu buntu.

Natrafiła rękami na miękkie ciało. Duża dłoń z palcami jak ze stali zasłoniła jej usta. Rozbłysło światło. W jego blasku ukazała się twarz.

Karla przestała walczyć. Pociągnęła twarz bardzo się postarzała od ich ostatniego spotkania. Przybyło na niej zmarszczek; skóra - naciągnięta niegdyś jak na bębnie - obwisła. Wokół czujnych oczu były teraz kurze łapki, worki i siwizna na brwiach, ale tęczęwki nie straciły intensywnego niebieskiego koloru, który pamiętała.

Uśmiechnęła się.

- Wujek Karl.

Kąciki ust o wąskich wargach uniosły się lekko.

- Formalnie jestem twoim ojcem chrzestnym, ale zgadza się, to ja, twój wujek Karl. Jak się czujesz?

- Nic mi nie będzie. - Zmusiła się, żeby usiąść, choć z wysiłku zakreśliło jej się w głowie. Kiedy przesunęła językiem po opuchniętych wargach, powróciło wspomnienie napaści na jej grupę. - Było jeszcze czworo naukowców. Tamci ludzie zabrali ich, a potem usłyszałam strzały.

W jasnoniebieskich oczach pojawił się wyraz smutku.

- Obawiam się, że nie żyją.

- Tamci ich zabili? Dlaczego?

- Nie chcieli mieć świadków.

- Czego?

- Twojego zabójstwa. Albo porwania. Nie wiem, co chcieli zrobić, ale na pewno nie dobrego.

- To bez sensu. Przyjechałam tu zaledwie dwa dni temu. Jestem obca w tym kraju. Badam tylko kości jak moi koledzy naukowcy. Z jakiego powodu ktoś mógłby chcieć mnie zabić?

Schroeder przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Jego łagodny głos zabrzmiał uspokajająco w ciemności.

- Uważają, że twój dziadek znał bardzo ważną tajemnicę i przekazał ją tobie. Chcą być pewni, że nie pozna jej nikt inny.

- Dziadzius? - Karlaomal się nie roześmiała mimo bólu. - To śmieszne. Nie znam żadnej tajemnicy.

- Ale oni tak myślą.

- Więc śmierć moich kolegów to moja wina.

- Wcale nie. Winni są ludzie, którzy ich zastrzelili.

Wcisnęła jej do ręki latarkę, żeby czymś się zajęła i nie upadała na duchu. Poświeciła wokół i zobaczyła czarne, skalne sklepienie i ściany.



- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- W jaskini. Przyniosłem cię tutaj. Miałem szczęście. Przy wyjściu z wąwozu natknąłem się na skalną ścianę. Zobaczyłem, że jest popękana i pomyślałem, że możemy się ukryć w wąskiej szczelinie. W głębi rozpadliny zauważyłem otwór. Wyciąłem trochę krzaków i zamaskowałem wejście do grotu.

Sięgnęła w ciemność i ścisnęła jego dużą dłoń.

- Dziękuję ci, wujku. Jesteś jak anioł stróż.

- Obiecałem twojemu dziadkowi, że będę się tobą opiekował.

Karla wróciła myślami do pierwszego spotkania ze Schroederem, jakie pamiętała. Była wtedy małą dziewczynką. Po śmierci rodziców mieszkała w domu dziadka. Pewnego dnia zjawił się Schroeder z mnóstwem prezentów. Wydawał jej się strasznie wysoki i silny. Mimo to okazał się nieśmiały. Wyczuła, że to dobry człowiek, i szybko go polubiła.

Ostatni raz widziała go na pogrzebie dziadka. Schroeder zawsze pamiętał o jej urodzinach i co roku przysyłał list z pieniędzmi w kopercie, dopóki nie skończyła college'u. Nie wiedziała, co właściwie łączyło go z jej rodziną ale słyszała wiele razy, że kiedy się urodziła, dziadek namówił jej rodziców, żeby ochrztili ją imieniem tajemniczego wujka.

- Jak mnie znalazłeś na tym odludziu? - zapytała.

- To nie było trudne. Dowiedziałem się na uniwersytecie, gdzie jesteś. Trudniej było się tu dostać. Wynająłem kuter rybacki i przyplłynąłem tutaj. Kiedy nie zastałem nikogo w obozie, poszedłem waszym tropem. Następnym razem wybierz się na ekspedycję gdzieś bliżej, bardzo cię proszę. Robię się za stary na takie przygody. - Schroeder nastawił ucha. - Cicho.

Siedzieli w milczeniu i nasłuchiwali w ciemności. Przy wejściu do jaskini rozległy się przytłumione głosy i chrzęst żwiru pod butami. Ktoś odsunął krzaki maskujące otwór i do środka dostało się żółtawe światło.

- Hej, wy tam - zawołał po rosyjsku męski głos.

Schroeder ścisnęła dłoń Karli, żeby się nie odzywała. Nie musiał tego robić; była niemal sparaliżowana ze strachu.

- Wiemy, że tam jesteście - ciągnął głos. - Poznaliśmy po wyciętych krzakach. Nieładnie jest nie odpowiadać, kiedy ktoś do was mówi.

Schroeder podczołgał się do miejsca, skąd widział wejście do jaskini.

- Nieładnie jest też zabijać niewinnych ludzi.

- Zabiłeś mojego przyjaciela. Był niewinny.

- Był głupi i zasłużył na śmierć - odparł Schroeder. Rozległy się ochryple męskie śmiechy.

- Hej, twardzielu, mam na imię Grisza. Kim ty jesteś, do cholery?

- Twoim najgorszym koszmarnym snem na jawie.

- Słyszałem to w jakimś amerykańskim filmie - powiedział głos. - Posłuchaj. Jesteś starym facetem. Po co ci młoda dziewczyna? Proponuję układ. Puszczę cię, jeśli nam ją oddasz.

- To też było w jakimś filmie - odrzekł Schroeder. - Uważasz mnie za głupiego? Pogadajmy chwilę. Dlaczego chcecie ją zabić?

- Nie chcemy jej zabić. Jest warta kupę forsy.

- Więc nie zrobicie jej krzywdy?

- Jasne, że nie. Jak powiedziałem, jest więcej warta jako zakładniczka. Schroeder zamilkł, jakby rozważał propozycję.

- Ja też mam kupę forsy. Mogę wam ją dać od razu, nie będziecie musieli czekać. Co powiecie na milion dolarów amerykańskich?

Rozległy się szepty potem Rosjanin znów się odezwał.

- Moi ludzie się zgadzają ale najpierw chcą zobaczyć forszę.
- W porządku. Podejdźcie bliżej, to ją rzucę.

Rozmowa toczyła się po rosyjsku i Karla zrozumiała tylko część. Schroeder szepnął do niej, żeby cofnęła się w głąb jaskini i zasłoniła uszy. Sięgnął do swojego bagażu i wyjął przedmiot o wyglądzie małego metalowego ananasa. Wiedział, że przeciwnicy rzucą się na jego ofertę jak szakale, i jeśli dopisze mu szczęście, zlikwiduje wszystkich. Wstał. Prawą nogę przeszył mu ból. Bieg i wspinaczka z Karłą na rękach nadwerżyły kontuzjowaną kostkę.

Podszedł bliżej do wejścia. Zobaczył nadchodzące cienie. Doskonale. Otwór jaskini był wąski, więc musiał dobrze wszystko wyliczyć.

- Tu jest wasza forsa - zawołał i wyciągnął zawleczkę z granatu. Kiedy robił krok naprzód, żeby wyrzucić granat przez dziurę, prawa noga ugięła się pod nim. Upadł i uderzył głową w ścianę jaskini. Omal nie stracił przytomności. Zobaczył, że granat toczy się po ziemi i zatrzymuje blisko niego. Zmusił się do działania. Chwytał granat i cisnął go na zewnątrz.

Tym razem wycelował lepiej, ale granat odbił się od ściany i znieruchomiał na środku wejścia.

Schroeder dał nura w głąb jaskini i ukrył się za zakrętem. Ledwo zdążył zasłonić rękami uszy, nastąpiła eksplozja. W błysku ognia rozprysły się rozżarzone do białości odłamki, a wejście zawaliło się z hukiem.

Jaskinię wypełnił pył. Schroeder uniósł głowę i poczołgał się w kierunku kaszlącej Karli. Zapaliła latarkę, ale światło nie mogło się przebić przez gęstą brunatną mgłę.

- Co się stało? - zapytała, gdy opadł kurz. Schroeder jęknął i wypluł ziemię.
- Mówiłem ci, że robię się za stary na takie rzeczy. Kiedy rzucałem granat, przewróciłem się i uderzyłem w głowę. Zaczekaj tutaj. - Wziął latarkę i poszedł do wejścia. Po chwili wrócił. - Wykonałem dobrą robotę. Wprawdzie nie możemy wyjść, ale oni nie mogą wejść.
- Nie byłabym tego taka pewna - odrzekła Karla. - Przywódca tej bandy mówił, że mają młot pneumatyczny.
- A więc będziemy musieli zapuścić się dalej w głąb jaskini.
- Ona może się ciągnąć pod ziemią kilometrami! Zabłądzimy.
- Wiem. Dojdziemy tylko do jakiegoś miejsca, gdzie będę mógł zastawić pułapkę. Tym razem postaram się nie być taki niezdarny.

Karla zastanawiała się, czy naprawdę rozmawia z tym samym człowiekiem, który bujał ją na swoim kolanie tyle lat temu. Pozbył się bez trudu człowieka, który chciał ją zgwałcić, negocjował spokojnie z bandą zabójców, a potem próbował ich zlikwidować jak zawodowców.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale co wiesz o tej tajemnicy, o której mówiłeś?

Karl wygrzebał ze swojego bagażu świecę, zapalił knot, roztopił trochę wosku i ustawił ją na skalnej półce.

- Poznałem twojego dziadka pod koniec II wojny światowej. Był genialnym naukowcem i odważnym człowiekiem. Wiele lat temu odkrył coś, co może być śmiertelnie niebezpieczne, jeśli zostanie niewłaściwie użyte.

Opisał ewentualne zagrożenia ku przestrodze. Jednak naziści go porwali i zmusili do pracy nad superbronią opartą na jego teoriach.

- Nie do wiary, że był nie tylko wynalazcą i biznesmenem. Nigdy się niczym nie zdradził.

- Ale to prawda. Pomogłem mu uciec z laboratorium. Odmówił ujawnienia swoich sekretów, co kosztowało jego rodzinę życie. Tak, tak. Był żonaty i miał dziecko, zanim przeniósł się po wojnie do Stanów. Zabrał swoją tajemnicę do grobu, ale ci ludzie na zewnątrz, lub ich szefowie, uważają, że przekazał ją tobie.

- Dlaczego tak myśłą?

- Historia lubi się powtarzać. Opublikowałeś pracę naukową o wyginieciu mamutów.

- Zgadza się. Napisałam, że przyczyną były zmiany klimatyczne, spowodowane odwróceniem biegunów ziemskich. Do poparcia mojej teorii wykorzystałam część obliczeń dziadka. Boże! Tego chcą?

- Tak. Zrobią wszystko i zabiją każdego, żeby to zdobyć.

- Ale wszystko, co wiem, jest ogólnie dostępne. Nie znam żadnej tajemnicy!

- Twój dziadek mówił nazistom to samo. Nie wierzyli mu.

- Co możemy zrobić?

- Na razie możesz zadbać o siebie. - Schroeder znów sięgnął do swojego bagażu. Wyjął konserwę i wodę. - Nie najlepszy ze mnie kucharz, ale chwilowo musi wystarczyć. Może potem znajdziemy tu jakieś nietoperze i zrobimy z nich gulasz.

Karla się uśmiechnęła.

- Teraz sobie przypominam. Stale mi opowiadałeś o jakichś niesamowitych potrawach, które dla mnie przyrządzisz. Ślimaki, brukselkę... Fu! Obrzydliwe.

- Tylko to umiałem wymyślić. Nie miałem doświadczenia w zabawianiu dzieci.

Przeżywali twardą konserwę i wspominali dawne czasy. Popijali jedzenie wodą gdy usłyszeli przy wejściu do jaskini odgłos przypominający stukanie wielkiego dziecięcia.

- Zaczęli wiercić - powiedziała Karla. Schroeder pozbierał swoje rzeczy.

- Czas ruszać. - Wręczył Karli latarkę i doradził, żeby używała jej oszczędnie, choć zawsze miał przy sobie duży zapas baterii. Zapuścili się w głąb jaskini.

Schroeder obawiał się wzrostu temperatury i odetchnął z ulgą, kiedy się okazało, że wciąż jest umiarkowana, a powietrze stosunkowo świeże. Zwrócił Karli uwagę na to zjawisko i powiedział, że być może jest drugie wyjście z jaskini. Wiedział, że to słaba nadzieja, gdyż korytarz zaczął opadać w dół, ale Karla wydawała się podniesiona na duchu.

Droga skręcała lekko w lewo, potem w prawo, ale wciąż prowadziła w dół. Czasami sklepienie było na tyle wysoko, że mogli iść wyprostowani. W innych miejscach jaskinia miała niewiele ponad metr wysokości i musieli się posuwać pochyleni. Schroeder był zadowolony, że jest tylko jeden korytarz, bez żadnych odgałęzień. Nie musieli podejmować decyzji, w którą stronę iść, ani obawiać się, że zabłądzą.

Po godzinnej wędrówce dotarli do wielkiej groty.

Kiedy światło latarki odbiło się od lśniącego, wilgotnego sklepienia wysoko w górze i od odległych ścian, stało się jasne, że grota ma wymiary holu w wielkim hotelu. Naprzeciw widniał otwór wielkości drzwi garażowych.

Obeszli wokół groty, podziwiając jej rozmiar i kształt. Schroeder szukał miejsca

do zastawienia pułapki. Uznał, że duża liczba zakamarków nadaje się doskonale do stoczenia walki. Karla dotarła do drugiego otworu, oświetliła latarką następną grootę i weszła do środka.

- Wujku! - zawołała. Jej głos odbił się echem w grocie.

Schroeder dołączył do niej. Klęczała na ziemi. Snop światła padał na jakąś brązową masę.

- Co to jest? - zapytał Schroeder.

- Wygląda na odchody słonia - odpowiedziała po chwili. Schroeder wybuchnął śmiechem.

- Myślisz, że przejeżdżał tędy cyrk?

Wstała i dotknęła masy czubkiem buta. W powietrze uniósł się zapach trawy i piżma.

- Chyba muszę usiąść - powiedziała.

Znaleźli występ ściany, usiedli i napili się wody z butelek. Karla opowiedziała Schroederowi o małym mamucie, odkrytym niedaleko wejścia do jaskini.

- Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, że jest tak dobrze zachowany. Nikt jeszcze nie natrafił na taki okaz. Wyglądał tak, jakby zmarł zaledwie kilka dni temu.

- Sugerujesz, że w tych jaskiniach żyją mamuty? Roześmiała się.

- Nie, oczywiście że nie. To byłoby niemożliwe. Ale może kiedyś tu żyły. Coś ci opowiem. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku rosyjski myśliwy, podróżujący przez tajgę, zobaczył na śniegu wielkie ślady. Całymi dniami tropił stworzenia, które je zostawiły. Natrafiał na stopy odchodów i połamane gałęzie drzew. Twierdził potem, że widział dwa ogromne słonie z kasztanową sierścią i wielkimi ciosami, czyli siekaczami.

- Zmyślał, żeby zrobić wrażenie na słuchaczach?

- Możliwe. Ale Eskimosi i Indianie północnoamerykańscy też opowiadali o wielkich włochatych stworzeniach. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku na Wyspie Wrangla, między Syberią i Alaską, a więc niedaleko stąd, odkryto szkielety karłowatych mamutów. Ich kości pochodziły z okresu między siedem tysięcy i trzy tysiące siedemset lat temu, co oznacza, że mamuty żyły jeszcze długo po epoce Paleolitu, kiedy ludzie budowali Stonehenge i piramidy.

Schroeder zachichotał.

- Pewnie chcesz się tutaj dokładnie rozejrzeć?

- Nie zamierzam marnować takiej okazji i siedzieć tu beczynnym. Może natrafimy na jakieś dobrze zachowane okazy.

- Nie nazwałbym beczynnym siedzeniem przygotowań do walki z groźnymi bandytami, ale nie powinienem być zaskoczony. Kiedyś, jak byłaś mała, czytałem ci Alicję w krainie czarów. Niedługo potem zastałem cię na podwórzu przy króliczej norze. Próbowiałaś wcisnąć tam głowę. Powiedziałaś, że chciałabyś mieć jakiś eliksir, który zmniejszyłby cię jak Alicję.

- To musiała być twoja wina, bo to ty czytałaś mi takie historie.

- Wygląda na to, że teraz nie mamy wielkiego wyboru - odrzekł zmęczonym głosem Schroeder. Wziął swój bagaż i pokuśtykał w kierunku otworu. - Wchodzimy do króliczej nory.

Kasztanowy ogier galopował przez zieloną, wiejską okolicę w Wirginii, jakby walczył łeb w łeb o zwycięstwo w Kentucky Derby. Jordan Gant siedział pochylony w siodle jak przerośnięty dżokej i okładał go batem po zadzie. Koń pędził w zabójczym tempie. Miał wytrzeszczone oczy i wywieszony język, jego gładka sierść lśniła od potu. Ale Gant był bezlitosny. Nie tyle z okrucieństwa, co z braku poszanowania dla wszystkiego, nad czym panował.

Gant przejechał przez łąki i pastwiska, podjazdem obsadzonym topolami dotarł do rozległej posiadłości. Skierował się do stajni w pobliżu domu. Pozwolił wykończonemu stworzeniu biec klusem, potem iść stępa i w końcu stanąć. Zsunął się z siodła, wziął ręcznik od czekającego stajennego i rzucił mu niedbale lejce. Odprowadzany koń utykał.

Gant kamiennym chodnikiem doszedł do drzwi frontowych. Miał na sobie strój do gry w polo - czarną koszulkę z krótkimi rękawami i bryczesy. Był muskularny, wyglądałby dobrze nawet w ubraniu nieuszytym na zamówienie. Po drodze uderzał batem w cholewę wysokiego buta z kozłej skóry, jakby jego ręka żyła własnym życiem. Masywne drewniane drzwi otworzyły się i Gant wszedł do ogromnego holu z fontanną na środku. Oddał rękawiczki i ręcznik głównemu lokajowi, który otworzył drzwi.

- Przyjechał pański gość, sir - oznajmił lokaj. - Czekaj w bibliotece.
- Martini bombay sapphire, a dla mnie to, co zwykle.

Lokaj skłonił się i zniknął w głębi długiego korytarza. Gant wszedł z holu do przestronnego pokoju. Półki sięgające od podłogi do sufitu były pełne bezcennych książek, które kolekcjonował. Margrave stał przy drzwiach balkonowych z widokiem na wypielęgnowane trawniki, zielone jak stół bilardowy. Przeglądał uważnie starą książkę w oprawie z czerwonej skóry.

- To unikalne wydanie Boskiej komedii z tysiąc pięćset siódmego roku - powiedział Gant. - Istnieją tylko trzy znane egzemplarze. Mam wszystkie.

- Masz całkiem spory zbiór dzieł Dantego.
  - Ścisłe mówiąc, największy na świecie - odrzekł obojętnym tonem Gant.
- Margrave się uśmiechnął i wsunął książkę na miejsce.

- Nie spodziewałbym się niczego innego. Miałaś udaną przejażdżkę?
- Gant rzucił bat na stolik.

- Zawsze mam udane przejażdżki. Koń wykonuje całą robotę. Ogier, na którym dziś jeździłem, jest nowy w mojej stajni. Musiałem mu pokazać, kto tu rządzi. Zawsze zabieram nowego konia na jazdę testową. Te, które się sprawdzają są traktowane po królewsku. Inne kończą w fabryce kleju.

- Przetrawienie najlepiej przystosowanych?
- Jestem wielkim zwolennikiem teorii Darwina.

Lokaj przyniósł na tacy dwa drinki. Gant podał jedną szklanekę Margrave'owi i wziął swoją szesnastoletnią szkocką z lodem.

- Doskonale martini - pochwalił Margrave. - Wiesz, co lubię. Imponujesz mi.
- Nie zapominaj, że działam w branży, gdzie interesy często załatwia się przy alkoholu - odparł Gant. - Nic się tak nie przydaje jak wiedza, kto się czym truje. -

Usadowił się w wygodnym fotelu i wskazał Margrave'owi drugi. - Jakie są najnowsze wiadomości o naszym projekcie?

- Wszystko idzie zgodnie z harmonogramem. Ale martwi mnie Spider. Nie odzywa się od czasu wizyty na mojej wyspie kilka dni temu.

- Barrett jest dorosłym człowiekiem - odrzekł Gant. - Sam potrafi o siebie zadbać.

- Nie obchodzi mnie jego zdrowie. Nagle okazało się, że Spider ma wyrzuty sumienia. Nie chciałbym zobaczyć w programie 60 minut, jak opowiada Mike'owi Wallace'owi o naszym projekcie.

- Mówiłeś, że zgodził się zostać z nami, dopóki nie skontaktujesz się z Karłą Janos.

- Tak. Chciał mieć zabezpieczenie, z którego można byłoby szybko skorzystać, żeby przerwać operację.

- Więc nie masz się czym przejmować. Pewnie gdzieś baluje. Najważniejsze jest to, czy można zrealizować projekt bez niego.

- Do pewnego momentu był niezbędny, ale już wykonał swoją robotę i przestał nam być potrzebny. Wszystko idzie zgodnie z planem. Przygotowałem dla ciebie prezentację.

Margrave otworzył neseser, wyjął odtwarzacz DVD i ustawił na mahoniowym biurku. Wcisnął przycisk i na ekranie ukazał się schematyczny przekrój podłużny statku.

- To jeden z naszych statków operacyjnych, skonstruowany według pierwotnego pomysłu. Tutaj, w ładowni, są generatory prądotwórcze, połączone z anteną fal elektromagnetycznych niskiej częstotliwości, którą można opuścić do morza. - Margrave wyświetlił następny obraz. - A to nowy statek, który zastąpi tamte cztery.

- Mały transatlantyk. Genialne. Kiedy będzie na pozycji?

- Stare statki operacyjne opuściły stocznię w Missisipi i są w drodze do Rio, gdzie zostaną rozładowane. Mogą być nadal potrzebne dla bezpieczeństwa jako wabiki. Transatlantyk nazywa się „Polar Adventure”. On też zawinie do Rio, ale nikt nie będzie podejrzewał, co ma na pokładzie.

- Więc już wybrałeś ostateczne miejsce ataku.

Margrave wcisnął przycisk na odtwarzaczu. Na ekranie pojawiła się mapa południowej półkuli. Dużą część oceanu między wybrzeżem Brazylii i Afryki Południowej pokrywała owalna czerwona plama.

- Anomalia południowoatlantycka.

Margrave skinął głową.

- Jak wiesz, w rejonie anomalii pole geomagnetyczne jest skierowane w niewłaściwą stronę. Niektórzy naukowcy określają to jako „wybój” albo inklinację. Są miejsca, gdzie pole jest całkowicie odwrócone i osłabione. Odkryto, że w okolicy bieguna północnego i poniżej Afryki Południowej staje się wyjątkowo słabe. Wykorzystanie osłabienia oceanicznego pola magnetycznego na południu spowoduje podobną reakcję w okolicy bieguna północnego.

Gant zachichotał.

- Na tym polega urok tego całego planu. Nie tyle wywołujemy to zjawisko, ile je przyspieszamy.

- Zgadza się. Północny i południowy biegun magnetyczny zamieniały się w przeszłości miejscami bez niczyjej pomocy, a ziemskie pole elektromagnetyczne samo zaczęło zanikać około stu pięćdziesięciu lat temu. Niektórzy eksperci twierdzą że inwersja jest spóźniona. Na magnetyzm Ziemi mają już wpływ wiry w ciekłej warstwie pod jej skorupą. Jeśli powstanie jakaś dodatkowa turbulencja, do inwersji wystarczy niewielki impuls. Jak powiedziałeś, my tylko pomagamy w tym procesie.

- Fascynujące - stwierdził Gant. - Rozumiem, że nie ma żadnych zmian w stosunku do naszych początkowych oczekiwań związanych z tą całą operacją.

- Modele komputerowe pokazują, że nie. Główne pola magnetyczne osłabną a potem niemal znikną. Przez jakieś trzy dni praktycznie nie będzie biegunów magnetycznych. Później powrócą z przeciwną biegunowością. Igły kompasów, które normalnie wskazują północ, będą wskazywały południe. Uderzenie elektromagnetyczne wyłączy z akcji sieci wysokiego napięcia i satelity, zdezorientuje ptaki i zwierzęta, spowoduje pojawienie się zórz polarnych wokół równika i powiększy dziury ozonowe. To będzie okres największego zagrożenia. Zanik pola czasowo uniemożliwi Ziemi obronę przed burzami słonecznymi. W dłuższym okresie przybędzie ludzi z rakiem skóry.

- Przykre skutki uboczne - powiedział Gant bez współczucia. - Pod tym domem jest duży schron. Domyślam się, że zabezpieczyłeś się w podobny sposób.

- Statek ma osłonę przeciwpromienną, żebyśmy nie ucierpieli w drodze powrotnej. Mam wygodny schron pod latarnią morską. Mógłbym tam żyć komfortowo przez sto lat, choć po początkowych perturbacjach zagrożenie powinno być mniejsze.

- Czy inni członkowie Lucyfera będą ci towarzyszyli na twojej wyspie?

- Tylko kilku wybranych. Anarchiści są dobrzy do wywoływania chaosu, ale po wybiciu szyb nie wiedzą co dalej robić. Do tego czasu wykonają swoje zadanie i będą zdani na siebie.

- Zostawisz Legion Lucyfera własnemu losowi i narazisz na bolesną śmierć? - zapytał Gant.

- Możesz ich zaprosić do swojego schronu - odparł Margrave z drwiącym uśmiechem.

- Muszę mieć miejsce dla moich koni - powiedział Gant.

- To zrozumiałe. Co planujesz w pierwszym okresie po wielkim błysku?

- Zapanuje zamieszanie na ogromną skalę. Ludzie nie będą mogli komunikować się ze sobą ani podróżować. Przez jakiś czas nie będzie prądu. Kiedy wielkim kosztem zostanie przywrócona łączność, nadamy wiadomość do światowych przywódców. Zażądamy zwołania międzynarodowej konferencji w celu rozmontowania instrumentów globalizacji. Na początek wezwiemy do natychmiastowej likwidacji Banku Światowego i rozwiązania Światowej Organizacji Handlu.

- A jeśli tego nie zrobią?

- Nie sądzę, żeby to był problem - odrzekł Gant. - Wskażemy im kruchość globalnej infrastruktury i ostrzeżemy ich, że jeśli nawet ją odbudują łatwo będzie ją znów zniszczyć. Możemy się bawić w odwracanie biegunów magnetycznych, jak długo będzie nam się podobało.

- Jakie to uczucie, być jednym z bogów na górze Olimp? Gant wypił łyk whisky.

- Odurzające. Ale nawet bogowie mają na głowie sprzątanie w domu. Co z tą kobietą, Karłą Janos?

- Ostatnia wiadomość była taka, że nasi ludzie są w drodze na Syberię, żeby się nią zająć.

Gant wstał z fotela i podszedł do drzwi balkonowych. Popatrzył w zamyśleniu na faliste trawniki, potem odwrócił się do Margrave'a.

- Coś się dzieje, ale nie bardzo wiem, co. Zespół egzekutorów dotarł tylko do Fairbanks na Alasce. Wszyscy zostali zabici w swoich pokojach hotelowych.

Margrave odstawił drinka.

- Zabici?

- Tak. Strzałem w głowę. Całkiem profesjonalna robota. To byli nasi najlepsi ochroniarze. Zabójca nawet nie próbował usunąć ciała. Działał odważnie, wręcz

ryzykownie, co nasuwa podejrzenie, że zrobił to w pośpiechu.

- Kto wiedział o naszym zespole?

- Ty, ja i oczywiście rosyjska mafia.

- Myślisz, że to robota Rosjan?

- Są zdolni do wszystkiego. Jednak to mi nie pasuje. Wiedzieli, że nasz zespół jest w drodze, ale nie mieli pojęcia, co to za ludzie ani gdzie mieszkają. Nasi udawali ekipę telewizyjną i dzieliło ich zaledwie kilka godzin od odlotu na Syberię, kiedy zostali zabici.

- Policja ma jakiś trop? - zapytał Margrave.

- Ma. Pilot czarterowy, który był wynajęty do transportu naszego zespołu, powiedział, że rozmawiał z kimś, kto mógł ich widzieć ostatni. Poleciał zresztą na Syberię zamiast nich. To był starszy facet, prawdopodobnie po siedemdziesiątce.

- Tamten, który zabił naszych dwóch ludzi w górach, chyba też nie był młody?

- Zgadza się - przytaknął Gant. - Podejrzewam, że to ten sam facet.

- Kto to jest, do cholery? Szukamy Karli Janos i natrafiamy na zabójcę w takim wieku, że powinien korzystać z opieki społecznej.

- Kiedy nasi ludzie włamali się do jego domu, znaleźli w komputerze korespondencję z tą Janos. Nazywa go „wujkiem Karlem”.

Margrave zmarszczył brwi.

- W naszych informacjach o rodzinie Kovacsów nie ma nic o żadnym wujku.

- Nie przejmowałbym się nim. Kiedy zawiadomiłem Rosjan, że nasz zespół nie przyleci po pannę Janos, zapytali, co mają z nią zrobić. Powiedziałem, żeby ją zabili i tego starego też, jeśli się na niego natkną. Mam nadzieję, że tak będzie.

Margrave skinął głową.

- Byłeś bardzo zajęty.

- Nie lubię niedokończonych spraw, takich jak ten Kurt Austin z NUMA. Uważam, że trzeba go wyeliminować.

- Myślałem, że będziemy go obserwowali, żeby sprawdzić, czy jest dla nas niebezpieczny.

- Kiedy pojawił się na scenie, przestudiowałem jego życiorys. Jest w NUMA inżynierem morskim i specem od ratownictwa okrętowego. Wykonywał już różne skomplikowane zadania. Widział urządzenie na łodzi Barretta. Może nam narobić poważnych kłopotów.

- Myślisz, że byłby w stanie przeszkodzić w realizacji projektu?

- Martwy na pewno nie. Jak mawiał Stalin, „nie ma człowieka, nie ma problemu”. Doyle miał się nim zająć, ale niestety pan Austin nagle wyjechał w niewiadomym kierunku.

- Więc co robimy?

- Dom Austina jest pod stałą obserwacją. Kiedy wróci, rozwiążemy nasz problem. Proponuję, żebyś tymczasem przyspieszył wykonanie technicznej części projektu.

- To lepiej już pójdę - powiedział Margrave.

Gant odprowadził go do samochodu. Uścisnęli sobie ręce i umówili się, że będą w kontakcie. Kiedy Gant wracał do domu, podszedł stajenny.

- Co z nowym koniem? - zapytał Gant.

- Okulał.

- Zastrzel go - polecił Gant i wszedł do domu.



Podziemne groty i korytarze wyglądały jak kraina ze snu. Ściany zdobiły jasnopomarańczowe i żółte minerały, ze sklepienia zwisały stalaktyty. Jedne miały wielkość ołówka, inne były wysokimi kolumnami.

Schroeder nie zwracał uwagi na piękno otoczenia. Siniak na czole pulsował mu w rytmie tam-tamu, marsz po nierównym podłożu pogarszał stan spuchniętej kostki. Wspiął się z trudem po skalnych stopniach, gdy z wysiłku zakręciło mu się w głowie.

Zaczął podwójnie widzieć, obrazy rozplływały się przed oczyma. Poczł mdłości. Mimo chłodu, na czoło wystąpiły mu krople potu. Przystanął i przycisnął głowę do ściany jaskini. Zimna skała podziałała jak okład z lodu.

- Co ci jest? - zapytała Karla.
- Uderzyłem się w głowę przy wejściu do jaskini. Pewnie doznałem lekkiego wstrząsu mózgu. Ale przynajmniej nie myślę o bolącej kostce.
- Może powinniśmy odpocząć - powiedziała Karla.

Schroeder zobaczył niską półkę skalną. Usiadł, oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy. Miał wrażenie, że przybyło mu dwadzieścia lat. Wilgoć źle działała na jego stawy, z trudem oddychał. Kostka była tak opuchnięta, że nie widział kości.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się stary. Zerknął na siedzącą obok Karłę. Był oszołomiony, że dziewczynka, którą niezgrabnie trzymał w ramionach przy ich pierwszym spotkaniu, wyrosła na taką piękną inteligentną kobietę. Żałował, że nigdy nie założył rodziny. Ale pocieszył się, że ona jest jego rodziną. Nawet gdyby nie obiecał tego uroczycie jej dziadkowi, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby nie stała jej się krzywda.

Odpoczynek trwał krótko. Z korytarza, którym przyszli, dobiegły przytłumione głosy. Schroeder natychmiast zerwał się na nogi. Szepnął do Karli, żeby zgasiała latarkę. Stali w ciemności i nasłuchiowali. Głosy były coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Mężczyźni rozmawiali po rosyjsku.

Schroeder miał wcześniej nadzieję, że on i Karla nie będą musieli zapuszczać się jeszcze głębiej pod ziemię. Obawiał się, że potem nie znajdą drogi powrotnej. Najwyraźniej nie docenił determinacji Griszy i jego zabójczej bandy łowców kości słoniowej.

Zignorował ból i znów ruszył naprzód. Korytarz opadał łagodnie przez kilkadziesiąt metrów, potem biegł poziomo. Z kostką Schroedera było coraz gorzej. Parę razy musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Groziło im, że przegrają wyścig z prześladowcami.

Karla pierwsza dostrzegła szczelinę w wapiennej ścianie. Schroeder tak się koncentrował na tym, żeby zwiększyć dystans dzielący ich od przeciwników, że minął otwór o szerokości niewiele większej niż trzydzieści centymetrów i wysokości około półtora metra.

Instykt podpowiadał mu, żeby iść dalej. Dziura mogła się okazać śmiertelną pułapką. Wetknął głowę do środka i zobaczył, że wąski tunel rozszerza się po kilkudziesięciu centymetrach. Kazał Karli zaczekać, odliczył pięćdziesiąt kroków

wzdłuż głównej jaskini i położył na ziemi latarkę, jakby ktoś ją upuścił w pośpiechu.

Głosy były coraz bliżej. Schroeder wrócił do Karli, wcisnął się do otworu, potem pomógł wejść córce chrzestnej. Dotarli do łagodnego zakrętu. Schroeder zdjął z ramienia karabin i przywarł plecami do ściany. Pierwszy przeciwnik, który ukazałby się w szczelinie, byłby martwy.

W głównym korytarzu pojawiły się światła. Rozległ się ostry głos Griszy. Rosjanin popędzał swoich ludzi groźbami i żartami. Łowcy kości słoniowej minęli otwór w skalnej ścianie. Zobaczyli latarkę i głosy ucichły.

Schroeder zamierzał wymknąć się z powrotem do głównego korytarza i wycofać się tam, skąd przyszedł, ale Grisza nie był głupi. Najwyraźniej uznał, że ułożenie latarki nie wygląda na przypadkowe. On i jego ludzie zawrócili do szczeliny w ścianie.

Schroeder szepnął Karli do ucha, że czas ruszać. Kiedy posuwali się szybko krętym tunelem, Schroeder doszedł do wniosku, że ich jedyną szansą jest ciągła ucieczka. Latarka, która im pozostała, świeciła coraz słabiej; kończyły się baterie. Schroeder musiał wybrać miejsce na zasadzkę, zanim się zgubią lub zostaną bez światła.

Szli przez następne dziesięć minut. Powietrze było stęchłe, ale wciąż nadawało się do oddychania, co wskazywało, że napływa z zewnątrz. Tunel się zwęził i Schroeder dostrzegł na wprost szczelinę w skale. Zrobił krok i trafił stopą w próżnię. Spadł na pochyłość i przetoczył się kilka razy.

Przeczołgał się kawałek, podniósł latarkę i skierował na Karłę. Wyglądała z otworu. Szczelina znajdowała się jakieś dwa metry wyżej. Karla miała zaskoczoną minę; Schroeder szedł przed nią i nagle zniknął jej z oczu. Latarka gdzieś poszybowała i rozległo się głucho uderzenie.

- Nic mi się nie stało - powiedział Schroeder. - Uważaj, przed tobą jest spadek.

Karla wydostała się z otworu i zeszła na dół. Schroeder spróbował się podnieść. Upadek jeszcze bardziej zaszkodził jego kostce. Kiedy ciężar ciała spoczął na kontuzjowanej nodze, przeszył ją ból. Schroeder oparł się na ramieniu Karli.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

Schroeder poświecił dookoła. Korytarz miał około dziesięciu metrów szerokości, taką samą wysokość i łukowe sklepienie. Część ściany osunęła się i odsłoniła szczelinę. W przeciwieństwie do tunelu, którym przyszedł, tutaj podłogę było równe jak stół.

- Nie w jaskini - odrzekł Schroeder. - To dzieło człowieka. - Skierował latarkę na przeciwległą ścianę. - Zdaje się, że mamy towarzystwo.

Ścianę zdobiły naturalnej wielkości postacie idących mężczyzn i kobiet, namalowane z profilu. Niosły kwiaty, dzbany i kosze z jedzeniem. Wielkie psy, podobne do wilków, pilnowały stad owiec, krów i kóz. Kobiety były ubrane w długie, przezroczyste białe szaty i sandały, mężczyźni w spódniczki i luźne koszule z krótkimi rękawami. Pochód szedł na tle drzew i innej zieleni. Ludzie mieli śniadą cerę, wydatne kości policzkowe i kruczoczarne włosy, upięte w koki u kobiet i krótko ostrzyżone u mężczyzn. Ich miny nie wyrażały żadnego uczucia. Żywe kolory wywoływały wrażenie, że farby położono zaledwie wczoraj. Malowidła pokrywały obie ściany. Żadna postać się nie powtarzała. Większość była młoda, w wieku od kilkunastu do dwudziestu kilku lat, ale towarzyszyła im grupka dzieci i starszych

osób. Siwi mężczyźni mieli ozdobne nakrycia głowy i mogli być kapłanami.

- To wygląda na procesję - powiedziała Karla. - Niosą dary dla jakiegoś boga albo władcy.

Schroeder opierał się na ramieniu Karli i kuśtykał obok niej. Postaci na ścianach przybywało. Były ich setki.

- W każdym razie dobrze jest mieć towarzystwo - odrzekł Schroeder. - Może nasi nowi przyjaciele pokażą nam, jak stąd wyjść.

- Dokądś idą. Patrz!

Malowidła się zmieniły. Przedstawiały teraz wielkie, ociężałe zwierzęta przypominające słonie, ale pokryte szarawo-brunatnym włosiem. W ich futra były wplecione kwiaty. Stworzenia miały wydłużone do góry głowy i stosunkowo krótkie tułowia, niektóre również siekacze, zakrzywione niczym płozy dawnych sań, niemal tak długie jak ich ciała. Na zwierzętach jechali ludzie, podobnie jak przewodnicy słoni w Indiach.

- Nie do wiary - odezwał się Schroeder.

Oczarowana Karla podeszła bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. W podnieceniu zapomniiała, że podtrzymuje Schroedera. Osunął się na jedno kolano.

- Bardzo przepraszam - powiedziała i pomogła mu wstać. - Wiesz, co oznaczają te malowidła? Rozwinięta cywilizacja istniała na tej wyspie tysiące lat wcześniej, niż Egipcjanie zbudowali piramidy. Prawdopodobnie wtedy, gdy wyspa była połączona z kontynentem. Samo to jest zdumiewające. Ale fakt, że oswojono dzikie mamuty, jest wręcz oszałamiający. Moja praca naukowa o wykorzystywaniu mamutów przez ludzi to bzdura! Napisałam, że prymitywny człowiek żywił się mięsem mamuta, a z jego kości i siekaczy robił narzędzia i broń. Tutaj widać, jaka była rzeczywistość. Ludzie nauczyli się używać tych dzikich stworzeń jako zwierząt pociągowych. To naukowe odkrycie stulecia. Trzeba będzie napisać od nowa wszystkie podręczniki.

- Rozumiem twoje podniecenie - odparł Schroeder - ale musimy spojrzeć na to realnie. Nikt nigdy nie dowie się o tym odkryciu, jeśli stąd nie wyjdziemy.

- Przepraszam, ale to jest po prostu... - Karla oderwała wzrok od zdumiewających malowideł. - Co zrobimy?

Schroeder poświecił latarką wzdłuż ściany.

- Zdamy się na naszych przyjaciół. Te piękne młode kobiety niosą kwiaty w głąb góry. Proponuję ustalić, skąd idą i sprawdzić, czy ten korytarz prowadzi na zewnątrz. Jak widzisz, nie nadają się do startu w biegu na olimpiadzie, poza tym w latarce wyczerpują się baterie. Karla zerknęła tęsknie na namalowane postacie.

- Masz rację. Chodźmy, zanim zmienię zdanie.

Ruszyli z powrotem. Przeszli zaledwie parę kroków, gdy usłyszeli męskie głosy. Grisza i jego banda znaleźli wejście do korytarza. Schroeder i Karla musieli zawrócić w przeciwnym kierunku.

Schroeder zaczął niezdarnie biec. Opuchnięta kostka bolała go coraz bardziej, ale zaciskał zęby i nie przystawał. Opierał się na Karli, co ich spowalniało. Zaproponował, żeby zgasili latarkę. Świeciła już tak słabo, że była prawie bezużyteczna, ale jeszcze na tyle mocno, że wskazywała cel prześladowcom. Schroeder szukał wolną ręką drogi w ciemności, przesuwając palcami po ścianie. Korytarz wydawał się nie mieć końca.

Po kilku minutach rosyjskie słowa stały się głośniejsze. Grisza i jego banda się zbliżali. Schroeder próbował stawiać większe kroki, ale wybijało go to z rytmu i w rezultacie poruszał się wolniej. Wiedział, że niedługo będzie musiał stanąć i

powiedzieć Karli, żeby uciekała bez niego. Układał w głowie odpowiedź na jej spodziewany protest, gdy nagle się odezwała:

- Widzę światło.

Schroeder zamrugał, żeby strząsnąć z powiek pot zalewający oczy, i wpatrzył się w ciemność. Zobaczył na wprost nikłą szarość, zaledwie o jeden odcień jaśniejszą od zupełnej czerni. Był zdeorientowany. Czyżby pomylił kierunki i malowidła wskazywały drogę na zewnątrz?

Posuwali się dalej. Korytarz prowadził w dół do rozległej groty. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, stały piętrowe budynki z płaskimi dachami. Materiał, z którego były zbudowane, żarzył się srebrzystozielonym blaskiem i w ogromnym pomieszczeniu panował półmrok.

Głosy z tyłu wyrwały ich z transu. Z mieszaniną lęku i zachwytu zaczęli schodzić długą pochylnią do kryształowego miasta.

## 28

Na dziesiątym piętrze kwatery głównej NUMA mieści się współczesny odpowiednik słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej. W oszklonym centrum komputerowym, które zajmuje całą kondygnację budynku, jest obszerna biblioteka cyfrowa, gdzie są gromadzone wszystkie książki, artykuły, fakty i informacje naukowe o oceanach świata. Sieć szybkich komputerów umożliwia przekazywanie w mgnieniu oka ogromnych ilości danych.

Centrum jest dziełem komputerowego geniusza NUMA, Hiram Yeagera, który ochrzcił stworzoną przez siebie jednostkę sztucznej inteligencji imieniem „Max”. Nadał jej formę trójwymiarowego obrazu holograficznego o kobiecej twarzy, kasztanowych włosach, zielonych oczach i łagodnym głosie.

Paul Trout darował sobie spotkanie z kokietyrjnym obrazem holograficznym. Zamiast użyć centralnego panela sterowniczego Max, skąd Yeager komunikował się z komputerem głosem, Trout skorzystał z sali konferencyjnej w rogu ośrodka przetwarzania danych. Porozumiewał się z Max za pomocą zwykłej klawiatury, połączonej z wielkim monitorem, który zajmował większość jednej ściany. Razem z Troutem przy mahoniowym stole siedzieli zwróceni do ekranu: Gamay, doktor Adler, specjalista od fal morskich, i Al Hibbet, ekspert NUMA od elektromagnetyzmu.

Trout podziękował wszystkim za przyjęcie i wyjaśnił, że Austin i Zavala musieli wyjechać. Potem przebiegł palcami po klawiaturze. Na monitorze pojawiło się zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny o pociągłej twarzy i szarych oczach.

- Chciałbym wam przedstawić człowieka, którego genialne odkrycie sprowadziło nas dziś tutaj - zaczął Trout. - Widzicie tu Laszlo Kovacsa, węgierskiego inżyniera elektryka. To zdjęcie zrobiono w późnych latach trzydziestych, w okresie, kiedy pracował nad swoimi rewolucyjnymi teoriami z dziedziny elektromagnetyzmu. A oto, co się może stać, gdy z takiego odkrycia zrobi się zły użytek.

Trout podzielił ekran i pokazał dwa zdjęcia satelitarne. Na lewym były wielkie fale, które zatopiły „Southern Belle”, na prawym gigantyczny wir, sfotografowany z kosmosu.

Zaczekał, aż do wszystkich dotrze znaczenie zdjęć.

- Zastanawialiśmy się, czy ktoś mógł wykorzystać tezy Kovacsa do tego, żeby spowodować te zaburzenia za pomocą emisji fal elektromagnetycznych. Jak wiecie, Gamay i ja byliśmy w Los Alamos i rozmawialiśmy z autorytetem w dziedzinie odkryć Kovacsa. Potwierdził nasze podejrzenia o ingerencji człowieka i zasugerował, że tego typu manipulacje elektromagnetyczne mogą doprowadzić do odwrócenia biegunów Ziemi.

- Domyślam się, że mówimy o inwersji biegunów magnetycznych - odezwał się Adler.

- Możemy mieć do czynienia z odwróceniem biegunów geologicznych, czyli z rzeczywistym przesunięciem skorupy ziemskiej względem jądra - odparła Gamay.

- Nie jestem geologiem - odrzekł Adler - ale brzmi to katastroficznie. Gamay uśmiechnęła się blade.

- Może nas czekać zagłada.

Zapadła ponura cisza. Adler odchrząknął.

- Usłyszałem słowo „może”. Wygląda na to, że zostawia pani sobie pole manewru.

- Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła się całkowicie wymanewrować z tej sytuacji - odparła Gamay. - Ale dobrze pan wyczuwa, że mamy wątpliwości. Nie wiemy, na ile wiarygodne jest nasze źródło informacji w Los Alamos, więc Paul znalazł sposób na sprawdzenie tez Kovacsa.

- Jaki? - zapytał Adler.

- Symulację - odpowiedział Trout. - Tak, jak pan odtworzyłby w swoim laboratorium warunki morskie za pomocą maszyny do robienia fal lub dzięki modelowi komputerowemu.

- Kovacs przedstawił swoje tezy ogólnikowo. Nie podał szczegółów - włączył się Hibbet.

- Wydał też bardziej szczegółowy opis swoich teorii. Zachował się tylko jeden egzemplarz.

- Szkoda, że go nie mamy - powiedział Adler.

Gamay bez słowa podała mu przez stół broszurę Kovacsa. Adler wziął ostrożnie publikację i spojrzał na nazwisko na okładce: László Kovacs. Przerzucił poźółkłe strony.

- To jest napisane po węgiersku - zauważył.

- Jeden z naszych tłumaczy w NUMA przygotował angielską wersję - odrzekł Trout. - Matematyka to język uniwersalny, więc nie było z tym problemu. Kłopot stwarzały eksperymenty. Potem sobie przypomniałem, jak naukowcy w Los Alamos testują bomby jądrowe z naszego arsenału, bez naruszania układów międzynarodowych. Wypróbowują komponenty, wprowadzają do komputera dane i robią symulację. Proponuję to samo.

- Na pewno warto spróbować - powiedział Hibbet.

Trout postukał w klawiaturę i na monitorze ukazał się obraz kuli ziemskiej. Jej fragment był wycięty jak cząstka pomarańczy, żeby odsłonić jądro wewnętrzne i zewnętrzne, płaszcz i skorupę.

- Może ty to wytłumaczysz, Al.

- Bardzo chętnie - zgodził się Hibbet. - Ziemia jest jak wielki magnes. Żelazne jądro wewnętrzne w stanie stałym obraca się z inną prędkością niż żelazne jądro zewnętrzne w stanie ciekłym. Ten ruch wywołuje efekt dynama i wytwarza pole magnetyczne.

Na ekranie pojawiła się Ziemia w całości. Z jednego bieguna wychodziły w

przebieg linii i zakrzywiały się w stronę drugiego.

- To linie siły magnetycznej - wyjaśnił Hibbet. - Tworzą pole magnetyczne wokół Ziemi i umożliwiają nam korzystanie z kompasów. Co ważniejsze, magnetosfera sięga do wysokości sześćdziesięciu kilometrów. Jest barierą która chroni nas przed szkodliwym działaniem wiatru słonecznego i rojami zabójczych cząsteczek bombardujących Ziemię z kosmosu.

Trout zmienił obraz na monitorze. Patrzyli teraz na mapę świata. Na powierzchni oceanu widniały niebieskie i złociste plamy.

- W latach dziewięćdziesiątych XX wieku naukowcy wprowadzili do superkomputera wszystkie znane im informacje o ciekłym jądrze Ziemi - powiedział Trout. - Temperaturę. Wymiary. Lepkość. Odkryli, że odwrócenie biegunów następuje samoczynnie co sto tysięcy lat, zwykle wtedy, gdy jeden zaczyna słabnąć. Wygląda na to, że mamy kolejny cykl.

- Ziemia przechodzi naturalną inwersję biegunów? - zapytał Adler.

- Najwyraźniej - odrzekł Trout. - Pole magnetyczne Ziemi zaczęło poważnie słabnąć mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu. Od tamtej pory jego siła zmalała o dziesięć do piętnastu procent i osłabienie postępuje coraz szybciej. Gdyby ta tendencja się utrzymywała, główne pole niemal całkowicie by zniknęło i pojawiłoby się ponownie z przeciwną biegunowością.

- Igły kompasów, które wskazują północ, wskazywałyby południe - dodał Hibbet.

- Zgadza się - przytaknął Trout. - Odwrócenie biegunów magnetycznych miałooby wiele negatywnych skutków, ale wstrząs byłby minimalny. Większość z nas zdołałaby się przystosować do zmian i przetrwać. Badania wskazują że bieguny magnetyczne zamieniały się miejscami wiele razy.

- Herodot pisał o słońcu wschodzącym tam, gdzie normalnie zachodzi - powiedziała Gamay. - Indianie Hopi mówili o chaosie, który powstaje, gdy dwaj bliźniacy trzymający Ziemię w miejscu opuszczają swoje stanowiska. Takie mogły być w zamierzonych czasach interpretacje inwersji biegunów.

- Legendy są fascynujące i często zawierają ziarno prawdy, ale my jesteśmy naukowcami - przypomniał Adler.

- Dlatego nie wspominałam o jasnowidzach i pseudonaukowcach, którzy przepowiadali koniec świata - odparła Gamay. - Cała koncepcja inwersji biegunów została pomieszana z teoriami o Atlantydzie i starożytnych astronautach.

- Jako specjalista od fal morskich mam do czynienia z potężnymi siłami przyrody - powiedział Adler - ale przesunięcie zewnętrznej powierzchni całej kuli ziemskiej wydaje mi się nieprawdopodobne.

- Normalnie zgodziłabym się z tym - odrzekła Gamay - ale geofizycy zajmujący się paleomagnetyzmem ustalili na podstawie badań ruchu lawy, że skorupa Ziemi przemieszcza się w stosunku do jej północy magnetycznej. Ameryka Północna leżała kiedyś daleko na półkuli południowej i przez ten kontynent przebiegał równik. Einstein wysunął teorię, że gdyby na biegunach nagromadziła się odpowiednio duża ilość lodu, nastąpiłoby ich odwrócenie. Naukowcy odkryli, że około pół miliarda lat temu płyty tektoniczne Ziemi całkowicie zmieniły położenie. Poprzedni biegun północny i południowy przesunęły się na równik, a punkty na równiku stały się obecnymi biegunami.

- Mówi pani o procesie, który trwa miliony czy nawet miliardy lat - zauważył Adler.

Trout skierował znów dyskusję na symulacje komputerową.

- Dlatego powinniśmy się przyjrzeć bliżej teraźniejszości. Obraz na ekranie pokazuje pola magnetyczne Ziemi. Niebieskie plamy to pola skierowane do

wewnątrz, złociste na zewnątrz. Brytyjska marynarka wojenna rejestruje położenie północy magnetycznej i rzeczywistej od trzystu lat, więc mamy całkiem dobrą bazę danych. Widzimy tu wzrost ilości niebieskich stref.

- Co wskazywałyoby na powstawanie anomalii magnetycznych tam, gdzie pole odchyła się w niewłaściwą stronę - powiedział Hibbet.

- Ta duża kolorowa plama to anomalia południowoatlantycka, gdzie pole już jest odchylone w niewłaściwą stronę - odparł Trout. - Anomalii zaczęło szybko przybywać na przełomie wieków. Potwierdzają to odczyty systemu Magsat, wskazujące słabe miejsca w okolicy bieguna północnego i poniżej Afryki Południowej. Obserwacje są zgodne z symulacjami komputerowymi, które sugerują początki inwersji.

- Mówi pan przekonująco o tym, że zdarzają się inwersje biegunów geologicznych i magnetycznych - przyznał Adler. - Ale rozmawiamy o ewentualnym przyspieszeniu tego zjawiska przez człowieka. To duża różnica. Ludzie potrafią wiele, ale chyba nie jesteśmy w stanie przesunąć całej powierzchni naszej planety.

- Wydaje się to niemożliwe, prawda? - powiedział Trout z krzywym uśmiechem i odwrócił się do Hibbeta. - Ty jesteś ekspertem od elektromagnetyzmu. Co o tym myślisz?

Hibbet popatrzył na ekran.

- Nie miałem pojęcia, że południowe anomalie oceaniczne rozrosły się tak szybko. - Zamyślił się, a potem zaczął mówić, starannie dobierając słowa. - Laszlo Kovacs wniknął w naturę materii i energii. Odkrył, że jedno przechodzi w drugie. Energia nie podlega prawom czasu i przestrzeni, więc przejście z jednej fazy do drugiej jest natychmiastowe. A materia idzie w ślady energii. Musimy teraz spojrzeć na elektromagnetyczną budowę Ziemi. Jeśli energia elektromagnetyczna zmieni się w jakiś sposób, to materia - w tym wypadku skorupa ziemska - też może się zmienić.

- Mówisz więc, że inwersja biegunów geologicznych jest możliwa - powiedziała Gamay.

- Mówię, że gwałtowna i krótkotrwała inwersja biegunów magnetycznych, wywołana przez człowieka, mogłaby spowodować nieodwracalne zmiany geologiczne, zwłaszcza teraz, kiedy inwersja zaczyna się w sposób naturalny. Wystarczyłby impuls. Zwiększenie lub uwolnienie energii elektromagnetycznej, które zmieniłoby pole, mogłoby spowodować zmiany w materii. Zaburzenia w jądrze Ziemi lub polu magnetycznym mogłyby wywołać gigantyczne fale i wiry. To nie byłby powolny ruch płyt tektonicznych. Struktura całej planety mogłaby się zmienić natychmiast.

- Jakie byłyby tego skutki? - zapytała Gamay.

- Katastrofalne. Gdyby skorupa ziemska przesunęła się wokół ciekłego jądra, zadziałyby siły bezwładności. Powstałyby tsunami, które zalałyby kontynenty, i wiatry silniejsze od wszelkich huraganów. Nastąpiłyby trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów z rozległymi wylewami lawy, wielkie zmiany klimatyczne i wzrost promieniowania słonecznego. - Hibbet urwał. - Na pewno mogłyby wyginać wszystkie żywe gatunki.

- W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nasiliły się gwałtowne zjawiska naturalne - powiedziała Gamay. - Zastanawiam się, czy nie są to znaki ostrzegawcze.

- Możliwe - odrzekł Hibbet.

- Zanim śmiertelnie się wystraszymy, wróćmy do faktów - zaproponował Trout. - Przyjąłem za podstawę symulacje inwersji biegunów przeprowadzone w Caltech i Los Alamos. Wykorzystałem raport doktora Adlera o zaburzeniach w oceanach i materiał Ala o emisjach fal elektromagnetycznych niskiej częstotliwości. Zrobiliśmy też symulacje warunków przepływu prądów w jądrze Ziemi, gdzie powstają pola

magnetyczne. Prace naukowe Kovacsza to ostatnia część tego równania. Jeśli wszyscy są gotowi... - Postukał w klawiaturę.

Obraz Ziemi zniknął i na ekranie pojawiła się wiadomość:

CZEŚĆ, PAUL. JAK SIĘ MIEWA NAJLEPIEJ UBRANY MĘŻCZYZNA W ZESPOLE SPECJALNYM?

Max wyłowiła jego kod dostępu. Trout poruszył się niecierpliwie na krześle. Szkoda, że minęły czasy, kiedy komputery były po prostu głupimi maszynami. Odpisał:

CZEŚĆ, MAX. JESTEŚMY GOTOWI DO SYMULACJI.

CZY TO AKADEMICKIE ĆWICZENIE?

NIE.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Taka reakcja superszybkiego komputera była czymś niezwykłym. W końcu Max odpowiedziała:

NIE WOLNO DOPUŚCIĆ DO TAKIEGO ZDARZENIA.

Trout wpatrywał się w te słowa. Czyżby mu się zdawało, że Max jest zaniepokojona? Wpisał pytanie:

DLACZEGO?

BO NASTĄPIŁOBY CAŁKOWITE ZNISZCZENIE ZIEMI.

Trout przełknął ślinę.

JAK?

PATRZ.

Na ekran powróciła kula ziemiska. Żłociste plamy na oceanach zaczęły się poruszać. Czerwona plama na południowym Atlantyku połączyła się z innymi tego samego koloru i cały ocean poniżej Ameryki Południowej i Afryki Południowej przybrał czerwoną barwę. Potem kontynenty zaczęły zmieniać pozycję. Obie Ameryki obróciły się o 180 stopni i przyjęły położenie poziome. Punkty oznaczające wcześniej równik stały się biegunem północnym i południowym. Na powierzchni Ziemi występowały gwałtowne zjawiska naturalne. Rozprzestrzeniały się jak choroba zakaźna.

Trout wpisał następne pytanie i wstrzymał oddech:

MOŻNA TO JAKOŚ ZNEUTRALIZOWAĆ?

TAK. NIE POZWOLIĆ, ŻEBY SIĘ ZACZĘŁO. TEGO NIE MOŻNA COFNAĆ.

JEST JAKIŚ SPOSÓB NA POWSTRZYMANIE INWERSJI?

MAM ZA MAŁO DANYCH, ŻEBY ODPOWIEDZIEĆ NA TO PYTANIE.

Trout wiedział, że niczego więcej nie uzyska. Odwrócił się do pozostałych. Adler i Hibbet wyglądali tak, jakby właśnie dostali bilety na rejs łodzią przez rzekę Styks.

Gamay też była oszołomiona, ale miała spokojną minę i wyraz determinacji w oczach.

- To bez sensu. Po co robić coś, co mogłoby oznaczać koniec świata i samego sprawcy? Trout podrapał się w głowę.

- Może to nieświadome igranie z ogniem, bo ten ktoś nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa.



Gamay pokręciła głową.

- Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać skłonność naszego gatunku do głupich działań.
- Jeśli to coś się wydarzy, nie będzie żadnych gatunków - stwierdził Trout,

## 29

Większość Amerykanów, których spotykał kapitan Iwanow, była żądnymi przygód turystami w średnim wieku na wycieczkach wokół Wysp Nowosyberyjskich. Mieli pieniądze, kamery i aparaty fotograficzne z teleobiektywami, i z wielką determinacją poszukiwali rzadkich ptaków. Ale dwaj mężczyźni, którzy spadli z nieba i weszli na jego statek, jakby należał do nich, byli zupełnie inni.

Hydroplan z Austinem i Zawalą na pokładzie dogonił lodołamacz „Kotielnyj” na północny zachód od Wyspy Wrangla i wylądował kilkadziesiąt metrów od statku. Kapitan Iwanow kazał spuścić na wodę łódź i zabrać pasażerów samolotu. Czekał na pokładzie, ciekaw, kim są ci Amerykanie, mający takie chody, że zarekwirowali jego lodołamacz.

Pierwszy wspiął się po drabince barczysty mężczyzna z niemal białymi włosami, opaloną twarzą o wyrazistych rysach i jasnoniebieskimi oczami. Jego towarzysz był szczuplejszy, miał ciemną cerę i swobodne ruchy sportowca, co pozostało mu po okresie uprawiania boksu w college’u. Pomachali do hydroplanu, gdy płynął na pozycję startową.

Kapitan wystąpił naprzód, żeby się przedstawić. Choć był zirytowany, trzymał się ściśle marynarskich zwyczajów. Goście mocno uścisnęli mu dłoń, uśmiechając się przyjaźnie. Iwanow wyczuł ich spokój i pewność siebie. Nie sprawiali wrażenia obserwatorów ptaków.

- Dziękujemy, że przyjął nas pan na pokład, kapitanie Iwanow - powiedział niebieskooki Amerykanin. - Nazywam się Kurt Austin, a to jest mój przyjaciel i współpracownik, Joe Zawała. Jesteśmy z NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Kapitan spojrział na nich innym okiem. W ciągu długich lat spędzonych na morzu poznał kilku naukowców NUMA. Podziwiał profesjonalizm personelu agencji.

- To dla mnie zaszczyt gościć was tutaj, panowie - odrzekł. Zaprosił Amerykanów do swojej kajuty i wyjął z szafki butelkę wódki.
- Kiedy będziemy na miejscu? - zapytał Austin.
- Dopłyniemy do Wyspy Kości Słoniowej za dwie godziny - odparł kapitan.
- Więc na razie nie będziemy pić. Nie da się dotrzeć do wyspy prędzej?

Kapitan zmrużył oczy. Wciąż był zły, że kazano mu zmienić kurs i zawrócić w kierunku wyspy. Przełożeni polecieli mu spełniać wszystkie prośby gości, ale nie musiał być z tego zadowolony.

- Oczywiście, jeśli przyspieszymy. Ale nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby obcy dyktowali mi, jak szybko mam płynąć.
- Może jednak napijemy się wódki. Co ty na to, Joe? - powiedział Austin.
- Południe dawno już minęło - odrzekł Zawała.

Iwanow napełnił po brzegi trzy kieliszki. Stuknęli się. Amerykanie wypili do dna.

Zaimponowali mu. Spodziewał się - nawet miał nadzieję - że zakrzuszą się mocnym alkoholem.

Austin pochwalił wódkę.

- Przepraszamy, że zmieniliśmy panu trasę, kapitanie, ale musimy się dostać na wyspę tak szybko, jak to tylko możliwe. To bardzo ważne.

- Skoro tak wam się spieszy, to dlaczego po prostu nie polecieście tam hydroplanem?

- Nie chcieliśmy, żeby ktoś nas zobaczył - odparł Austin. Iwanow zarechotał.

- „Kotielnyj” nie jest niewidzialny.

- Słuszna uwaga. Statek musi pozostać poza zasięgiem kontaktu wzrokowego z wyspą. Resztę drogi pokonamy o własnych siłach.

- Jak sobie życzycie. Wyspa Kości Słoniowej to odludzie. Spotkacie tam tylko garstkę stukniętych naukowców, którzy chcą sklonować mamuta.

- Wiemy o tej ekspedycji - odpowiedział Austin. - Dlatego tu jesteśmy. W grupie naukowców jest młoda kobieta Karla Janos. Uważamy, że może być w niebezpieczeństwie.

- Była moją pasażerką. Co jej grozi?

- Podejrzewamy, że na wyspie są ludzie, którzy chcą ją zabić.

- Nie rozumiem.

- Znamy niewiele szczegółów. Wiemy tylko, że musimy jak najszybciej tam się dostać.

Kapitan Iwanow chwycił słuchawkę telefonu wewnętrznego i kazał maszynowni zwiększyć prędkość do maksymalnej. Austin uniósł brwi. Karla Janos musiała być niezwykłą kobietą. Najwyraźniej oczarowała starego wilka morskiego.

- Następną prośba, jeśli można - ciągnął Austin. - Czy na pokładzie jest jakieś wolne miejsce, gdzie Joe i ja moglibyśmy popracować, nie przeszkadzając załodze?

- Tak, oczywiście. Na rufie jest mnóstwo wolnej przestrzeni.

- Mamy ze sobą dwie duże torby podróżne. Mógłby pan polecić, żeby przeniesiono je na rufę?

- Zaraz wydam rozkaz.

- I jeszcze jedno - powiedział Austin, kiedy wstali.

Ci Amerykanie mieli nieskończoną listę żądań.

- Tak? - burknął kapitan.

Austin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niech pan nie chowa tej butelki. Będzie nam potrzebna, żeby uczcić szczęśliwy powrót panny Janos.

Surowa mina kapitana zamieniła się w szeroki uśmiech. Poklepał Austina i Zawalę po plecach z taką siłą że omal nie zmiażdżył im kości, i poprowadził ich na główny pokład. Po drodze minęli kilku marynarzy, którzy nieśli ciężkie torby do miejsca za nadbudową statku.

Kapitan odszedł do swoich obowiązków, a załoga zaczęła się przyglądać z ciekawością jak Austin i Zawała wyciągają z bagażu metalową ramę.

W plecaku z aluminiowych rur mieścił się mały, dwusuwowy silnik z czteropłatowym śmigłem i dziesięciolitrowy zbiornik paliwa. Przymocowali do ramy wąskie siedzenie, potem połączyli konstrukcję linkami z nylonowym płatem nośnym, który rozpostarli na pokładzie. W krótkim czasie złożyli francuską motolotnię Adventure X-Presso.

Zavala, który pilotował już wiele rodzajów maszyn, popatrzył na nią sceptycznie.

- To coś wygląda jak mariaż elektrycznego wentylatora z fotelem fryzjerskim.
- Niestety nie udało mi się upchnąć do podręcznego bagażu helikoptera apache - odparł Austin.

Zavala pokręcił głową

- Lepiej chodźmy po sprzęt.

Reszta ich ekwipunku leżała w kajucie. Austin wyjął z worka marynarskiego kaburę, sprawdził bębenek rewolweru bowen i zapakował do plecaka zapasową amunicję. Zavala wybrał do tej operacji pistolet heckler & koch 45, zaprojektowany dla sił specjalnych. Wzięli odbiornik GPS, kompas, radia, apteczkę i inne niezbędne rzeczy. Zamiast pękatek kamizelek ratunkowych, włożyli pneumatyczne pasy wypornościowe. Pod spodem mieli ciepłe, nieprzemakalne ubrania.

Do drzwi zapukał marynarz i przekazał, że kapitan zaprasza na mostek. Kiedy weszli do sterowni, Iwanow przywołał ich gestem do ekranu radaru i wskazał podłużny kształt na wyświetlaczu.

- To Wyspa Kości Słoniowej. Jesteśmy około pięciu mil morskich od celu. Jak blisko chcecie podejść?

Z zielonej wody upstrzonej kawałkami kry podnosiła się lekka mgła. Niebo było zachmurzone. Widoczność nie przekraczała mili morskiej.

- Niech ktoś przez lornetkę obserwuje horyzont przed dziobem - odrzekł Austin. - Jak zobaczy wyspę, rzucicie kotwicę.

Kapitan rozłożył mapę.

- Port jest z południowej strony wyspy. Na całym jej wybrzeżu pełno małych zatok.

Po naradzie z Zawalą Austin postanowił, że najpierw zajrzą do obozu naukowców, a potem skierują się wzdłuż rzeki w głąb lądu.

- Paliwa wystarczy nam na dwie godziny lotu, więc będziemy musieli dokładnie kontrolować czas - powiedział.

Powtórzyli sobie cały plan. Ledwie skończyli, obserwator zameldował, że widzi wyspę.

- Jesteśmy wdzięczni za pomoc - zwrócił się Austin do Iwanowa.

- Nie ma sprawy - odrzekł kapitan. - Panna Janos przypomina mi moją córkę. Proszę was, zróbcie wszystko, żeby jej pomóc.

Na prośbę Austina statek ustawiono rufą do wiatru i oczyszczono część pokładu do startu. Austin stwierdził z zadowoleniem, że szybkość wiatru nie przekracza piętnastu kilometrów na godzinę. Silniejszy mógłby ich zepchnąć w tył. Wiedział też, że w górze będzie wiało mocniej.

Najpierw przeciwiczyli start bez płata nośnego. Sztuka polegała na tym, żeby w czasie rozbiegu mieli zsynchronizowane ruchy nóg i unieśli się płynnie w powietrze.

- Nie było tak źle - powiedział Austin po pierwszej niezdarnej próbie. Zavala zerknął na marynarzy, którzy obserwowali ich rozbawieni i nieco zaniepokojeni.

- Założę się, że nasi rosyjscy przyjaciele jeszcze nigdy nie widzieli czworonożnej kaczki.

- Następnym razem pójdzie nam lepiej.

Optymizm Austina okazał się przedwczesny. Potknęli się w połowie rozbiegu, ale dwie kolejne próby wypadły prawie bezbłędnie. Włożyli gogle, rozpostarli płat nośny na pokładzie, rozciągnęli linki i połączyli je z plecakiem. Austin nacisnął przycisk

rozsuszniaka i silnik ożył z cichym warkotem. Podmuchał od śmigła wypełnił płat nośny powietrzem i nylonowa powłoka uniosła się z pokładu. Austin wcisnął dźwignię przepustnicy i zwiększył obroty. Pobiegli w kierunku rufy. Płat nośny o powierzchni dwudziestu ośmiu metrów kwadratowych złapał wiatr i poderwał ich w powietrze.

Austin dał większą moc i zaczęli się wzbijać. Motolotnia mogła się wznosić w tempie dziewięćdziesięciu metrów na sekundę, ale teraz pięła się do góry ociężale, bo lecieli we dwóch. Wreszcie osiągnęli wysokość stu pięćdziesięciu metrów. Austin pociągnął lewą linkę, jeden koniec płata nośnego wygiął się w dół i motolotnia skręciła w lewo. Szybowali w kierunku wyspy z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę.

Kiedy zbliżyli się do lądu, Austin opuścił jednocześnie oba końce płata nośnego i motolotnia zaczęła stopniowo schodzić w dół. Przelecieli nad skrajem portu, zatoczyli łagodny łuk i skierowali się nad pustą plażą ku rzece, którą widzieli wcześniej na mapach. Austin zobaczył przy ujściu rzeki jakiś obiekt, ale mgła utrudniała rozpoznanie szczegółów.

- Tak, ktoś tu jest! - krzyknął Zaval.

Austin zszedł niżej. W małej, pneumatycznej tratwie ratunkowej, która osiadła na brzegu, ujrzał jakąś postać z długimi, siwymi włosami. Skręcił pod wiatr, wyłączył silnik i pociągnął obie dźwignie hamulcowe.

Płat nośny powinien zadziałać jak spadochron i umożliwić im lądowanie na stojąco. Ale nadlecieli za szybko i za wysoko. Kolana ugięły się pod nimi i zaryli nosami w piasek.

Opuścili płat nośny, odpięli uprząż plecaka i podeszli do kobiety. Leżała skulona w pozycji embrionalnej. Austin przykucnął obok i sprawdził jej tętno. Było słabe, ale żyła. Z pomocą Zawali odwrócił ją delikatnie na plecy. Na kurtce, przy lewym ramieniu, miała plamę krwi. Austin wyjął z plecaka apteczkę, Zaval rozpiął kobiecie kurtkę, żeby mogli obejrzeć ranę. Kobieta jęknęła i otworzyła oczy. Przestraszyła się obcych.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją Zaval łagodnym tonem. - Chcemy pani pomóc.

Austin przyłożył jej do ust manierkę z wodą.

- Mam na imię Kurt, a to jest mój przyjaciel, Joe - powiedział, kiedy twarz kobiety odzyskała normalny kolor. - Jak się pani nazywa?

- Maria Arbatow - odrzekła słabo. - Mój mąż... - Głos jej się załamał.

- Jesteś z ekspedycji, Mario?

- Tak.

- A gdzie są inni?

- Nie żyją.

Austin poczuł się tak, jakby dostał kopniaka w brzuch. - A co się stało z młodą Amerykanką, Karłą Janos?

- Nie wiem. Zabrali ją.

- Ci sami ludzie, którzy cię postrzelili?

- Tak. Łowcy kości słoniowej. Zabili mojego męża, Siergieja, i dwóch Japończyków.

- Gdzie to było?

- W starym korycie rzeki. Doczołgałam się do miejsca naszego postoju i spuściłam tratwę na wodę. - Maria zatrzepotała powiekami i zemdląła.

Obejrzeliby dokładniej jej ramię. Postrzał nie był śmiertelny, ale Maria straciła dużo krwi. Zawała oczyścił i opatrzył ranę. Austin wywołał przez radio „Iwanowa”.

- Znaleźliśmy na plaży ranną kobietę - powiedział.
- Pannę Janos?
- Nie. Marię Arbatow, z ekspedycji naukowej. Potrzebna pomoc medyczna.
- Wysyłam łódź z lekarzem okrętowym.

Austin i Zawała ułożyli Marię najwygodniej, jak mogli. Przyplłynął lekarz i dwaj marynarze. Ulokowali ranną ostrożnie w szalupie i wrócili na lodołamacz.

Austin i Zawała przygotowali motolotnię. Start udał im się znacznie lepiej niż poprzednim razem. Polecieli wzdłuż rzeki. Zaalarmowani przez Marię, wypatrywali uważnie łowców kości słoniowej. Po kilku minutach lotu wylądowali pomyślnie na wiecznej zmarzlinie w pobliżu starych budynków. Wyjęli broń z kabur i ruszyli ostrożnie w kierunku osady

Austin sprawdził główny namiot, Joe go osłaniał. W kubie na śmieci leżały skorupki jajek, ślad po niedawnym śniadaniu. Zajrzeli do mniejszego namiotu, potem poszli do budynków. Tylko jeden był zamknięty na kłódkę. Gdy uderzyli w nie kamieniem, z próchniejącego drewna wyszły gwoździe trzymające skobel. Otworzyli drzwi i weszli do środka. Poczuli zapach piżma. W słabym świetle dostrzegli włochate stworzenie rozciągnięte na stole.

- Czegoś takiego raczej nie zobaczysz w waszyngtońskim zoo - powiedział Zawała.

Austin pochylił się nad zamrożonymi zwłokami. Obejrzał dokładnie krótki, gruby tułów i małe siekacze.

- Dopóki nie otworzą działu prehistorycznego, na pewno nie. To przypomina małego mamuta.

- Nie do wiary, że zachował się w takim stanie - odrzekł Zawała. - Wygląda jak zliofilizowany.

Obejrzeliby zamrożone zwierzę, a potem wyszli na zewnątrz. Austin zauważył odciski butów w wiecznej zmarzlinie. Prowadziły do ścieżki biegnącej brzegiem rzeki. Przygotowali motolotnię do startu ze wzgórza i polecili wzdłuż krętego szlaku. Przypuszczali, że Maria Arbatow była niedaleko rzeki, kiedy została postrzelona. Austin zobaczył trzy ciała leżące blisko rozwidlenia wąskiego kanionu. Zatoczył krąg nad najbliższą okolicą, ale nie dostrzegł żadnych oznak obecności łowców kości słoniowej i wylądował przy krawędzi wąwozu.

Zeszli zboczem na dół i podeszli do ciał. Trzej mężczyźni zginęli od kul. Rysy Austina stwardniały, z jego niebieskich oczu zniknął pogodny wyraz. Pomyślał o dramatycznej ucieczce Marii Arbatow w dół rzeki i przysiągł sobie, że sprawcy zapłacą za to.

Zawała pochylał się nad ziemią.

- Ci faceci nie zadali sobie trudu, żeby zatrzeć swoje ślady. Powinniśmy ich łatwo wytropić.

- Chodźmy przywitać się z nimi - odparł Austin.

Zaczęli się skradać z bronią w rękach szlakiem odcisków stóp w krętym kanionie. Za zakrętem natrafili na czwarte ciało. Zawała przyklęknął obok martwego mężczyzny.

- Ma ranę od noża między łopatkami. Dziwne. Tego dzentelmena nie zastrzelono tak jak pozostałych. Ciekawe, kto to jest.

Austin odwrócił trupa na plecy i popatrzył na zarośniętą twarz.

- Takiego typu raczej nie zobaczyłbyś na spotkaniu w izbie handlowej. Na ziemi wokół zwłok były ślady walki. Odciski butów oddalały się od zabitego. Austinowi wydało się, że dostrzega wśród nich mniejsze, kobiece. Ruszyli ostrożnie dalej i w końcu dotarli do miejsca, gdzie trop się urywał przy zawalonej ścianie wąwozu.

Wspięli się na górę i odnaleźli odciski stóp w wiecznej zmarzlinie. Choć znajdowali się na otwartej przestrzeni i widzieli na odległość wielu kilometrów, nie zauważyli żadnych oznak życia, z wyjątkiem kilku ptaków morskich, krążących w powietrzu. Doszli po śladach do jaskini.

- Ktoś bawił się tutaj w górnika - stwierdził Zawała.

- Słuszna uwaga, Sherlocku - przytaknął Austin i podniósł z ziemi obok wejścia do jaskini młot pneumatyczny, połączony z przenośnym kompresorem.

Zawała przyjrzał się bystrym okiem osmalonemu rumowisku wokół otworu.

- Ktoś zrobił tu też mały wybuch, Watsonie.

- Jesteśmy tutaj niecałą godzinę, a już zaczynam nie lubić Wyspy Kości Słoniowej - odrzekł Austin. Wczołgał się do dziury. Wyszedł z niej po minucie i pokręcił głową. - To samobójstwo. Nie wiadomo, jak daleko ciągnie się ten korytarz. Nie mamy nawet latarki.

Wrócili do motolotni, wywołali przez radio lodołamacz i poprosili Iwanowa, żeby przysłał kogoś po zwłoki i dostarczył im latarki. Austin doradził, żeby marynarze wzięli ze sobą broń. Wiedząc, że kapitan interesuje się losem Karli, Austin dodał, że jego zdaniem dziewczyna żyje. Iwanow powiedział, że Maria Arbatow jest pod opieką lekarza i czuje się dobrze. Życzyli sobie wzajemnie powodzenia i się rozłączyli.

Kilka minut później motolotnia wystartowała ze wzgórza z wdziękiem pijanego ptaka. Nabrali wysokości i polecili nad wyspą. Austin przestudiował wcześniej mapy. Mieli do zbadania rozległy obszar, dysponując środkiem transportu, który rozwijał szybkość czterdziestu kilometrów na godzinę.

Austin zataczał coraz szersze kręgi wokół miejsca startu, co umożliwiała obserwację dużej powierzchni wyspy. Ale widzieli tylko wieczną zmarzlinę. Austin zamierzał już wrócić na plażę na spotkanie z marynarzami Iwanowa, gdy Zawała wskazał na coś palcem.

Austin poleciał tam i zobaczył wyraźny szlak, prowadzący w górę wulkanu. Z bliska rozpoznali, że jest to zakosem idąca ścieżka, wykuta w zboczu. Musiała być dziełem człowieka.

- Chcesz się temu przyjrzeć? - zapytał Zawała.

Pytanie było spóźnione. Austin już zawracał. Poszybowali w kierunku krawędzi wulkanu.

## 30

Podziemne miasto pod kopułą gigantycznej groty miało ulice tworzące regularne kwartały. Do tej antycznej metropolii nie docierało słońce i powinna być pogrążona w zupełnej ciemności, ale z każdego budynku emanowała srebrzysto-zielona poświata.

- Co tak jasno świeci? - zapytał Schroeder, kuśtykając u boku Karli.  
- Na zajęciach z geologii uczyłam się o minerałach emitujących światło - odrzekła. - Niektóre żarzą się pod działaniem ultrafioletu, inne z powodu promieniowania radioaktywnego lub reakcji chemicznych. Ale jeśli jest to stary wulkan, może to być również termoluminescencja.

- Czy w tej grocie mogła być kiedyś magma? - spytał Schroeder.

- Nie wiem. Możliwe. Ale jednego jestem absolutnie pewna.

- Czego, kochanie?

Karla popatrzyła z zachwytem na błyszczące budowle.

- Jesteśmy intruzami w obcym świecie.

Po wyjściu z korytarza pełnego malowideł ściennych, który prowadził do miasta, zeszli po szerokiej pochylni pod wielkim łukowym sklepieniem na plac z piramidą schodkową zbudowaną z dużych bloków. Ją również ozdobił motyw procesji z oswojonymi mamutami, choć kolory były mniej żywe niż w tunelu. Karla przypuszczała, że piramida to dawna świątynia lub platforma dla kapłanów, skąd zwracali się do ludzi zgromadzonych na placu.

Do serca miasta prowadził brukowany bulwar o szerokości około piętnastu metrów. Szli nim wolno jak para turystów, oszołomionych jasnymi światłami Broadwayu. Budynki nie dorównywały wielkością wieżowcom na Manhattanie - najwyższe miały tylko dwa piętra - ale biorąc pod uwagę ich przypuszczalny wiek, były cudem architektonicznym.

Wzdłuż promenady ciągnęły się piedestały. Stojące na nich kiedyś posągi leżały porozbijane obok, jakby zepchnęli je z cokołów wandalami.

Schroeder chwilę odpoczął, a potem wraz z Karłą zajrzeli do paru budynków. Były zupełnie puste, jakby ktoś wymiół z nich wszystko miotłą.

- Jak myślisz, ile to ma lat? - zapytał Schroeder, gdy zapuścili się dalej w głąb miasta.

- Za każdym razem, kiedy próbuję to ocenić, gmatwam się w sprzecznościach. Malowidła przedstawiające koegzystencję ludzi i mamutów wskazują na plejstocen. To okres od miliona ośmiuset do jedenastu tysięcy lat temu. Nawet jeśli przyjmujemy datę najbliższą współczesności, wysoki poziom tutejszej cywilizacji jest zdumiewający. Zawsze uważaliśmy, że ludzkość ewoluowała ze swojego prymitywnego stadium dużo później. Cywilizacja egipska ma zaledwie około pięciu tysięcy lat.

- Kto twoim zdaniem zbudował to cudowne miasto?

- Dawni mieszkańcy Syberii. Wyspa była połączona z arktycznym szelfem kontynentalnym. Nie widziałam tu żadnych malowideł statków. Ci ludzie najwyraźniej nie odbywali podróży morskich. Sądząc po wyglądzie, miasto musiało być bogate.

- Skoro ta cywilizacja tak kwitła, to dlaczego upadła?

- Może wcale nie upadła. Może ci ludzie po prostu przenieśli się gdzie indziej i dali początek nowemu społeczeństwu. Są dowody na to, że Amerykę Północną zaludniali Europejczycy i Azjaci.

Kiedy Schroeder zastanawiał się nad słowami Karli, od strony bramy miasta za ich plecami dobiegły podniecone okrzyki. Obejrzał się, zmrużył oczy i popatrzył w głąb bulwaru. Wokół placu poruszały się punkty świetlne. Łowcy kości słoniowej też weszli do miasta.

- Na otwartej przestrzeni jesteśmy jak kaczkę na strzelnicy - powiedział Schroeder. -

Trzeba zejść z tej pięknej alei.

Wszedł w zaułek, który łączył się z wąską boczną ulicą. Stały tu domy mniejsze niż na bulwarze, zaledwie parterowe. W przeciwieństwie do reprezentacyjnych budowli wzdłuż głównej arterii, wyglądały na mieszkalne.

Jako były żołnierz Schroeder potrafił ocenić, jakie są szanse na obronę. Miasto było wielkim labiryntem setek ulic. Zakładał, że dopóki będą czujni, w ciągłym ruchu, to mimo wszechobecnej poświaty przeciwnicy ich nie złapią. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie mogą uciekać wiecznie. W końcu zabraknie im jedzenia i wody. Albo szczęścia.

Zamierzał dotrzeć do przeciwległego krańca miasta. Miał nadzieję, że jest tam drugie wyjście, gdyż powietrze było stosunkowo świeże. Wyglądało na to, że budowniczości podziemnej metropolii znali się na rzeczy, dlatego też do miasta powinna prowadzić więcej niż jedna droga.

Przeszli ponad połowę dystansu, gdy nagle Karla krzyknęła z przerażenia i wpija się palcami w rękę Schroedera. Zdjął z ramienia karabin.

- Co jest? - Popatrzył na fasady domów dookoła, jakby spodziewał się zobaczyć w oknach drwiące twarze łowców kości słoniowej.

- Coś przebiegło tamtym zaułkiem.

Schroeder spojrział w kierunku wskazanym przez Karłę. Choć budynki emitowały światło, stały tak blisko siebie, że wąskie przestrzenie między nimi tonęły w mroku.

- Coś czy ktoś?

- Nie wiem. Może za długo jestem pod ziemią.

Schroeder zawsze bardziej ufał swoim zmysłom niż rozumowi.

- Zaczekaj tutaj. - Zbliżył się do zaułka z palcem na spuście. Wystawił głowę za róg i włączył latarkę. Po chwili wrócił. - Pusto.

- Przepraszam. Widocznie mi się przywidziało.

- Chodź - powiedział Schroeder i ruszył w stronę zaułka.

- Tam?

- Jeżeli ktoś tam jest, to spróbujemy go zaskoczyć.

Karla się zawahała. W pierwszym odruchu chciała uciekać w przeciwnym kierunku. Ale wyglądało na to, że Schroeder wie, co robi. Dogoniła go.

Zaułek dochodził do następnej ulicy z domami po obu stronach. Była pusta. W dziwnej poświacie okna małych, przysadzistych budynków przypominały oczodoły. Schroeder, kierując się swoim wewnętrznym kompasem, wybrał drogę, która powinna ich doprowadzić na drugi koniec miasta.

Minęli kilka przecznic. Nagle Schroeder przystanął i uniósł karabin. Po chwili opuścił broń i przetarł oczy.

- To dziwne światło źle na mnie działa. Teraz ja zaczynam mieć przywidzenia. Wydawało mi się, że coś przebiegło przez ulicę.

- Nie wydawało ci się - odrzekła Karla. - Ja też to widziałam. Coś większego niż człowiek.

Schroeder ruszył dalej.

- To dobrze. Ostatnio nie mamy szczęścia do ludzi.

Karla poczuła znajomy odór piżma. Taki sam jak w szopie, gdzie leżał mały mamut. Schroeder też zwrócił uwagę na ten zapach.



- Cuchnie jak w oborze - powiedział.

Woń błota, zwierząt i nawozu stawała się coraz silniejsza. Doszli zaułkiem do kolejnej ulicy. Kończyła się na placu podobnym do tamtego na początku miasta. Kwadrat o bokach długości mniej więcej sześćdziesięciu metrów. Tu też stała piramida schodkowa o wysokości około piętnastu metrów. Ale uwagę Karli przykuło najbliższe otoczenie budowli.

Podczas gdy pierwszy plac był wybrukowany takimi samymi żarzącymi się kamieniami, z jakich zbudowano całe miasto, tutaj podłoże wyglądało jak porośnięte ciemną gęstą trawą. Karli skojarzyło się to z zaniedbanym parkiem miejskim. Wiedziona wrodzoną ciekawością poszła w stronę piramidy.

Roślinność zaczęła się poruszać.

Stare oczy Schroedera z trudem rozróżniały szczegóły w słabym świetle, ale zauważył, co się dzieje. Doszło do głosu jego wyszkolenie sprzed lat. Nauczono go, że w obliczu zagrożenia najlepszym zabezpieczeniem jest zasłona z ołowiu. Wszedł przed Karłę, oparł karabin na biodrze i położył palec na spuście, żeby podziurawić plac zabójczym gradem pocisków. - Nie! - krzyknęła Karla. Wyciągnęła przed niego rękę.

Plac zafalował. W ruchomej masie rozległy się parsknięcia i kwiki. Zaczęły się podnosić ciężkie ciała. Wrażenie roślinności zniknęło. Zastąpiły ją włochate bryły wielkości dużych świń.

Schroeder patrzył na dziwne stworzenia stłoczone na placu. Miały krótkie, grube tułowia, długą sierść i wygięte do góry siekacze.

- Młode słonie! - zawołał.

- Nie - zaprzeczyła Karla. Mimo ogromnego podniecenia, była zadziwiająco spokojna.

- Karłowate mamuty.

- Niemożliwe. Mamuty wymarły.

- Wiem, ale przyjrzyj się dobrze. - Oświetliła latarką zwierzęta. Kilka z nich zerknęło w jej stronę. Ich lśniące okrągłe oczy miały barwę bursztynu. - Słonie nie są owłosione.

- To niemożliwe - powtórzył Schroeder.

- Na Wyspie Wrangla znaleziono ślady karłowatych mamutów zaledwie sprzed czterech tysięcy lat. Ale masz rację, że to nie do wiary. Dotąd oglądałam tylko skamieniałe kości takich zwierząt.

- Ciekawe, dlaczego nie uciekają - powiedział Schroeder. Wydawało się, że mamuty spały, kiedy ich spokój zakłócili intruzi, ale nie były zaniepokojone. Chodziły w kółko po placu pojedynczo, parami lub w małych grupach, nie interesując się obcymi.

- Nie boją się, że zrobimy im krzywdę - odrzekła Karla. - Pewnie jeszcze nigdy nie widziały ludzi. Przypuszczam, że ewoluowały z pełnowymiarowych zwierząt, które są na malowidłach ściennych. Kolejne pokolenia przyzwyczajały się do braku światła dziennego i innego pożywienia.

Schroeder patrzył na stado.

- Jak one tutaj żyją?

- Musi być tu dopływ powietrza. Może przez sklepienie lub szczeliny, o których nie wiemy.

- Tak, ale co jedzą? Rozejrzała się.

- Gdzieś musi być jakieś źródło pożywienia. Może wychodzą na zewnątrz. Wiem! Tak mogło być z mamutem, którego znalazła ekspedycja. Szukał jedzenia.

- Trzeba zobaczyć, dokąd pójdą - zdecydował Schroeder. Skierował się do piramidy, Karla szła tuż za nim. Mamuty rozstępowały się, robiąc im przejście. Schroeder i Karla lawirowali między kupami łajna. Dotarli do piramidy i zaczęli się na nią wspinać. Schroeder znów uraził bolącą kostkę i musiał pełznąć w górę na czworakach, ale powoli wdrapał się na płaski szczyt budowli.

Z wysokości kilkunastu metrów mieli widok na cały plac. Zwierzęta wciąż kręciły się w beładnej masie.

Karla naliczyła około dwustu stworzeń. Schroeder obserwował stado z innego powodu. Po kilku minutach zobaczył to, na co czekał.

- Spójrz - powiedział. - Ustawiają się w szereg w tamtym rogu placu. Karla popatrzyła tam, gdzie pokazywał. Pierwsze mamuty wcisnęły się w jedną z ulic, jakby nagle zainspirował je wspólny cel. Pozostałe poszły w ich ślady. Schroeder zszedł przy pomocy Karli z piramidy i pokuśtykał za oddalającymi się zwierzętami.

Zanim dotarli do rogu, całe stado zniknęło z placu i powędrowało wolno wąską ulicą która prowadziła do głównego bulwaru. Starali się nie spłoszyć mamutów, choć wydawało się, że nie ma takiego niebezpieczeństwa i stworzenia przyjęły ich do stada.

Po około dziesięciu minutach marszu zauważyli, że miasto zaczyna się zmieniać. Niektóre domy po obu stronach ulicy były zburzone, jakby ich ściany przewrócił spychacz. W końcu pojawiła się dzielnica wyglądająca jak po bombardowaniu. Nie ocalał tu żaden budynek, zostały tylko ruiny. Wszędzie leżały sterty żarzącego się minerału, przemieszane z wielkimi, nieluminescencyjnymi głazami.

Widok ten wywołał u Schroedera nieprzyjemne wspomnienia. Przystanął, żeby odpoczęła mu kostka, i popatrzył na gruzy dookoła.

- To mi przypomina Berlin po zakończeniu II wojny. Chodźmy. Musimy się pospieszyć, bo je zgubimy.

Karla ominęła kupę łajna.

- Zostawiają za sobą tyle śladów, że chyba nam to nie grozi. Basowy śmiech Schroedera odbił się echem od wysokich rumowisk po obu stronach. Karla też się roześmiała, mimo zmęczenia i strachu, ale przyspieszyli kroku, bardziej z chęci, żeby wreszcie wyjść z podziemi, niż z obawy, że ucieknie im stado.

Przybywało skał, które nie emitowały blasku. Potem żarzący się minerał zniknął całkowicie i na szlaku przed nimi zrobiło się ciemno. Karla włączyła latarkę i zobaczyli zady mamutów. Stworzenia nie miały problemu z odnajdywaniem drogi w ciemności. Karla przypuszczała, że ich wzrok przystosował się do braku światła w taki sam sposób jak ciała do zmniejszonej ilości pożywienia.

Nagle latarka zgasła. Szli za stadem, nasłuchując odgłosu setek nóg, chrząknięć i pomruków. Absolutną czerń zastąpił powoli granat, potem ciemna szarość. Zwierzęta przyspieszyły. Szarość przerodziła się w biel. Szlak skręcił w prawo, później w lewo. Wydostali się na otwartą przestrzeń i zamrugali powiekami w słońcu.

Mamuty szły dalej. Schroeder i Karla przystanęli i osłonili rękami oczy. Kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do jasnego światła, rozejrzeli się. Wyłonili się z otworu w urwisku i stali na krawędzi niecki o średnicy kilkuset metrów. Mamuty jadły łapczywie krótką trawę w zagłębieniu terenu.

- To zdumiewające - powiedziała Karla. - Te stworzenia przystosowały się do życia w dwóch światach: ciemności i światła. Są cudem adaptacji oraz anachronizmu.

- Owszem, to bardzo ciekawe - odrzekł Schroeder bez żadnego zainteresowania.

Zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie są bezpieczni. Prześladowcy mogli im deptać po piętach. Przyjrzał się ścianie z masywnych, poczerwiałych głazów wokół niecki i zaproponował, żeby poszukali stąd wyjścia.

Karla niechętnie rozstała się z mamutami, ale wspięła się ze Schroederem po łagodnym zboczu ku głazom. Jedne miały wielkość samochodów, inne domów. Leżały w stosach o wysokości nawet ponad trzydziestu metrów. Niektóre przylegały do siebie tak ściśle, że nie zmieściłoby się między nimi ostrze noża.

W ścianie głazów były otwory o głębokości kilku metrów. Kiedy szli wzdłuż nieprzeniknionego muru, Karla zaczęła tracić nadzieję. Uciekli z deszczu pod rynną. Natomiast Schroeder wydawał się ożywiony świeżym powietrzem. Ignorował ból w kostce i badał wzrokiem ścianę. Zniknął w luce między głazami i po kilku minutach wydał okrzyk triumfu.

Wyłonił się z otworu i oznajmił, że znalazł przejście przez zaporę. Chwycił Karłę za rękę, jakby prowadził dziecko, i zagłębił się w masę monolitów. Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy zza głazu wyszedł mężczyzna.

Drogę zastąpił im Grisza, przywódca zbójckiej bandy łowców kości słoniowej.

## 31

Austin patrzył z powietrza w czeluść kaldery. Motolotnia szybowała nad nią jak kondor. Szlak prowadzący w górę zbocza wulkanu przechodził przez obniżenie terenu, biegł łagodnie w dół do środka zagłębienia i kończył się na niskim urwisku. Po przeciwległej stronie krateru krawędź opadała niemal pionowo do leżących na dole głazów. Między wielkimi, czarnymi kamieniami widniała okrągła plama zieleni. Austin zaczął schodzić spiralą do kaldery, szukając miejsca do lądowania.

- Co tam jest? - zapytał Zavała, wskazując w stronę, gdzie kończył się szlak. - Wygląda jak stado krów.

Austin zmrużył oczy za szklami gogli.

- Zbyt włochate na krowy. Może to jaki.

- Jaki co?

Austin skrzywił się na ten dowcip, ale po chwili Zavała zwrócił jego uwagę na inną część zielonej łąki.

- A niech mnie! - wykrzyknął Austin. - Ludzie!

Grupa stała blisko krawędzi pola głazów. Kiedy motolotnia zeszła niżej, Austin zobaczył, że ktoś powalił kogoś na ziemię. Inna postać rzuciła się na pomoc leżącemu człowiekowi, ale została odciągnięta na bok. Motolotnia była już tak nisko, że Austin dostrzegł blond włosy.

- Chyba właśnie znaleźliśmy Karłę Janos - powiedział.

Grisza odsłonił w uśmiechu zepsute zęby. Zawołał po rosyjsku i z kryjówek za głazami wyłonili się jego ludzie.

Schroeder szybko ocenił sytuację. Kiedy on i Karla kluczyli po mieście, łowcy kości słoniowej centralnym bulwarem dostali się do wyjścia.

Grisza pokazał więźniom, żeby wracali tą samą drogą którą przyszli. Gdy Rosjanie i ich ofiary wydostali się spomiędzy głązów na otwartą przestrzeń, Grisza zobaczył mamuty.

- Co to jest? - zapytał. - Owce?
- Nie - odrzekł Schroeder. - Motyle.

Nie spodziewał się, że Grisza zareaguje tak gwałtownie. Rosjanin nie lubił być poniżany przy swoich ludziach. Warknął wściekle, zamachnął się karabinem jak kijem baseballowym i uderzył Schroedera łufą w twarz. Kiedy Schroeder upadał na ziemię, zdążył jeszcze usłyszeć krzyk Karli.

Zavala obserwował dramat rozgrywający się w dole.

- Wygląda na to, że panna Janos jest w złym towarzystwie. Jak chcesz to załatwić? Jastrząb na mysz czy OK Corral? Chodziło o to, czy mają zrobić ciche podejście, czy otworzyć ogień ze wszystkich łuf. - A co powiesz na Butch Cassidy i Sundance Kid?
- To coś nowego, ale mnie wszystko pasuje.
- Daj mi swoją spluwę i przejmij stery. Podejźmy od tyłu. Słońce będzie im świecić w oczy.
- Wyatt Earp mógłby użyć takiego sprzętu przeciwko Clantonom.
- O ile dobrze pamiętam, poradził sobie bez tego.

Zavala wyciągnął z kabury pistolet heckler & koch. Podał go bardzo ostrożnie Austinowi i chwycił stery. Opadali szybko w dół. Austin przyjął pozycję rewolwerowca z bronią w obu rękach.

Grisza opasywał ramieniem szyję Karli, trzymając ją za włosy. Dłoń drugiej ręki przyciskał do jej twarzy tak mocno, że się dusiła. Jednym ruchem mógł jej skreślić kark. Był wystarczająco wściekły, żeby ją zabić, ale jego chciwość była silniejsza od gniewu. Karla miała większą wartość żywa niż martwa.

Ale to nie znaczyło, że on i jego ludzie nie mogą się zabawić z piękną młodą kobietą. Puścił twarz Karli i pociągnął w dół suwak jej kurtki. Zirytowany warstwami ciepłego ubrania pod spodem zaklął i uderzył ją. Upadła. Jeden z jego ludzi krzyknął.

Grisza zauważył cień sunący po ziemi i spojrzał w górę.

Ze zdumienia rozdziawił usta.

Z nieba opadał na niego dwugłowy człowiek.

Kiedy odległość zmalała do kilkudziesięciu metrów, Austin otworzył ogień z obu rąk. Celował w bok, żeby nie zranić Karli. Jej porywacze rzucili się do ucieczki.

Gdy oddalili się od niej, Austin mógł do nich swobodnie strzelać, ale z powietrza trudno było trafić w biegnących ludzi. Zavala krzyknął do niego, żeby przygotował się do lądowania. Austin wepchnął jeden pistolet do kabury, drugi za pas.

Zetknęli się z ziemią ze zbyt dużą szybkością, by utrzymać się na nogach. Upadli na ręce i kolana. Na szczęście trawa zamortyzowała uderzenie. Szybko odpięli plecak z silnikiem. Kiedy Zavala zwijał linki płata nośnego, Austin podszedł do blondynki, która klęczała przy starszym mężczyźnie.

- Panna Janos? - zapytał Austin. - Podniosła na niego piękne szare oczy.
- Kim pan jest?
- Kurt Austin. Mój przyjaciel Joe i ja szukaliśmy pani. Nic się pani nie stało?
- Nie - odrzekła. - Ale mój wujek potrzebuje pomocy.

Austin wyjął z plecaka apteczkę. Mężczyzna był przytomny. Leżał na plecach i miał otwarte oczy. Mógł być w wieku od sześćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu pięciu lat. Trudno było to określić dokładniej, bo po jego pociągłej twarzy spływała krew z ran na policzku i czole.

Austin przykłęknął obok niego, oczyścił rany i nałożył na nią środek antyseptyczny. Zabieg musiał być bolesny, ale mężczyzna nawet nie mrugnął. Obserwował niebieskimi oczami każdy ruch Austina.

Chwilę potem powiedział:

- To wystarczy. Niech pan mi pomoże wstać.

Z pomocą Austina Schroeder podniósł się z ziemi. Był kilkanaście centymetrów wyższy od Austina, który miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Karła objęła wujka w pasie.

- Jak się czujesz?
- Jestem starym twardzielem - odparł. - Martwię się o ciebie.
- Nic mi się nie stało. Dzięki tym dwóm panom.

Austin dostrzegł wyraźną więź między starszym mężczyzną i młodą kobietą. Przedstawił siebie i Zawalę.

- Nazywam się Schroeder - powiedział mężczyzna. - Dzięki za pomoc. Jak nas znaleźliście?

- Rozmawialiśmy z Marią Arbatow.  
 - Z Marią!? - wykrzyknęła Karła. - Co się z nią dzieje?  
 - Nic jej nie grozi, ale jej mąż i dwaj inni naukowcy nie żyją. Znaleźliśmy jeszcze jednego zabitego, ale nie potrafiliśmy go zidentyfikować.

Karla zerknęła na Schroedera.

- Zaatakował Karłę - wyjaśnił. - Musiałem mu przeszkodzić. - Spojrzał zmrużonymi oczami w kierunku pola głazów. - To niebezpieczne miejsce. Oni wrócą. Mają broń automatyczną a my jesteśmy tu całkowicie odsłonięci.

- To wasz teren - odrzekł Austin. - Gdzie możemy się ukryć? Schroeder wskazał podnóże pochyłości, opadającej w dół od krawędzi kaldery.

- Tam jest miasto.

Austin pomyślał, że ten człowiek chyba majaczy z powodu odniesionych ran.

- Miasto? - Widział tylko urwisko u podnóża zbocza.  
 - Zgadza się - przytaknęła Karła. - Och, mamuty zniknęły! Musiała je wystraszyć strzelanina.

Teraz Zawała pomyślał, że się przesłyszał.

- Mamuty?  
 - Tak - potwierdziła Karła. - Karłowate. Austin i Zawała wymienili spojrzenia.  
 - Dostyc gadania - zdecydował Schroeder. - Czas się stąd ruszyć. Wziął Karłę za ramię i pokużył w kierunku krawędzi niecki. Austin i Zawała zamykali tyły. Decyzja Schroedera okazała się słuszna. Nie dotarli jeszcze do skraju łąki, gdy nagle zza skał wyłonili się łowcy kości słoniowej i otworzyli do nich ogień.

Kilka metrów za uciekającą grupą wytrysnęły fontanny ziemi.

Austin krzyknął do swojej grupy, żeby się nie zatrzymywali. Odwrócił się, padł na trawę i wycelował starannie z bowena w najbliższego Rosjanina.

Nacisnął spust kilka razy, ale tamten był za daleko. Grisza i jego ludzie nie ryzykowali. Kiedy Austin otworzył do nich ogień, przestali strzelać i też padli na ziemię.

Austin obejrzał się i zobaczył, że pozostali są już prawie przy ścianie urwiska. Poderwał się i puścił sprintem za nimi. Ludzie Griszy znów zaczęli strzelać. Pociski trafiały w ziemię tuż za piętami Austina. Dogonił innych i wepchnął ich do otworu w skale.

Karla potrząsnęła swoją latarką. Baterie wyczerpały się i żarówka ledwo się zarzyła. Ruszyli krętym szlakiem. Kiedy latarka całkiem zgasła, byli już w rejonie, gdzie wśród ruin stało kilka budynków, i zaczęli widzieć poświęć z podziemnego miasta. Kierowali się w stronę blasku jak ćmy lecące do płomienia. Wkrótce doszli do dawnej metropolii.

Austin popatrzył na świecące domy i ulice.

- Co to za miejsce? - zapytał. - Kraina Oz? Karla się roześmiała.  
- Podziemne miasto zbudowane z jakiegoś promieniującego minerału. Nie wiemy, kto je zbudował, ale to dopiero przedmieście. Jest dość rozległe.

Schroeder uciszył ją i powiedział, że mogą o tym porozmawiać później. Poprowadził ich przez labirynt ulic z powrotem do placu, gdzie pierwszy raz zobaczyli mamuty.

Zwierzęta wróciły już na plac i tłoczyły się wokół piramidy. Wydawały się niespokojne. Parskały i dreptały w kółko.

Karla zauważyła, że Austin sięga po broń. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Bez obaw. Nie zrobią nam krzywdy. Musiał je przestraszyć hałas. Austin widział już wiele dziwnych rzeczy w odległych zakątkach świata, gdzie wykonywał różne zadania. Ale jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś takim, jak te stworzenia na placu. Miał przed sobą zminiaturyzowane okazy prehistorycznych olbrzymów, które znał z rysunków w książkach. Zawała też był oszołomiony.

- Myślałem, że to wymarły gatunek.  
- Jest wymarły - przytaknęła Karla. - A raczej tak uważano dotąd. Te zwierzęta są karłowatymi potomkami mamutów, które kiedyś żyły na tej wyspie.  
- Karla - wtrącił się Schroeder - musimy się zastanowić, jak uciec zabójcom.  
- Słusznie - zgodził się Austin. - Jest stąd drugie wyjście?  
- Jest - odrzekła Karla. - Ale to długa i niebezpieczna droga.  
- Ja nie dam rady, ale wy spróbujcie - powiedział Schroeder. - Jeśli dacie mi broń, zatrzymam tamtych, żebyście się mogli stąd wydostać.

Austin się uśmiechnął.

- Ładny gest, wujku Karl, ale męczeństwo wyszło z mody w średniowieczu. Trzymamy się razem.

- Zaczyna mi się tu podobać - stwierdził Zawała. - Ciepło. Romantyczne oświetlenie. Niezwykły, hm... aromat w powietrzu.

Schroeder się uśmiechnął. Nie wiedział, kim są ci mężczyźni, ale ze względu na Karłę był zadowolony, że ma ich u boku.

- Jeśli tak pan uważa, to się przygotowujmy.

Austin polecił Zawali, żeby stanął na straży u wylotu ulicy dochodzącej do placu.

Potem odwrócił się do Schroedera.

- Co pan proponuje?

- Ucieczka nie ma sensu. Możemy zająć stanowiska na placu i wziąć ich w krzyżowy ogień.

Austin był zadowolony, że Schroeder chce przejść do ofensywy. Labirynt ulic zapewniał mnóstwo kryjówek. Austin, podobnie jak Schroeder, dobrze wiedział, że ciągly odwrót źle się skończy.

- Nie wiem, czy wystarczy nam amunicji - powiedział Austin. - Wzięliśmy zapas, ale nie spodziewaliśmy się bitwy pod Little Big Horn.

- Będą tylko musieli zaczekać, aż wystrzelamy wszystkie pociski, i zlikwidują nas po kolei - odrzekł Schroeder. - Szkoda, że zużyłem granat.

Austin popatrzył na niego dziwnie. Ten stary człowiek nie wyglądał na typa, który chodzi z granatem w kieszeni. Ale Austin wiedział, że pozory mylą. Schroeder był w takim wieku, że mógł korzystać z ubezpieczenia zdrowotnego Medicare, ale zachowywał się jak członek jednostki specjalnej SWAT

Z punktu obserwacyjnego przybiegł Zawała.

- Nadchodzą. Czas na przedstawienie. Austin rozejrzał się szybko po placu.

- Mam pomysł. - Przedstawił im w pośpiechu swój plan.

- To się może udać - uznał Schroeder.

- Oby tak było - odparł Austin.

- Nie ma innego sposobu? - zapytała Karła. - To takie piękne stworzenia.

- Obawiam się, że nie. Ale jeśli zrobimy to jak należy, nic im się nie stanie.

Karla westchnęła, ale wiedziała, że nie mają wielkiego wyboru. Austin rozstawił ich na placu, zostawiając otwarty wylot ulicy. Czekali.

Mamuty uniosły głowy, kiedy zobaczyły ruszających się ludzi. Stały się jeszcze bardziej nerwowe, gdy usłyszały szorstkie głosy łowców kości słoniowej. Banda Griszy nie starała się zachowywać cicho. Być może hałasowali celowo, żeby przestraszyć swoje ofiary.

Zaniepokojone zwierzęta chciały opuścić plac, ale zatrzymały się na widok ludzi stojących im na drodze. Mamuty na czele stada zaczęły zawracać i zderzać się z innymi. Parskanie i kwiki były coraz głośniejsze.

Grisza wyrzwał zza rogu. Jego wygląd i zapach jeszcze bardziej przestraszył zwierzęta. Próbowaly uciec i wpadały na siebie.

Ośmielony brakiem przeciwników Grisza wszedł na plac, a za nim jego ludzie. Przystanęli na skraju otwartej przestrzeni, zahipnotyzowani widokiem stworzeń, które wcześniej widzieli tylko z daleka.

Stado osiągnęło masę krytyczną. Austin uruchomił reakcję łańcuchową. Strzelił w powietrze. Zawała też otworzył ogień. Schroeder i Karła zaczęli krzyczeć i klaskać w dłonie. Stado ogarnęła panika. Trąbiąc z przerażenia, strumień ciężkich ciał z ostrymi siekaczami popłynął w kierunku jedynej drogi ucieczki - wąskiej ulicy prowadzącej na wolność poza jaskinią.

Grisza i jego ludzie stali na drodze oszalałych ze strachu mamutów.

Rosjanie unieśli broń, chcąc strzelać do nacierających zwierząt, ale stado było już obok przy nich. Zdołali przebiec zaledwie kilka kroków, gdy zostali przewróceni na ziemię i stratowani. Grisza wyprzedził swoich ludzi, pędził przed siebie i zerkał na

boki w poszukiwaniu ratunku, ale pośliznął się i upadł pod naporem mamutów.

Grupa Austina wołała nie ryzykować, że stado zawróci. Nadal hałasowali najgłośniejszymi, jak mogli.

W ciągu sekund było po wszystkim.

Plac opustoszał. W oddali odbijało się echem dudnienie uciekającego stada. Austin i Zavala ostrożnie wyszli na ulicę. Obok zakrwawionych zwłok znaleźli działającą latarkę. Austin zawołał do Schroedera i Karli, że mogą bezpiecznie iść dalej.

- Trudno odgadnąć, że to ludzie - powiedziała Karla, kiedy omijali zmasakrowane ciała.

Austin przypomniał sobie martwych naukowców w wąwozie.

- Oni nigdy nie byli ludźmi. Schroeder wybuchnął śmiechem.

- Dawno temu nauczyłem się, że we właściwych rękach wszystko może być bronią. Ale w podręczniku nie było nic o małych, kudłatych słoniach.

Austin nie miał pojęcia, o jakiej książce mówi Schroeder i do jakiej szkoły chodził. Mniejsza o to. Ich kłopoty jeszcze się nie skończyły. Przeszli przez zburzoną część miasta i rumowisko. Słońce widoczne między skałami dodało im energii. Wrócili do motolotni i zobaczyli, że banda Griszy roztrzaskała silnik i pocięła płat nośny.

Z kawałków aluminiowych rur i tkaniny zrobili prowizoryczne łubki dla Schroedera. Wdrapali się na urwisko u podnóża zbocza i ruszyli w górę krętym szlakiem prowadzącym do krawędzi kaldery. Przystawali często ze względu na Schroedera, ale pozwalał sobie tylko na kilkuminutowy odpoczynek.

Dotarli wreszcie na szczyt. Większość wyspy przesłaniała mgła. Zaczęli schodzić po drugiej stronie. Marsz w dół nie był łatwiejszy od wspinaczki. Na ich drodze leżały kamienie i skały.

Pokonali około dwóch trzecich drogi na dół, gdy zobaczyli, że naprzeciw nich wspinają się jakieś postacie. Grupa Austina została zauważona, więc szukanie kryjówek nie miało sensu. Szli dalej, ale trzymali broń w pogotowiu. Austin naliczył sześciu obcych. Kiedy zbliżyli się, mężczyzna na ich czele pomachał ręką. Chwilę później Austin rozpoznał uśmiechniętego szeroko Pietrowa.

Rosjaninowi towarzyszyli członkowie jego oddziału specjalnego, łącznie z Weroniką i jej mężem. Pietrow przebiegł szybko ostatnie kilka metrów pod górę.

- Cześć, Austin - wysapał. - Ty i Joe nie przestajecie mnie zadziwiać. - Odwrócił się do Karli. - A to mademoiselle Janos, jak się domyślam. Bardzo mi miło. Ale nie znam tego džentelmena - powiedział do Schroedera.

- Jestem po prostu starym człowiekiem, który powinien siedzieć w domu w bujanym fotelu - odrzekł Schroeder ze zmęczonym uśmiechem.

- Jak nas znaleźliście? - zapytał Austin.

- Rozmawialiśmy z kapitanem lodołamacza. Powiedział, że polecicie jakimś dziwnym samolocikiem zbadać wulkan.

- Mieliśmy motolotnię.

- Teraz sobie przypominam. Dwie wielkie torby podróżne. Austin skinął głową.

- Straciłeś całą zabawę.

- Wręcz przeciwnie - odparł Pietrow wesołym tonem. - Spotkaliśmy grupę uzbrojonych facetów. Przyłączyli się do nas. Przywitani nas bardzo serdecznie, ale nasze podziękowanie było jeszcze serdeczniejsze. Jedyny ocalały wyśpiewał, że



wysłano ich na pomoc koleżkom na wyspie. - Spojrzał ponad ramieniem Austina, jakby spodziewał się zobaczyć pościg.

- Tamtych już nie ma - uspokoił go Schroeder.

- Właśnie - przytaknął Austin. - Stratowało ich stado mamutów.

- Karłowatych mamutów - uściślił Zawała. Pietrow pokręcił głową.

- Przez lata studiowałem kulturę amerykańską, ale nigdy nie zrozumieć waszego dziwnego poczucia humoru.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Austin. - Nawet my go nie rozumiemy. Możecie nam pomóc zejść na dół?

Pietrow się uśmiechnął.

- Jasna sprawa. - Sięgnął do plecaka i wyjął butelkę wódki. - Ale najpierw się napijemy.

## 32

Austin miał dziwny sen: stado karłowatych mamutów paradowało ulicami kryształowego miasta w rytmie St. Louis Blues. Otworzył gwałtownie oczy. Mamuty i miasto zniknęły, ale blues brzmiał nadal. Muzyka dochodziła z jego telefonu.

Przysiągł sobie, że będzie się trzymał z daleka od stukniętych Rosjan, którzy piją wódkę jak wodę, wygrzebał z plecaka komórkę i wymamrotał swoje nazwisko.

Usłyszał głos Trouta:

- Próbuje się z wami skontaktować od kilku dni. Byliście w kopalni?

- W jaskini - odrzekł Austin. - Teraz płyniemy rosyjskim lodołamaczem w kierunku kontynentalnej części Syberii. Jest z nami Karla Janos.

- Cieszę się, że ją znaleźliście. Może być naszą jedyną nadzieją. Austin zwrócił uwagę na poważny ton Trouta. Usiadł prosto na krawędzi swojej koi. - Naszą jedyną nadzieją na co, Paul?

- Gamay i ja zdobyliśmy w Los Alamos egzemplarz tez Kovacsa. Na podstawie jego twierdzeń i znanych materiałów o inwersji biegunów zrobiłem symulację komputerową. Sytuacja nie wygląda dobrze.

Trout urwał.

Austin już się całkowicie rozbudził.

- Mów.

- Symulacja pokazała, że odwrócenie biegunów magnetycznych nie byłoby takie bezbolesne, jak niektórzy uważają. Spowodowałoby to przesunięcie skorupy ziemskiej.

- Chodzi ci o to, że po rozpoczęciu inwersji biegunów nie dałoby się tego zatrzymać?

- Na to wygląda.

- Czy w tej symulacji jest jakiś margines błędu?

- Minimalny.

Austin poczuł się tak, jakby runęła na niego ściana.

- To katastrofa.

- Gorzej - odrzekł Trout. - Zagłada. Zniszczenia w skali światowej, jakich jeszcze nie było. Wręcz niewyobrażalne.

- Ile mamy czasu?

- To zależy od tego, kiedy ci ludzie, którzy wywołali wiry i gigantyczne fale,

zdecydują się przesunąć włącznik. Reakcja byłaby natychmiastowa.

- Być może jest promyk nadziei. - Austin powiedział Troutowi o spotkaniu z Barrettem i ewentualnym antidotum na inwersję biegunów.
- Brzmi optymistycznie. Kiedy będziesz z powrotem w Waszyngtonie?
- Jutro zawijamy do portu. Mamy stamtąd samolot. Zadzwoń do ciebie z pokładu i podam godzinę lądowania.
- Będę w pogotowiu.

Rozłączyli się. Austin siedział w mrocznej kajucie, słuchał odgłosu silników statku i przeklinał powolne tempo podróży morskiej. Nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, gdy kapitan Iwanow zaprosił go w rejs lodołamaczem. Austin mógł wrócić z Pietrowem, ale odmówił, tłumacząc, że musi koniecznie porozmawiać z Karłą Janos. Pietrow uśmiechnął się znacząco i przypomniał Austinowi, że może do niego dzwonić o każdej porze.

Od chwili wejścia na statek Austin spędził bardzo mało czasu z Karłą. Po jej pełnym leż powitaniu z Marią i udzieleniu pomocy lekarskiej wujkowi Karłowi wszyscy zniknęli w swoich kajutach, żeby nadrobić zaległości w spaniu.

Austin ubrał się i wyszedł na pokład skapany w przyćmionym arktycznym świetle. „Kotielnyj” płynął przez ocean ze stałą szybkością. Zimne powietrze uderzyło w Austina jak podmuch z otwartej zamrażarki. Poszedł do mesy i nalał sobie kubek kawy. W pomieszczeniu byli tylko dwaj marynarze, mający objąć wachtę. Austin usiadł przy stoliku w rogu, wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił pod numer, który dał mu Barrett. Po kilku sekundach zgłosiła się kobieta.

- Chciałbym rozmawiać z Barrettem - powiedział Austin.
- To ja. Zaprogramowałem telefon na kobiecie głos.
- Nie przesadzasz z tym elektronicznym kamuflażem?
- Do cholery, Kurt, to nie ciebie postrzelili - odparł Barrett. - Nie wiesz, z kim mamy do czynienia.
- Dlatego dzwonię. Jak myślisz, czy Gantowi i Margrave'owi można byłoby przemówić do rozsądku?
- Gant ma tyle rozsądku, co grzechotnik. Do Trisa może coś by dotarło, ale jest on tak cholernie przekonany o słuszności swojej sprawy, że będzie szedł po trupach. Dlaczego pytasz?

Austin streścił Barrettowi rozmowę z Troutem.

Kiedy Barrett znów się odezwał, jego głos miał męskie brzmienie.

- Obawiałem się czegoś takiego. O mój Boże! Czuję się odpowiedzialny za to, że nastąpi koniec świata. Zabiję się.
- Jeśli nastąpi koniec świata, nie będziesz musiał tego robić - zauważył Austin. Barrett się uspokoił.
- Bardzo logiczne stwierdzenie.
- Dzięki. Ale wróćmy do mojego pytania. Czy Gant i Margrave też wpadliby w panikę, tak jak ty przed chwilą, gdybym im przedstawił fakty?
- Różnica polega na tym, że ja ci wierzę. Oni pomyśleliby, że chcesz im po prostu pokrzyżować plany.
- Może warto zaryzykować. Jak ich znaleźć?
- Fundacja Ganta ma biuro w Waszyngtonie.
- Wolalbym spotkanie na prywatnym gruncie.
- Niech pomyślę... Widziałem coś w gazecie. Gant urzęduje w swojej posiadłości jakąś dobroczynną imprezę. Może udałoby ci się tam wkroczyć. Postarałbym się

pomóc.

- To na początek. A co z Margrave'em?

- Rzadko się rusza ze swojej wyspy w Maine. To jego twierdza. Pilnują jej ochroniarze, ale może wpadnę na jakiś pomysł, jak się tam dostać.

- Warto spróbować. Zrobię wszystko, żeby zapobiec katastrofie. Ciągłe jesteś w drodze?

- Wciąż mieszkam w spiworze. Zadzwoń do mnie, jak będziesz w domu. Austin wyłączył się, dopił kawę i zamierzał wrócić do swojej kajuty, gdy do mesy weszła Karla. Wydawała się tak samo zaskoczona ich spotkaniem jak on. Zaprosił ją do stolika.

- Nie mogłam zasnąć - powiedziała.

- Nie dziwię się. Wiele przeszłaś w ciągu ostatnich kilku dni.

- Wujek Karl mówił, że ci ludzie, którzy zamordowali członków ekspedycji, szukali mnie. Z powodu jakiejś tajemnicy, którą podobno znam. Nie wiem, o co chodzi, ale czuję się odpowiedzialna za to, co się stało.

- To nie twoja wina. Ktoś uważa, że tę tajemnicę przekazał ci twój dziadek, inżynier elektryk o nazwisku Laszlo Kovacs.

- To jakaś pomyłka. Mój dziadek nazywał się Janos tak jak ja. Austin pokręcił głową.

- Takie nazwisko przybrał Kovacs po ucieczce z Niemiec pod koniec II wojny światowej.

- Nie rozumiem.

- Naziści zmusili twojego dziadka do pracy nad bronią elektromagnetyczną. Uciekł z tajnego laboratorium, zanim Rosjanie zajęli Prusy Wschodnie. Najwyraźniej pomógł mu młody członek niemieckiego ruchu oporu. Miał na imię Karl.

- Wujek Karl! Zawsze się zastanawiałam, co go łączyło z moim dziadkiem.

Wydawali się zupełnie inni, a jednak bardzo związani ze sobą.

- Teraz już wiesz.

- Ale to jakiś obłąd! Mój dziadek nigdy mi nie zdradził żadnego tajnego wzoru na promienie śmierci, czy czego tam oni szukają.

- Możesz wiedzieć więcej, niż ci się wydaje. Twoja praca naukowa o wyginięciu mamutów wskazuje na dobrą znajomość tego, czym się zajmował.

- Po odkryciu tych zwierząt na Wyspie Kości Słoniowej moja praca to jedno wielkie nieporozumienie. Nie mogę się doczekać, kiedy tam wrócę i przeprowadzę badania.

- Pietrow obiecał, że twoi włochaci przyjaciele będą pod ochroną. Załatwi to w kręgach naukowych, nie rządowych. Uważa, że ta sprawa pomoże mu rozwiązać pewne własne problemy.

- Miło mi to słyszeć. Ale wróćmy do mojego dziadka. Kiedy byłam w college'u, przedstawiłam mu swoją teorię o wyginięciu mamutów z powodu jakiegoś kataklizmu. Zwróciłam się do niego, bo był jedynym naukowcem, jakiego znałam. Odnoszono się sceptycznie do możliwości odwrócenia biegunów ziemskich. On powiedział, że to jest możliwe i już się zdarzało. Że może być wywołane przez jakieś naturalne zjawisko, a w przyszłości, kiedy będzie dostępna odpowiednia technologia, również przez człowieka. Na dowód pokazał mi jakieś równania matematyczne dotyczące elektromagnetyzmu. To wszystko. Potem, kiedy po jego śmierci pisałam pracę naukową włączyłam do niej to, czego się od niego dowiedziałam.

- Tylko tyle ci ujawnił?

- Tak. Prawdę mówiąc, mało rozmawialiśmy na tematy naukowe. Kiedy zginęli moi rodzice, musiał mi zastąpić ojca i matkę. Pamiętam, jak układał dla mnie wierszyki na dobranoc. - Karla wypila łyk kawy. - Jak to się stało, że ty i Joe przyszliście nam z pomocą?

- Dostałem z wiarygodnego źródła informację, że z powodu twoich powiązań rodzinnych może ci grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.
- I dlatego popędziłeś tutaj z drugiego końca świata?
- Gdybym wiedział, że wujek Karl kontroluje sytuację, nie martwiłbym się tak bardzo.
- Wujek Karl uratował mi życie, ale i tak byłoby po nas, gdybyście nie spadli z nieba. Myślałam, że NUMA bada oceany.
- Właśnie po to tu jestem. Na morzu wystąpiły dziwne zaburzenia, które mogły mieć coś wspólnego z tym, co opublikował twój dziadek. Mówię o zbiorze równań matematycznych nazywanych tezami Kovacsa.
- Nie rozumiem.
- Dowiedziałaś się od dziadka, że emisja fal elektromagnetycznych mogłaby spowodować inwersję biegunów. W przyszłości.
- Zgadza się.
- Ta przyszłość nadeszła.
- Kto mógłby chcieć zrobić coś takiego? I po co? Austin rozłożył ręce.
- Nie wiem. Chciałbym, żebyś jak najszybciej porozmawiała z kimś w Waszyngtonie. Może uda ci się to rozgryźć.
- Chciałam wpaść najpierw do Fairbanks.
- Obawiam się, że nie ma na to czasu. To może być gra o wielką stawkę.
- Rozumiem. Nawet jeśli nie ja jestem odpowiedzialna za to, co się dzieje, moja rodzina przyłożyła do tego rękę. Tak wynika z twoich słów. Zrobię, co będę mogła, żeby to naprawić.
- Wiedziałem, że tak powiesz. Jutro zawijamy do portu. Samolot NUMA zabierze nas do Waszyngtonu. Moi koledzy, Gamay i Paul Troutowie, mają dom w Georgetown. Na pewno chętnie przyjmą cię do siebie. NUMA zapłaci za wszystko, co będzie ci potrzebne.

Karla zareagowała w nieoczekiwany sposób. Pochyliła się nad stolikiem i pocałowała Austina w usta.

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś dla mnie i wujka Karla. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

W normalnych okolicznościach Austin odpowiedziałby na taki gest pięknej, inteligentnej kobiety zaproszeniem na kolację. Ale zachowanie Karli tak go zaskoczyło, że zdołał tylko uprzejmie zapewnić, że nie ma o czym mówić.

Karla chciała jeszcze posiedzieć kilka minut. Pożegnali się, życząc sobie dobrej nocy. Austin obejrzał się, kiedy wychodził z mesy. Karla siedziała, opierając podbródek dłońmi. Wyglądała na głęboko zamyśloną. Mimo całej swojej znajomości filozofii, Austin nie potrafił się połapać w rządzeniach losu. Bogowie musieli się śmiać do łez z ich ostatniego dowcipu. Tajemnicę, która mogła uratować świat, zamknęli w kształtnej główce pięknej młodej kobiety.

## 33

Gant najbardziej lubił ostatnie momenty polowania na lisa. Czerwone kurtki, dźwięk rogu, ochryple nawoływania i tętent kopyt były tylko preludium do chwili prawdy, która nadchodziła, gdy ujadające psy dopadały przerażone zwierzę i

rozrywały je na krwawe strzępy.

Tym razem ofiara okazała się niezwykle sprytna, pokonała strumień, przebiegła po pniu zwalonego drzewa i zawróciła, żeby zgubić pościg. W końcu jednak sfora osaczyła ją przy gęstym, ligustrowym żywopłocie, który Gant kazał zasadzić po to, żeby lisy wpadały w pułapkę pod kamiennym murem. Zwierzę próbowało się bronić, dopóki nie zostało rozszarpane na kawałki.

Gant wysłał myśliwych z powrotem do swojego domu, żeby uczcili sukces. Zsiadł z konia obok żywopłotu i jeszcze raz przeżywał ostatnie chwile lisa. Polowanie było barbarzyństwem, ale uważał je za metaforę istoty egzystencji - walki na śmierć i życie między silnym i słabym.

Koń zarżał. Gant spojrział na wzgórze i zrobił gniewną minę. Na tle błękitnego nieba rysowała się sylwetka jeźdźca. Nikt nie miał prawa jeździć po jego polach i łąkach z wyjątkiem myśliwych polujących na lisa. Wsiadł z powrotem na konia, spiął go obcasami i pogalopował w tamtą stronę.

Obcy obserwował Ganta z siodła kasztanowego araba. W przeciwieństwie do myśliwych, ubranych w czerwone kurtki, był w wytartych džinsach i turkusowej koszulce polo. Na platynowo-srebrzystych włosach miał czarną czapkę baseballową z emblematem Harleya-Davidsona.

Gant zatrzymał konia.

- To prywatny teren - warknął. - Jest pan tu nielegalnie. Niebieskooki mężczyzna nawet nie mrugnął okiem.

- No i co z tego?

- Mógłbym kazać pana aresztować za łamanie prawa - uniósł się Gant. Mężczyzna się uśmiechnął.

- A ja mógłbym kazać pana aresztować za polowanie na lisa. Nawet Angole już tego zabraniają.

Gant nie był przyzwyczajony do tego, żeby ktoś rzucał mu wyzwanie. Stał w strzemionach.

- Mam ponad osiemdziesiąt hektarów ziemi. Wszystko, co na niej żyje, jest moje. Jestem u siebie i mogę tu robić, co mi się podoba. - Sięgnął do radia przypiętego do kurtki. - Sam pan stąd zniknie, czy mam wezwać moich ochroniarzy?

- Nie ma potrzeby ściągać tu kawalerii. Znam drogę powrotną. Obrońcy praw zwierząt nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że pańskie kundły mordują tutejsze lisy.

- To nie żadne kundły, tylko rasowe psy myśliwskie. Sprowadziłem je za duże pieniądze z Anglii.

Obcy skinął głową, szykując się do odjazdu.

- Moment - powstrzymał go Gant. - Kim pan jest?

- Nazywam się Kurt Austin. Pracuję w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Zaskoczony Gant omal nie spadł z siodła. Ale szybko doszedł do siebie i uśmiechnął się fałszywie.

- Zawsze myślałem, że NUMA zajmuje się konikami morskimi, nie arabskimi, panie Austin.

- Mało pan o nas wie, panie Gant.

Przez twarz Ganta przemknął cień irytacji.

- Pan zna moje nazwisko.
  - Oczywiście. Przyjechałem tu, żeby z panem porozmawiać. Gant się roześmiał.
  - Nie musiał pan wkraczać nielegalnie na mój teren, żeby się ze mną zobaczyć.
- Wystarczyło zadzwonić do mojego biura i umówić się na spotkanie.
- Dzięki. Tak zrobię. I kiedy pańska sekretarka zapyta, jaką mam do pana sprawę, odpowiem jej, że chodzi mi o pański plan odwrócenia biegunów ziemskich.
- Gant doskonale nad sobą panował; Austin musiał to przyznać. Jego jedyną reakcją było zaciśnięcie warg.
- Niestety nie wiem, o czym pan mówi.
  - Może nazwa „Southern Belle” odświeży panu pamięć. Gant pokręcił głową.
  - To jakiś statek rzeczny na Missisipi?
  - „Belle” była olbrzymim kontenerowcem. W drodze do Europy została zatopiona przez dwie gigantyczne fale.
  - Jestem szefem fundacji, która walczy z ogólnoswiatowymi wpływami korporacji międzynarodowych. Tylko tyle mam wspólnego z żeglugą transoceaniczną.
  - Przepraszam, że zabrałem panu czas - odrzekł Austin. - Może powinienem o tym porozmawiać z Trisem Margrave'em.
- Odjechał klusem.
- Niech pan zaczeka - zawołał za nim Gant. Spiał konia obcasami i dogonił Austina.
- Dokąd pan się wybiera?
- Austin zatrzymał konia i obrócił się w siodle.
- Myślałem, że chciał pan, żebym się stąd wyniósł.
  - Przepraszam, byłem nieuprzejmy. Chciałbym pana zaprosić do domu na drinka. Austin się zastanowił.
  - Trochę za wcześnie na alkohol, ale chętnie wypiję szklanekę wody.
  - Doskonale - odparł Gant. - Niech pan jedzie za mną. Poprowadził Austina w dół wzgórza. Przejechali przez łąki, gdzie pasły się konie, i dotarli do obsadzonego drzewami podjazdu. Austin spodziewał się rezydencji, ale nie był przygotowany na widok architektonicznego monstrum w stylu Tudorów, które wyłoniło się z krajobrazu Wirginii.
  - Niezły domek - powiedział. - Fundacja musi panu dobrze płacić, panie Gant.
  - Odnosiłem sukcesy w międzynarodowym biznesie, zanim zrozumiałem, że idę złą drogą i zorganizowałem Global Interests Network.
  - Miło mieć hobby.
- Gant wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.
- To nie hobby, panie Austin. Jestem całkowicie oddany mojej pracy. Zsiedli z siodła i oddali wodze stajennym, którzy zaprowadzili wierzchowce do miejsca, gdzie stało kilka przyczep do transportu koni.
- Gant zauważył, że Austin obserwuje swoją klacz.
- Będzie pod dobrą opieką. A przy okazji, to ładna sztuka.
  - Dzięki. Pożyczyłem ją na kilka godzin, żeby tutaj przyjechać.
  - Jak pan się tu dostał? - zapytał Gant. - Cały teren jest pilnowany. Wszędzie są kamery i alarmy.
  - Chyba po prostu miałem szczęście - odrzekł Austin z poważną miną. Gant podejrzewał, że Austin pomógł swojemu szczęściu, ale nie drażył sprawy. Postanowił zostawić to Doyle'owi. Szef jego ochrony szedł właśnie w ich kierunku. Zerknął na Austina, jedyną osobę nieubraną w strój myśliwski.
  - Jakiś problem, panie Gant?
  - Skądże. To Kurt Austin. Jest moim gościem. Zapamiętaj, jak wygląda, żebyś

następnym razem go poznał.

Doyle uśmiechnął się, spoglądając na Austina wzrokiem żmii.

Gant zaprowadził Austina na rozległe patio, gdzie zebrał się tłum mężczyzn w czerwonych kurtkach. Nieustraszeni myśliwi pili szampana i wspominali ze śmiechem poranne polowanie. Austin spędzał w Waszyngtonie niewiele czasu, ale rozpoznał kilku polityków, wysokich rangą urzędników państwowych i lobbystów. Gant był najwyraźniej dobrze ustawiony w stolicy.

Gant skierował Austina zwirową ścieżką do lśniącego, marmurowego stolika w rogu angielskiego ogrodu. Kazał służącemu przynieść dzbanek wody z lodem i wskazał gościowi miejsce.

Austin usiadł, położył czapkę na blacie i rozejrzał się dookoła.

- Nie wiedziałem, że w Wirginii jest jeszcze jakiś prywatny klub myśliwski, gdzie poluje się na lisy.

- Nie ma. Przynajmniej oficjalnie. Jesteśmy po prostu grupą starych przyjaciół, którzy starają się podtrzymać zanikającą angielską tradycję.

- To godne pochwały. Ja też zawsze żałowałem, że angielski zwyczaj publicznego wleczenia za koniem i ćwiartowania skazańca wyszedł z użycia.

Gant zachichotał.

- Obaj jesteście bardzo zajętymi ludźmi, więc nie traćmy czasu na wspomnianie zamierzonej historii. Co mogę dla pana zrobić?

- Zrezygnować z planu odwrócenia biegunów ziemskich.

- Załóżmy, że wiem, o czym pan mówi, panie Austin. Dlaczego miałbym z tego zrezygnować?

- Bo jeśli pan tego nie zrobi, narazi pan cały świat na niebezpieczeństwo.

- Jak to?

- Nie wiem, dlaczego chce pan doprowadzić do odwrócenia biegunów magnetycznych. Może po prostu znudziło się panu zabijanie niewinnych zwierząt. Ale nie wie pan, że ta inwersja spowoduje ruch skorupy ziemskiej. Skutki będą katastrofalne.

Gant patrzył przez chwilę na Austina. Potem zaczął się tak śmiać, że łzy napłynęły mu do oczu.

- To jakiś scenariusz filmu science fiction, panie Austin. Koniec świata?

- Coś w tym rodzaju - odrzekł Austin tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że mówi zupełnie poważnie. - Zaburzenia na oceanie, które zatopiły „Southern Belle” i jeden z pańskich statków operacyjnych, to zaledwie zwiastuny przyszłych szkód. Miałem nadzieję, że przemówię panu do rozsądku, i wycofa się pan z tego.

Wesoła mina Ganta zniknęła. Zastąpił ją sardoniczny uśmiech. Świdrując Austina wzrokiem, odrzekł:

- Widzę to tak, panie Austin. Z nieznanym mi przyczyn ktoś wymyślił jakąś bajkę.

- Więc moje ostrzeżenia nie będą miały wpływu na pańskie plany? - bardziej stwierdził, niż zapytał Austin.

Służący przyniósł dzbanek wody i dwie szklanki.

- Jestem ciekaw, panie Austin, skąd ten pomysł, że jestem zamieszany w jakiś dziwaczny spisek?

- Wiem to od Spidera.

- Słucham?

- Od Spidera Barretta. To on opracował mechanizm odwrócenia biegunów.

- Opowieści tego Barretta to takie same idiotyzmy jak jego imię.  
- Wątpię. On i jego wspólnik, Margrave, są geniuszami. Mają talent i pieniądze, żeby tego dowieść. Tylko nie jestem pewien, jaka jest pańska rola.  
- Może pan być pewien jednego, panie Austin. Popełnił pan błąd, przyjeżdżając tutaj.

- Też tak myślę. - Austin wziął czapkę i położył na kolanach. - Najwyraźniej nie interesuje pana nic, co mam do powiedzenia. Pójdę już. Dzięki za wodę.

Wstał i włożył czapkę. Gant też się podniósł.

- Każę przyprowadzić pańskiego konia.

Za sprawą dużej ilości alkoholu hałaśliwa rozmowa na patio stawała się coraz głośniejsza. Gant przywołał stajennego i polecił mu przyprowadzić araba. Austin wspiął się na siodło. Doyle zobaczył, że gość szykuje się do odjazdu, i podszedł do niego. Przytrzymał wodze, jakby chciał pomóc.

- Znam drogę, panie Gant. Dzięki za gościnność.

- Niech pan tu jeszcze wpadnie, jak będzie pan miał więcej czasu.

- Oczywiście.

Austin ścisnął klacz kolanami. Ruszyła i odepchnęła Doyle'a na bok. Doyle był chłopakiem z miasta. Jedyne konie, z jakimi miał kontakt, zanim zaczął pracować u Ganta, należały do bostońskiej policji konnej. Puścił wodze i cofnął się, żeby klacz go nie nadepnęła. Austin zauważył w jego oczach strach i się uśmiechnął. Pogalopował przed siebie.

Doyle obserwował z kamienną twarzą jak się oddala.

- Mam się nim zająć?

- Nie tutaj i nie teraz. Niech ktoś go śledzi. Chcę wiedzieć, jak się tu dostał.

- Poślę za nim kogoś.

- Jak to załatwisz, będę miał dla ciebie inną robotę. Spotkamy się w ogrodzie za piętnaście minut.

Kiedy Gant odszedł, żeby dołączyć do swoich gości, Doyle wyjął z kieszeni radio i przekazał rozkaz dwóm ochroniarzom, którzy siedzieli w dziupie przy głównej drodze dojazdowej do rezydencji. Ledwo potwierdzili przyjęcie instrukcji, minęła ich galopem klacz z jeźdźcem pochylonym nisko w siodle. Kierowca samochodu uruchomił silnik, wrzucił bieg i nacisnął gaz.

Dziup z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę przemknął obok kępy wiązów, gdzie ukrył się Austin. Kurt obserwował przez chwilę oddalający się samochód, potem popatrzył na wyświetlacz odbiornika GPS. Ruszył przez pola i łąki i dotarł do lasu na granicy posiadłości. Spomiędzy drzew wyjechał mu na spotkanie mężczyzna na koniu.

- Ładny dzień na przejażdżkę po okolicy - odezwał się Zavala, naśladowując niezdarnie akcent angielskich wyższych sfer.

- Zbyt dużo zamieszania i hałasu - odrzekł Austin.

Pojechali kłusem przez las i wyłonili się po drugiej stronie, gdzie wycięto drzewa i zrobiono drogę dla ochroniarzy patrolujących teren. Nie było tu ogrodzenia, tylko tablice Wstęp wzbroniony z kamerami sterowanymi czujnikami ruchu.

Zavala wyjął z kieszeni małe czarne pudełko i nacisnął przycisk. Kiedy zaświeciła się zielona kontrolka, przejechali między dwiema tablicami i wydostali się na otwartą przestrzeń, a potem na drogę publiczną. Na poboczu stał duży pikap z przyczepą do transportu koni.



Z kabiny wysiadł Spider Barrett. Po wprowadzeniu wierzchowców do przyczepy i zaryglowaniu drzwi, Zavała wręczył Barrettowi czarne pudełko.

- Działa super.

- Ten gadżet jest dość prosty - odrzekł Barrett - nie przerywa transmisji, bo tamci natychmiast by to zauważyli. Opóźnia ją tylko o parę godzin. W końcu zobaczą wasz obraz, ale będzie już za późno, i nie połapią się, co jest grane. Pokażę wam coś ciekawszego.

Otworzył drzwi pikapa i wyjął z kabiny mały monitor, zasilany z gniazdka zapalniczki. Włączył go i na ekranie ukazał się Gant.

- To prywatny teren - rozległ się jego głos. - Jest pan tu nielegalnie.

- No i co z tego? - padła lakoniczna odpowiedź Austina.

- Czy ktoś ci już mówił, że niezły z siebie cwaniak? - zapytał Zavała.

- Stale to słyszę.

Barrett przewinął nagranie do przodu i zatrzymał na obrazie Doyle'a.

- To jest ten skurwiol, który chciał mnie zabić.

Austin zdjął czapkę baseballową i popatrzył na obiektyw miniaturowej kamery, ukrytej w logo Harleya-Davidsona.

- Pan Doyle byłby zaskoczony, gdyby wiedział, że obserwujesz go z grobu. Barrett się roześmiał.

- Jakie wrażenie zrobił na tobie Gant?

- Błyskotliwy. Arogancki. Psychopatyczny. Przyglądałem mu się po polowaniu na lisa. Wpatrywał się w miejsce jatki jak w relikwiarz.

- Zawsze przyprawiał mnie o ciarki na plecach. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Tris związał się z nim.

- Zło ciągnie do zła. Chyba nie udało mi się przemówić mu do rozsądku, ale miałem okazję go ocenić i umieścić pluskwę pod stolikiem w ogrodzie.

- Działa dobrze, ale jeszcze nic nie łapie.

- Myślisz, że Troutom pójdzie lepiej z Margrave'em? - zapytał Austin.

- Mam nadzieję, ale nie jestem wielkim optymistą. Austin pomyślał o swoim spotkaniu z Gantem.

- Ja też nie.

- Za Arthura C. Clarke'a - powiedział Gant i uniósł wysoko kieliszek. Siedział w swoim domowym gabinecie z trzema innymi myśliwymi, ubranymi w przepisową czerwień do polowania na lisa.

- Kto to jest Clarke? - zapytał jeden z nich, krępy mężczyzna o twarzy buldoga.

Gant zamaskował pogardę uśmiechem.

- Brytyjski autor powieści science fiction, który pierwszy zasugerował w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku wystrzelenie na orbity geostacjonarne trzech załogowych satelitów do emisji sygnałów telewizyjnych. Jego wizja sprowadziła nas dziś tutaj.

- Wypiję za to - stwierdził krępy mężczyzna z angielskim akcentem. Uniósł kieliszek, pozostali poszli w jego ślady. Drugi myśliwy był chudy, trzeci przekroczył osiemdziesiątkę. Starał się oddalić od siebie nieuchronną starość i schyłek swojego życia za pomocą operacji plastycznych, chemikaliów i przeszczepów. W efekcie miał odrażającą twarz młodego trupa.

Gant musiałby przyznać, że żaden z jego współników nie jest wybitną osobowością ale ci przebiegli, bezwzględni ludzie dorobili się niewyobrażalnych majątków, zarządzali międzynarodowymi korporacjami i na razie byli mu potrzebni.

- Zaprosiłem was tutaj, żeby wam przekazać najnowszą wiadomość o naszym projekcie - powiedział Gant. - Wszystko idzie dobrze.
  - Brawo, brawo! - wykrzyknęli chórem trzech mężczyźni.
  - Jak wiecie, łączność satelitarna rozwija się nieprawdopodobnie szybko od trzydziestu lat. Liczni operatorzy używają tuzinów satelitów telekomunikacyjnych, wojskowych i meteorologicznych. W perspektywie są dalsze zastosowania. To wielomiliardowy interes. - Gant zawiesił głos. - Niedługo wszystko to będzie nasze.
  - Jesteś pewien, że się uda? - zapytał stary mężczyzna.
  - Oczywiście. Odwrócenie biegunów spowoduje tylko czasowe zakłócenia, ale elektronika wszystkich sieci satelitarnych zostanie zniszczona.
  - Oprócz naszych - zaznaczył chudy mężczyzna. Gant przytaknął.
  - Tylko nasze satelity będą nadal działały, bo mają ołowiane osłony. Nasze konsorcjum zdominuje światową telekomunikację. Umocnimy naszą pozycję, kiedy wchłonimy istniejące sieci i wystrzelimy więcej własnych satelitów.
  - I zarobimy następne miliardy - powiedział stary mężczyzna.
- Gant skinął głową.
- A najzabawniejsze jest to, że do osiągnięcia naszego celu wykorzystamy anarchistów. Chętnie wezmą na siebie odpowiedzialność za odwrócenie biegunów. I kiedy gniew świata obróci się przeciwko nim, Margrave i jego ludzie zginą.
  - W porządku - odparł stary mężczyzna. - Ale pamiętaj, że naszym głównym celem są pieniądze.
  - Będziemy ich mieli mnóstwo - odrzekł Gant, choć pieniądze były dla niego najmniej ważne. O wiele bardziej interesowała go władza. Miało mu ją zapewnić przejęcie całkowitej kontroli nad światową telekomunikacją. Nikt nie zrobi ruchu bez jego wiedzy. Nie przeszkodzi mu żadna armia. Będą monitorowane miliony rozmów. Dostęp do wszystkich informacji umożliwi mu stosowanie politycznego szantażu. Jego stacje telewizyjne będą kształtowały opinię publiczną. Będzie mógł wywoływać i tłumić rozruchy.
  - Wypijmy zdrowie tego cholernego Brytyjczyka - zaproponował mężczyzna o twarzy buldoga. - Jak on się nazywał? Gant powtórzył nazwisko pisarza, po czym uniósł kieliszek w następnym toaście.

## 34

Trout nawinał żyłkę na kołowrotek wędki i popatrzył na pusty haczyk. - Ryby dziś nie biorą - powiedział zawiedziony. Gamay opuściła lornetkę, przez którą obserwowała wyspę Margrave'a z latarnią morską.

- Ktoś, kto wychował się w rybackiej rodzinie, powinien wiedzieć, że haczyk o wiele lepiej spełnia swoje zadanie, kiedy jest na nim robak.
- Złowienie ryby miałyoby się z celem tego teatralnego przedstawienia na morzu - odrzekł Trout. - Mieliśmy tylko udawać wędkarzy.

Gamay zerknęła na zegarek, potem przeniosła wzrok na pasiastą, czerwono-białą latarnię morską wysoko na urwisku.

- Jesteśmy tu od dwóch godzin. Ludzie na wyspie, którzy nas obserwują powinni byli przekonać się, że jesteśmy nieszkodliwi. Moje niedawne popisy na pewno ich w tym utwierdziły.
- Myślałem, że to zasługa mojego stroju wędkarskiego.

Gamay popatrzyła na miniaturkę puszeki budweisera na rondzie jego pogniecionego kapelusza, na tanią koszulę hawajską z rysunkiem dziewczyn i czerwone bermudy.

- Każdy dałby się nabrać na takie przebranie.  
- Słyszę w twoich słowach nutę sarkazmu, ale zignoruję to, bo jestem dżentelmenem - odrzekł Trout. - Zaraz się zacznie chwila prawdziwej próby.

Wetknął wędkę do uchwyty, gdzie było już kilka innych i wziął się do uruchamiania silnika. Nie udało mu się to, bo wcześniej odłączył od aparatu zapłonowego przewód wysokiego napięcia. Akt pierwszy. Potem on i Gamay stanęli na pokładzie i zaczęli wymachiwać rękami, jakby się kłócili. Akt drugi. Wreszcie wyciągnęli dwa wiosła, włożyli je w dulki i zaczęli płynąć w kierunku wyspy. Akt trzeci.

Motorówka nie była zaprojektowana do napędu wiosłowego, więc poruszali się bardzo wolno. Ale w końcu znaleźli się trzydzieści metrów od długiego pomostu, gdzie stała przycumowana duża łódź motorowa i jeszcze większa żaglówka. Przystań zdobiły tablice Wstęp wzbroniony. Pilnował jej ochroniarz w stroju kamuflującym.

Podszedł do krańca pomostu, rzucił do wody niedopałek papierosa i pokazał Troutom, że mają odpłynąć. Kiedy to nie poskutkowało, przyłożył do ust dłoń zwiniętą w trąbkę i krzyknął:

- To teren prywatny. Nie możecie tu przybić. Trout stanął na rufie i odkrzyknął:  
- Zabrakło nam benzyny.  
- Nie możemy wam pomóc. To prywatny teren. - Ochroniarz wskazał - tablicę Wstęp wzbroniony.  
- Ja spróbuję, panie Budweiser - powiedziała Gamay.  
- On pewnie pija Millera - mruknął Trout i odsunął się na bok, żeby zrobić jej miejsce. - Tylko proszę cię, nie odstawiaj numeru z mężem nieudacznikiem. Zaczynam mieć kompleks niższości.

- Dobra, w takim razie odstawię numer z żoną oferą. - Gamay wyciągnęła błagalnie ręce do ochroniarza. - Nie wiemy, co robić. Zepsuło nam się radio. - Wskazała pompę benzynową na przystani. - Zapłacimy za paliwo. Mężczyzna zmierzył wzrokiem jej smukłe ciało, wyszczerzył zęby w uśmiechu i przywołał ich gestem.

Dowiosłowali niezgrabnie do pomostu i zobaczyli, że ochroniarz ma przy pasie kaburę z pistoletem i radio. Trout podał mu pusty kanister. Mężczyzna wziął go niechętnie i poszedł napełnić. Troutowie zostali w łodzi. Kiedy ochroniarz przyniósł benzynę, Gamay podziękowała i zapytała, ile jest winna.

Uśmiechnął się znacząco.

- Nic.

Wręczyła mu grubą kopertę.

- W takim razie proszę to przekazać panu Margrave'owi w podziękowanie za paliwo. Ochroniarz popatrzył na kopertę.

- Zaczekajcie tutaj. - Odszedł poza zasięg ich słuchu i porozumiał się z kimś przed radio. Po chwili wrócił. - Chodźcie ze mną.

Poprowadził ich obok stromych, drewnianych schodów do podnóża klifu. Wyjął z kieszeni pilot i nacisnął przycisk. Część ściany skalnej odsunęła się i odsłoniła windę. Mężczyzna polecił im wejść do środka i zrobił to samo. W czasie kilkusekundowej jazdy trzymał rękę na kaburze i obserwował ich. Drzwi kabiny otworzyły się w

okrągłym pomieszczeniu. Jeden rzut oka wystarczył Troutom, żeby się przekonać, iż są w latarni morskiej.

Ochroniarz wypuścił ich na zewnątrz. Wyszli na szczyt urwiska. Z góry rozciągał się wspaniały widok na połyskujące w słońcu wody zatoki Penobscot. Stały tu trzy składane krzesła. Na jednym siedział tyłem mężczyzna. Patrzył przez lunetę. Odwrócił się i uśmiechnął do Troutów.

Miał pociągłą smagłą twarz i zielone oczy o dziwnym kształcie. Przyglądał się Troutom z rozbawieniem. Wskazał im wolne krzesła.

- Cześć, Gamay. Cześć, Paul. Czekałem na was. Zachichotał na widok ich min.  
- Chyba się nie znamy - powiedział Trout i usiadł obok Gamay.  
- Nie. Ale podsłuchiwalismy was i śledziliśmy całe rano. Nasze elektroniczne uszy są o wiele bardziej czułe niż urządzenia podsłuchowe, które można wybrać w internetowych katalogach szpiegowskich i kupić w sieci, choć zasada ich działania jest taka sama. Słyszeliśmy każde wasze słowo. Rozumiem, że macie dla mnie prezent.

Ochroniarz wręczył Margrave'owi kopertę. Margrave otworzył ją i wyjął płytę kompaktową. Przestał się uśmiechać, gdy przeczytał na naklejce: Niebezpieczeństwa inwersji biegunów.

- O co chodzi? - zapytał. Z jego głosu zniknęła fałszywa serdeczność.  
- Z tej płyty dowiesz się wszystkiego, co chcesz wiedzieć - odrzekł Trout - i tego, czego nie chcesz.

Margrave odprawił gestem ochroniarza.

- Naprawdę powinieneś zobaczyć, co jest na tej płycie - powiedział Gamay. - To ci wyjaśni całą sytuację.

- Dlaczego miałyby mnie interesować inwersja biegunów? - odparł Margrave.  
- To proste - odrzekła Gamay ze słodkim uśmiechem. - Zamierzasz spowodować odwrócenie ziemskich biegunów magnetycznych za pomocą emisji fal elektromagnetycznych bardzo niskiej częstotliwości, korzystając z pracy naukowej Laszlo Kovacsa.

Margrave podparł dłonią ostry podbródek, zastanawiając się nad jej słowami.

- Załóżmy, że potrafiłbym to zrobić. Nie znam prawa, które tego zabrania.  
- Ale jest mnóstwo praw zabraniających ludobójstwa i destrukcji na skalę masową - wtrącił się Trout. - Choć nie musiałbyś się obawiać kary, bo zginąłbyś jak my wszyscy.

- Zagadki nie bawią mnie od czasu, kiedy byłem dzieckiem. O czym wy mówicie?  
- O tym, że odwrócenie biegunów magnetycznych Ziemi spowoduje przesunięcie jej skorupy. Nie da się powstrzymać tego procesu, a skutki będą katastrofalne.  
- W takim razie co bym na tym zyskał? Ja czy ktokolwiek inny?  
- Może masz coś przestawione w głowie. Choć bardziej prawdopodobne, że jesteś po prostu kompletnym tępakiem.

Margrave poczerwieniał z gniewu.

- Różnie mnie już nazywano, ale nigdy tępakiem.  
- Wiemy, dlaczego to robisz. Chcesz zahamować globalizację. Ale wybrałeś niebezpieczny sposób. Byłoby lepiej, gdybyś to sobie odpuścił.

Margrave nieoczekiwanie wstał z krzesła i się zamachnął. Płyta kompaktowa poszybowała szerokim łukiem i wylądowała w wodzie pod urwiskiem. Przywołał gestem ochroniarza i odwrócił się do Troutów.

- Mój człowiek odprowadzi was na przystań. Wynoście się stąd, bo zatopię waszą łódź i będziecie wracali w pław. - uśmiechnął się. - Nie policzę wam za benzynę.

Chwilę później Troutowie jechali windą w dół. Ochroniarz zaczekał, aż wsiądą do swojej motorówki, odepchnął ich od pomostu i położył rękę na kaburze.

Margrave patrzył ze szczytu klifu na odpływających Troutów. Odpiął od paska komórkę i uaktywnił głosowe wybieranie numeru jednym słowem:

- Gant.

Jordan Gant zgłosił się natychmiast.

- Miałem właśnie wizytę ludzi z NUMA - poinformował Margrave. - Dużo wiedzą o naszym projekcie.

- Co za zbieg okoliczności - odrzekł Gant. - Mnie odwiedził Kurt Austin, też z NUMA. On także jest dobrze zorientowany w naszych planach.

- Ludzie, którzy tu byli, powiedzieli, że to, co zamierzamy zrobić, może doprowadzić do światowej katastrofy.

Gant się roześmiał.

- Za dużo siedzisz na swojej wyspie. Gdybyś spędzał więcej czasu w takim kłębowisku węży jak Waszyngton, przekonałbyś się, że prawda jest dokładnie taka, jak chcesz. Blefowali.

- Co zrobimy?

- Przyspieszymy termin. A jednocześnie spowolnimy ich, organizując dywersję. Usunięcie Kurta Austina ze sceny spowoduje, że NUMA wypadnie z szyn. To da nam czas na dokończenie realizacji projektu.

- Czy ktoś coś wie o Karli Janos? Wolałbym, żeby nie pojawiła się nagle nie wiadomo skąd.

- Już się tym zająłem. Moi przyjaciele w Moskwie zapewnili mnie, że jeśli wydam jeszcze trochę pieniędzy, Janos nie wydobędzie się żywa z tamtej syberyjskiej wyspy.

- Ufasz Rosjanom?

- Nie ufam nikomu. Rosjanie dostaną całą sumę, kiedy pokażą mi dowód jej śmierci. Na razie Janos jest tysiące kilometrów stąd i nie może nam zaszkodzić.

- Jak chcesz się pozbyć Austina?

- Mam nadzieję, że będę mógł wypożyczyć do tej roboty Legion Lucyfera?

- Przecież wiesz, jacy są niezdyscyplinowani.

- Chodzi mi o to, żeby móc się od tego odciąć. Jeśli coś pójdzie źle, okaże się, że ta banda stukniętych zabójców działała na własną rękę.

- Ktoś będzie musiał ich nadzorować.

- W porządku.

- Popłynę moją łodzią do Portland, złapię tam helikopter do Bostonu i polecę stamtąd samolotem do Rio.

- Dobrze. Dołączę do ciebie, jak tylko załatwię kilka drobnych spraw. Omówili ostatnie szczegóły. Po zakończeniu rozmowy Margrave wydał rozkaz swojemu ochroniarzowi. Wszedł do latarni morskiej i zatelefonował stamtąd. Potem zapakował do torby podróźnej trochę rzeczy i laptop. Kilka minut później szedł pomostem do swojej motorówki. Potężny silnik już się rozgrzewał. Margrave wsiadł do łodzi w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Odbił od przystani, dał pełną moc i łódź pomknęła z wysoko uniesionym dziobem przez zatokę Penobscot.

Po drodze minęła wysepkę, porośniętą gęsto jodłami. Paul i Gamay siedzieli na wielkim kamieniu w cieniu drzew i patrzyli na pędzącą motorówkę, która zostawiała za sobą spieniony kilwáter.

- Wygląda na to, że panu Margrave'owi bardzo się spieszy - powiedziała Gamay.

Trout się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję, że z powodu czegoś, co od nas usłyszał.

Poszli do miejsca, gdzie przywiązali do drzewa łódź. Wsiedli i Paul uruchomił silnik. Okrążył wysepkę, otworzył maksymalnie przepustnicę i popłynął w ślad za motorówką Margrave'a.

## 35

Trzydziestopiętrowy, cylindryczny budynek, gdzie mieści się centrala Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, stoi na wzgórzu nad rzeką Potomac we wschodniej części Waszyngtonu. Za zielonymi, lustrzanymi szybami wieżowca, w laboratoriach i przy komputerach, pracują tysiące oceanografów i inżynierów morskich NUMA.

Austin zajmował spartańsko urządzone biuro na czwartym piętrze. Miało standardowe wyposażenie z biurkiem, komputerem i szafką na akta. Ściany zdobiły zdjęcia statków badawczych NUMA, mapy morskie oceanów świata i korkowa tablica z przypiętymi artykułami naukowymi i wycinkami prasowymi. Na biurku stała fotografia rodziców Austina, żeglujących po zatoce Puget. Zdjęcie zrobiono w tych szczęśliwych czasach, gdy jeszcze nikt się nie spodziewał, że matka Kurta zachoruje i umrze.

Prostota wnętrza była po części celowa. Ponieważ zespół specjalny wykonywał przeważnie tajne zadania, Austin chciał się wtopić w tło NUMA. Czysto funkcjonalny charakter jego biura wynikał też z faktu, że często podróżował służbowo po świecie. Pracował na oceanach.

Na tym samym piętrze mieściła się sala konferencyjna NUMA - imponujące pomieszczenie z trzymetrowym stołem, zrobionym z fragmentu drewnianego kadłuba zatopionego szkunera. Austin wybrał do narady strategicznej mniejszy, skromniejszy pokój. Niewielkie studio z półkami pełnymi książek o morzu było spokojnym miejscem, gdzie często oczekiwali ci, którzy mieli przedstawić prezentację.

Siadając przy dębowym stole na środku pokoju, Austin pomyślał o gabinecie wojennym Churchilla i Gabinecie Ovalnym, gdzie zapadały decyzje, które zmieniały przyszłość świata. On nie miał do dyspozycji potężnych sił lądowych i morskich. Miał Joego Zawalę, który wolałby teraz jechać swoim kabrioletem corvette z atrakcyjną kobietą u boku, Spidera Barretta, ekscentrycznego geniusza komputerowego z tatuażem pająka na łysej czaszce, oraz piękną, inteligentną Karłą Janos, z którą wolałby rozmawiać przy koktajlach.

- Paul i Gamay są w drodze powrotnej z Maine - poinformował. - Nie udało im się przekonać Margrave'a, żeby zrezygnował ze swojego planu.

- To znaczy, że mamy tylko jedną możliwość - powiedziała Karla. - Musimy zastopować to szaleństwo.

Austin spojrzał na nią przez stół. Przyglądał się jej nieskazitelnej, kremowej cerze i zmysłowemu ustom. Jaka szkoda, że zagrożenie dla świata przeszkadza w ewentualnym romansie. Karla zauważyła, że jest obiektem jego zainteresowania i uniosła kształtne brwi.

- O co chodzi, Kurt?
- Przylapano na gorącym uczynku, odchrząknął.
- Chciałem cię właśnie zapytać, jak się czuje twój wujek.
- To właściwie mój ojciec chrzestny. Czuję się dobrze. Jest po prostu wyczerpany. Chcą go zatrzymać w szpitalu jeszcze kilka dni. Musi oszczędzać kostkę. Ale pewnie ucieknie, jak tylko trochę odpocznie.
- Cieszę się, że nic mu nie jest. Mogę cię potem podzucić do szpitala. Jadę na festyn w pobliżu Narodowego Pola Bitwy Manassas, żeby zdać relację Dirkowi Pittowi, dyrektorowi NUMA.
- Pitt ma zamiar stoczyć nową wojnę secesyjną? - zapytał Zawała.
- O ile wiem, jest zadowolony z wyniku poprzedniej, ale bierze udział w jakiejś imprezie dobroczynnej niedaleko Bull Run. Chce dostać raport przed spotkaniem w Białym Domu. Co masz, Joe?
- Dobrą wiadomość. Poprosiłem Yeagera, żeby sprawdził stocznię. Pomyślałem, że gdyby udało nam się ustalić, gdzie zbudowano statki operacyjne Ganta i Margrave'a, może moglibyśmy je wytropić. Ale nawet Max nic nie znalazła. Więc wziąłem się do prądu. Ktoś musiał je wyprodukować.
- Generatorów, które widzieliśmy, nie kupisz w pobliskim sklepie elektrycznym.
- Tylko kilka firm produkuje urządzenia tej wielkości - odrzekł Zawała.
- Sprawdziłem ich sprzedaż w ciągu ostatnich trzech lat. Wszystko kupiły elektrownie. Było tylko jedno zamówienie z południowoamerykańskiej fabryki, która jest własnością fundacji Ganta, podobnie zresztą jak stocznia w Missisipi. Ciekawe spostrzeżenie w wypadku organizacji oficjalnie nienastawionej na zysk.
- Jesteś pewien, że ich właścicielem jest ta fundacja?
- Sprawdziłem to. Stocznia należy formalnie do pewnej spółki, założonej w Delaware. Poprosiłem kogoś z NUMA, żeby wstawił im kit, że chcemy przebudować duży statek badawczy. Odpowiedzieli, że właśnie skończyli dużą robotę - nie wdawali się w szczegóły - i są zainteresowani naszym zamówieniem.
- Więc te statki jeszcze tam są?
- Wyszły w morze kilka dni temu. Zajrzałem do archiwum satelitarnego NUMA. W zeszłym tygodniu stocznia opuściła cztery statki.
- Cztery?
- Trzy operacyjne i jeden liniowiec pasażerski. Płyną w kierunku Ameryki Południowej.
- Nie mogę się pozbyć myśli, że jestem odpowiedzialny za to wszystko - odezwał się Barrett.
- Wcale nie - odrzekła Karla. - Nie mogłeś wiedzieć, że twoja praca zostanie wykorzystana w takim celu. Tak samo jak mój dziadek. Interesowała go tylko strona naukowa. - Pokręciła głową i się uśmiechnęła. - Do góry nogami.
- Roześmiała się na widok ich zdumionych min.
- To tytuł wierszyka, który dziadek mówił mi na dobranoc. Niezbyt dobra poezja, ale podkreślał, że jest to coś, co może być mi potrzebne.
- Zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie słowa: „Do góry nogami, nogami do góry, świat na głowie stoi. Całe niebo płonie, ocean z dna wstaje, a Ziemia się boi”.
- W pokoju zapanowała cisza. Karla pierwsza przerwała milczenie.
- Mój Boże! Właśnie opisałam zorzę polarną trzęsienie ziemi i tsunami.
- Czyli odwrócenie biegunów - powiedział Austin. - Mów dalej.
- Spróbuję. To było tak dawno... - wpatrzyła się w sufit. - Każda zwrotka zaczyna

się od słów „do góry nogami”. Druga brzmi tak: „W drzwiach jest klucz, przekreślimy klamkę i zamknijemy je, by uciszyć oceanu huk”. Wierszyk kończy się moimi ulubionymi słowami: „Pożegnaj się z nocą wszystko znów jest dobrze, kiedy Karla śni, świat spokojnie śpi”.

Barrett wyjął z kieszeni notes i długopis i podsunął Karli.

- Mogłabyś to wszystko zapisać?

- Tak, ale... - Wydawała się oszołomiona. - Myślisz, że to coś znaczy?

- Po prostu zaciekało mnie - odparł Barrett.

- Nie powinniśmy lekceważyć żadnego tropu - powiedział Austin i zerknął na zegar ścienny. - Muszę jechać. Spotkamy się tu znów za parę godzin.

Poprosił Zawalę, żeby poinformował Troutów o statkach operacyjnych, potem odwrócił się do Karli.

- Mogę cię podwieźć do szpitala.

- Później zobaczę się z wujkiem Karlem - odrzekła. - Jeśli zjawię się u niego teraz, zażąda, żebym pomogła mu uciec. Chciałabym pojechać z tobą i poznać pana Pitta.

- Nie wiem, czy to dla ciebie bezpieczne - odparł Austin. - Może lepiej, żebyś nie była na widoku.

- Nie chcę się ukrywać. Bardzo możliwe, że ten, kto kazał mnie zabić, nie wie, że żyję.

- Wolałbym, żeby tak zostało.

- Ten cały obłęd zaczął się od pracy naukowej mojego dziadka. Muszę zapobiec jej wykorzystaniu w złym celu. Jestem mu to winna.

Zdeterminowana mina Karli mówiła Austinowi, że żaden argument nie zmieni jej postanowienia.

Piętnaście minut później wsiedli do samochodu NUMA. Austin wyjechał z garażu agencji i włączył się do ruchu ulicznego. Byli śledzeni z furgonetki wyładowanej najnowocześniejszym elektronicznym sprzętem podsłuchowym i obserwacyjnym. Napis na jej drzwiach informował, że należy do Zarządu Transportu Miejskiego.

Doyle siedział w furgonetce i palił papierosa. On i jego pomocnik patrzyli na kilka monitorów. Ukazywały ulice wokół budynku NUMA. Kamery ukryte w furgonetce i podobnym pojeździe, zaparkowanym przed wejściem do centrali NUMA, rejestrowały twarz każdej osoby wychodzącej z budynku i porównywały ją ze zdjęciami w bazie danych. System rozpoznawczy potrafił sprawdzić w ciągu sekundy ponad tysiąc twarzy.

Rozległ się brzęczyk monitora. Sygnał trafienia. Na ekranach pojawił się obraz Austina za kierownicą turkusowego dżipa Cherokee, który wyłonił się z garażu. Poniżej twarzy Austina wyświetliły się jego dane personalne. W oczach Doyle'a zabłyśło podniecenie. Kazał pomocnikowi usiąść za kierowcą i jechać za dżipem, gdy zabrzęczał drugi monitor. Ekran wypełnił obraz młodej, atrakcyjnej pasażerki Cherokee. System zidentyfikował ją jako Karlę Janos. Podwójne trafienie!

Wąskie wargi Doyle'a wykrzywił uśmiech. Nie mógł się doczekać widoku miny Ganta, kiedy mu powie, że Karla Janos żyje, ma się dobrze i przebywa w towarzystwie jego wroga. Gdy furgonetka oderwała się od krawężnika i ruszyła za dżipem, Doyle zadzwonił do motelu w Alexandrii, gdzie stało sześć motocykli Harley-Davidson. Kilka minut później z motelu wybiegło sześciu mężczyzn. Wskoczyli na motory i pojechali na spotkanie z Doyle'em.



Karla przyglądała się mężczyznom w szarych mundurach Konfederacji i granatowych Unii, którzy zapelniali podmiejskie drogi w swoich pikapach, ciężarówkach i SUV-ach.

- Musiałam się mylić - powiedziała. - Myślałam, że wojna secesyjna już się skończyła.

- Prowadziłaś beztrudne życie - odrzekł Austin. - Walka z agresorem z Północy wciąż trwa. Krzyknij przez okno nazwisko Roberta E. Lee, a zwerbujesz wśród rebeliantów tylu ochotników, że będziesz mogła powtórzyć bitwę pod Gettysburgiem.

Austin wjechał za innymi na parking obok dużego pola o powierzchni około pięciu hektarów. Zostawili samochód i przyłączyli się do tłumu widzów, którzy kierowali się na pole. Tablice wzdłuż drogi informowały, że odbędzie się tu inscenizacja dawnych wydarzeń i parada samochodów parowych, by zebrać pieniądze dla Towarzystwa Przyjaciół Narodowego Pola Bitwy Manassas.

Austin zatrzymał brodatego mężczyznę w szarym mundurze oficera armii generała Lee, żeby zapytać o kierunek.

- Stonewall Jackson, do usług - skłonił się elegancko mężczyzna.

- Miło mi pana poznać, generale - powiedział Austin. - Dobrze pan wygląda. Wie pan może, gdzie znajdę zabytkowe samochody parowe?

Jackson spojrział zmrużonymi oczami w dal i poskubał w zamyśleniu brodę.

- W 1861 roku nie wynaleziono jeszcze samochodu, więc nie wiem, o czym pan mówi. Ale gdybym wiedział, sugerowałbym, żeby poszukał ich pan niedaleko tamtych przenośnych kabin toaletowych, których nie było w moich czasach.

- Dziękuję, generale.

- Mam nadzieję, że będzie się panu podobała walka.

Jackson uchylił kapelusza przed Karłą.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Popatrzyła, jak Jackson znika w tłumie.

- On to bierze poważnie. Austin się uśmiechnął.

- Manassas to była pierwsza duża bitwa wojny secesyjnej. Federaliści uważali, że rozdepczą rebeliantów. Ludzie przyjeżdżali z Waszyngtonu z koszykami piknikowymi, żeby to zobaczyć. Podobnie jak dziś. Tamtego dnia konfederaci byli górą ale w końcu zwyciężyła Unia.

- Dlaczego nie jesteśmy na prawdziwym polu bitwy? - zapytała Karla.

- Próbowali ją tam kiedyś odtworzyć, ale zbyt podgrzało to nastroje.

Karla rozejrzała się dookoła.

- Domyślam się, o czym mówisz.

- Stary Stonewall mógłby powiedzieć: „Oszczędzajcie swoją krew. Południe znów powstanie”.

Sześciu mężczyzn, którzy podjechali na motocyklach do zaparkowanej furgonetki, wyglądało tak, jakby sklonowano ich w laboratorium. Wszyscy mieli kozie bródki i włosy ostrzyżone nad czołem w szpic.

Ekstremiści z neoanarchistycznej grupy Legion Lucyfera uważali, że przemoc w walce o ich sprawę jest nie tylko usprawiedliwiona, lecz wręcz konieczna. Podobnie jak ich poprzednicy, rzucający z obłędem w oczach bomby, legioniści byli

marginesem przeważnie pokojowo nastawionego ruchu anarchistycznego, który nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Podróżowali na motocyklach od miasta do miasta i zostawiali za sobą chaos.

Kiedy Margrave przyłączył się do neoanarchistów, zapewnił sobie pomoc Legionu. Rozumował w ten sposób, że skoro elity mają policję, uprawnioną do stosowania siły - a w pewnych sytuacjach, nawet do zabijania - to on i jego zwolennicy powinni dysponować tym samym. Płacił członkom Legionu i uważał ich za swoją gwardię pretoriańską. Początkowo bawiło go to, że zapuścili brody i ostrzygli się tak, żeby upodobnić się do niego, nabrać demonicznego wyglądu, jakim obdarzyła go natura. Kiedy kilka anarchistycznych protestów z ich udziałem nieoczekiwanie zakończyło się krwawo, zdał sobie sprawę, że nie ma nad nimi kontroli.

Nadal im płacił, ale coraz rzadziej korzystał z ich usług. Chętnie przystał na propozycję Ganta, żeby zatrudnić zawodowych ochroniarzy. W pierwszej chwili był zaskoczony, że Gant chce użyć Legionu do zabicia Austina i Karli, ale zgodził się z jego argumentem, że jeśli coś pójdzie źle, władze uznają napaść za robotę gangu działającego na własną rękę.

Wiedział lepiej od Ganta, że członkowie Legionu to psychopaci, i dlatego nalegał, żeby Doyle miał ich na oku. Doyle usunął z furgonetki naklejkę z napisem Zarząd Transportu Miejskiego. Gdy motocykle zatrzymały się obok samochodu, wysiadł i powitał dziwną grupę zsiadającą z motorów szerokim, przyjaznym uśmiechem, który maskował jego pogardę.

Doyle był bezlitosnym zabójcą ale spojrzenia szklitych oczu, sztuczne uśmiechy i ciche głosy tych facetów przyprawiły go o ciarki na plecach. Miał nadzieję, że Gant wie, co robi. Doyle od czasu do czasu współpracował niechętnie z tą bandą. On sam używał przemocy w kontrolowany i wykalkulowany sposób. Zabijał, żeby usunąć konkurenta lub uciszyć informatora. Brak dyscypliny w Legionie raził jego poczucie porządku.

Wskazał turkusowego dzipa w sąsiednim rzędzie pojazdów. - Austin i ta kobieta poszli na pole bitwy. Trzeba ich znaleźć. Wyglądało na to, że członkowie Legionu potrafią porozumiewać się ze sobą bez słów i działać zgodnie jak stado ptaków lub ławica ryb. Uformowali tyralierę i ruszyli przez parking do furgonu z wypożyczalni kostiumów o nazwie Przemineło z Wiatrem. Pracownik firmy wyładowywał wieszaki ze strojami z epoki dla uczestników inscenizacji, którzy nie mieli własnych. Nagle otoczyło go sześciu uśmiechniętych, jednakowych facetów. Jeden pozbawił go przytomności pałką teleskopową podczas gdy inni własnymi ciałami zasłonili scenę napadu.

Wepchnęli nieprzytomnego mężczyznę do ciężarówki i poszukali w środku odpowiednich kostiumów. Zanieśli je do furgonetki Doyle'a i się przebrali. W krótkim czasie harlejowcy w dżinsach i T-shirtach zniknęli. Zastąpili ich trzej żołnierze Konfederacji i trzej Unii. Wetknęli za pasy strzelby z obciążonymi lufami, wsiedli na motocykle i rozproszyli się jak głodne wilki w poszukiwaniu ofiary.

Doyle zostawił furgonetkę i przyłączył się do potoku pieszych. Szedł wśród widzów oraz ubranych w kostiumy uczestników inscenizacji i śledził tłum. Miał doskonały wzrok - cenna cecha u myśliwego - i dostrzegł siwe włosy Austina. Sekundę później Doyle zobaczył u boku Austina atrakcyjną blondynkę. Była tą samą kobietą którą komputer w furgonetce zidentyfikował jako Karłę Janos.

Doyle odpiął od paska radio i wysłał krótką wiadomość do Legionu Lucyfera.

Austin znalazł samochody parowe. Przy krawędzi pola stało około dwudziestu zabytkowych Stanleyów. Wzdłuż rzędu pojazdów chodził mężczyzna w średnim wieku z clipboardem w ręku.

Austin użył starej metody.

- Szukam kogoś, kto ma trochę władzy. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.  
- Mam władzy tak samo mało jak każdy. - Wyciągnął rękę. - Doug Reilly. Jestem prezesem Klubu Właścicieli Samochodów Parowych Stanley w Wirginii. Czym mogę służyć?

- Szukam właściciela jednego z samochodów, Dirka Pitta.  
- Jego replika wozu wyścigowego Vanderbilt Cup z tysiąc dziewięćset szóstego roku jest tam. - Reilly wskazał odkrytą czerwoną maszynę z długą zaokrągloną maską w kształcie trumny. - Były tylko dwa takie egzemplarze i żaden już nie istnieje, o ile wiemy. Ale silnik jest oryginalny. Doskonały do jazdy pod górę.

- A który jest pański?

Reilly zaprowadził ich do lśniącego, czarnego sedana z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku i wskazał unikatową karoserię niczym dumny ojciec.

- Zna się pan na tych starych brykach?

- Brałem raz udział w rajdzie samochodów parowych. Bardziej patrzyłem na wskaźniki niż na drogę.

- Trafna uwaga - zachichotał Reilly. - Parowy Stanley był najsilniejszym i najszybszym pojazdem swoich czasów. Model z nadwoziem typu „łódka” pobił w tysiąc dziewięćset szóstym roku światowy rekord prędkości. Osiągnął dwieście cztery kilometry na godzinę. Silniki tych aut rozwijały pełną moc natychmiast po otwarciu przepustnicy. Stanleye osiągały „setkę”, zanim kierowcy większości samochodów benzynowych zdążyli zmienić biegi.

- To dziwne, że nie jeździmy dziś samochodami parowymi - powiedział Austin.

- Bracia Stanley nie chcieli produkować swoich aut masowo. Henry Ford wytwarzał dziennie tyle pojazdów, ile oni rocznie. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku Cadillac wprowadził rozrusznik elektryczny. Te wszystkie samochody są pod parą żeby szybciej można było ruszyć. Gdyby Stanleyowie opracowali jakiś system łatwiejszego uruchamiania ich aut, usprawnili produkcję i marketing, nikt nie używałby dzisiaj tego, co nazywano „silnikiem wewnętrznej eksplozji”. Przepraszam, że odbiegłem od tematu.

- Nie szkodzi - odezwała się Karla. - To było fascynujące.

- Wszyscy właściciele tych samochodów poszli obejrzeć widowisko. Ja zostałem, żeby ich pilnować. Po zakończeniu bitwy przejeździemy kawalkadą wokół pola.

Austin podziękował Reilly'emu i ruszył z Karłą w kierunku miejsca inscenizacji. Wystrzały z muszkietów i armat wskazywały, że walka właśnie się zaczęła. Idąc przez szerokie pole, widzieli tłum, który obserwował zbliżające się do siebie armie w granatowych i szarych mundurach. Z oddali dochodził odgłos muszkietów, w powietrzu unosił się zapach prochu.

W stronę pola walki szło sporo innych spóźnionych widzów. Austin opowiadał Karli o bitwach o Bull Run, gdy dostrzegł kątem oka, że ktoś zmierza w ich stronę. Mężczyzna zatrzymał się piętnaście metrów przed nimi i odwrócił twarzą do nich. Austin rozpoznał Doyle'a, szefa ochroniarzy Ganta.

Patrzył na nich przez chwilę, potem sięgnął pod kurtkę. Austin zobaczył błysk metalu w jego ręku. Wziął Karłę mocno za ramię i poprowadził z powrotem.

- Co się stało? - zapytała.

Odpowiedź Austina zagłuszył basowy ryk silników. W ich kierunku pędziło przez pole sześć harleyów. Trzej motocykliści w mundurach Konfederacji nadjeżdżali z lewej strony, trzej przebrani za żołnierzy Unii, z prawej.

Austin krzyknął do Karli, żeby uciekała. Pobiegli przez pole. Harlejowcy wzięli ich w kleszcze, ale zanim dopadli swoje ofiary, wszyscy nagle zahamowali z poślizgiem. Przez pole jechał szybko radiowóz policyjny z włączonymi migaczami. Minał uciekinierów i się zatrzymał. Kierowca wysiadł i zamachał rękami.

Sięgał po bloczek mandatowy, gdy motocyklista w granatowym mundurze wyciągnął spod kurtki obrzyna i wystrzelił. Huk zmieszał się z palbą muszkietów. Policjant został trafiony w nogę i upadł na ziemię. Nie oglądając się za siebie, harlejowcy znów uformowali szereg i ruszyli w dalszy pościg.

Reilly polerował swojego sedana, kiedy usłyszał hałas motocyklowych silników. Podniósł wzrok i zobaczył Austina i Karłę biegnących w jego kierunku. Jego uśmiech zamienił się w wyraz zgrozy, gdy zorientował się, że ścigają ich harlejowcy.

Austin rzucił się do samochodów i kazał Karli wsiąść do czerwonego stanleya z maską jak trumna. Wskoczył za kierownicę. Reilly podbiegł do auta.

- Co pan robi?

- Niech pan wezwie policję! - polecił Austin. Reilly spojrzał na niego, jakby nie zrozumiął.

- Po co?

- Żeby zgłosić kradzież samochodu - odparł Austin.

Usłyszał ryk silników motocyklowych. Harlejowcy byli już prawie przy nich. Zwolnił hamulec ręczny i odkręcił blokadę dźwigni przepustnicy na kolumnie kierowniczej. Potem pchnął dźwignię naprzód. Do silnika dopłynęła para.

Motocykliści byli zaledwie metry od samochodu, gdy Stanley ruszył gładko, niemal bez żadnego dźwięku. Austin ledwo ominął następne auto w szeregu.

Nacisnął pedał hamulca i skręcił, żeby nie wpaść na rodziców z dwojgiem małych dzieci, którzy przechodzili przez drogę. Wjechał na pole. Doyle próbował go zatrzymać. Stanął na wprost samochodu i wycelował do niego oburącz z pistoletu.

Austin krzyknął do Karli, żeby się schowała. Schylił nisko głowę i skierował auto prosto na Doyle'a. Tamten odskoczył na bok i strzelił. Błotnik musnął go w udo i pocisk poszybował w niebo.

Stanley pomknął przez otwarte pole. Austin pamiętał, że w takim samochodzie trzeba przyspieszać powoli, żeby wytworzyć odpowiednie ciśnienie pary. Musiał skupić całą uwagę na przyrządach i wskaźnikach, spełniających najprzeróżniejsze funkcje.

Zerknął w lusterko wsteczne. Harlejowcy byli trzydzieści metrów za nim i dystans szybko malał. Rozdzielili się, zaczęli go oskrzydlać. Samochód i motocykle zbliżały się do tłumu widzów obserwujących inscenizację bitwy.

Austin nacisnął klakson, ale jego dźwięk został zagłuszony przez huk muszkietów i armat. Przyhamował i znów zatrąbił. Ktoś wreszcie go zauważył. Tłum zaczął się rozstępować. Motocykliści znaleźli się po obu stronach stanleya.

Samochód i harleye wpadły na zasnuite dymem puste pole między oddziałami Unii i Konfederacji, które stały długimi szeregami na wprost siebie. Muszkiety i armaty

zamilkły. Austin usłyszał odgłos, którego się nie spodziewał: brawa.

- Dlaczego ci idioci klaszczą? - zapytała Karla.

- Widocznie myślą, że to część przedstawienia.

Gdy jechali między dwiema wrogimi armiami, Austin wydał mrozący krew w żyłach okrzyk. Na twarzy Karli pojawił się wyraz niepokoju.

- Dobrze się czujesz?

Austin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jasne. Zawsze chciałem wydać okrzyk buntu. Trzymaj się.

Zbliżali się do rzędu armat, sprowadzonych na dzisiejszą okazję. Austin zwolnił, żeby móc ostro skręcić bez wywrotki do góry kołami. Harlejowcy nie zmniejszyli prędkości, dostrzegając szansę na atak. Dwaj pierwsi byli tuż przy obu tylnych błotnikach auta.

Karla spojrzała na motocyklistę z prawej strony.

- On ma broń! - krzyknęła.

Facet prowadził maszynę jedną ręką, w drugiej trzymał strzelbę opartą na przedramieniu i celował w głowę Karli. Austin zareagował bez namysłu. Szarpnął kierownicę w bok.

Ciężki zderzak trafił harlejowca w nogę. Motocykl zachwiał się i przewrócił, zrzucając jeźdźca jak narowisty koń. Austin spróbował załatwić tak również i drugi motocykl, ale jego kierowca, widząc, co się przed chwilą stało, przezornie wycofał się poza zasięg stanleya.

Austin wpadł na wzniesienie i zjechał ze zbocza po drugiej stronie. Zobaczył samochody mknące szosą. Ominął kamienny mur i po chwili znalazł się na niej.

Zwiększył moc silnika. Na twardym podłożu auto zamieniło się w konia wyścigowego. Opony z twardej gumy hałasowały na tłuczniowej nawierzchni. Austin wyprzedził kilka pojazdów. Motocykliści wciąż siedzieli mu na ogonie. Na pustym odcinku szosy przyspieszył do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Zobaczył znak sygnalizujący wjazd na autostradę i musnął stopą pedał hamulca. Harlejowcy zostali z tyłu, podejrzewając jakiś podstęp.

Austin wydostał się na główną drogę. Jechał slalomem, ale nie mógł zgubić bardziej zwrotnych motocykli. Spróbował im uciec, zwiększając szybkość. Rozpędził stanleya do stu czterdziestu pięciu, potem do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wiatr dął mu w twarz i ledwo widział.

- Gdzie są gliniarze z drogówki, kiedy człowiek ich potrzebuje!? - zawołał.

Karla kuliła się na swoim siedzeniu i próbowała osłonić przed pędem powietrza. - Co?

- Masz komórkę?

- Chcesz teraz dzwonić!? - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- Nie. Chcę, żebyś ty to zrobiła. Zawiadom policję stanową że banda harlejowców w mundurach z wojny secesyjnej ściga jakiegoś wariata w starym, czerwonym samochodzie. To powinno zainteresować gliny.

Karla skinęła głową wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer alarmowy. Kiedy dostała połączenie z policją powtórzyła słowa Austina.

- Obiecali, że wyślą kogoś, żeby to sprawdził - powiedziała. - Nie wiem, czy mi uwierzyli.

Motocykliści znów się zbliżali. Austin wyciskał ze stanleya pełną moc. Powinien kontrolować wskaźniki poziomu wody, ciśnienia paliwa i kilka innych, ale był zbyt zajęty walką o utrzymanie się na drodze.

Nagle na autostradzie pojawił się ruchomy cień. Austin zerknął w górę. Zrównał się z nimi helikopter.

- Szybko się zjawili!
- To nie policja - odrzekła Karła. - To telewizja.

Śmigłowiec łatwo dotrzymywał im kroku. Austin próbował gorączkowo wymyślić jakiś plan, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Minał zjazd z autostrady i zerknął w lusterko wsteczne. Harlejowcy zwolnili i skręcili w boczną drogę.

- Nasi przyjaciele rozstają się z nami - powiedział.

Karla obejrzała się w momencie, gdy ostatni żołnierz armii rebeliantów zjeżdżał z autostrady.

- Dlaczego? - zapytała.
- Boją się kamery. Nie chcą być w wiadomościach wieczornych. Zwolnił do stu kilometrów na godzinę. Oboje z Karłą zaczęli machać rękami do helikoptera.

Dogoniły ich trzy radiowozy policji stanu Wirginia. Austin zauważył błyskające światła i usłyszał wycie syren. Zjechał na bok i stanął. Stanleya natychmiast otoczyli uzbrojeni policjanci. Austin doradził Karli, żeby trzymała ręce na widoku. Gdy policjanci sprawdzili prawo jazdy Austina i jego legitymację służbową NUMA, stracili zainteresowanie pasażerami stanleya. Bardziej interesowało ich stare auto.

Austin powiedział im o sześciu motocyklistach, którzy próbowali zepchnąć ich z drogi. Zaproponował policjantom, żeby skontaktowali się z NUMA. Agencja poręczyła za niego. Stacja telewizyjna potwierdziła opowieść o harlejowcach. Po godzinie Austin odzyskał prawo jazdy i usłyszał, że on i Karła są wolni.

Wstąpili do myjni samochodowej, żeby usunąć z karoserii stanleya trawę i ziemię. Austin był zdumiony, że auto nie ucierpiało. Ludzie opuszczający pole bitwy uśmiechali się i machali na widok starego samochodu. Na Austina i Karłę czekał cierpliwie wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o opalowych oczach.

Austin zatrzymał auto i się uśmiechnął.

- Cześć, Dirk. Dzięki za wypożyczenie samochodu.
- Widziałem, jak pruleś przez pole bitwy z kilkoma Hell's Angels na ogonie. Co się stało?

- To Karła Janos. Karła, to jest Dirk Pitt. Pitt uśmiechnął się do Karli.
- Cieszę się, że wreszcie mogę panią poznać.
- Dziękuję - odrzekła.
- Do ilu go rozpędziłeś? - zapytał Austina.
- Do stu sześćdziesięciu.
- Nieźle - odparł Pitt. - Ja wycisnąłem z niego tylko sto czterdzieści pięć.
- Przepraszam, że wziąłem go bez pytania. Potrzebowaliśmy środka transportu.

Ktoś chciał nas zabić.

- To tylko replika. Nie przejmuj się. - Pitt obejrzał samochód, ale nie znalazł żadnych uszkodzeń. - Nie każdy ma auto, które brało udział w trzeciej bitwie o Bull Run.

Komórka Austina zaczęła grać bluesa. Przeprosił i przyłożył ją do ucha. Dzwonił Barrett. Miał podekscytowany głos. W tle słychać było przytłumiony ryk silnika.

- Ledwo cię słyszę - powiedział Austin. - Co to za hałas?

- Mój motor. Zawsze lepiej mi się myśli w czasie jazdy. Chyba to rozgryzłem.
- Co?
- Ten wierszyk na dobranoc to szyfr. Mam wzór na antidotum. Austin nie wierzył własnym uszom.
- Powtórz.
- Antidotum! - krzyknął Barrett, myśląc, że Austin po prostu go nie słyszy przez hałas motocykla. - Mam antidotum Laszlo Kovacsa na odwrócenie biegunów.

## 37

Krótko po tym, jak gorące brazylijskie słońce skryło się za górami, z portu w Rio de Janeiro wyszedł w morze piękny, stusiedmiometrowy statek pasażerski „Polar Adventure”. Wziął kurs na południe i skierował się ze swoją podróżną prędkością piętnastu węzłów ku otwartym wodom Atlantyku.

„Polar Adventure” został zbudowany przez duńskich stoczniovców w późnych latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Pływał po Morzu Śródziemnym, do Europy i na Grenlandię. Ostatnio odbywał rejsy na Antarktydę. Statek kupiła od jego właścicieli firma założona specjalnie w tym celu przez fundację Ganta.

Transakcja była sprytnie pomyślana. Według dokumentów finansowych na zakup i remont statku wydano miliony dolarów przeznaczone na budowę fabryki w chilijskim Santiago. „Adventure” zaprojektowano jako mniejszą wersję wielkiego transatlantyku. Kabiny i pokłady ozdobiono bogato lśniącym drewnem i mosiądzem. Pasażerowie mieli do dyspozycji komfortowe kajuty, oszkloną jadalnię, bar, kryty pokład spacerowy i platformę obserwacyjną poniżej mostka.

Kiedy „Adventure” płynął przez południowy Atlantyk, Gant i Margrave stali na galerii głęboko wewnątrz statku. Poniżej rozciągała się rozległa, otwarta przestrzeń. Na środku wyrastała wysoka, metalowa konstrukcja w kształcie stożka. Podtrzymywała ją rozbudowana rama. Ze stożka wychodziły grube kable. Biegły do czterech potężnych prądnic, po dwie z obu stron konstrukcji. Zakryty basen zanurzeniowy umożliwiał opuszczanie stożka do oceanu.

Margrave zatoczył ręką szeroki łuk.

- Wypatroszyliśmy wszystkie nieistotne pomieszczenia pod głównym pokładem, żeby zrobić miejsce dla tego urządzenia. Po wstępnych eksperymentach uznaliśmy, że nie musimy mieć czterech statków. Wystarczy jeden, wyposażony w taki generator, który wytworzy tyle energii, ile nam potrzeba. Przedtem musieliśmy skoncentrować w jednym punkcie emisję fal elektromagnetycznych z czterech źródeł.

- Jak rozumiem - powiedział Gant - wokół strefy zero rozchodziły się silne drgania, co wywoływało nieoczekiwane wiry i fale jak tamte, które zatopiły nasz statek operacyjny i „Southern Belle”.

- Zgadza się. Rozwiązaliśmy ten problem, stosując pojedynczy generator o podwyższonej mocy. Widzisz go tutaj. To oznaczało również, że nie musimy budować nowego statku w miejsce tamtego zatopionego. Przenieśliśmy po prostu prądnice z trzech pozostałych i dodaliśmy jedną.

- Jesteś zadowolony z mojej załogi?

- Wyglądają jak bandziory, ale znają się na robocie.

- Poderżnęli w życiu trochę gardeł. Wykorzystałem swoje dawne kontakty

biznesowe, żeby ich zwerbować. Wszyscy są byłymi piratami. Dostali pracę w dziale bezpieczeństwa morskiego naszej firmy ochroniarskiej.

Opuścili ładownię i doszli po lśniącem, drewnianym pokładzie spacerowym do platformy obserwacyjnej. Z oszklonego, wygodnie urządzonego pomieszczenia widać było ostry dziób statku, tnący morskie fale.

- Stąd pasażerowie podziwiali kiedyś widoki - powiedział Margrave. - My będziemy tu śledzili inwersję biegunów naszymi elektronicznymi oczami.

Nacisnął przycisk na ścianie i opuścił ekran z obrazem półkuli wschodniej i zachodniej.

- Zawsze lubiłem kino domowe - odrzekł Gant.

- Ten seans na pewno ci się spodoba - zachichotał Margrave. - Nasze satelity w ołowianych osłonach pokażą nam całą strefę celu. Zobaczymy gigantyczne fale i wiry wokół niej. To powinno być efektowne widowisko.

- Mam nadzieję, że nie będzie przesadnie efektowne.

- Tylko mi nie mów, że wierzysz w te bajki Austina i jego przyjaciół.

- Jestem politykiem, nie naukowcem. Ale wiem, że Austin próbował nas przestraszyć, żeby storpedować ten projekt.

Gant się uśmiechnął.

- Może zrobiłbym to samo, gdybym był na jego miejscu i bezradnie patrzył na coś, czemu nie mógłbym zapobiec.

- Nie przyjęliśmy teorii Kovacsa na wiarę. Zrobiliśmy wiele symulacji komputerowych. Fale i wiry wokół strefy zero zostaną skierowane na zewnątrz. W tamtym rejonie nie powinno być dużego ruchu statków, ale przy przedsięwzięciach na wielką skalę czasami nie można uniknąć strat.

- Wskazania kompasów natychmiast się zmieniają?

- Tak przypuszczamy. Tuż przed rozpoczęciem inwersji przeskalujemy nasze urządzenia nawigacyjne i będziemy korzystali z naszych zabezpieczonych satelitów. - Margrave uśmiechnął się demonicznie. - Będziemy jedynym statkiem na świecie, zdolnym do nawigacji. Zrobi się niezły bajzel.

- Powiedz mi coś więcej o strefie zero.

- Jest przed tobą na ekranie - odrzekł Margrave. - Nasza dobra znajoma, anomalia południowoatlantycka. - Wskazał krzyżujące się południki i równoleżniki. - Około trzystu mil morskich od wybrzeża Brazylii jest rejon najsłabszej biegunowości, gdzie i tak nastąpiłaby kiedyś naturalna inwersja biegunów.

- Nowy biegun północny - powiedział Gant.

- Nie mogę się doczekać widoku min elit, kiedy się przekonają, że ostrzeżenia Lucyfera nie były czymś gadaniem - rzekł Margrave.

Gant się uśmiechnął. On z kolei nie mógł się doczekać widoku miny Margrave'a, kiedy się dowie, że cały jego wysiłek i majątek włożony w projekt odwrócenia biegunów przyniesie korzyści tym samym elitom, którymi pogardza.

## 38

Barrett siedział przy stoliku w cichym kącie wiejskiego zajazdu w Leesburgu. Miał nisko pochyloną głowę i gryzmolił gorączkowo na papierowej serwetce. Na blacie wały się pogniecione bibułki. Przy jego ręce stał nietknięty kufel piwa. Barrett nie zwracał uwagi na innych klientów, którzy zerkali na tatuaż pająka na jego



łysej czaszce.

Austin i Karła usiedli przy stoliku. Barrett wyczuł, że ma towarzystwo. Kiedy ich zobaczył, uśmiechnął się.

- Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że jesteście.

Austin zapytał Karłę, czego chce się napić, i zamówił dwa guinnessy zmieszane z jasnym piwem.

Po szybkiej jeździe przez Wirginię odkrytym samochodem chciało im się pić. Kiedy podano piwo, Austin wypił duszkiem pół swojego, Karła z rozkoszą zanurzyła usta w pianie.

Przed odjazdem na spotkanie z Barrettem Austin przedstawił Pittowi obecną sytuację z inwersją biegunów. Pitt obiecał, że zadzwoni do Sandeckera, który wracał następnego dnia z podróży dyplomatycznej, i zorganizuje briefing z prezydentem po jego powrocie ze Środkowego Zachodu, gdzie oglądał szkody wyrządzone przez tornado. Chciał, żeby przez ten czas Austin skontaktował się z Pentagonem. Dał mu do dyspozycji wszystkie środki NUMA.

- Przepraszam, że to tyle trwało - powiedział Austin, rozkoszując się chłodnym piwem. - Przyjechaliśmy najszybciej, jak mogliśmy. Kiedy do mnie dzwoniłeś, w tle był taki hałas, że nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem. Mówiłeś coś o wierszyku na dobranoc, ale nie dosłyszałem reszty.

- Po waszym wyjeździe do Manassas wzięłem na warsztat tę rymowaną. Tytuł Do góry nogami i niektóre linijki pasują do tego, co wiemy o inwersji biegunów. To nie wygląda na przypadek.

- Zdążyłem się już przekonać, że przypadki zdarzają się rzadko - odrzekł Austin - choć to czysty przypadek, że nadal chce mi się pić, a na stoliku stoi nietknięte piwo.

- Jestem za bardzo nakręcony, żeby pić. - Barrett przysunął mu swój kufel. Austin podzielił się z Karłą.

- Mówiliśmy o przypadkach - przypomniał. Barrett skinął głową.

- Kovacs był kryptologiem amatorem. Wyszedłem z założenia, że wierszyk może być szyfrem. Przyjąłem, że słowa „Do góry nogami, nogami do góry” to zera, wstawione dla zmyłki, więc je wyrzuciłem i zająłem się treścią zwrotek. Szyfr to co innego niż kod, którego odczytanie wymaga zwykle książki kodowej. Do złamania szyfru potrzebny jest klucz, ukryty w samej wiadomości. Jedno natychmiast rzuciło mi się w oczy.

- „W drzwiach jest klucz” - wyrecytowała bez namysłu Karła.

- Właśnie! - przytaknął Barrett. - Wydawało się to oczywiste, zbyt oczywiste, ale Kovacs był naukowcem, więc musiał mieć obsesję na punkcie precyzji. Powinien raczej powiedzieć, że klucz jest w zamku.

- Klucz był w słowie „drzwi” - domyślił się Austin.

- Tak rozumowałem - odrzekł Barrett. - „Drzwi” stały się moim kluczowym słowem. Do łamania szyfru trzeba podejść na kilka sposobów. Na jednym poziomie masz do czynienia ze stroną mechaniczną czyli przestawianiem i zastępowaniem słów czy liter. Na innym, patrzysz na ich znaczenie. - Widząc po minach Austina i Karli, że te wyjaśnienia są nich niezrozumiałe, zapytał: - Co robią drzwi?

- To oczywiste - odparła Karła. - Oddzielają jeden pokój od drugiego. Trzeba je otworzyć, żeby przejść dalej.

- Zgadza się - potwierdził Barrett. - Literą otwierającą to słowo jest D. Chwyć czystą serwetkę i napisz: DEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

ABC

- To jest zwykły alfabet. Wziąłem drugą literę w słowie „drzwi” i użyłem jej w tej samej konfiguracji do stworzenia alfabetu szyfru.

- Ja spróbuję - powiedziała Karla i wzięła długopis.

RSTUVWXYZABCDEFGHIJKLMN

OPQ

- Kupuję ci bilet do Bletchley Park - oznajmił Barrett, mając na myśli brytyjski ośrodek dekryptażu z czasów II wojny światowej.

Karla popatrzyła na litery z wyrazem rozczarowania w oczach.

- Gdybyś użył tych alfabetów do napisania słowa „wiadomość”, wyszedłby z tego jakiś bełkot.

- Twój dziadek nie chciał, żeby to było zbyt łatwe. Osiągnąłem taki sam wynik. Potem wróciłem do kluczowego słowa „drzwi”. Litera D jest czwarta w alfabecie. Wypisałem z wiersza co czwarte słowo, ale coś mi mówiło, że jest tego za dużo. Więc spróbowałem co czwartą literę. Nadal nie miałem punktu zaczepienia. Wziąłem się do drugiej litery w słowie „drzwi”.

Na tej samej zasadzie. Też nic. Później pomyślałem, że D i R dzieli od siebie piętnaście miejsc w alfabecie. Więc wyjąłem z wiersza co piętnaste słowo. Potem użyłem obu alfabetów do kryptoanalizy. Nadążacie?

- Nie - stwierdził Austin.

- Ja też się zgubiłem - powiedział Barrett. - Wrzuciłem więc ten cały cholerny bajzel do komputera i wyszło to... - Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął wydruk.

- Mieszanina spółgłosek i samogłosek, ale żadnego słowa - stwierdziła Karla.

- Próbowałem wszystkiego. Skontaktowałem się z węgierskojęzycznym profesorem w MIT. Nic. Potem przypomniałem sobie, że Kovacs znał rumuński, i zadzwoniłem do faceta, który prowadzi w Seattle restaurację Transylvania. Nic z tego nie rozumiał. Wyrzywałbym sobie włosy z głowy, gdybym je miał. Wróciłem do słów, które odrzuciłem, zwłaszcza „do góry nogami”. Myślałem, że może to coś da.

- Jak można odwrócić wiadomość do góry nogami? - zapytała sceptycznie Karla.

- Nie można. Ale można luźno interpretować słowa i czytać je wstecz, na przykład drugą linijkę wiersza. Tak zrobiłem. Nadal nie miało to sensu. Potem mnie olśniło. W czasie jazdy na motorze zdałem sobie sprawę, że nie chodzi o słowa. Że jest to po prostu szereg liter. To był przełom. Uświadomiłem sobie, że w wiadomości mogą być również cyfry. Wróciłem do komputera. Pewne litery są wskaźnikami, które mówią, że następna litera jest w rzeczywistości cyfrą. Litera A, poprzedzona inną, to I. Litera B to 2, i tak dalej.

- Znów nie nadażam - powiedział Austin. Sądząc po minie Karli, ona też utknęła w świecie cyfr.

Barrett odłożył na bok wydruk z komputera i unióś serwetkę w palcach obu rąk.

- To jest równanie.

- Jakie? - zapytał Austin.

- Wiadomość sama w sobie nie ma sensu, ale trzeba spojrzeć na kontekst. Kovacs przeznaczył ją tylko dla jednej osoby, dla Karli. Mówił, że zawsze będzie miała ten wierszyk w razie potrzeby.

- Chodzi ci o to, o czym myślę? - spytał Austin.

- Wpadłem na to zaledwie kilka minut temu i jeszcze tego nie sprawdziłem - odrzekł Barrett.

- Ale Kovacs mógł nam zostawić zbiór częstotliwości fal elektromagnetycznych.

- Antidotum - szepnęła Karla.

Austin wziął serwetkę tak ostrożnie, jakby mogła się rozpaść.

- To jest częstotliwość, która może zapobiec inwersji biegunów?  
Barrett przełknął ślinę.
- Mam nadzieję.  
Karla pocałowała go w czubek łysej czaszki.
- Udało ci się!  
Barrett był dziwnie ponury jak na kogoś, kto uratował świat.
- Być może. Obawiam się, że mamy mało czasu.
- Co się stało? - zapytał Austin.
- Po naszym spotkaniu podsłuchałem rozmowę telefoniczną Margrave'a z Gantem. Przez pluskwę, którą ulokowałeś w jego posiadłości. Do tej pory już wyjechali z kraju.
- Cholera - zaklął Austin. - Dokąd?
- Nie wiem. Margrave nie zdradził mi planu ostatniej fazy. Ale nie martwi mnie „dokąd”, tylko „po co”. Podejrzewam, że zamierzają zrealizować projekt odwrócenia biegunów.
- Jak sądzisz, ile możemy mieć czasu?
- Trudno powiedzieć - odparł Barrett. - Strefa zero jest gdzieś na południowym Atlantyku. Nie uczestniczyłem przy ostatniej rozmowie, więc nie znam dokładnej lokalizacji. Kiedy dotrą na miejsce, uruchomienie procesu będzie tylko kwestią godzin.
- Austin oddał mu serwetkę.
- Czy to równanie można przełożyć na coś, co pozwoli nam zapobiec inwersji biegunów?
- Jasne. Tak samo, jak  $E = mc^2$  zostało przełożone na bombę i energię jądrową. Potrzeba tylko czasu i środków.
- Dostaniesz wszystkie potrzebne środki. Ile czasu zajmie ci zbudowanie odpowiedniego urządzenia?
- Będę potrzebował pomocy. Zapewniłem im myśl techniczną i zrobiłem model generatora, ale prawdziwą konstrukcję wykonali inni.
- Dostaniesz pomoc. Ile to potrwa? Barrett uśmiechnął się blade.
- Siedemdziesiąt dwie godziny. Jak dobrze pójdzie.
- Powiedziałeś trzydzieści sześć? W porządku. Jakiej wielkości będzie to urządzenie?
- Duże - odrzekł Barrett. - Widziałeś tamto na zatopionym statku.
- Owszem - przytaknął Austin. Jego niezachwiana pewność siebie na moment osłabła, ale umysł pracował na pełnych obrotach. - Jak wykorzystasz to urządzenie, kiedy już je zbudujesz?
- Musi emitować fale elektromagnetyczne na obszarze pokrywającym się ze strefą zero. - Barrett pokręcił głową. - Trzeba będzie pomyśleć, jak dostarczyć neutralizator w tamten rejon. Cholera! Czuję się odpowiedzialny za ten cały bajzel.
- Mimo wyglądu twardego Barrett był słaby psychicznie. Austin widział, że błyskotliwym komputerowcem targają wyrzuty sumienia. Gdyby się załamał, nie byłoby z niego pożytku.
- Więc nikt nie zrobi z tym porządku lepiej niż ty. Transport zostaw mnie. Mam pewien pomysł.
- Austin wstał i położył na stoliku kilka banknotów za piwo. Kiedy wyszli z zajazdu, Barrett skierował się do swojego motocykla.
- A ty dokąd? - zapytał Austin.
- Pojadę na swoim motorze. Austin wziął Barretta za ramię.

- To zbyt niebezpieczne. Przyślę kogoś, żeby go zabrał.

Karla chwyciła Barretta za drugie ramię. Poprowadzili go do dżipa. W drodze powrotnej do Waszyngtonu Austin zadzwonił z komórki do Zawali i powiedział mu, że ma dla niego pilną robotę.

- Zaraz się tym zajmę - odrzekł Zawała, gdy usłyszał szczegóły. - Rozmawiałem z Troutami. Dobra wiadomość. Wytropili przez satelitę statek operacyjny. Jest w Rio. Już tam poleciecieli.

Niecałą godzinę później Austin zaparkował w garażu NUMA. Wraz z Barrettem i Karłą wjechał windą na trzecie piętro. Korytarze były ciche i ciemne. Tylko ze studia obok sali konferencyjnej padał snop światła. Na prośbę Austina Zawała sprowadził Hibbeta.

- Dzięki, że przyjechałeś, Alan - powiedział Austin. - Przepraszam, że ściągnąłem cię tu drugi raz, ale potrzebujemy twojej pomocy.

- Mówiłem przecież, że możesz dzwonić do mnie o każdej porze, jeśli będę potrzebny. Jest coś nowego?

- Upewniliśmy się, że wir i gigantyczne fale byty skutkami ubocznymi eksperymentu, który miał spowodować inwersję biegunów. I że odwrócenie biegunów magnetycznych może uruchomić proces inwersji biegunów geologicznych, co zakończyłoby się dla świata katastrofą.

Hibbet zbladł.

- Można temu zapobiec? Austin się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że ty nam to powiesz.

- Ja? Nie rozumiem.

- To Spider Barrett - powiedział Austin. - Zaprojektował mechanizm do odwrócenia biegunów.

Hibbet zerknął na Barretta stojącego ze smutną miną na jego wytatuowaną głowę. Wiedział, że pewne dziedziny nauki przyciągają różnych dziwaków. Wyciągnął rękę.

- Wspaniała robota.

Barrett się rozpromienił. Doczekał się uznania fachowca.

- Dzięki.

Austin wyczuł chęć obu mężczyzn do współpracy.

- Chcielibyśmy, Alan, żebyś razem ze Spiderem, Joem i Karłą skonstruował antenę zdolną zneutralizować działanie fal elektromagnetycznych niskiej częstotliwości, które będą użyte do próby odwrócenia biegunów.

- Antena to nie problem. Ale bez odpowiednich częstotliwości potrzebnych do zablokowania tamtych fal będzie się nadawała tylko do rozwieszania na niej prania.

Karla uśmiechnęła się i wyjęła z kieszeni bluzki złożony kawałek papieru. Rozłożyła go bardzo ostrożnie i podsunęła przez stół Hibbetowi. Wziął serwetkę, popatrzył na napisane na niej cyfry i zmarszczył brwi. Potem w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Skąd pani to ma? - szepnął.

- Od mojego dziadka - odrzekła Karla.

- Jej dziadkiem był Laszlo Kovacs - wyjaśnił Austin. - Zaszyfrował wynik swojej pracy. Rozgryźliśmy to dzięki Spiderowi. Teraz, kiedy już odwaliliśmy najcięższą robotę, możesz skonstruować nam antenę?

- Tak - odpowiedział Hibbet. - Przynajmniej tak mi się zdaje.

- To nam wystarczy. Co ci będzie potrzebne? Masz do dyspozycji wszystkie środki, jakie posiada rząd Stanów Zjednoczonych.

Hibbet ze śmiechem pokręcił głową.

- To dużo lepsze niż walka z księgowymi NUMA. Nie macie pojęcia, jakie napotykam trudności, kiedy chcę kupić sprzęt do prowadzenia eksperymentów. Ale nawet jeśli uda mi się coś zmontować, będziemy potrzebowali platformy do przetransportowania urządzenia na miejsce akcji.

- Jakiej wielkości byłaby ta konstrukcja? - zapytał Austin.

- Duża - odparł Hibbet. - Doszłyby jeszcze generatory do zasilania anteny. Wszystko razem ważyłoby kilka ton.

- To ta zła wiadomość - powiedział Austin.

- A dobra? - spytał Hibbet. Austin się uśmiechnął.

- Potrzeba jest matką wynalazków.

W tym momencie zadzwonił telefon. Austin odebrał. Pitt musiał zadziałać na wysokim szczeblu, bo Pentagon wysyłał po niego samochód.

\* \* \*

Ziemia zdawała się płonąć w stu różnych miejscach. Erupcje wulkanów rozprzestrzeniały się jak choroba zakaźna. Następowały rozległe wylewy lśniącej lawy. Planetę zasnuwał gęsty dym. Wiatry o niewyobrażalnej sile pędziły nad kontynentami skłębione, wirujące masy chmur. Wschodnie i zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej atakowały tsunami. Dwa rozszalałe oceany ścisnęły zwiężający się ląd jak kleszcze.

Potem obraz pustoszonego świata zniknął. Wielki ekran w sali konferencyjnej Pentagonu zgasł. Znów rozbłysły lampy, przyciemnione na czas prezentacji. Oświetliły Austina i oszołomione twarze kilkunastu wysokich stopniem wojskowych i polityków, którzy siedzieli przy długim stole.

- Tę symulację komputerową przygotował doktor Paul Trout, ekspert NUMA od grafiki komputerowej - powiedział Austin. - Przedstawił skutki inwersji biegunów geologicznych Ziemi.

- Pierwszy bym przyznał, że to przerażające, gdyby to była prawda - odezwał się czterogwiazdkowy generał, siedzący na wprost Austina. - Ale sam pan mówi, że to symulacja komputerowa, która może być równie dobrze oparta na faktach, jak na wyobraźni.

- Niestety nie jest to wyobraźnia, generale. Nie zdążyliśmy przygotować podsumowania na piśmie, więc będzie pan musiał cierpliwie wysłuchać moich wyjaśnień. Wszystko zaczęło się ponad sześćdziesiąt lat temu od pracy naukowej niezwykle zdolnego inżyniera elektryka Laszlo Kovacsa.

Austin przez ponad godzinę opowiadał o Tesli, o ucieczce Kovacsa z Prus Wschodnich i eksperymentach z bronią magnetyczną prowadzonych przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Zrelacjonował swoje spotkanie z Barrettem - człowiekiem, który przełożył tezy na rzeczywistość. Opisał zatonięcia statków, spowodowane zaburzeniami na ocenach, i plany odwrócenia biegunów. Wiedział, że jego historia brzmi nieprawdopodobnie, więc pominął kilka rzeczy. Gdyby nie widział tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzył w istnienie karłowatych mamutów w kryształowym mieście pod wygasłym wulkanem.

Nawet bez najbardziej niewiarygodnych szczegółów jego opowieść wzbudzała duży sceptycyzm. Austin starał się mówić tak przekonująco jak obrońca do ławy przysięgłych, ale zdawał sobie sprawę, że zebrani zasypią go pytaniami. Zastępca szefa Departamentu Obrony przerwał mu, kiedy Austin doszedł do powiązań Jordana

Ganta z Margrave'em.

- Pan wybaczy, ale trudno jest mi uwierzyć w to, że prezes fundacji i miliarder, będący właścicielem znanej firmy komputerowej, spiskują razem, żeby spowodować tę tak zwaną inwersję biegunów w imię jakiejś mglistej sprawy neoanarchistów.

- Można się spierać o drobiazgi - odrzekł Austin - ale ta sprawa wcale nie jest mglista. Lucyfer wykorzystał jasne światła Broadwayu, by przesłać światu wiadomość, jako ostrzeżenie wyłączył prąd w Nowym Jorku. Wydarzenia z jedenastego września dowiodły, iż nie należy ignorować grózb różnych szaleńców.

- Gdzie są teraz te tak zwane statki operacyjne? - zapytał oficer marynarki wojennej.

- W Rio de Janeiro - odparł Austin.

- Mówił pan, że były cztery, ale jeden zatonął, tak?

- Zgadza się. Myśleliśmy, że zastąpią go nowym, ale się nie pojawił, więc przypuszczamy, że wystarczą im trzy.

- Powinniśmy ich zaatakować - powiedział zastępca sekretarza obrony. - Proponuję wysłać za tymi statkami okręt podwodny, który jest najbliżej nich, i jeśli zaczną się dziać coś podejrzanego, zatopić je.

- A co z konsekwencjami dyplomatycznymi? - zapytał czterogwiazdkowy generał. - Najpierw strzelać, a potem zadawać pytania? Na pełnym morzu?

- To by się nie różniło od zestrzelenia samolotu pasażerskiego skierowanego na Biały Dom czy Kongres - odrzekł zastępca sekretarza obrony i odwrócił się do oficera marynarki. - Możemy tak zrobić?

- Marynarka wojenna lubi wyzwania - odpowiedział oficer.

- Więc mamy plan. Przedstawię go sekretarzowi obrony i zaczniemy działać. Jutro wraca prezydent. Mój szef wprowadzi go w sprawę. Dziękujemy, panie Austin.

- Jeszcze nie skończyłem - odparł Austin. - Uważamy, że chyba potrafimy zapobiec inwersji biegunów.

Wszyscy w sali spojrzeli na niego.

- W jaki sposób? - zapytał generał bardziej z uprzejmości niż z ciekawości.

- Poprzez emisję fal elektromagnetycznych o takiej częstotliwości, żeby uniemożliwiło to odwrócenie biegunów.

- Jak chce pan tego użyć? - spytał zastępca sekretarza obrony.

- Mam kilka pomysłów.

- Najlepiej załatwi to wystrzelona celnie torpeda - powiedział oficer marynarki.

Wszyscy oprócz Austina wybuchnęli śmiechem.

- Proponuję, żeby przedstawił pan swoje pomysły w raporcie dla mojego szefa - zwrócił się do Austina zastępca sekretarza obrony.

Spotkanie dobiegło końca. Kiedy Austin szedł pod eskortą przez labirynt korytarzy, przypominał sobie swoją wizytę u Ganta. Już wtedy odniósł wrażenie, że nie powinno się lekceważyć jego dwulicowości.

Troutowie zarezerwowali w nadmorskim hotelu pokój z balkonem, skąd rozciągał się widok na port i odległe nabrzeża towarowe. Od chwili przylotu do Rio siedzieli na

zmianę na balkonie i obserwowali trzy statki operacyjne.

Trout przyniósł Gamay szklanę zimnego soku pomarańczowego i przysunął sobie krzesło.

- Coś się dzieje?

Gamay uniosła do oczu lornetkę i popatrzyła uważnie na długie nabrzeże po drugiej stronie portu.

- Odkąd tu jesteśmy, nasze statki nie ruszyły się nawet o centymetr. Trout wziął od niej lornetkę i przyjrzał się trzem frachtowcom przycumowanym równoległe do nabrzeża.

- Zauważyłaś, że nie ma już liniowca?

- Wczoraj był. Musiał odpłynąć rano, zanim wstaliśmy.

Gamay zastanawiała się wcześniej, co statek pasażerski robi w towarowej części portu. Odczytali na rufie nazwę „Polar Adventure”. Ale żadne z nich nie zwracało na transatlantyk większej uwagi. Bardziej interesowały ich trzy frachtowce - „Polaris I”, „Polaris II” i „Polaris III”, nazwane tak od Gwiazdy Polarnej.

- Chyba trzeba się im przyjrzeć bliżej - powiedział Paul.

- Też tak myślę.

Kilka minut później jechali samochodem wzdłuż portu. Hoteli ubywało, okolica miała coraz bardziej handlowy charakter. W końcu dotarli do skupiska magazynów, budynków firm spedycyjnych i biurowców linii żeglugowych. Minęli kilka kontenerowców i puste miejsce po liniowcu pasażerskim. W pobliżu trzech statków, które widzieli z hotelu, ustawiono wartownię.

Na zewnątrz stał muskularny ochroniarz z karabinem i pistoletem. Palił papierosa i rozmawiał z robotnikiem portowym. Paul utrzymywał stałą, szybkość, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale jechał na tyle wolno, że Gamay zdążyła przyjrzeć się dokładnie statkom.

- Pilnuje ich ktoś jeszcze? - zapytał Paul.

- Wygląda na to, że tylko ten jeden facet. Ale inni mogą być na pokładzie.

- Wątpię. Zbyt duża obstawa za bardzo rzucałaby się w oczy. To może być doskonała okazja, żeby tu powęszyc.

- Tak, ale ten typ ma wielką spluwę. Jak chcesz go ominąć? Trout uśmiechnął się do Gamay.

- Myślę, że piękna kobieta mogłaby odwrócić jego uwagę.

- Znowu to samo. Cherchez la femme. Najstarsza sztuczka na świecie. Uważasz, że się na to nabierze?

- Nie żartuj - zachichotał Trout. - To gorący Latynos.

- Chyba niestety masz rację - westchnęła Gamay. - Dobra, odegram Matę Hari, ale ty stawiasz kolację.

Pół godziny później byli z powrotem w swoim pokoju hotelowym. Paul przyrządził dwa zimne drinki z rumem, usiedli ze szklankami na balkonie i na zmianę obserwowali przez lornetkę statki, dopóki nie zaszło słońce.

Po kolacji zamówionej do pokoju Gamay wzięła prysznic, upachniała się perfumami i włożyła czerwoną sukienkę z głębokim dekoltem. W Rio nie brakuje pięknych kobiet, ale Gamay przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn w holu, kiedy szła z Paulem do wyjścia z hotelu.

Nabrzeże towarowe wyglądało teraz zupełnie inaczej. Kierowcy ciężarówek i robotnicy portowi skończyli pracę i zniknęli. Wokół panowała ponura atmosfera.

Żółte światło nieregularnie rozmieszczonych lamp rozpraszała mgła nadciągająca od morza. W oddali odzywała się syrena okrętowa.

Gamay minęła puste miejsce zajmowane wcześniej przez „Polar Adventure”, zjechała na bok i zaparkowała pod latarnią blisko wartowni. Wysiadła z samochodu, stanęła w świetle i łyknęła rumu z butelki. Podniosła maskę i zajrzała do komory silnikowej. Zaklęła głośno po hiszpańsku, kopnęła w błotnik, rozejrzała się i pomachała do ochroniarza. Potem ruszyła chwiejnie w kierunku wartowni.

Muskularny ochroniarz o ciemnej cerze i latynoskich rysach miał podejrzliwą minę. Gamay doskonale mówiła po hiszpańsku, ale teraz celowo bełkotała. Powiedziała, że jej głupi samochód przestał nagle jechać, i poprosiła o pomoc. Ochroniarz zerknął na auto, ukryte częściowo w cieniu, i się zawahał.

- Tylko mi nie mów, że się mnie boisz z tą swoją wielką spluwą. Gamay zatoczyła się, przytrzymała się ramienia ochroniarza i chuchnęła na niego rumem. Urok seksownej, pijanej kobiety podziałał. Ochroniarz roześmiał się lubieżnie i objął Gamay. Ona też się roześmiała i poszli razem do samochodu.

- Chyba mnie wykołowali i nie dali mi silnika - powiedziała.

Miała nadzieję, że facet zachowa się jak prawdziwy mężczyzna i wetknie głowę pod maskę. Kiedy to zrobił, z cienia wyłonił się Trout, klepnął go w ramię i powalił potężnym prawym sierpowym. Zakneblowali i związali zamroczonego ochroniarza ręcznikami hotelowymi, zabrali mu broń i wpakowali go na tylne siedzenie.

Trout włożył jego czapkę i kurtkę, schował do kieszeni latarkę i wsunął za pasek pistolet.

- Jeśli nie wrócę za dwadzieścia minut, wezwij kawalerię. Gamay wzięła karabin i cmoknęła Paula w policzek.

- Ja jestem kawalerią. Bądź ostrożny.

Trout wolałby wsparcie Gamay niż stu Johnów Wayne'ów. Doskonale strzelała, ten, kto znalazłby się w jej celowniku, miałby przed sobą krótkie życie. Trout wspiał się szybko po trapie i rozejrzał po pokładzie. We mgle był słabo widoczny.

Oglądał zdjęcia statku wyrzuconego przez wir, które zrobili Austin i Zavala, i miał ogólne pojęcie o rozkładzie pomieszczeń. Ruszył prawie na ślepo przez mrok i udało mu się znaleźć nadbudowę. Poszukał po omacku wejścia i natrafił palcami na drzwi. Wśliznął się do ciemnego wnętrza i zapalił latarkę zabraną ochroniarzowi. Zobaczył schody prowadzące w dół.

Ściskając w wolnej ręce pistolet Latynosa, zszedł po stopniach i zapuścił się w labirynt korytarzy. Przystanął na końcu jednego z nich i przyłożył ucho do metalowych drzwi. Potem sprawdził, czy są zaryglowane. Nie były. Otworzył je i wszedł.

Jego kroki rozbrzmiewały echem, gdy zbliżał się wolno do barierek ochronnej na galerii. Zorientował się, że jest w pomieszczeniu generatorowym, które opisali mu Austin i Zavala. Poświecił wokół latarką i zrozumiał, dlaczego statku pilnował tylko jeden ochroniarz. Nie było czego pilnować. Ładownia była pusta.

Wrócił na główny pokład. Austin mówił mu o szybko biegnącym w dół przez cały kadłub, od pokładu aż do wody. Odnalazł go w końcu, wraz z ramą wokół czworokątnego otworu. Ale nigdzie nie zauważył konstrukcji w kształcie stożka. Wyglądało na to, że statek został całkowicie ogołoceny. Trout zastanawiał się, czy nie sprawdzić, co jest w sterowni, ale uznał, że nie ma na to czasu. Jeśli nie wróci o



umówionej porze, Gamay zacznie go szukać. Skierował się do trapu.

Ochroniarz odzyskał przytomność i Gamay musiała mu grozić jego własnym karabinem, żeby był cicho, ale poza tym nic się nie działo.

- Co znalazłeś? - zapytała.

- Zupełnie nic. Ciekawe. Podejrzewam, że pozostałe statki też są puste. Wywlekli ochroniarza z samochodu i zostawili w cieniu. Zaczął się szarpać w więzach. Lada chwila mógł się uwolnić. Około trzydziestu metrów od wartowni wrzucili jego broń do basenu portowego. Nie wierzyli, żeby wszczął alarm, kiedy się oswobodzi. Jego szefowie nie byliby zadowoleni, że zawałił robotę. Będzie miał dość kłopotów z wyjaśnieniem, co się stało z jego bronią. W drodze powrotnej do hotelu Trout opowiedział Gamay o swoich poszukiwaniach na statku i ich zaskakującym wyniku.

- Ale dlaczego? I co zrobili z tym całym sprzętem?

Trout pokręcił głową, wziął swoją komórkę i wybrał numer.

- Niech Kurt się tym zajmie.

## 40

Austin sięgnął do szuflady swojego biurka, wyjął strzałkę do gry w rzutki, wycelował w mapę Atlantyku na ścianie i zamachnął się, gdy zadzwieczał telefon. Podniósł słuchawkę. Z Rio dzwonił Paul Trout.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w niczym ważnym? - powiedział.

- Nie - odrzekł Austin. - Wykorzystuję swoją wiedzę naukową do rozwiązania trudnej zagadki. Jak się miewa dziewczyna z Ipanemy?

- Gamay? Dobrze. Ale z tymi statkami operacyjnymi jest jakaś dziwna sprawa. Kilka minut temu byłem na pokładzie jednego z nich. Usunęli z niego turbiny i antenę do emisji fal elektromagnetycznych. Podejrzewam, że pozostałe też tak wyczyścili.

- Pusto? - Austin zastanowił się szybko nad różnymi ewentualnościami. - Musieli to zrobić, kiedy statki były w stoczni w Missisipi.

- Powinniśmy byli się domyślić, że coś nie gra. Te frachtowce po prostu stoją przycumowane i nic się nie dzieje. Żadnych przygotowań. Nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższym czasie miały wyjść w morze. Odkąd tu jesteśmy, z portu wypłynął tylko jeden statek, liniowiec pasażerski.

Austin był głęboko zamyślony i nie słuchał Trouta uważnie.

- Co mówiłeś o tym liniowcu?

- Nazywa się „Polar Adventure”. Stał przycumowany obok statków operacyjnych, ale dzisiaj zniknął. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Być może. Joe ustalił, że jakiś statek pasażerski opuścił stocznię w Missisipi mniej więcej w tym samym czasie, co tamte trzy frachtowce.

- O kurczę! Myślisz, że to ten sam, który widzieliśmy?

- Możliwe - odrzekł Austin. - Podejrzewam, że przenieśli urządzenia na liniowiec, a potem, kiedy obserwowaliśmy wabia, statek pasażerski wymknął się z portu z całym ładunkiem w jasnym świetle dnia. To tyle, jeśli chodzi o plan marynarki wojennej, żeby śledzić frachtowce z okrętu podwodnego.

- Klasyczny numer „przynęta i podmiana”. Cholernie sprytnie.

- Jak dawno temu liniowiec wyszedł z portu?

- Rano.

Austin zrobił w pamięci szybkie obliczenia.

- Mogą być teraz kilkaset mil morskich od lądu. Uciekli nam.
- Co mamy robić?
- Na razie tam zostańcie i obserwujcie te trzy statki na wypadek, gdyby ich właściciele mieli jeszcze jednego asa w rękawie.

Austin się wyłączył. Był zły na siebie. Nie pomyślał o tym, że jeśli ktoś jest na tyle inteligentny, żeby dokonać odwrócenia biegunów, to potrafi również pozbyć się ogona. Skoncentrował się z powrotem na mapie Atlantyku. Z każdą minutą liniowiec miał coraz większą szansę zniknąć bez śladu na pełnym morzu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Pentagonu z wiadomością od Trouta, ale nie był w nastroju do jałowej dyskusji z zastępcą sekretarza obrony.

Sandecker mógłby więcej działać, ale nawet on musiałby walczyć z biurokracją w Pentagonie, a nie było na to czasu. Austin pomyślał, że jeśli grozi im koniec świata, lepiej wziąć sprawy w swoje ręce, niż zostawiać to anonimowym urzędnikom państwowym. NUMA się tym zajmie.

Dziesięć minut później jechał służbowym samochodem przez ciche ulice Waszyngtonu. Dotarł drogą szybkiego ruchu do Narodowego Portu Lotniczego, gdzie wartownik przy bramie zamkniętego terenu sprawdził jego dokument tożsamości i skierował go do hangaru w odległym rogu lotniska. Austin widział z daleka światła i łatwo trafił do miejsca, gdzie na płycie stał boeing 747.

Wokół samolotu paliły się mocne reflektory. Mimo nocy, było jasno jak w dzień. Maszynę otaczały zwoje kabli elektrycznych, stopy aluminium i stali. Robotnicy uwijali się jak mrówki.

Zavala siedział pod wysokim ogonem jumbo jeta przy prowizorycznym stole, skleconym z arkusza sklejki i dwóch kozłów. Oglądał rozłożone plany w towarzystwie mężczyzny w kombinezonie roboczym. Na widok Austina podszedł się przywitać.

- Nie jest tak źle, jak się wydaje - zapewnił. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas.

Austin rozejrzał się dookoła i poczuł ulgę, gdy dostrzegł pewien porządek w pozornym chaosie.

- Kiedy samolot będzie gotowy do startu? - zapytał.
- Mielśmy kilka problemów, ale wszystko jest już na miejscu. Trzeba to tylko zmontować i połączyć. Powinny nam wystarczyć siedemdziesiąt dwie godziny.
- Nie zdążycie do rana? - spytał Austin. Zavala się uśmiechnął.
- Chyba żartujesz.
- Właśnie dostałem od Paula wiadomość, która niestety nie jest żartem - odparł Austin i powiedział Zawali o zniknięciu liniowca pasażerskiego.
- Moglibyście dokończyć robotę w powietrzu? Zavala się skrzywił.
- To jest możliwe, ale odradzałbym takie metody. To tak, jakbyś próbował w biegu włożyć parówkę do hot doga.
- A jeśli ci powiem, że musimy spróbować, bo nie mamy wyboru? Zavala popatrzył na gorączkową krzątanicę dookoła i podrapał się w głowę.
- Zawsze lubiłem soczyste parówki. Pogadam z moją prawą ręką. Mężczyzna, z którym Zavala przeglądał plany, nazywał się Drew Wheeler. Był sympatycznym wirgińczykiem po czterdziestce, specem NUMA od logistyki. Organizował transport dużych ładunków do różnych miejsc na świecie. Austin współpracował z nim przy kilku projektach, kiedy był pilnie potrzebny ciężki sprzęt. Wheeler miał zwyczaj

przeżuwać każdą sprawę jak tytoń, co doprowadzało innych do szału. Ale szybko się przekonywali, że potrafi układać kompleksowe plany, których realizacja przebiega bez zakłóceń.

Austin zapytał go, jaka jest sytuacja, i otrzymał jego typową odpowiedź. Wheeler oparł rękę na biodrze i popatrzył zmrużonymi oczami na samolot niczym farmer, który się zastanawia, jak usunąć z pola pień drzewa.

- Dobra - odrzekł po namyśle.

- Na tyle dobra, że będzie można wystartować jutro rano? Wheeler przez chwilę przetrawiał pytanie.

- O której?

- Jak najwcześniej. Wheeler skinął głową.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Wrócił do odrzutowca wolnym krokiem, jakby był na spacerze. Austin nie dał się zwieść.

- Założę się z tobą o butelkę tequili Pancho Villa, że Drew już wie, jak to zrobić.

- Znam go na tyle dobrze, że wolę się nie zakładać - odrzekł Zavala.

- Mądra decyzja. Skąd wytrzasnąłeś ten samolot?

- Nie uwierzysz, co można dziś wziąć w leasing, jeśli ma się gruby portfel. To transportowiec 200F, zmodyfikowana wersja pasażerskiego 747. Ma nośność ponad stu trzynastu ton. Główny problem polegał na tym, jak załadować na pokład ten cały sprzęt, który widzisz tu dookoła, bez rozpruwania kadłuba. Musieliśmy nad tym trochę pogłównkować z Hibbetem i Barrettem. Cały czas pamiętałem, że mamy zabrać ze sobą wielkie generatory, takie jak tamte, który widzieliśmy na statku operacyjnym. Ale Barrett wpadł na to, że niekoniecznie. Możemy użyć mniejszych, tylko będzie ich więcej.

- A co z cewką? - zapytał Austin.

- Z tym był największy kłopot. Pokażę ci, co zrobiliśmy.

Zavala zaprowadził Austina do dziobu ogromnej maszyny. Dwaj ludzie w kombinezonach roboczych pochylali się nad konstrukcją w kształcie płytkiej miski, umieszczoną na drewnianej platformie. Al Hibbet uśmiechnął się na widok Austina i Zavali.

- Cześć, Al - powitał go Austin. - Jak się bawisz?

- Nie bawiłem się tak dobrze od czasu, kiedy w dzieciństwie dostałem silniczek elektryczny do mojego zestawu „Młody konstruktor”. Karla bardzo mi pomaga.

Drugi robotnik spojrział w górę. Pod daszkiem czapki baseballowej ukazała się uśmiechnięta twarz Karli.

- Chodzi mu o to, że trzymam śrubokręt.

- Wcale nie - zaprzeczył Hibbet. - Karla może nie ma wykształcenia technicznego, ale ma talent do rozwiązywania problemów. Najwyraźniej odziedziczyła geny swojego dziadka.

- Cieszę się, że dobrze wam się pracuje razem - powiedział Austin. - Joe wspomniał mi, że był problem z cewką.

- Zgadza się - przytaknął Hibbet. - Na tamtych statkach operacyjnych opuszczali antenę pod kil. My będziemy musieli podwiesić ją pod kadłubem samolotu.

- Nie będzie problemu przy starcie?

- Rozwiązaliśmy go. To jest obudowa nowo zaprojektowanej anteny. Pomysł wziąłem z samolotów wczesnego ostrzegania. Karla zaproponowała, żeby przekonstruować stożek i umieścić w kopule.

- Kiedyś hodowałam w akwariu gupiki - wyjaśniła Karla. - Mają coś w rodzaju

wola. To mi podsunęło pomysł.

Hibbet zdjął plastikową osłonę z okrągłej metalowej konstrukcji o średnicy około sześciu metrów. Przypominała odwrócony kapelusz kulisa.

- Pomysłowe - powiedział Austin. - Wygląda jak spłaszczona antena stożkowa. Będzie działało tak samo?

- Mam nadzieję, że lepiej - odparł Hibbet.

- To dobrze, bo zmieniliśmy harmonogram. Wszystko musi być gotowe na jutro rano. Będiesz mógł dokończyć montaż w powietrzu?

Hibbet poskubał podbródek.

- Tak - odrzekł po chwili. - Choć to nie są idealne warunki do tak skomplikowanej pracy. Nie zdążymy nawet przetestować turbin. Ale zaraz po zamontowaniu anteny i kopuły możemy zacząć robić resztę. Zapytajmy jeszcze o zdanie Barretta.

Weszli po pochylni do przestronnego wnętrza 747. Wzdłuż niemal całej długości siedemdziesięciometrowej ładowni ciągnął się rząd szesnastu niskich i szerokich metalowych cylindrów, umieszczonych w równych odstępach. Łączyła je sieć przewodów elektrycznych, które bieły w różnych kierunkach. Barrett kłęczał przy kablu między dwoma cylindrami.

Zobaczył Austina i innych i wstał, żeby się przywitać.

Austin popatrzył wokół na skomplikowany zespół urządzeń, który zajmował dużą część wielkiego wnętrza samolotu.

- Prawie - odrzekł Barrett. - Był mały problem z podłączeniem źródła zasilania, ale w końcu zmontowaliśmy system, który powinien działać.

- Bardziej ciekawią mnie prądnice. Gdzie tyle zdobyłeś w tak krótkim czasie?

- Specjalne zamówienie NUMA - wyjaśnił Zawała. - Mają być zainstalowane na nowych statkach. Wypożyczyłem je.

- Nowe źródło zasilania, nowa antena... Wszystko będzie grało?

- Mam nadzieję - odpowiedział Barrett. - A raczej jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Tak wskazują modele komputerowe, które zrobiłem.

Austin pokręcił głową.

- Martwi mnie ten jeden procent. Zdążymy wszystko zrobić do rana? Barrett zachichotał, myśląc, że Austin żartuje. Potem zauważył wyraz powagi w jego oczach.

- Co się stało?

Austin powtórzył mu to, czego się dowiedział od Trouta o tajemniczym liniowcu. Barrett uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Mówiłem Trisowi miesiąc temu o moim pomysle użycia jednego statku, żeby skoncentrować emisję. Przedstawiłem mu nawet plan zamiany. Powiedział, że to by za długo trwało. Chyba nie powinienem być zaskoczony, że znów skłamał.

- Co z naszym harmonogramem? - zapytał Austin. W oczach Barretta błysnął gniew.

- Będziemy gotowi.

Austin i inni zostawili Barretta przy pracy i zeszli po pochylni samolotu. Austin zapytał, w czym mógłby pomóc. Zawała zaznaczył kilka pozycji na liście zaopatrzeniowej. Austin odszedł na bok, gdzie było ciszej, i zadzwonił w kilka miejsc. Wszędzie obiecano mu, że materiał będzie szybko dostarczony. Wraczał do samolotu, gdy dogoniła go Karla. Najwyraźniej obserwowała go, kiedy telefonował.

- Mam prośbę - powiedziała. - Chcę z wami polecieć.

- W takim momencie bohater filmowy mówi: „To może być niebezpieczne” - odrzekł Austin.

- Wiem. Ale na Wyspie Kości Słoniowej też było niebezpiecznie. Austin się zawahał.

- Poza tym - ciągnęła Karla - co może być bardziej ryzykowne niż jazda z tobą parowym stanleyem?

Austin musiałby ją związać, żeby nie weszła do samolotu. Uśmiechnął się.

- Jeśli nie weźmiemy się z powrotem do pracy, nigdzie nie polecimy. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go mocno w usta. Austin przysiągł sobie, że po zakończeniu tej operacji będzie poświęcał więcej czasu na przyjemności.

Kiedy ruszyli do samolotu, podjechał samochód. Zza kierownicy wysiadła wysoka postać i pokuśtykała w ich kierunku. Zjawił się Schroeder.

- Co ty tu robisz? - zapytała Karla.

- Bardziej ciekawi mnie to, jak pan przejechał przez bramę - powiedział Austin.

- Pewność siebie i fałszywe dokumenty. Normalka.

- Miałeś odpoczywać w szpitalnym łóżku - przypomniała surowo Karla.

- Szpital to nie więzienie - odparł Schroeder. - Podpisujesz papier i pozwalają ci wyjść. Myślisz, że bym tam wytrzymał, wiedząc, co się tu dzieje? - Popatrzył z podziwem na samolot w jasnym blasku reflektorów. - Pomysłowe. Naprawdę myślicie, że uda wam się z powietrza zapobiec inwersji?

- Zamierzamy spróbować - odrzekła Karla.

- My? Ty nie polecisz. To może być niebezpieczne.

- Jakbym słyszała Kurta. Powiem ci to samo, co jemu. Za ten bałagan jest odpowiedzialna moja rodzina. Mam obowiązek posprzątać. A przynajmniej pomóc. Schroeder się roześmiał.

- Nie ma wątpliwości, że jesteś wnuczką Laszlo. Uparta jak on. - Odwrócił się do Austina. - Niech pan się nią dobrze opiekuje.

- Obiecuję - odpowiedział Austin.

Schroeder spojrział na krzątanicę wokół samolotu.

- Kiedy startujecie?

- Jutro rano - odrzekł Austin.

- Jest tu jeden stary dinozaur, który wie, kiedy trzeba się wycofać - powiedział Schroeder. - Będę czekał w szpitalu na wasz telefon. Powodzenia. - Objął Karłę, uścisnął Austinowi dłoń i pokuśtykał z powrotem do samochodu. Obserwowali tylne światła auta, dopóki nie zniknęły z widoku, potem Austin odwrócił się do Karli.

- Mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Poszli ramię w ramię w kierunku wielkiego odrzutowca.

\* \* \*

Podczas gdy grupa Austina prowadziła szaleńczy wyścig z czasem, by dokonać niemożliwego, Tris Margrave ani przez chwilę nie wątpił w sukces swojego planu. Wątpliwości były dla niego czymś obcym. Nigdy ich nie miał.

Kiedy „Polar Adventure” płynął przez południowy Atlantyk, Margrave siedział w wygodnym, ergonomicznym fotelu przy pulpicie sterowniczym na platformie obserwacyjnej. Przebiegał długimi palcami po klawiszach jak organista w kościele. Uruchomił prądnice, gdy tylko statek wyszedł z portu. Każdy generator był przedstawiony na wielkim monitorze komputera w postaci czerwonego symbolu z

numerem, który wskazywał teraz niski poziom aktywacji.

Prądnice na ekranie były połączone czerwonymi liniami z kształtem stożka o zielonej barwie. Tylko jego szczyt świecił się na czerwono, co oznaczało, że wielka cewka głęboko w ładowni statku pobiera minimum energii. Margrave'owi kojarzyło się to z silnikiem samochodowym pracującym na jałowym biegu.

Inny monitor wyświetlał przekrój kuli ziemskiej, który pokazywał warstwy w jej wnętrzu. Specjalne czujniki w kadłubie statku miały wykryć penetrację fal elektromagnetycznych i jej zasięg.

Gant zwiedził liniowiec i porozmawiał ze swoją ochroną. Zawsze był perfekcjonistą i chciał mieć pewność, że Margrave szybko zniknie, kiedy przestanie być potrzebny. Wszedł na platformę obserwacyjną i się uśmiechnął.

- Już niedługo?

Margrave zerknął na odbiornik GPS.

- Rano będziemy na miejscu. Ustawienie statku na pozycji i opuszczenie cewki zajmie godzinę. Ocean jest spokojny, więc może nie potrwa to tak długo.

Gant podszedł do baru i nalał szampana do dwóch wysokich kieliszków. Podał jeden Margrave'owi.

- Wypada wznieść toast.

- Za klęskę elit - powiedział Margrave. - Za nowy świat. Gant uniósł kieliszek.

- I nowy porządek na świecie.

## 41

Zavala przeszedł z kabiny 747 do skróconej części pasażerskiej samolotu, gdzie Austin pracował na laptopie.

- Piloci to zabawni ludzie - powiedział Zavala, kręcąc głową. - Chcą wiedzieć, dokąd mają lecieć.

- Na razie możesz im powiedzieć, żeby wzięli kurs gdzieś na środek południowego Atlantyku.

- To już coś - przyznał Zavala.

Austin wskazał ekran swojego komputera.

- Widzisz tu diagram NASA. Są na nim dane, które zebrał statek kosmiczny ROSAT. Ta plama między Brazylią i Afryką Południową to anomalia południowoatlantycka, teren naszych poszukiwań. - Przebiegł palcami po klawiaturze laptopa i zrobił zbliżenie skupiska prostokątów. - Tutaj jest najbardziej wyraźna inklinacja w magnetosferze.

- Co oznacza, że logicznie byłoby rozpocząć inwersję biegunów w tym punkcie - zauważył Zavala.

- Tak i nie. Uważam, że powinniśmy polecieć tutaj. - Austin postukał w inne miejsce na ekranie. - Tu skorupa ziemska jest cieńsza, co umożliwia jej maksymalną penetrację falami Kovacsa.

Zavala wyduł policzki.

- I tak pozostaje kawał oceanu do zbadania. Co najmniej kilkaset mil kwadratowych.

- Trzeba od czegoś zacząć - odparł Austin.

Nastawił ucha. Z ładowni dobiegło buczenie urządzeń elektrycznych. Po chwili do części pasażerskiej weszli Karla i Barrett. Karla miała potargane włosy i sińce pod oczami, Barrett ręce i twarz ubrudzone smarem.

Austin pomyślał, że nawet w tym stanie Karla mogłaby zawstydzić swoją urodą większość modelek. W uniesionej ręce trzymała śrubokręt niczym Statua Wolności pochodnię.

- Czas na fanfary - powiedziała. - Skończyliśmy.

- Wszystkie prądnice pracują- oznajmił Barrett.

Ostatni kabel przeciągnął niecałe pół godziny wcześniej. Kilka minut po zamknięciu drzwi samolot był już w powietrzu. Al Hibbet śledził odlatującą maszynę ze smutną miną. Chciał uczestniczyć w operacji, ale Austin powiedział, że muszą zostawić na ziemi kogoś, kto wie wszystko o operacji. Na wszelki wypadek.

Buczenie brzmiało coraz głośniej. Karla przyjęła gratulacje, potem położyła się na wolnych fotelach i zasnęła. Austin wyjął jej śrubokręt z ręki.

Barrett wziął przykład z Karli. Zajął następny rząd foteli, ziewnął i natychmiast zasnął.

Austin zapisał w swoim komputerze długość i szerokość geograficzną pozycji docelowej, potem poszedł do kabiny, żeby podać współrzędne nawigatorowi samolotu. Zapytał, kiedy będą na miejscu, i usłyszał, że za jakieś dwie godziny. Popatrzył przez szybę na warstwę chmur, która ciągnęła się jak okiem sięgnąć.

Załoga składała się z samych ochotników. Wszyscy zdawali sobie w pełni sprawę, że lecą wykonać niebezpieczne zadanie. Kiedy nawigator ułożył plan lotu, Austin i Zawała wrócili do kabiny pasażerskiej.

- Z tego, co mówiłeś w kabinie, wynika, że dotrzemy do celu mniej więcej w tym samym czasie, co statek - odezwał się Zawała.

- Kiedy dolecimy do tamtego rejonu, będziemy musieli go znaleźć - odrzekł Austin.

- Nie wiem, jak długo to potrwa.

- Spóźnienie może być fatalne w skutkach. Niski pułap chmur raczej nam nie pomoże.

- Myślałem o tym. Troutowie mówili, że chwilę przed tym, jak wessał ich wir, widzieli na niebie wyładowania elektryczne.

- Zgadza się. Al też wspominał, że były fajerwerki, kiedy Amerykanie i Rosjanie eksperymentowali z bronią elektromagnetyczną, bazującą na tezach Kovacsa.

- A więc wszystko wskazuje na to, że zobaczymy taki sam fenomen, kiedy Margrave i Gant włączą swoje urządzenie. Powinniśmy raczej obserwować niebo, nie morze. Chmury mogą nam pomóc znaleźć statek.

- Genialne! Powiem załodze, żeby wypatrywała fajerwerków.

Austin obudził Karłę i Barretta. Dał im kilka minut, żeby doszli do siebie. Gdy samolot leciał w kierunku anomalii południowoatlantyckiej, przedstawił im aktualną sytuację. Uzgodnili, że się rozdzielą, kiedy przyjdzie czas. Karla zajmie stanowisko po jednej stronie kabiny, Barrett po drugiej. Austin będzie w ruchu jako łącznik z Zawałą, czuwającym w kokpicie.

Zawała zawiadomił przez głośniki, że za piętnaście minut przekroczą granicę rejonu poszukiwań. Austin czuł, jak w kabinie rośnie napięcie. Atmosfera stała się jeszcze bardziej nerwowa, gdy Zawała poinformował, że są już w gorącej strefie. Zajęli stanowiska przy oknach samolotu. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Austin

przenosił się z jednej strony szerokiej kabiny na dragą i dodawał innym otuchy. Trudno było uwierzyć, że pod grubą warstwą chmur rozciąga się bezkresny ocean.

Austin zaproponował, żeby latać nad gorącą strefą tam i z powrotem po liniach równoległych. Taką samą metodą, przypominającą koszenie trawnika, zastosowałby podczas poszukiwań zaginionego statku. Metoda ta umożliwiała zbadanie dużego obszaru w stosunkowo krótkim czasie. Zakończyli jeden przelot, potem drugi. Kiedy wykonywali trzeci, Austin zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Co kilka sekund zerkał na zegarek.

Samolot zawrócił, żeby przelecieć następny odcinek, gdy nagle Karla zawołała:

- Coś widzę. Na godzinie trzeciej.

Austin i Barrett rzucili się do okien po jej stronie kabiny. Słońce było nisko i jego ukośne promienie tworzyły niebieskie cienie w pokrywie chmur. Ale na prawo od samolotu niebo pulsowało złocisto-białym blaskiem jak podczas burzy z piorunami. Austin chwycił mikrofon interkomu. Zawała odpowiedział z kokpitu przez głośniki, że też widzi blask w chmurach.

Samolot przechylił się w skręcie i poleciał tam niczym ćma do płomienia.

## 42

Z braku czasu trzeba było maksymalnie uprościć budowę tablicy sterowniczo-kontrolnej w przestronnej ładowni samolotu. Płaski pulpit spoczywał na dwóch wspornikach. Układ nie był skomplikowany. Składał się z głównego włącznika, regulatora zasilania wszystkich prądnic i kilku wskaźników, połączonych z różnymi częściami systemu.

- Wchodzimy w chmury - zawiadomił przez głośniki Zawała.

Austin poczuł na głowie mrowienie i włosy stanęły mu dęba. Nie ze strachu, lecz dlatego, że powietrze było naładowane elektrycznością. Długie blond włosy Karli sterczały na wszystkie strony jak u narzeczonej Frankensteina. Przyglądała je, ale z marnym skutkiem. Ogolony na łyso Barrett nie miał takiego problemu, choć tatuaż pająka dostał gęsiej skórki.

Elektryczny pokaz dopiero się zaczynał. Każda powierzchnia w ładowni rozjarzyła się na niebiesko. Przypominało to płasający ogień świętego Elma, który marynarze widywali kiedyś na takielunku żaglowców. Światła wewnątrz samolotu migały, jakby dziecko bawiło się włącznikiem. Potem całkiem zgasły.

Stroboskopowe błyski na zewnątrz oświetlały rzędy okien odrzutowca i oszołomione twarze za szybami. Wydawało się, że transportowiec jest w samym środku burzy w piorunami. Ale nie było słycać grzmotów, tylko przytłumiony huk silników. Względna cisza potęgowała upiorny nastrój.

Interkom najwyraźniej pracował na oddzielnym obwodzie, bo z głośników dobiegł krótki i rzeczowy meldunek Zawali:

- Nie działają przyrządy w kokpicie.

Sekundę później rozległy się jeszcze bardziej przerażające słowa:

- O cholera, sterowania też nie mamy.



Austin wiedział, że samolot wielkości jumbo jeta nie wpadnie natychmiast w nurkowanie, ale nie potrafi też latać jak szybowiec. Przy braku napędu zacznie koziołkować i straci skrzydła. Austin opiekuńczym gestem objął Karłę.

W ładowni coś się zmieniło. Elektryczny blask przygasał. Zimny ogień płasający po ścianach i suficie zamierał. Na tle upiornego niebieskiego światła pojawiły się ciemne plamy. Nastąpił ostatni jasny błysk. Zapaliły się lampy wewnętrzne.

Po chwili Zavała oznajmił przez głośniki:

- Przyrządy i stery nie działają.

Austin puścił Karłę i podszedł do pulpitu sterowniczego. Obawiał się, że wyładowania elektryczne zniszczyły obwody. Ku jego uldze, nic nie ucierpiało.

Karla zauważyła zmianę w świetle na zewnątrz i wyrzała przez okno. Przycisnęła twarz do szyby i zawołała innych. Wyłonili się z gęstych chmur. Między niskimi obłokami prześwitywało niebieskie morze. Austin dostrzegł migotliwy blask. W powietrzu powstała kopa wirującej bieli, błękitu i purpury. Wydawało się, że niebo płonie, jakby szalało sto burz z błyskawicami.

Samolot przeleciał przez elektryczną barierę nietknięty, ale to jeszcze nie był koniec. Choć elektryczny atak minął, im byli niżej, tym gwałtowniejsza turbulencja miotła odrzutowcem. Silny wiatr uderzał w maszynę ze wszystkich stron. Mimo ogromnej masy, 747 opadał, wznosił się i zmieniał kierunek jak latawiec na sznurku.

Samolot przyjmował na siebie potężne podmuchy wichury niczym bokser ciosy. Kiedy wiatr walił w kadłub, w ładowni rozbrzmiewał głośnie hałas, jakby maszyna toczyła się po wyboistej drodze. Gdy wydawało się, że następne uderzenie wyrwie wszystkie nity, ciosy żywiołu osłabły i stały się rzadsze. Potem zapanował spokój.

- Nikomu nic się nie stało? - zapytał Zavała.

- Nie, ale musisz wymienić amortyzatory.

- Muszę wstawić sobie nowe zęby - odparł Zavała.

- Powiedz pilotowi, że dobrze się spisał. Skrzydła jeszcze się trzymają?

- Pilot dziękuję i pyta, po co komu skrzydła?

- To pocieszające. Widzisz statek?

- Jeszcze nie. Wciąż tylko trochę chmur. - Zavała umilkł i po chwili zawołał z podnieceniem: - Spójrz w lewo, Kurt. Mniej więcej na godzinie dziewiątej.

Austin wyrzał przez okno i zobaczył w dole liniowiec. Statek wyglądał na oceanie jak zabawka. Brak kilwatera oraz wcześniejsze wyładowania elektryczne i turbulencja, które napotkał samolot, potwierdziły to, co Austin już wiedział - liniowiec stał i rozpoczął już atak elektromagnetyczny.

Statek otaczał krąg fal rozchodzących się kuliście coraz dalej. Trudno było ocenić ich wielkość, ale fakt, że z lecącego wysoko samolotu wyraźnie widzieli ich spienione grzbiety, wskazywał na to, że są ogromne.

Austin połączył się przez interkom z pilotem i poprosił, żeby zszedł na wysokość trzech tysięcy metrów i zaczął krążyć wokół liniowca, zniżając się przy każdym okrążeniu o trzysta metrów. Potem odwrócił się do Barretta, który stał przy pulpicie sterowniczym, i kazał mu się przygotować. Komputerowiec skinął głową i zaczął zwiększać zasilanie prądnic. Wnętrze samolotu wypełniło elektryczne buczenie jak w ulu z tysiącem pszczół.

Coś się paliło. Austin spojrzał w głąb ładowni. Jedna z prądnic iskrzyła i dymiała. Krzyknął do Barretta, żeby odciął zasilanie, i pobiegł w kierunku awarii. Karla za

nim.

Barrett zobaczył na wskaźniku, że jest problem, i już cofnął regulator. Austin odnalazł źródło iskrzenia. W czasie gwałtownej turbulencji obluźowało się jedno złącze.

Austin obejrzał końcówkę kabla. Nie była uszkodzona, więc szybko umocował ją z powrotem. Zawołał do Barretta, żeby dał zasilanie. Znow rozległo się buczenie. Narastało, miało coraz wyższy ton, aż zagłuszyło huk silników odrzutowych. Karla stanęła obok Barretta przy pulpicie sterowniczym. Austin został blisko interkomu, żeby być w kontakcie z kokpitem. - Jak to wygląda? - zapytał.

Barrett obrzucił wzrokiem wskaźniki i się uśmiechnął.

- Wszystko gra.

Austin pokazał mu uniesiony kciuk i zawołał do Zawali:

- Jaką mamy wysokość?

- Dwa tysiące czterysta metrów.

- Dobra. Zejdźcie na tysiąc dwieście i przelećcie w linii prostej nad statkiem. Daj mi znać, kiedy zaczniemy podejście do celu.

- Tak jest, szefie.

Kiedy samolot opadł niżej, pilot znow musiał walczyć z niespodziewaną turbulencją ale wprawnie wyrównał maszynę. Zawała zawiadomił, że zbliżają się do liniowca.

Austin krzyknął do Barretta, żeby włączył prąd. Barrett zawahał się z ręką nad pulpitem sterowniczym, jakby go nie rozumiał. Potem odsunął się na bok i położył na włączniku dłoń Karli.

- To na cześć twojego dziadka.

Karla uśmiechnęła się i przestawiła włącznik. Do anteny dopłynął prąd i został przetworzony na impulsy energii elektromagnetycznej, bombardujące ocean.

Chwilę później byli nad statkiem. Austin kazał pilotowi powtórzyć manewr pod innym kątem. Samolot tego typu nie nadawał się do nalotów bombowych. Zakręcił szerokim łukiem i powrót nad cel trwały całą wieczność.

Zawała znow krzyknął, że są pięćset metrów od liniowca. Karla znow uwolniła energię.

Następny przelot, następna seria impulsów elektromagnetycznych spłynęła do morza wokół statku.

- Jak długo będziemy to robili? - zapytał Zawała.

- Dopóki nie zabraknie nam paliwa - odparł Austin z determinacją w głosie.

Na platformie obserwacyjnej „Polar Adventure” panowała euforia.

Margrave i Gant patrzyli w górę przez szklany sufit, na ich twarze padał różnokolorowy blask, który pulsował wysoko nad statkiem. Twarz Margrave'a nigdy nie wyglądała bardziej demonicznie.

- Piękne widowisko - powiedział Gant w rzadkim przypiływie emocji. Margrave stał przy pulpicie sterowniczym. Zwiększył stopniowo moc prądnic do maksimum. Konsola była oświetlona jak automat do gry.

- Zorza wskazuje, że osiągnęliśmy masę krytyczną - odrzekł. - Fale

elektromagnetyczne przenikają przez dno oceanu. Zmieniają przebieg pola elektromagnetycznego i spowodują odwrócenie biegunów. Obserwuj kompas.

Gant zerknął na kompas, potem wyrżał przez jedno z okien widokowych.

- Coś się dzieje na morzu.

Wzburzona woda wokół statku nagle się uspokoiła.

- Jesteśmy w epicentrum inwersji biegunów - wyjaśnił Margrave. - Krąg gigantycznych fal będzie się od nas oddalał. Na jego obrzeżach powstaną wiry.

- Dobrze, że nas tam nie ma - odparł Gant.

- Na szczęście. Obszar zaburzeń jest nieprzewidywalny. Dlatego zatonął nasz statek operacyjny. Tutaj jest spokojnie jak w oku cyklonu. Odczujemy tylko lekkie wypiętrzenie wody.

Gant popatrzył na wznoszące się morze. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki potężny.

Samopoczucie Austina było odwrotnością nastroju Ganta. Austin czuł się jak lekarz, który próbuje reanimować pacjenta, tylko że w tym wypadku chodziło o miliony istnień ludzkich. Wyrżał przez okno, gdy samolot przechylił się w zakręcie, by wykonać kolejny przelot. Nie potrafił powiedzieć, czy to, co robią, odnosi jakiś skutek.

Potem zobaczył, że woda wokół statku jest spokojna, jakby wygładzał ją podmuch od rotora helikoptera. Na powierzchni morza były bruzdy, które mogły świadczyć o obecności silnego prądu. Chwilę później ocean ze statkiem w środku zaczął wirować. W ciągu sekund wir miał już co najmniej milę średnicy. Otaczała go ściana piany. Kiedy szybkość obrotowa kręgu wzrosła, poziom wody wewnątrz zaczął się obniżać.

„Polar Adventure” uniósł się tylko dwa metry ponad poziom otaczającego go morza i zaczął z powrotem opadać. Gant zauważył, że w oceanie wokół statku powstaje depresja.

- To kolejny skutek uboczny? - zapytał.

- Nie - zaprzeczył Margrave. Jego zdumienie przerodziło się w niepokój, gdy powierzchnia morza opadła jeszcze niżej. Biała piana wskazywała na kolizję silnych prądów. Chwycił mikrofon interkomu. - Pełna moc silników! - krzyknął na mostek. - Wsypa nas wir. Wyłączył prądnice.

- Co ty robisz? - zapytał Gant.

- Coś jest nie tak. Nie powinno być takiej reakcji.

Niecka w oceanie pogłębiała się, ale statek płynął już pełną parą w kierunku krawędzi wodnego leja. Uniesiony lekko dziób zmagił się z żywiołem, który spychał liniowiec z kursu, ale statek posuwał się powoli naprzód.

Jednak średnica wiru rosła. Margrave zawołał na mostek, żeby dać więcej mocy, ale wyglądało na to, że liniowiec przegra wyścig z czasem i nie wydestanie się z wodnego leja.

Potem sytuacja nagle się zmieniła. Prądy osłabły, woda zaczęła się z powrotem wznosić do poziomu morza. Znowu powstawało wypiętrzenie.

- Co się stało? - spytał Gant.

- Nic takiego - odrzekł Margrave i otarł pot z czoła. Uśmiechnął się i znowu włączył

prądnicie.

Statek unosił się coraz wyżej, morze wokół niego zaczęło się burzyć. Liniowiec pasażerski znalazł się na wysokości pięciu metrów, potem dziesięciu.

- Przerwij to - powiedział Gant.

Margrave znów odciął zasilanie, ale statek nadal się wznosił. Piętnaście metrów.

- Ty idioto! Coś ty narobił?

- Modele komputerowe...

- Mam gdzieś modele komputerowe!

Margrave zostawił pulpit sterowniczy i podbiegł do jednego z wielkich okien platformy obserwacyjnej. Popatrzył ze zgrozą na morze. Statek był na szczycie ogromnego słupa wody, który szybko rósł.

Austin patrzył na wir, dopóki nie osiągnął średnicy około dziesięciu mil. Teraz obserwował z fascynacją, jak wodny lej wraca do poziomu morza, zamienia się w białą kipieli i zaczyna tworzyć wypiętrzenie.

Słup wody wyrastający ze środka wiru był coraz wyższy i szerszy. Obracał się niczym tańczący derwisz.

Samolot skręcał, by wykonać kolejny przelot. Austin wbiegł do kokpitu.

- Musimy wznieść się jak najwyżej. Uciekajmy stąd. Pilot skierował maszynę stromo w górę.

Słup wody przypominał Austinowi zdjęcia prób bomb jądrowych na Pacyfiku.

W radiu odezwał się głos:

- SOS! SOS! Niech ktoś się zgłosi! SOS! Austin wziął mikrofon.

- Przyjąłem. Słucham.

- Tu Gant na „Polar Adventure”. - Musiał krzyczeć przez hałas w tle.

- Wygląda na to, że jest pan na przejażdżce kolejką górską - powiedział Austin.

- Kto mówi? Gdzie pan jest?

- Kurt Austin. Jesteśmy kilkaset metrów nad pańską głową. Niech pan szybko spojrzy w górę, bo nie zostaniemy tu długo. Ale doktor Kovacs przesyła pozdrowienia.

Po chwili milczenia Gant zapytał:

- Co się, do cholery, dzieje, Austin?

- Zaaplikowaliśmy wam dawkę antidotum na inwersję biegunów. Powiedziałbym, że pan i pański wspólnik jesteście skończeni.

Wściekła odpowiedź Ganta zabrzmiała niezrozumiale w ogłuszającym hałasie.

Austin wyjrzał przez szybę kokpitu. Statek był na szczycie słupa wody i obracał się jak bąk. Austin wyobrażał sobie panikę na pokładzie. Ale nie współczuł Margrave'owi i Gantowi, którzy sami doprowadzili do swojego unicestwienia.

Kiedy samolot zmienił kurs i zaczął się oddalać od celu niczym ogromny ociążały wieloryb, napotkał turbulencję wytworzoną przez uwolnione potężne siły, ale była niczym w porównaniu z wcześniejszymi podmuchami wiatru. Odrzutowiec wznosił się dalej bez przygód, aż osiągnął pułap siedmiu i pół tysiąca metrów,

Karla miała twarz przyklejoną do szyby, choć nie widziała nic poza normalną pokrywą chmur. W końcu odwróciła się do Austina z wyrazem oszołomienia w oczach.

- Co tam się stało? - zapytała.
- Twój dziadek nie pomylił się w obliczeniach.
- Chodzi mi o ten słup wody.

Austin nie był pewien, co się wydarzyło, ale podejrzewał, że walka na impulsy elektromagnetyczne między statkiem i samolotem spowodowała działanie niewyobrażalnych sił.

- Natura nie lubi, kiedy się nią manipuluje. - Austin się uśmiechnął. - To tak, jakby wziąć lekarstwo na rozstrój żołądka. Zawsze jest to ostatnia erupcja, zanim sytuacja się poprawi.

- Więc to nareszcie koniec.

- Mam nadzieję. - Austin połączył się z kokpitem. - Jak się zachowuje kompas?

- Normalnie - odrzekł Zawała. - Nadal wskazuje północ. Mniej więcej. Barrett nie ruszał się od pulpitu sterowniczego. Kiedy usłyszał meldunek Zawali, klasnął w dłonie. Podszedł do Karli i Austina i uściskał ich mocno.

- Udało się - powiedział. - Na Boga, udało się! Austin uśmiechnął się ze zmęczeniem.

- Tak, udało się. Naprawdę się udało.

## 43

Doyle był zadowolony, że jest to jego ostatnia podróż na wyspę z latarnią morską. Nigdy nie lubił tego miejsca. Wychował się w wielkim mieście i nie dostrzegwał piękna tego odludzia. Wiedział, że będzie jeszcze bardziej szczęśliwy, kiedy pozbedzie się Legionu Lucyfera i opuści wyspę na zawsze.

Wylądował swoim hydroplanem niedaleko brzegu, przywiązał go do boi cumowniczej i łódką popłynął do przystani, gdzie czekał na niego jeden z członków Lucyfera. Doyle nigdy nie potrafił zapamiętać nazwisk tych typów i rozróżniał ich po kolorze włosów. Ten facet był rudy. Ponieważ to on najbardziej przypominał Margrave'a, wydawało się, że ma w grupie wyższy status niż inni, choć nie pełnił roli przywódcy. Anarchiści nie uznawali żadnej hierarchii.

- Nie widziałem cię od czasu tamtego pościgu za samochodem pod Waszyngtonem - odezwał się rudzielec cichym głosem, który brzmiał jak szelest węża w suchych liściach. - Szkoda, że nam uciekli.

- Nic straconego - odparł Doyle. - Zajmiemy się Austinem i jego przyjaciółmi, jak rozprawimy się z elitami.

- Nie mogę się tego doczekać - powiedział mężczyzna. - Trzeba było nas uprzedzić, że przylecisz.

Doyle wziął swoją brezentową torbę podróżną.

- Tris chciał wam zrobić niespodziankę.

Wyglądało na to, że wyjaśnienie zadowoliło legionistę. Skinął głową i poszedł z Doyle'em do windy. Wjechali na szczyt klifu.

Na górze czekała reszta lucyferów. Kiedy Doyle wyjaśnił im przyczynę swojego przylotu na wyspę, wyszczerzyli zęby w niepokojącym uśmiechu. Ruszyli do domu latarnika. Doyle poprowadził ich do kuchni Margrave'a. Postawił na stole sześć wysokich kieliszków i piwo.

Wyjął ze swojej torby butelkę szampana i nalał. Potem otworzył puszkę piwa i uniósł ją wysoko.

- Za zniszczenie elit. Rudy się roześmiał.

- Za długo się z nami zadajesz, Doyle. Zaczynasz mówić jak my, stuknięci anarchiści.

Doyle mrugnął do niego przyjaźnie.

- Widocznie to zaraźliwe. Zdrówko.

Przechylił puszkę i wypił połowę piwa. Otarł usta wierzchem dłoni i popatrzył z zadowoleniem, jak legioniści wlewają w siebie szampana niczym wodę.

- A przy okazji, Margrave prosił, żebym dał wam to...

Przesyłka przyszła dzień wcześniej. Była do niej dołączona kartka od Ganta o następującej treści: „Operacja przełożona na przyszły tydzień. Przekaż ten prezent naszym przyjaciom w Maine, kiedy poczęstujesz ich specjalnym szampanem. Powiedz im, że to od Margrave’a. Zaczekaj, aż wszystko wypiją. To bardzo ważne”.

Rudy otworzył opakowanie. W środku była płyta DVD. Wzruszył ramionami i włożył ją do odtwarzacza. Po kilku sekundach na ekranie ukazało się nieruchome zdjęcie twarzy Ganta.

Chcę się pozbyć Legionu Lucyfera - rozległ się jego głos.

Jak proponujesz to zrobić?

Doyle nie wierzył własnym uszom. To była jego rozmowa z Gantem po polowaniu na lisa.

Polecisz na wyspę Margrave’a w Maine i powiesz im, że masz dla nich prezent od niego. Poślesz ich do piekła, gdzie ich miejsce, za pomocą butelki bąbelków.

Wszyscy w kuchni patrzyli na Doyle’a.

Zdobył się na swój najbardziej czarujący irlandzki uśmiech.

- To nie to, co myślicie.

Nie miał szans. Jego los był przesądzony w momencie, kiedy dostał płytę. Nigdy się nie dowiedział, że przysłał mu ją Barrett, nie Gant. I że pluskwa, którą Austin umieścił pod ogrodowym stolikiem, spisała się doskonale, wyłapując polecenie Ganta, żeby zlikwidować legionistów.

Doyle zerwał się i rzucił do drzwi, ale jeden z lucyferów podciął mu nogi. Doyle upadł. Podniósł się i sięgnął do kabury na kostce, ale powalono go z powrotem na podłogę i rozbrojono. Popatrzył na sześć demonicznych twarzy wokół siebie.

Nic z tego nie rozumiał. Anarchiści wiedzieli, że ich otruł, a mimo to się uśmiechali. Nie miał pojęcia, że żądza mordu stłumiła w nich wszystkie inne uczucia, nawet strach przed śmiercią.

Usłyszał, jak wysuwa się szuflada z nożami kuchennymi. Potem go zaatakowali.

## EPILOG

Dwieście mil morskich na wschód od Norfolk w Wirginii dwa statki badawcze

NUMA i NOAA, „Peter Throckmorton” i „Benjamin Franklin”, płynęły obok siebie przez zielony ocean jak para współczesnych okrętów pirackich.

Dzioby z szumem przecinały wodę, pokłady ochlapywanie były rozbryzgami niesionymi przez wiatr. W słabo oświetlonym centrum obserwacyjnym „Throckmorta” panowało napięcie. Spider Barrett siedział przy komputerze, przebiegał palcami po klawiaturze i nie odrywał wzroku od obrazu kuli ziemskiej na ekranie monitora. Choć pomieszczenie było klimatyzowane, na wytatuowanej głowie Barretta lśnił pot.

Otaczali go Zavala, Hibbet i Adler, ekspert od fal morskich, którego Joe i Austin poznali na pokładzie „Throckmorta”. Wokół zebrało się też kilku techników z załogi statku.

Barrett przerwał na chwilę pracę i przetarł oczy, jakby chciał się poddać. Potem znów opuścił ręce na klawiaturę niczym pianista na koncercie. Na wyświetlonych oceanach zaczęły się pojawiać pulsujące czerwone punkty. Barrett odchylił się na krześle do tyłu i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Panowie - oznajmił uroczyście - mamy je. Rozległy się brawa.  
- Nadzwyczajne! - wykrzyknął doktor Adler. - Nie mogę uwierzyć, że jest tyle miejsc, gdzie powstają wielkie fale.

Barrett kliknął myszą na jednym z punktów. Pojawiły się informacje o stanie morza, pogodzie i prądach w tym rejonie. Najważniejszą była ocena zagrożenia z podaniem potencjału i wielkości gigantycznej fali.

Znów rozległy się brawa.

Zavala wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił na „Benjamin Franklina”. Gamay i Paul czekali na jego telefon w podobnym centrum na statku NOAA.

- Przekaż Paulowi, że orzeł wylądował - powiedział do Gamay. - Szczegóły później.  
Wyłączył się i poszedł w róg pomieszczenia, gdzie zostawił plecak. Otworzył go i wyjął parę butelek tequili i stos plastikowych kubków. Nalał kolejkę i wzniosł toast:

- Za Laszlo Kovacsa.  
- I za Spidera Barretta - przyłączył się Hibbet. - Przekształcił niszczycielską siłę w coś dobrego. Jego praca uratuje życie setkom, a może nawet tysiącom marynarzy.

Barrett wziął się do roboty podczas lotu powrotnego znad anomalii południowoatlantyckiej, kiedy zobaczył, jaka niekontrolowana potęga została uwolniona. Starał się wymyślić pożyteczny sposób wykorzystania też Kovacsa. Po wylądowaniu w Waszyngtonie zniknął na kilka dni, potem zjawił się nieoczekiwanie w kwaterze głównej NUMA i przedstawił swój pomysł Alowi Hibbetowi.

Jego plan zapierał dech, ale był niezwykle prosty. Barrett zaproponował użycie fal elektromagnetycznych Kovacsa do wykrywania pod dnem morskim anomalii, mogących powodować zaburzenia na powierzchni. Każdy statek oceaniczny odpowiedniej wielkości byłby wyposażony w czujnik Kovacsa, umieszczony na dziobie. Sensory stale przekazywałyby informacje, kompilowane z obserwacjami satelitarnymi i odczytami ziemskiego pola magnetycznego.

Dane wprowadzono by do komputerów i po analizie wysyłano jako ostrzeżenia o możliwości występowania w pewnych miejscach gigantycznych fal. Statki mogłyby wówczas omijać niebezpieczne rejony. Postanowiono przeprowadzić testy morskie w pobliżu pozycji, gdzie wielkie fale zatopiły „Southern Belle”. Ze względu na zainteresowanie NOAA wirami oceanicznymi zaproszono tę agencję do współpracy.

Dwa statki badawcze spotkały się nad wrakiem „Southern Belle”. Do wody rzucono wieniec, by uczcić pamięć załogi kontenerowca. Potem rozpoczęto próby, które trwały kilka dni. Pojawiło się parę problemów, ale szybko je rozwiązano. Teraz, kiedy sprawdzian systemu zakończył się sukcesem, w centrum obserwacyjnym zapanował doskonały nastrój - zwłaszcza po solidnej porcji tequili.

W pewnym momencie impulsywny, lekko wstawiony Al Hibbet zwrócił się do Zawali:

- Szkoda, że Kurt nie może być z nami. Traci dobrą zabawę. Zawała uśmiechnął się ze znajomością rzeczy.
- Na pewno nie narzeka.

Karla Janos wyszła z tunelu i zamrugła oczami jak kret. Miała brudną twarz i zakurzony kombinezon. Pokręciła z podziwem głową. Widok, który miała przed sobą wciąż robił na niej wrażenie. W trawiastej niecce na dnie kaldery wyrosła cała wioska. W równych rzędach stało ze trzydzieści wielkich namiotów. Służyły do spania, gotowania i badań. W pobliżu widać było kilka helikopterów.

Wokół namiotów panowała krzątanina. Ułatwiono dostęp do kryształowego miasta - wydrążono tunel i usunięto z drogi odłamki skalne. Tunelem przeciągnięto kable generatorów prądotwórczych. Pomiedzy podziemnym miastem i obozem stale kursowali naukowcy i ich asystenci.

Karla była szczęśliwa, chociaż bardzo zmęczona. Zespoły naukowe pracowały całą dobę na trzy zmiany. Niektórzy, jak Karla, tak się zaangażowali w swoją pracę, że nie kończyli jej po jednej zmianie. Karla odchyliła głowę do tyłu i kilka razy zaczerpnęła głęboko świeżego powietrza. W niebieskoszarym świetle zauważyła na niebie ruchomy punkt. Zaczął opadać w dolinę.

Kiedy obiekt się zbliżył, zobaczyła dużą kolorową lotnię. Z nadzieją pobiegła na puste miejsce z dala od namiotów i zaczęła szaleńczo machać czapką baseballową.

Człowiek na motolotni schodził w dół spiralą ale skręcił w jej kierunku, wyhamował i wylądował zaledwie metry od niej. Kurt Austin zdjął uprząż i zrolował płat nośny. Podeszedł z szerokim uśmiechem:

- Dzień dobry - powiedział.

Karla często o nim myślała w ciągu ostatnich kilku tygodni. Ich pierwsze spotkanie było krótkie, ale bardzo miłe. Potem wyjechała na Syberię. Żałowała, że nie zdążyła lepiej poznać tego przystojnego mężczyzny z NUMA.

- Co tu robisz? - zapytała z mieszaniną radości i konsternacji.
- Wpadłem zabrać cię na lunch. Zerknęła na zegarek.
- Jest trzecia nad ranem.
- Kiedyś trzeba zjeść lunch. Nie po to pokonałem taki kawał drogi, żeby usłyszeć odmowę.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Jesteś szalony.

W niebieskich oczach Austina pojawił się błysk rozbawienia.

- Szaleństwo to część pracy w NUMA. - Wziął Karłę za rękę. - Jak mówi stara piosenka Sinatry, „poleć ze mną”.

Odgarnęła z czoła kosmyk blond włosów.



- Pracowałam całą noc. Okropnie wyglądam.
- W knajpie, którą mam na myśli, nie obowiązują eleganckie stroje - odrzekł Austin.
- Chodź.

Poprosił Karłę, żeby pomogła mu przenieść jego motolotnię na otwarty teren, gdzie udzielił jej krótkiej lekcji. Rozłożyli skrzydło na ziemi i przypięli się do podwójnego siedzenia. Kiedy podmuch od śmigła wypełnił płat nośny, zaczęli biec. Karła okazała się urodzonym lotniarzem i start udał się dużo lepiej niż wówczas, gdy pierwszy raz leciał z Zawalą. Gdy byli w powietrzu, Austin zatoczył krąg nad namiotami i zaczął się wznosić.

- Sceneria bardzo się zmieniła przez kilka tygodni - powiedział, kiedy oddalali się od ziemi w dół.

- Tym odkryciem naukowym stulecia zajmują się czołowi paleontolodzy, archeolodzy i biolodzy z całego świata.

- To odkrycie jest twoją zasługą.

- Nie tylko moją ale dziękuję. Za ten lot też. Jest cudownie.

- Owszem - przyznał Austin z zupełnie innej przyczyny. Był blisko pięknej, interesującej młodej kobiety i czuł ciepło jej ciała.

Motolotnia z dwójką pasażerów wydostała się z kaldery. Austin poinstruował Karłę, co ma robić w czasie lądowania, i skierował się w kierunku stosunkowo płaskiego miejsca na obrzeżu wulkanu. Lądowanie było trochę niezgrabne, ale nie takie złe. Karła zdjęła uprząż i podeszła do rozpostartego na ziemi obrusa w czerwono-białą szachownicę. Rogi były przyciśnięte kamieniami. Na środku stał miniaturowy wazonik z kwiatkiem polnym i pojemnik izotermiczny.

Austin zatoczył ręką szeroki łuk.

- Stolik z widokiem, mademoiselle. Karła pokręciła głową - Naprawdę jesteś szalony.

Austin otworzył pojemnik i wyjął kilka słoików, puszek i butelek.

- Poczęstunek od kapitana Iwanowa. Maślaki na zakąskę, tuszonka i czerwony kawior z żytnim chlebem na deser. A do picia dobre czerwone gruzińskie wino.

- Jak się tu dostałeś?

- Dowiedziałem się, że kapitan Iwanow ma dostarczyć tutaj grupę naukowców, między innymi z NUMA, więc zabrałem się z nimi. - Austin otworzył słoiki i puszki, potem napełnił winem dwa kieliszki. - Teraz, kiedy dokładnie badasz kryształowe miasto, co o nim myślisz?

- Dopiero po wielu latach pracy poznamy jego historię, ale przypuszczam, że zostało zbudowane w epoce kamiennej w pustej komorze po magmie.

- Dlaczego pod ziemią?

- Dla obrony lub z powodu zmian klimatycznych. Używano mamutów jako zwierząt pociagowych, co umożliwiło transport gigantycznych bloków.

- A co się stało z mieszkańcami?

- Być może zmiany klimatyczne pozbawiły ich żywności. Inwersja biegunów mogła wywołać powódź lub trzęsienie ziemi, co spowodowało częściowe zawalenie się komory. Stąd dziwny kształt kaldery. Szlak w górę zbocza wulkanu wskazuje na to, że zwykła droga do miasta z jakiejś przyczyny została zablokowana.

- Ale jak udało się przetrwać mamutom?

- Zaadaptowały się. Kiedy zaczęło brakować pożywienia, skarłowaciały, żeby przystosować się do nowych warunków. Wygląda na to, że w najzimniejszej porze roku zapadają w sen zimowy.

- Kim mogli być mieszkańcy miasta?

- To zagadka. Może potrzeba będzie dziesiątków lat badań, zanim się dowiemy, kim byli i co się z nimi stało.

- A jak się czują małe włochacze?

- Mamuty? Dobrze. Wydają się zadowolone z życia w zagrodzie, którą dla nich zbudowaliśmy. Karmimy je. Wszystkim kieruje Maria Arbatow. Najtrudniej będzie je chronić przed światem zewnętrznym. Łatwo sobie wyobrazić, jakie zainteresowanie mediów wzbudzamy. Staramy się panować nad sytuacją.

Austin popatrzył na wyspę.

- Mam nadzieję, że środowisko naturalne wytrzyma naszą agresywną dociekliwość.

- Myślę, że tak. Chodzi o badania naukowe, a nie o próby klonowania mamutów.

- Co dalej?

- Spędzę tu jeszcze kilka tygodni, potem odwiedzę wujka Karla w Montanie. W przyszłym miesiącu będę w Waszyngtonie. Mam wykład w Instytucie Smithsonianym.

- Świetnie. Co byś powiedziała na koktajl, kolację i tak dalej? Karla podniosła znad kieliszka szare oczy.

- Intryguje mnie zwłaszcza „i tak dalej”.

- Więc mamy randkę w Waszyngtonie. Chyba czas wznieść jakiś toast. Panie pierwsze.

Nie musiała się długo zastanawiać.

- Za wujka Karla. Gdyby nie uratował kiedyś mojego dziadka, to wszystko nie byłoby możliwe.

- Wypiję za to. Gdyby nie wujek Karl, nigdy bym cię nie poznał. Posłała Austinowi obiecujący uśmiech. Potem, w arktycznym półmroku, unieśli wysoko kieliszki i wypili wzajemnie swoje zdrowie.

Chociaż śmierć towarzyszyła mu przez większość życia, Schroeder już nie pamiętał, kiedy ostatni raz uczestniczył w pogrzebie. Musiał teraz pochować Schatsky. Bardzo lubił tę małą jamniczkę, zabił ją przez jednego z ludzi Ganta. Na szczęście w górskim drewnianym domu Schroedera utrzymywała się niska temperatura, więc zwłoki suczki dobrze przechowały się podczas jego nieobecności.

Wziął sztywne ciało, zmył z niego krew najlepiej, jak mógł i zawiązał Schatsky w jej ulubiony koc. Wykorzystał posłanie jamniczki jako całun i zaniósł ją do lasu za domem. Wykopał głęboki dół i pochował suczkę razem z kośćmi i jej ulubionymi zabawkami.

Oznaczył mogiłę głazem, wrócił do domu, przyciągnął do lasu drewnianą skrzynię i wykopał drugi dół niedaleko psiego grobu. Wrzucił do środka całą swoją broń i zasypał ziemią. Na wszelki wypadek zostawił sobie strzelbę, ale już nie potrzebował zabójczych narzędzi, które trzymał ukryte pod podłogą.

W ten sposób zamknął jeden rozdział swojego życia. Zawsze mogło się zdarzyć, że powróci coś nieprzyjemnego z przeszłości, ale im był starszy, tym mniej wydawało się to prawdopodobne. Niedługo spodziewał się wizyty Karli i miał masę roboty z przygotowaniem swoich kajaków i kanu do sezonu turystycznego. Jednak bez małego pieska drepczącego za nim czuł się bardzo samotny.

Wsiadł do pikapa i pojechał do swojego baru. Było jeszcze wcześniej, więc lokal świecił pustkami. Bez powitań stałych bywalców Schroeder poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Niech to szlag. Usiadł w niemal pustym barze i zamówił piwo. Potem następne. Nagle ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim kobieta, z wyglądu po sześćdziesiątce. Uśmiechała się promiennie. Miała długie srebrzyste włosy, duże piwne oczy i opaloną twarz, niemal bez zmarszczek.

Przedstawiła się jako artystka, która przeniosła się z Nowego Jorku do Montany. Z poczuciem humoru zaczęła opisywać różnice kulturowe między tamtym i tym miejscem. Tak oczarowała Schroedera, że zapomniał się przedstawić.

- Wyczuwam lekki obcy akcent - powiedziała.

Schroeder jak zwykle zamierzał odpowiedzieć, że jest Szwedem i nazywa się Arne Svensen, ale się powstrzymał. Kiedyś musiał nadejść czas, gdy zaczniesz ufać innym ludziom. Równie dobrze mogło to być teraz.

- Ma pani dobre ucho. Jestem Austriakiem. Nazywam się Karl Schroeder.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Miło mi cię poznać, Karl. Chciałabym połowić pstrągi, ale nie wiem, gdzie. Mógłbyś mi polecić dobrego przewodnika?

- Owszem - odrzekł. - Znam kogoś takiego.

## PODZIĘKOWANIA

Zawarte w tej powieści opisy wydarzeń towarzyszących jednej z największych w historii tragedii na morzu - zatopieniu przez okręt podwodny niemieckiego statku „Wilhelm Gustloff” z uchodźcami na pokładzie - powstały w oparciu o książkę „The Cruellest Night” (Najokrutniejsza noc) Christophera Dobsona, Johna Millera i Ronalda Payne’a. Inspiracji do napisania rozdziałów o gigantycznych falach dostarczyło wiele źródeł, ale być może najważniejszym był program BBC Freak Wave (Fala-potwór), w którym zamieszczono między innymi wywiady z naukowcami i marynarzami. Dziękujemy również Sue Davis, prezesowi i dyrektorowi zarządzającemu Stanley Museum w Kingfield w stanie Maine.